

**ARNAUD
DELALANDE**

BAJKI PISANE KRWIĄ





ARNAUD

DELALANDE

BAJKI PISANE KRWIĄ

LES FABLES DE SANG

Z francuskiego przełożyła

KRYSTYNA SZEŻYŃSKA-MAĆKOWIAK

AKT I

Początek rozgrywki

Czasem ukazą w opisie

Głupią próżność z zazdrością w złączeniu. Te obie

To dwa czopy: świat na nich krąży w naszej dobie.

Takie jest nędzne to zwierzę,

Co pragnęło dorównać wołu w wzroście mierze.

Niekiedy w dwóch obrazach przeciwstawiam: cnocie

Zło, to znów dla odmiany rozsądek głupocie.

Jagnięta ciche srogim wilkom w boru,

Muchę mrówce, powoli czyniąc z tego zbioru

Komedie wielką z aktów długim traktem,

A której sceną jest świat ten.

Jean de La Fontaine, *Drwal i Merkury*,

Księga V - Bajka I (przeł. Feliks Konopka)

Gdzie wilk pożera jagnię, maj 1774

LAS FONTAINEBLEAU

GALERIA ZWIERCADLANA, WERSAL

- Masz śliczne stópki, Rosette.

Rosette była boso. Panowała głęboka noc. Dziewczyna drżała. Miała związane ręce i przepaskę na oczach. Porwano ją kilka godzin temu.

Zakapturzona postać czaiła się w bramie, dwa kroki od perfumerii Fargeona, gdzie pracowała Rosette. Porywacz schwytał ją bez trudu, wykorzystując zaskoczenie dziewczyny, a potem skrępował jej ręce i zarzucił na głowę kotarę powoziku. Nie zdarł z niej sukni.

Rosette nie nosiła kolczyków ani koralików na białej szyi. Na palcach nie miała ani jednego pierścienia. I w ogóle nie posiadała biżuterii. Nie to było motywem porwania. Na razie napastnik tylko uprowadził ją na pustkowie. Rosette wiedziała, że dotarli do lasu. Ale dokąd dokładnie? Być może kilka kilometrów od Fontainebleau. Ledwie znaleźli się u celu, zasłonił

jej oczy i zdjął pantofelki, a potem leniwie pieścił jej stopy.

- Masz śliczne stópki, Rosette - powtarzał.

W innych okolicznościach takie zachowanie może schlebiałoby Rosette. Skora do zabaw i zgrabna dziewczyna była łasa na komplementy mężczyzny. Ale tu, smagana chłodnym wiatrem nocy, w ubrudzonej ziemi sukni, czuła tylko drżenie. Ręka porywacza była lodowata. A jego głos... był ponury, jakby dobiegał z podziemi. Miał w sobie coś niesamowitego. Początkowo, kiedy karoca pędziła jak szalona pośród nocy, a woźnica poganiał konie, dziewczyna próbowała krzyczeć. Na próżno. Usiłowała pozbierać myśli.

Czego właściwie chce od niej ten człowiek? Pozbawić ją dobrego imienia, i tak już mocno nadszarpniętego? Powątpiewała w to. Może zdołałaby go udobruchać, gdyby nad sobą zapanowała. Gdyby znalazła właściwe słowa. Może to jej jedyna szansa, aby ujść z życiem.

Dlatego, gdy wiatr rozwiewał jej rozplecione włosy, drżała jak osika.

*

Rosette czuła, że szara mgła opada na polanę. Kiedy mężczyzna zaczął mówić, uniosła głowę, próbując się zorientować, skąd dokładnie dobiega jego głos. Nie ruszała się, stojąc przed szpalerem tajemniczych drzew, które otaczały miejsce jej uprowadzenia. Głos był dość daleki, jakby porywacz stał na końcu polany. Rosette nasłuchiwała, czekając, aż jego buty zmiażdżą suchą trawę.

Skamieniała.

*

- Masz śliczne stópki, Rosette... Dobrze... Nasza gra, kotku, polega na tym, żebyś doszła tu, gdzie teraz stoję. Rozumiesz?

Rosette bąknęła coś zdławionym głosem, przełykając łzy.

- Przepraszam, Rosette, ale nie usłyszałem, co powiedziałaś...

- T...tak - odparła tym razem wyraźnie.

- Niedawno zagrałaś małe przedstawienie dla siostrzeńca, który podobno jest bardzo chory. To było... kameralne przedstawienie. Powiedziała mi o tym w zaufaniu jedna z twoich przyjaciółek. Ty i dwoje twoich krewnych odegraliście dla niego, przebrani w kostiumy, kilka uroczych scenek zainspirowanych bajkami La Fontaine'a! Czy to prawda?

- Tak - powiedziała Rosette.

Zmarszczyła brwi. Cóż wspólnego z tym wszystkim miał biedny Louis?

- Podesunęłaś mi pomysł na moją własną grę, Rosette. Słuchaj uważnie. Żeby wyjść bez szwanku z tej polany, musisz tylko przypomnieć sobie ulubiony wiersz... i poprawnie odpowiedzieć na moje pytania. Zrozumiałaś mnie?

- Tak - powtórzyła Rosette, chociaż sens tej sytuacji pozostawał dla niej zagadką.

- Jeżeli wyrecytujesz go, jak należy, wskażę ci drogę, którą musisz iść. W przeciwnym razie... będziesz zdana już tylko na łaskę bożą. Zaczynamy. Wyrecytuj dla mnie *Wilka i baranka*. Jak sądzę, to najlepiej pasująca do tej sytuacji bajka.

- Ale...

- Recytuj. Mów wiersz! Zaczynamy. Przypomnę ci początek.

Racyja mocniejszego zawsze lepsza bywa.

Zaraz wam tego dowiodę 1 .

- Panie, ale ja... Nie pojmuję...

- Mów! - nalegał mężczyzna, którego głos przyprawił ją o dreszcz.

Zdezorientowana Rosette próbowała pozbierać myśli, było jej coraz zimniej.

1 Przełożył Stanisław Trembecki.

Racyja mocniejszego zawsze lepsza bywa.

Zaraz wam tego dowiodę.

Gdzie bieży krynica żywa.

Poszło jagniątko chlipać sobie wodę.

- Dobrze, Rosette, dobrze! Żeby do mnie podejść, musisz zrobić ledwie parę kroków.

Teraz przejdź trzy. Prosto przed siebie.

Usłuchała. Opaska na oczach uniemożliwiała jej sprawdzenie, po czym stąpa.

Domyślała się zagrożenia i powstrzymała drżenie.

Zapewne lepiej było nie wiedzieć, co dokładnie jej grozi.

Na polanie znajdowało się dziesięć ustawionych pułapek na wilki.

Metalowe szczęki, rozwarte i ostre.

Wydawało się, że czyhają na nią w trawie.

O nie, nie, nie!

- Dalej, Rosette.

Ramiona sprzedawczyni drgnęły. Gorset falował poruszany szybkim, nierównym oddechem.

Wilk tam na czczo nadszedłszy, szukając napaści,

Rzekł do baraniego syna:

- Byłaś kochanką niejakiego Baptiste'a Lansqueneta - podjął mężczyzna. - On także przez jeden sezon pracował w sklepie mistrza rękawicznika Fargeona, sklepie, który mieści się przy ulicy du Roule w Paryżu. Nieprawdaż?

- Tak, ale... skąd pan o tym wie? Kim pan jest? Czego pan ode mnie chce? - szlochała Rosette.

- Usłyszec ciąg dalszy. Doszliśmy do: *Rzeki do baraniego syna.*

W głowie dziewczyny kłębiły się myśli. Ogarnięta paniką, zamarła. Jej usta drżały.

„I któż to zaśmielił waści,

Że się tak ważysz mącić mój napitek?

Nie ujdzie ci bez kary tak bezecna wina”.

- Bardzo dobrze, Rosette! Zrób teraz dwa kroki w lewo. Dobrze, i jeszcze dwa do przodu. Wspaniale sobie radzisz. Mości Lansquenet, który od czasu do czasu służył za gońca i przynosił puder i perfumy od Fargeona do pani du Barry, królewskiej metresy, wyznał ci, że ma jeszcze inną posadę... u hrabiego de Broglie, czyż nie? Posadę raczej sezonową, ale i bardziej stałą... Pracował bowiem... jako donosiciel dla królewskich tajnych służb, prawda?

- Dla czyich służb? Nie rozumiem! Ja nic nie wiem! Proszę skończyć tę grę, błagam!

Niech pan zrobi ze mną, co chce, ale proszę mnie tak nie dręczyć!

- No cóż, Rosette... To kusząca propozycja, ale mam za dużo zajęć. Co było dalej?

Rosette głęboko westchnęła i zebrała myśli, starając się wytrwać. Wyrzuciła z siebie: *Baranek odpowiada, drżąc z bojaźni wszytek:*

„Ach, panie dobrodzieju, racz sądzić w tej sprawie

Łaskawie.

Obacz, że niżej ciebie, niżej stojąc zdroju,

Nie mogę mącić...

- *...pańskiego napoju*”. Ślicznie, Rosette! Cztery kroki do przodu, trzy w prawo.

Rosette poruszała się powoli. Musnęła stopą jedną z pułapek. Przez moment czuła tuż przy dużym palcu metaliczny chłód. Potem usłyszała zgrzyt i suchy trzask. Metalowe szczęki zatrzęsły się tuż obok.

Dziewczyna nie odważyła się nawet dopuścić do siebie myśli o tym, co przypominał jej ten dźwięk i co mógłby oznaczać. Serce skoczyło jej do gardła.

- Co tam jest? Tam, na ZIEMI?

Zamiast odpowiedzi usłyszała tylko śmiech. Zduszony peleryną, urywany, długi śmiech.

- Rosette, kochanek ujawnił ci nazwiska trzech agentów, tak jak on pracujących dla Brogliego. Twój Baptiste nie powinien mieć dostępu do takich informacji. Hrabiemu przydawał się jako informator tylko od przypadku do przypadku, bo w tych waszych sklepikach słyszy się tak wiele poufnych wyznań... Wszyscy drobni kupcy sporo się dowiadują w perfumerii, u modystki, rękawicznika, w tawernie czy łóżku ladacznicy!

Jesteście niepoprawnymi gadułami! Chcę poznać nazwiska tych ludzi.

- Ale... jestem tylko sprzedawczynią w małym sklepie! W perfumerii!

- Nazwiska.

- Mówił mi o szlachcicu, ale nie wiem, czy to mężczyzna, czy kobieta...

- O? Doskonale - wtrącił wyraźnie zainteresowany.

- I o... panu de Beaumarchais.

- Dobrze...

- A także o pewnym weneckim szlachcicu.

Mężczyzna głośno mlasnął.

- Oczywiście... o Viravolcie.

Klepnął się po udzie i oznajmił z zadowoleniem:

- No widzisz, Rosette! To nie było takie trudne. Teraz wyrecytuj jeszcze ostatnie wersy bajki i wszystko się skończy. A co do Baptiste'a, to wiedz, że musiałem zadać mu kilka pytań, podobnie jak tobie, ale nie dorównał ci talentem. Bardzo mi przykro.

- Co... co takiego? O czym pan mówi?

- Daj spokój, Rosette! Myśl o tym, co dzieli cię od wolności! Jeśli mnie pamięć nie myli, teraz mówi wilk. Pomogę ci. „*Cóż? Jeszcze mi zadajesz kłamstwo w żywe oczy?!
Poczekaj no, języku smoczy, I tak rok-eś mnie zelżył paskudnymi słowy* Rosette podchwyciła:

*„Cysiam jeszcze, i na tom poprzysiąc gotowy,
Że mnie przeszłego roku nie było na świecie”.*

- Krok w lewo i dwa do przodu, ruszaj! „*Czy ty, czy twój brat...*

Podchwyciła w duecie. Koncert na dwa głosy.

- Nie mam brata.

- A zatem twój krewny.

Dość, że tego jestem pewny,

Że wy mi honor szarpiecie,

Psy, pasterze i z waszą archandyją całą

Szczekacie na mnie, gdzie tylko możecie”.

- Dalej, Rosette!

Dziewczyna zalała się łzami. Zebrała resztki sił, żeby się opanować. Krew pulsowała jej w skroniach, nogi drżały. Miała spocone dłonie. Sznur wpijał się w nadgarstki. Była bliska omdlenia, a raczej - gorąco pragnęła zemdleć. Ale koszmar wciąż trwał. Rozpaczliwie usiłowała sobie przypomnieć zakończenie.

Koniec... Koniec bajki...

O, Boże!

- „Szczekacie na mnie, gdzie tylko możecie”, Rosette. Niezła z siebie komediantka.

- Nie pamiętam, zapomniałam...

- Rosette...

- Powtarzam, że nie pamiętam!

- W takim razie sama wybierz kierunek i przejdź trzy kroki. Trzy kroki, Rosette...

Usłyszała dźwięk szpady wyciągniętej z pochwy. Porywacz podszedł bliżej.

- ...Albo zabiję cię własnymi rękami.

Rosette się wahała. Drżąc, zwróciła się najpierw w lewo i wyciągnęła nogę, trwożliwie opuszczając palce niemal do ziemi. Cofnęła ją i tym razem odwróciła się w prawo.

Bolała ją głowa, piekło w wyschniętym gardle... Przez moment, choć wcale o to nie dbała, poruszała się z gracją baletnicy. W końcu zdecydowała się iść w lewo. Wstrzymała oddech.

Wokół panowała głucha cisza. Rosette poczuła pod nogą miękką kobierzec trawy.

Po pierwszym kroku mężczyzna podjął:

„Muszę tedy wziąć zemstę okazałą”.

Drugi krok.

Nagle Rosette poczuła zapach - zwyczajny, ale silny, niesiony przez wiatr. Niemal natychmiast nasunęło się jej to wspomnienie i od razu zrozumiała...

- Ależ... Wiem, kim pan jest!

Wieczorny wiatr znów świstał w uszach Rosette. Jej policzki pałały.

- Och - westchnął mężczyzna. - Wielka szkoda...

Znów coś zgrzytnęło, potem rozbrzmiał metaliczny dźwięk i świst, kiedy żelazne szczęki wgrzyzały się w kostkę Rosette. Dziewczyna wyła z bólu, a jej krzyk rozdzierał leśną ciszę, gdy mężczyzna kończył:

Po tej skończonej perorze

Łapes jak swego i zębami porze.

Podszedł. Jego głos, dziwnie łagodny, zmienił się.

- Jestem zjawą, jestem Bajkarzem. Czas nadszedł.

W godzinę potem zakapturzona postać oddalała się od lasu, z uśmiechem na ustach szepcząc tylko do siebie zniekształcone wersy Ronsarda, które brzmiały jak epitafium:

„I Rosette przeżyła, czego róża zaznaje przez
jeden poranek”.

* * *

Po dwóch dniach po nią wrócił.

Bez problemu dostał się w środku nocy do Galerii Zwierciadlanej. Do świtu zostało kilka godzin. Pałac w Wersalu nie miał przed nim tajemnic. Plany, topografia, ogrody, fontanny, labirynt intryg i szepty dworzan, drobne podłości i sekrety alkowy. Szwajcarzy pełniący wartę nawet nie zwrócili na niego uwagi. Nawiasem mówiąc, większość spała na służbie. W Galerii niejedno widzieli, nawet kozy prowadzone do apartamentów książąt krwi i tam dojone. Toteż Bajkarz świetnie się bawił, przemykając amfiladą pomieszczeń z ciężarem na plecach... Kiedy znalazł się w centrum długiego korytarza, zrzucił na podłogę płócienny worek.

Ciężar głucho uderzył o parkiet.

Pojawiło się bezwładne ciało Rosette.

Bajkarz przeżegnał się z ironicznym uśmieszkiem i jakby z żalem położył na piersi zmarłej swe cenne Bajki. Z dedykacją dla Pietra Viravolty de Lansalta. Potem skrzyżował

ręce Rosette i pozostawił ją tak na podłodze, rozrzuciwszy przedtem kilka drobnych kostek jagnięcia, które miały tworzyć groteskowy nagrobek. Znajdą ją tu, w sercu pałacu. Niech widzą! Owoc był robaczywy. Sami się przekonają!

Zło szerzyło się w Wersalu.

Wkrótce królestwo ujrzy jak w zwierciadle swoje zepsucie.

- Czas zacząć grę - szepnął.

Słońce nad pojedynekami, maj 1774

LAS W SAINT-GERMAIN-EN-LAYE

- Cosimo! Garda!

Szpada Viravolty świsnęła, gdy się cofnął, zajmując pozycję. Stuknął obcasem o ziemię. Naprzeciwko niego stał Cosimo, jego siedemnastoletni syn. Viravolta był

czterdziestodwunastoletnim, ale szlachetność rysów, szermiercza sprawność, elegancja i postawa na koniu, a wreszcie cała sylwetka sprawiały, że wyglądał na dziesięć lat młodszego.

Cosimo odziedziczył część jego zalet, choć Pietro uważał, że wciąż jest zbyt chudy. Syn miał

bladą cerę i żywe oczy. Lekko uniesiony kącik ust nadawał mu wygląd człowieka spoglądającego na świat szyderczym okiem. Młodzieniec ubrany był w czerwony kaftan i niebieskie spodnie, a trójgraniasty kapelusz odłożył na bok przed lekcją szermierki. Pietro miał na sobie *justaucorps* rozchylający się na wyszywanej w kwiaty kamizelce. Mankiety ubioru spinały złożone guziki, a całość dopełniały wysokie buty sięgające do krótkich jedwabnych spodni. Włosy Viravolty były związane z tyłu na modłę pruskich wojskowych.

- Powtórzmy to! - powiedział, przybierając postawę wyjściową.

Cosimo wykonał polecenie, a po chwili dotknął ojca ostrzem szpady. Anna z umbrelką w ręce siedziała nieopodal na kocu. Tego majowego dnia roku 1774 świeciło piękne słońce. Wybrali się na polanę na skraju lasu w Saint-Germain-en-Laye. Za Anną i za drzewami, na drodze prowadzącej do Wersalu i Paryża, stangret wymieniał ze służącymi poglądy na temat przyszłości świata, pilnując zaprzężonej w cztery konie karocy.

Anna Santamaria promieniała. Jak za młodych lat w Wenecji miała połyskujące złotem blond włosy, które najchętniej pozostawiała w naturalnym kolorze, tylko z konieczności pobielając je pudrem. Kiedy mogła wymknąć się z Wersalu, natychmiast zapominała też o barwiczkach. Śmiejąc się i rzucając co pewien czas jakieś uwagi, wdzięcznie poruszała wachlarzem. Błękitno-fioletowa suknia z koszem o pięciu obręczach nieco krępowała jej ruchy, ale dopasowany gorsecik podkreślał piękno wciąż wdzięcznej szyi.

Dyskretna muszka nad górną wargą uzmysławiała, że mimo upływu lat uroda Anny nie przygasła i że wersalskie damy mogłyby niejednego się od niej nauczyć. Ta dojrzała kobieta była dziś bardziej zmysłowa i pociągająca niż za młodu.

Pietro i jego syn oddalili się kilka kroków. Ich szpady uderzały o siebie.

- Dobrze! Powtórzę! Zaczynasz od *quarta*, z wyprostowaną ręką. Ostrze ma być jej przedłużeniem. Kiedy się zbliżysz, pamiętaj o kontragardzie. Dokładnie mierzysz, broń w pozycji do ataku. A potem kolejno: zwód, podwójny zwód, nic nadzwyczajnego, uderzenie końcem szpady. I pamiętaj o ugięciu kolan!

- Dobrze! - rzucił zawstydzony Cosimo. - *Quarta*, zwód, cios, ugięcie kolan. Wybacz, ojcze, ale sztuka walki jest nieco ograniczona.

- Dopóki nie odmienisz europejskiej mentalności, ucz się po prostu tego, co ci mówię!

Wtedy może ci się uda!

- Tak...

- Słuchaj ojca, Cosimo - wtrąciła Anna. - Wie, co mówi. Kiedyś ci się to przyda.

- Matko, litości. Nie każcie mi znowu słuchać opowieści o życiu w Wenecji i o tym, jak ocaliliście

dożę, bo sobie pójdę!

- Skup się, zamiast obrażać rodziców - skarcił go Viravolta. - Nie jesteśmy jeszcze starcami. A teraz broń się, znam dość sztuczek, żeby przez jakiś czas zaskakiwać takiego gołowąsa jak ty. A jeśli będziesz grzeczny, nauczę cię tego układu, który opanowałem dzięki mojemu fehmistrzowi z Mestre. Jest nie do odparowania.

- Dobrze, dobrze. Broń się, ojcze!

- To mi się podoba!

Anna roześmiała się, bawiąc się wachlarzem, a Cosimo westchnął.

Szpady świsnęły, tnąc powietrze.

Promienie słońca padły na szermierzy.

Pietro Viravolta de Lansalt opuścił Wenecję i zamieszkał we Francji ponad dwadzieścia lat temu, po „sprawie Dantego”, która rozegrała się w dniu Wniebowstąpienia w roku 1756. Pietro pracował wówczas dla tajnej policji weneckiej, groźnej Rady Dziesięciu, i posługiwał się pseudonimem Czarna Orchidea. Ocalił dożę przed niechybną śmiercią, a Republikę przed spiskiem, który zagrażał jej państwowemu bytowi. Znużony intrygami w Serenissimie i żądny przygód postanowił ruszyć w świat. Całym dalszym życiem dowodził, że zasłużył na sławę, jaka go otaczała.

Zimą roku 1756 przybył do Wersalu wraz z przyszłą małżonką Anną Santamarią i lokajem Landrettem. Nie pojawił się na najwspanialszym europejskim dworze z pustymi rękoma. Miał listy żelazne i polecające od samego doży, a także połowy weneckiego senatu, co znakomicie ułatwiło mu zbliżenie do najbardziej wpływowych osobistości w kręgach francuskiej arystokracji. Sekretarz stanu odpowiedzialny za sprawy zagraniczne, Rouillé, a także dwóch jego następców, kardynał Bernis i Choiseul, dowiedzieli się, co zaszło w Wenecji, gdy nad laguną huczały armaty. Dość szybko otrzymali raporty z Republiki, a także od królewskich agentów działających w stolicach sąsiednich państw. Gościć we Francji Czarną Orchidę, wybawcę doży i weneckiego państwa, postać niemal legendarną w świecie policji i tajnych służb całej Europy, było zaszczytem. Ponadto sam zainteresowany nie krył, że gotów jest służyć szablą Jego Królewskiej Wysokości Ludwikowi XV, jeśli tylko jego pomoc może się na coś przydać.

A zatem, przynajmniej we wtajemniczonych kręgach, obecność Czarnej Orchidei w Wersalu nie pozostała niezauważona. Wieść krążyła wśród królewskich agentów i dworzan.

Przekazywano ją sobie szeptem w pałacowych galeriach i antyszambrach, powtarzano w tawernach i na dziedzińcach. Szpiedzy, urzędnicy, ambasadorowie, hazardziści, kochankowie, wtajemniczeni szlachcice i damy marzące podczas mszy o Wenecjaninie, rozpowiadali nowiny. Rozprzestrzeniały się jak pchły, przenosiły jak porwane przez wiatr pyłki. Ci, którzy mieli we Włoszech przyjaciół, zasięgali języka, a w półmroku tawern, w podejrzanych spelunkach i domach rozpusty, i nawet w podupadających wiejskich zamkach szeptano:

„Przybył Czarna Orchidea!” . „Kto taki?” . „Czarna Orchidea! Viravolta, człowiek, który ocalił

Wenecję!” . Reputacja go wyprzedzała, a ludzie ubarwiali jego historię tak wieloma zmyśleniami, że w końcu witano go niczym Anioła Opatrzności. Poinformowany o rychłym przyjeździe kawalera, król, który bawił w Parc-aux-Cerfs, długo zanosił się śmiechem, a potem dołączył do swej faworyty. Łatwo było dostrzec, że uśmiechy dworzan skrywały niezwykle rozgorączkowanie, jakie od czasu do czasu ogarniało dwór, wywołując falę plotek.

Ale te uśmiechy były serdeczne i przyjacielskie, była w nich nadzieja i obietnica odmiany, ucieczki, działania, przygody. Wersal miał powitać Czarną Orchideę!

Kwestia funkcji, jaką mógłby pełnić Viravolta w pałacu, niezbyt długo stanowiła temat dyskusji. Wenecjaninowi cieszącemu się poparciem kardynała de Bernis, a następnie Choiseula szybko zaczęto powierzać poufne zadania. Dotyczyły one wewnętrznego bezpieczeństwa królestwa, a niekiedy samego dworu i najwyższych dygnitarzy - rzecz jasna, króla oraz pani de Pompadour, królowej Marii Leszczyńskiej, pani du Barry, świętej pamięci delfina Ludwika Ferdynanda, a następnie Ludwika Augusta, i wreszcie Marii Antoniny, gdy przybyła z Austrii. Talenty Viravolty nie umknęły także innej instytucji o charakterze niejawnym, a zatem jakby stworzonej dla niego, ale zarazem stawiającej wysokie wymagania i bardzo groźnej. Wkrótce Pietro znów był wplątany w trudne sytuacje i zaczął prowadzić podwójną egzystencję, która była jego codziennością za dawnych lat, gdy służył Serenissimie, pracując dla Rady Dziesięciu.

W roku 1758 przyjęto go do Sekretu Króla, tajnych służb królewskich.

*

Kierowany przez księcia Contiego, a następnie Jeana-Pierre’a Terciera Czarny Gabinet, czyli Sekret Króla, został powołany przez Ludwika XV. Po rozmowie z królem hrabia de Broglie zaproponował Wenecjaninowi wstąpienie w szeregi tajnej armii królewskich szpiegów. Pietro szybko znalazł miejsce w gronie trzydziestu dwóch agentów rządowych, którym powierzano nieoficjalne zadania dyplomatyczne i obserwowanie ministrów stanu.

O działaniach Gabinetu, podlegającego hrabiemu oraz samemu władcy, nie wiadomo nawet na dworze. W ramach tej struktury prowadzono korespondencję z zagranicą, siatka szpiegowska zajmowała się przechwytywaniem przesyłek, śledzeniem ważnych osobistości, a w razie potrzeby sabotażem. Początkowo Gabinet miał służyć zdobyciu tronu Polski, ale po wojnie siedmioletniej stopniowo przejmował inne zadania, jak choćby przygotowanie francuskiego desantu w Anglii. Jego powołaniem była ochrona interesów Francji i wywieranie wpływu na politykę zagraniczną innych państw, szczególnie zaś troska o dobre relacje z Austrią i Rosją. Pietro, doskonały pośrednik w kontaktach z Serenissimą, wypełniał

także misje na Śląsku, w Londynie i Świętym Cesarstwie Rzymskim Narodu Niemieckiego, w Republice Holandii oraz austriackich Niderlandach. Ocierał się o pierwszorzędnym agentów, jak Vergennes, Beaumarchais, Breteuil, kawaler d’Eon. Ludzi tych trudno było oceniać pod względem moralnym, z pewnością jednak można by ich nazwać ekscentrykami i uznać za groźnych. Cosimo, syn Viravolty, nie miał pojęcia, czym para się ojciec, jednak Anna Santamaria, Czarna Wdowa z

Wenecji, była wszystkiego świadoma i jak nikt znała ukryte zdolności małżonka.

Tak oto, chcąc uciec od zakulisowej polityki weneckiej, Pietro wpadł w tryby polityki francuskiej. Syn aktorki i szewca, zapatrzony w szlachtę, pragnący sławy, zawsze wiódł

szaleńczy żywot, jego historia przypominała baśń. Przebiegły zawadiaka czuł się jak ryba w wodzie, przybierając podwójną tożsamość i w pewnym sensie kontynuował matczyne fachu komedianta. Zuchwały gracz, za młodu łatwo dawał się ponieść emocjom i namiętnościom, z czasem jednak nabrał rozwagi i dojrzał, i teraz nie przypominał już lekkoducha, jakim niegdyś był. Mimo to wciąż tryskał energią, kochał przygodę i zmiany. Gdy poślubił Annę Santamarię, a przede wszystkim gdy zajął się wychowaniem Cosima, nauczył się przezwycięzać paradoksalne cechy swej natury, jak ów zawrót głowy powiązany z potwornym lękiem przed nicością, od którego niegdyś nie potrafił się uwolnić. Nie wyrzekł

się wolnomyślicielstwa, teraz jednak pogodził się z ograniczeniami, jakie narzucała wybrana przezeń droga życia.

Dziś był bogaty, ale się z tym nie afiszował. Wenecja wypłacała mu dożywotnią rentę za zasługi, w dodatku zaś czerpał spore dochody z dwóch nowych funkcji - tajnej przy Czarnym Gabinetcie oraz oficjalnej przy ministrze spraw zagranicznych. Dla pozorów dano mu tytuł markiza i posiadłość. Wraz z rodziną zamieszkał w rezydencji przy ulicy Cerceaux, na obrzeżach Wersalu, przy drodze do Marly. Król dobrze ich ulokował, bo życie na dworze miało swą cenę, i to naprawdę wygórowaną. Z racji pełnionej służby Wenecjanin otrzymał

także jeden z pięciuset pokoi na pałacowym poddaszu. Wersal był usiany izdebkami, w których tłoczyli się dworzanie, a które nie zapewniały nawet odrobiny wygody i bezpieczeństwa. Pietro uczynił z pokoiku biuro, a sypiał w nim nader rzadko. Mimo wszystko przyznanie pokoju w Wersalu, choćby to była mysia dziura, świadczyło o wyjątkowych względach władcy.

W majowe dni roku 1774 w Wersalu panowała napięta atmosfera. Ludwik XV konał, a Pietro znalazł się w trudnym położeniu. Rywalizacja między jego dwoma zwierzchnikami, księciem d' Aiguillon, ministrem, któremu podlegał oficjalnie, a hrabią de Broglie kierującym tajnym Czarnym Gabinetem, trwała od dawna, ale teraz osiągnęła apogeum. Aiguillon wykorzystał dogodną chwilę, by odsunąć hrabiego de Broglie od spraw zagranicznych. Miał

potężnego sprzymierzeńca w osobie królewskiej kurtyzany, pani du Barry. Tuż po objęciu stanowiska Aiguillon odkrył tajemnicę Czarnego Gabinetu. Czyżby naprawdę istniał od tylu lat i pracował pod rozkazami samego króla, a wszystko bez wiedzy jego ministrów? Sprawa stała się wielce kłopotliwa. Natrafiwszy na trop, Aiguillon ujawnił istnienie tajnych misji na dworach państw północnych i przechwycił ważną korespondencję, która świadczyła o zawieraniu tajnych przymierzy, a nawet dowiedział się, że chciano się go pozbyć! Oskarżył

Brogliego o spisek. Król nie mógł chronić szefa tajnych służb, bo musiałby przyznać, że takowe istnieją. To był szach i mat. Hrabia de Broglie trafił do Bastylji, a potem, dla dobra państwa, został zesłany do posiadłości Ruffec.

*

Gdy król umierał, Broglie pozostawał w niełasce, a jego agenci, także Viravolta, musieli się przycisnąć. Pietro czuł, że nawet z wygnania Broglie kieruje Czarnym Gabinetem, a król w rzeczywistości go nie opuścił. Jednak w razie śmierci króla Brogliemu groziło dożywotnie oddalenie od dworu. A Pietro znalazłby się na czarnej liście Aiguillona za to, że służył równocześnie dwóm panom. Dlatego nie był właściwie zaskoczony, gdy ujrzał trzech zbrojnych jeźdźców na drodze z Wersalu.

Powitali go, a następnie wręczyli opieczętowany list.

- Pan de Lansalt? Oto pismo od księcia d'Aiguillon, który wzywa waszmość na dwór.

Pietro złamał pieczęcie.

To, co przeczytał, wzmogło jego niepokój.

Panie markizie de Lansalt!

Sprawa najwyższej wagi wymaga, bym jutro rano pomówił z Panem w moim gabinecie. Jest mi Pan winien wyjaśnienia dotyczące wiadomej Panu działalności.

Nazbyt długo odsuwaliśmy tę chwilę. Teraz jednak pojawiły się jeszcze bardziej naglące okoliczności. Król jest bardzo słaby. Dwór i Francja modlą się o Jego ozdrowienie. Stało się coś jeszcze. Myślę, że wystarczy jedno słowo: Bajkarz. Jest Pan wplątany w sprawę kryminalną. Oczekuję przed wschodem słońca. Mam podstawy sądzić, że jest Pan bezpośrednio zamieszany w dramat, który nas dotknął.

Co takiego?

Pietro zagryzł usta. Książę chciał z nim mówić o służbie pod rozkazami hrabiego de Broglie... Bajkarz? Przecież Pietro zabił go własnymi rękami już cztery lata temu! On, Pietro Viravolta, zamieszany w sprawę kryminalną? Czyżby książę już teraz chciał się go pozbyć?

Takie myśli kłębiły się w głowie Wenecjanina. Wyglądał na zmieszanego. I nagle zauważył, że do listu dołączono jakąś kartę.

Zaskoczyła go jej faktura.

Wolno wiódł palcami po powierzchni karty.

Pergamin czy... skóra?

Przez głowę przemknęła mu przerażająca myśl.

Czyżby to była... ludzka skóra?

Serce zamarło mu w piersi.

Nie, to raczej cieleca skóra.

Ale litery tworzące to przesłanie niemal na pewno wypisano krwią.

Krwawe listy...

I już wiedział, że krew nie jest cieleca.

Ale po co mi to przysłano?

BOCIAN I LIS

WILK I BARANEK

ŻABA I WÓŁ

KRUK I LIS

LEW I SZCZUR

PIES I CIEŃ JEGO W WODZIE

MAŁPA KRÓLEM

KONIK POLNY I MRÓWKA

ŻÓŁW I ZAJĄC

LEW W STAROŚCI

* * *

„Spotkaliśmy się, Viravolta:

Oto dziesięć Bajek wybranych ku naszej uciechu.

Czy zechcesz zabawić się ze mną?”

Bajkarz

Pietro wznosił oczy.

- Ojczy, co tu się dzieje? - zapytał Cosimo, wciąż trzymając broń w ręce.

- Pietro? - wtrąciła Anna.

Żołnierze przysłani przez Aiguillona otoczyli go.

Kapitan poprosił, by Viravolta poszedł z nimi.

- Panie de Lansalt... To... właściwie nie jest... list.

- Czyżby?

- To nakaz, panie de Lansalt...

Kapitan dał mu znak, by ruszył za nim.

- Jest pan aresztowany.

Kiedy go prowadzili, wspominał to, co wydarzyło się przed czterema laty w wieczór zaślubin Marii Antoniny.

Cztery lata wcześniej, maj 1770

Zamach na Austriaczkę

OPERA GABRIELA, OGRODY, DACHY WERSALU

Kiedy Pietro Viravolta przekroczył progi opery, zamienionej tego wieczoru w salę balową, usłyszał pełne podziwu szepty w kręgu osób otaczających delfinę.

Gdzieś tu jest wróg - ale gdzie?

Pietro miał przed sobą cały dwór. Pod plafonami, z których zwisały ciężkie żyrandole, rozbrzmiewały już pierwsze takty muzyki. Niedawno wybudowana opera w najpiękniejszym pałacu świata po raz pierwszy ukazała się oczom dworu, i to przy jakiej okazji! Dziś były zaślubiny przyszłej królowej Francji! Tłum przelewał się do owalnej sali o idealnych proporcjach. Łoże osłaniały niebieskie, jedwabne kotary, lustrzane portyki odbijały niekończące się szpalery starożytnych rzeźb. Parkiet sali, ułożony na wysokości sceny, która dominowała nad fosą orkiestry, sprawiał, że całe wnętrze wyglądało jak ogromny salon. A ona tam tańczyła! Tańczyła z gracją, ubrana w precudną suknię. Maria Antonina stała się już bohaterką zdumiewającego skandalu. Nowa delfina była córką lotaryńskiego księcia, więc przedstawiciele Domu Lotaryngii poprosili Ludwika XV, by pozwolił im tańczyć zaraz za księżętami krwi, a więc przed diukami i diuszesami. Monarcha w końcu zgodził się przyznać im to zaszczytne prawo, a urażone takim pogwałceniem protokołu diuszesy nakłoniły część dworu, by nie udawał się na bal.

Nie mając pojęcia o tym sporze o pierwszeństwo, delfina, nowo przybyła księżna Francji, tańczyła i tańczyła, a inne problemy świata dla niej nie istniały.

Dworzanie rytmicznie wirowali wraz z nią. Muzyka wypełniała salę. Muzycy z zapałem poruszali smyczkami. Maria Antonina promieniała, jej twarz była pełna zachwytu.

Sunęła po parkiecie u boku samego króla, gdy Ludwik August, wnuk monarchy, starał się ukryć niepokój, a czujny Viravolta omiatał tłum spojrzeniem.

*

O wszystkim doniósł mu jeden ze szwajcarów. Ktoś rozpowszechnił obraźliwy wierszyk.

„Zatłuc Austriaczkę,

Która puszcza się jak suka”.

Pod tekstem podpisał się niejaki Bajkarz, ale Viravolta wątpił, żeby coś takiego mógł

rozdawać ukradkiem jeden z książąt lub dbałych o etykietę dostojników. Wiersz był zbyt wulgarny, aby szlachetnie urodzona osoba mogła zniżyć się do tego czynu, nie narażając się na wstyd, chociaż wspomnienia z Wenecji nauczyły Viravoltę szukać zgnilizny pod najdelikatniejszymi koronkami. Jedno nie ulegało wątpliwości. Delfina ledwie przybyła do Francji, a już czyhano na jej najdrobniejszy fałszywy krok. Tego samego wieczoru ktoś przesłał jeszcze jedną wiadomość. Tym razem przyniósł ją kapitan gwardii - „Bajkarz uprzedza, że będzie dziś wśród was. Między dworzanami”.

Viravolta, któremu pot wystąpił na czoło, obserwował gwarną salę.

Delfinie grozi niebezpieczeństwo.

*

Scenę oświetlono trzema tysiącami świec. Tłum tańczył. Pietro zerkał w prawo i w lewo. Czy mimo wszystkich podjętych środków ostrożności Bajkarz naprawdę zdołał się tu wśliznąć i uczestniczyć w zabawach? W ten wyjątkowy wieczór czujność przygasła.

Zapominano o polityce, o interesach Francji i Europy, o tajemnicach państwowych. Do diabła, przecież trwało wesele!

Rzecz jasna, kilka prostackich aluzji nie zdołałoby postawić na nogi Czarnego Gabinetu króla. Ale hrabia de Broglie od dawna miał podstawy przypuszczać, że Marii Antoninie grozi we Francji niebezpieczeństwo. Ostatnie informacje spowodowały, że wszczął

alarm. Inne sprawy Czarnego Gabinetu zostały odsunięte na dalszy plan, najważniejsze stało się to śledztwo. A liścik przesłany tego wieczoru wyglądał na znak rozpoczęcia działania, i nie był jedyny. Bajkarz dawał o sobie znać już nieraz, podpisywał epigramaty przydomkiem, bo lubił wpisywać w swoje dziełka aluzje do bajek Ezopa i La Fontaine'a, przywołując tych znanych twórców w groźnie brzmiących morałach. Ale nie ograniczał się ani do zapowiadania zamachu, ani do rzucania pogrózek. Prowadząc śledztwo, Broglie znalazł na swej drodze trupy woźnicy i lokaja, których Bajkarz zatłukł z niewyobrażalnym okrucieństwem. Agenci Gabinetu znaleźli poza tym dokumenty i szkic planów Wersalu, co potwierdzało, że zbrodniarz zamierza przeprowadzić akcję na dużą skalę. Czy był to czyn szaleńca, czy może jakiś spisek? Tego nikt nie wiedział. Ale już kiedyś cios zadany

zwyczajnym nożem przez nikomu nieznanego Damiensa omal nie zachwiał monarchią. Czy działał na własną rękę, czy na rzecz obcego mocarstwa, Bajkarz był niewątpliwie rozjuszonym agitatorom, a o jego wściekłości świadczyły odrażające pamflety i sarkastyczne komentarze polityczne. Był ekstremistą obciążającym odwiecznego austriackiego wroga winą za całe zło i nie mógł znieść myśli o „sprzecznym z naturą” przymierzu, które sprowadziło Marię Antoninę, córkę niegodnej cesarzowej, do Francji, której królową miała zostać.

*

Viravolta spoglądał na łoże o zdobionych freskami ścianach. Przed jego oczyma przesuwały się twarze. Starał się zachować trzeźwość myślenia. Na szczęście nikt nie nosił

maski. Bajkarz mógł wybrać jedną z tych nocy, kiedy odbywały się bale kostiumowe, tak lubiane w Wersalu. Czy należał do dworu? Decydując się przyjść z odsłoniętą twarzą, chciał

zapewne udowodnić, że może być wszędzie i nigdzie zarazem i że przed niczym się nie cofnie. Taki człowiek był wyjątkowo groźny dla żołnierzy i straży dbających o bezpieczeństwo wszystkich dostojnych osobistości, poczynając od delfiny. W pobliżu Marii Antoniny Viravolta zauważył Annę Santamarię, którą jakiś dworzanin, mnożąc pokłony, zapraszał do menueta.

Rozgniewało go to, ale nie mógł zapominać, po co tu jest.

Nagle, gdy zwrócił oczy na kulisy, dostrzegł sylwetkę, która szybko skryła się w mroku.

Czy to on?

Pietro podbiegł w jego stronę.

Pierwszy maszynista króla, Blaise-Henri Arnoult, skonstruował genialny mechanizm, dzięki któremu można było zmieniać wygląd sali zależnie od typu uroczystości, a podczas spektakli, choćby tak spektakularnych jak wczorajszy *Perseusz*, sprawnie zastępować jedne dekoracje innymi. Za kulisami krzyżowały się liny, pełno było bloczków i metalowych kół, które służyły do podnoszenia i opuszczania sceny, stelaży i koszy pełnych elementów scenografii, kufrów kipiących kostiumami, drewnianych marionetek, kolorowych szaf i innych kłopotów. Ta mroczna kraina niespodzianek i dziwactw, ten labirynt, który otaczał

scenę, zapuszczał się pod orkiestrę, piął ku górze, między kurtynami i podwieszanymi dekoracjami, był wymarzoną kryjówką.

Pietro skinął na strażę, muszkieterów i kawalerzystów krążących po operze. Nie tak łatwo było im przeciskać się wśród gości, którzy wciąż tańczyli i spacerowali po sali, nie wzbudzając zaniepokojenia i nikomu nie przeszkadzając. Viravolta o mało nie wpadł na Annę, która przyjęła zaproszenie do menueta i właśnie kłaniała się w jednej z figur. Podniosła głowę i uchwyciła spojrzenie Pietra. Nieco zaskoczona, dopiero po chwili baczniej przyjrzała się małżonkowi, który w przypudrowanej peruce, ze szpadą u boku, we fraku, niechcący ją popchnął, i zauważyła, że jest czymś mocno wzburzony.

- Pietro, na Boga, kochany, co robisz?

- Dbam o interesy Francji - syknął - podczas gdy inni się bawią.

Gdy mijał orkiestrę, od delfiny dzieliło go zaledwie kilka metrów. Jakiś skrzypek spojrział na niego przelotnie. Pietro wsunął się za dekoracje i pobiegł mrocznym korytarzem.

Parkiet skrzypiał pod jego stopami. Z sufitu zwisały liny. Przemknął pod wysokimi na niemal dziesięć metrów obramowaniami kurtyny, które pozwalały niepostrzeżenie zniknąć w zakamarkach opery. Omijał poniewierające się po podłodze przedmioty, opierając się łokciem o drewniane ścianki. Dostrzegłszy schody wiodące do fosy orkiestry, zamierzał nimi pobic, wtedy jednak zauważył w pobliżu rozkołysaną linę i zrezygnował.

Popatrzył w górę.

I znowu dostrzegł cień kryjący się między belkami i bloczkami. Dwa kroki dzieliły go od wiszącej stiukowej muszli, elementu scenografii *Perseusza*. Pietro chwycił ją, ustawił, a potem zaczął się wspinać po węzłach podtrzymujących ją z dwóch stron lin. Zadyszany, dotarł na wysokość pięciu, może sześciu metrów, pomiędzy koła maszynierii. Pod murami ułożono prowizoryczne kładki, które biegły pośród lin i haków. A tam w dole tańczyli goście.

Pietro pokonywał metr po metrze. Cień, który dostrzegł, uciekał. Na końcu, tuż nad sceną opery, dotarł do platformy dla maszynistów, także niewidocznej dla publiczności. Leżały na niej dwie skrzynie. Pietro podszedł, ciężko oddychając. Zatrzymał spojrzenie na pierwszej.

Muzyka i zgiełk panujący na dole, gdzie trwał bal, zagłuszyły jego krzyk.

Bajkarz!

Skrzynia się otworzyła. Przebrany w kostium uciekinier nosił maskę Krakena, przerażającej istoty z zaświatów, która poprzedniego wieczoru usiłowała uprowadzić Andromedę od Perseusza. Zielona farba, gadzie ślepia o powiekach otoczonych łuską, na skroniach płetwy, które miał zamiast uszu, płatanina żyłek wokół szeroko otwartej paszczy...

Przebieraniec miał na sobie przewiazaną w pasie togę, a u boku miecz. Zdumiony Pietro o mało nie spadł z platformy. Utrzymał równowagę tylko dzięki temu, że chwycił się jednej z lin. Tymczasem smętna postać zrzuciła maskę. Viravolta, który walczył, by nie runąć w dół, zdążył zobaczyć inne oblicze przeciwnika - twarz tak mocno umalowaną, że jeszcze bardziej groteskową. Ten makijaż spływał strużkami po policzkach, tworzył czarne kręgi wokół oczu, otoczył poszarzałym, trupim błękitem usta.

Bajkarz zdecydowanym gestem odrzucił maskę i skoczył na liny. Pietro zbyt późno pojawił, co to oznacza. Stojąc na krawędzi platformy, poczuł, że jakaś siła ciągnie go w górę.

Przypudrowaną głową uderzył o obłok wiszący tuż pod sklepieniem opery. Oszołomiony, zdążył zauważyć przed sobą potężny bloczek i zrozumiał, że w górę powędrował wraz z elementem scenografii *Perseusza*. Kurczowo trzymał się lin, żeby nie skrócić karku.

Tymczasem Bajkarz zsuwał się w dół bez najmniejszego trudu, wykorzystując drugi koniec tej samej liny. Kiedy wtargnął na scenę, kilka par tańczących menueta błyskawicznie się cofnęło. Lina natychmiast poszła w górę, ściągając boczną osłonę sceny, i oczom gości ukazał

się pejzaż greckiej wyspy - białe skały nad morzem, w dali osamotniona Kytera, otoczony łańcuchami krąg i spleciona Andromeda. Damy osłoniły ręką usta i wybuchnęły śmiechem, przekonane, że to wymyślony przez króla i jego maszynistę żarcik. Nawet Maria Antonina rzuciła biedakowi pełne zachwyty spojrzenie i także raczyła się roześmiać. Tańczyła właśnie z małżonkiem, a tłum, chcąc przyjrzeć się znamienitej parze, ośmielał się wskakiwać na ławy.

Któryś muzyk zagrał fałszywą nutę, potem jednak rozbrzmiały dźwięki menueta.

Cień przemknął ku wyjściu.

Uciekinier zbiegł do ogrodów, okrążając skrzydło północne. Kiedy Viravolta zszedł z mechanicznego nieba i stanął na scenie, wszyscy zajęci byli wyłącznie tańcem.

Ciężko dysząc, Pietro opuścił gmach opery, zabierając ze sobą kilku żołnierzy.

*

Jest tam!

Pietro widział, jak biegnie przez ogrody. Uciekinier zrzucił togę, pozostając w ciemnym ubraniu, i cisnął sceniczny miecz na ziemię, żeby sięgnąć po prawdziwą szpadę.

Sto sześćdziesiąt tysięcy lampionów zdobiło Wersal i jego tarasy. Rozedrgane światelka przeobrażały cały park w rezydencję z krainy bajek. Świetliki rozmieszczone na klombach, wokół krzewów, na arkadach, trawnikach, ogrodowych altanach, na frontonach łuków triumfalnych nad Wielkim Kanałem, przypominały Pietrowi Wenecję. A gondole z baldachimami, podarowane niegdyś przez Republikę Wenecką, święto Trzech Króli. Wokół

przygotowywano już pokaz pirotechniczny - wkrótce w niebo miały wystrzelić tysiące nowych konstelacji. Fontanny tworzyły imponujące widowisko wodne. Muzycy ukryci wśród zarośli zachęcali do tańca tłumy przybyłe z Paryża i z całego kraju.

Zbliżała się wyczekiwana przez wszystkich chwila - najpiękniejsza, najradośniejsza rozrywka - fajerwerki!

O nie! Nie uciekniesz mi! Nie tym razem...

Pietro na moment stracił z oczu uciekiniera. Zmrużył oczy i odnalazł go - cień wyłonił

się z mroku i wślizgnął się do Labiryntu. Pietro ruszył za nim. Ołowiane zwierzęta, które zamieszkiwały Labirynt, przydawały temu miejscu nierzeczywisty charakter. Dziś było tam sporo ludzi i śmiechu, bo nigdy nie wiadomo było, czy skrócić w lewo, czy w prawo, jak uniknąć ślepych

zaułków. Wenecjanin zgubił się już po chwili. Zaklął, natrafiając na ścianę zieleni i wpadając na kochanka, który próbował wsunąć rękę pod spódnicę kochanki.

Viravolta zawrócił. Nieco dalej grupka ślicznotek zanosila się śmiechem, bawiąc się w straszenie. Jak Bajkarz zdołał utorować sobie drogę przez te alejki? W końcu Pietro opuścił

Labirynt. Znalazł się w punkcie wyjścia. Zwolnił kroku i ocierając pot z czoła, z zalem patrzył na przykurzone kłamry butów. Zmęczony, wrócił do pałacu.

Gdy tylko przekroczył jego progi, usłyszał od jednego ze szwajcarów:

- Zaskoczyliśmy go u wylotu alejki! Musiał się wycofać. Wykorzystując zamieszanie, znowu tu wszedł!

Pietro poczuł ulgę. Skoro Bajkarz powrócił do pałacu z konieczności, to być może jego kres jest bliski. Wpadł w sidła. Pietro ruszył biegiem, a w ślad za nim podążyli po schodach kawalerzyści.

Kierował się ku bocznym schodom pałacu.

Ukryte drzwi... On chce się dostać na dach!

* * *

Pierwsze piętro. Drugie... Czwartą część pałacowej straży posłano w pościg za intruzem. Jakim to sposobem Bajkarz, wpadając do królewskich apartamentów, których nie znał, zdołał dotrzeć do ukrytych schodów wiodących na poddasze? Pietro nie posiadał się ze zdumienia, teraz był jednak przekonany, że przeciwnik nie zdoła mu już uciec. Znalazłszy się w wąskim, ciemnym korytarzu, w pobliżu apartamentów pani du Barry, Pietro zobaczył

klapę, przez którą można się było dostać na dach. Odsunął żołnierzy.

- Nie ma dokąd uciekać. Nie wzbudzajmy obaw tłumów, urządzając tu szaleńcze widowisko.

Jednym ruchem uniósł klapę.

- Zajmę się nim.

I po chwili był już na dachu.

Ogrody ciągnęły się, jak okiem sięgnąć, w głębię nocy.

W dali, na północno-wschodnim skraju dachu, zobaczył niepewnie poruszającą się sylwetkę Bajkarza.

Mężczyzna na próżno szukał drogi. Odwrócił się, zrezygnowany...

Dobył szpady, by stawić czoło Viravolcie.

W dole przerwano bal.

Pietro podbiegł do uciekiniera.

- Spotkaliśmy się - rzekł, stając w odległości kilku metrów od niego.

- I ja mam takie wrażenie - odparł Bajkarz.

Viravolta wyciągnął broń. Ocenivszy z bliska posturę przeciwnika, zmarszczył brwi.

Czyżby się... bał, czy może udawał niezdarę?

Przez chwilę obserwowali się wzajemnie, Pietro szukał pewnego oparcia dla stóp...

Szczęk metalu obwieścił początek pojedynku.

*

Niczym gong anonsujący to widowisko, kolejny grzmot rozdarł niebo. Przez moment walczący byli zdezorientowani.

Ze zdziwieniem patrzyli na gorejący firmament. W dole, przy dźwięku trąbek, rozpoczynano pokaz sztucznych ogni. Wokół fontanny i klombów, wzdłuż Wielkiego Kanału, podpalano lonty. Wielobarwne konstelacje rozbłyskiwały wszędzie, jakby świat się przepołowił, ciskając mrowie gwiazd z atramentowego nieba. Równocześnie rozbłysły fontanny, a słupy migocącej wody wystrzeliły w górę. W tym zgiełku Viravolta i Bajkarz mieli stoczyć walkę nad głowami falującego, oczarowanego widowiskiem tłumu.

I właśnie w tej chwili delfina postanowiła pojawić się na balkonie. Tysiące zgromadzonych w ogrodach ludzi patrzyły już tylko na nią, na Marię Antoninę, do której dołączyli wkrótce król i delfin Ludwik August. I może tylko nieliczni, ci spokojniejsi, mniej olśnieni, dostrzegli ciemne sylwetki pojedynkujących się na dachu. Niebo nad Wersalem wiwatowało, oklaski i radosne okrzyki wypełniły cały park. A delfina, pierwsza pośród księżniczek, w zachwycie klaskała w dłonie. W tej chwili pragnęła zejść do ogrodu, wmieszać się w tłum Francuzów, którzy witali ją jak przyszłą królową! U jej stóp kłębił się tłum, ściśnięty między lampionami, podświetlonymi fontannami i klombami, płynący niczym rzeka, widoczny w dali, za tarasami, za taflą wody i lasem.

*

Bajkarz ledwie krzyknął, kiedy ostrze szpady Viravolty ugodziło go w samo serce.

Pietro bez trudu rozbroił przeciwnika. Ciemna plama rosła na kaftanie rannego. Wywrócił

półprzytomne oczy. Trwało to kilka sekund, jakby wahał się, czy przekroczyć granicę między życiem a śmiercią. Potem jego oczy stały się szkliste. Zachwiał się i runąłby w dół, gdyby Pietro go nie chwycił.

Viravolta poczuł metaliczną woń krwi.

- Dlaczego? - zapytał. - Po co to wszystko? Nie potrafisz walczyć, prawda?

I nagle, mimo grubej warstwy farb na twarzy, Bajkarz wydał się Pietrowi szczerzy.

Zaskoczyło go to. A tamten chwycił go za rękę, mobilizując resztki sił.

Zdążył jeszcze wyszeptać:

- Bajkarz... nie umarł, Viravolta. On wróci.

Jego kończyny zdawały się ważyć tysiąc razy więcej niż w rzeczywistości.

- On wróci.

Pietro stał wyprostowany w ciemnościach, na dachu Wersalu. Sztuczne ognie rozbłyskiwały nadal na całym niebie. Tłum kłębił się i mruczał między klombami i strumieniami wody, a jego ręka, w której wciąż trzymał kołnierz Bajkarza, opadła, gdy przypomniał sobie ostatnie słowa wypowiedziane przez zjawę tej nocy.

„Bajkarz nie umarł, Viravolta. On wróci”.

Tajemnice stanu

DZIEDZINIEC MINISTRÓW I DZIEDZINIEC MARMUROWY

KOMNATA KRÓLA

GABINET KSIĘCIA D'AIGUILLON, WERSAL

Stało się, miał wrażenie, że Bajkarz odrodził się z popiołów.

No, szybciej, szybciej!

Jeszcze nawet nie świtało, gdy zaprzężony w cztery konie powóz przewożący Viravoltę przetoczył się w kierunku Dziedzińca. Żołnierze odprowadzili Annę i Cosima do Marly, a następnie odjechali razem z Viravoltą nocą, po zaledwie dwóch godzinach snu.

Pietro był wciąż pod silną strażą. Wenecjanin nie stawiał oporu. Ta sprawa wkrótce się wyjaśni. Za dobrze znał Aiguillona, żeby nie wiedzieć, że ma on jakiś plan, a za nagłym i przymusowym wezwaniem kryje się coś innego. Sprawa kryminalna... Ale jaka? powtarzał

sobie raz po raz. I to niezrozumiałe pytanie: „Viravolta, czy zechcesz zabawić się ze mną?”.

Bogowie, cóż za poufałości! Jakim cudem Bajkarz mógłby powrócić?

Posępna twarz Pietra zwróciła się ku oknu.

Nie wszyscy przyjeżdżali do Wersalu jak Maria Antonina.

Zbliżając się do pałacu, podróżny mógł sobie wyobrazić, że ujrzy jego wyrastające z ziemi mury u wylotu szerokiej alei, w otoczeniu pięknych rezydencji i niedoścignionych w swej elegancji domów. Mógł też oczekiwać, że pośród karoc i lektyk sunących niczym gondole po lśniącym Dziedzińcu Marmurowym ujrzy liczne przejawy wyszukanej grzeczności i galanterii. Rzeczywistość była jednak zupełnie inna. I trzeba to sobie powiedzieć - dni zaślubin należały do rzadkich i wyjątkowych okazji, by zapłonęło sto sześćdziesiąt tysięcy lampionów! Ogrody pałacowe były chlubą narodową Francji, ale sam Wersal pozostawał kloaką.

I właśnie o tym ostrym kontraście rozmyślał Pietro, jadąc karocą i spoglądając na pogrążone w półmroku miasto. Obserwował Bulwary Królowej i Króla przesuwające się za oknem. Droga była wyboista, głębokie kałuże zagrażały ugrzęźnięciem w błocie.

Pokrzykiwania woźnicy i stukot końskich kopyt płoszyły drób, który uciekał w panice z drogi, by po chwili wrócić do żerowania w śmieciach. Za ugorami pojawiały się chaty, istne urągowiska dla ludzkich oczu. Karoca mijala stragany, oberże, spelunki i podejrzone kabarety, liche sklepiki, wokół których włóczyły się wygłodniałe psy, kamienice z umeblowanymi pokojami do wynajęcia, gdzie gromadziły się stwory, do których opisanie nie wystarczyłoby całe bestiarium, cuchnące stajnie i podwórza zawałone brudną podściółką -

kolejne źródło smrodu. W ciągu dnia gromady najemnych robotników, murarzy, garncarzy, dekarzy, woźniców, włóczędzów, stolarzy, szlifierzy, handlarzy starzyzną, linoskoczków, poetów piszących za grosze teksty piosenek, brukarzy, ogrodników i prostytutek zaludniały ten kipiący życiem świat i jego wąskie uliczki. Awanturnicy z całego kraju ciągnęli tu, jak ćmy do światła, marząc o sławie. Nocą było gorzej. Włóczędzy i rabusie napadali przechodniów w pobliżu oberż. Aż do placu Broni ciągnęły się nędzne rudery dające schronienie bezdomnym biedakom. Sam plac był gigantycznym terenem budowy, ale od lat służył przechodniom jako wychodek. Po ulicy Saint-Cloud wałały się zdechłe koty. Od czasu do czasu okolicę przemierzała jakaś osobistość - duchowny, ambasador, oficer czy poborca podatkowy - która przez to rozległe miasto nędzy i występku zmierzała do pałacu. I nikt już nie myślał, że niebiański zamek otaczać powinna urokliwa kraina baśni, bo tylko owa przelotna obecność arystokracji przypominała, że ten świat sąsiaduje z rezydencją królewską.

Tak wyglądał ów przedsiónek Wersalu. Podróż do pałacu przyprawiała o mdłości, bo dniem i nocą powietrze przesiąknięte było wonią moczu i fekaliiów. Co rano pod Skrzydłem Ministrów, dokąd właśnie udawał się Pietro, rzeźnik ćwiartował i piekł wieprzki. Przez pałac przetaczało się dziennie około dziesięciu tysięcy osób, z czego trzy do czterech tysięcy stanowili dworzanie. Cały ten światek śmierdział i obficie zlewał się perfumami, toteż w korytarzach unosiła się słodko-gorzka woń.

Karoca zatrzymała się na placu przed pałacową bramą i Viravolta, uśmiechnąwszy się w podzięcie do stangreta, wysiadł po schodkach.

Ach, Wersal!... pomyślał, wciąż się uśmiechając i oddychając pełną piersią.

Ta chwila ulgi nie trwała długo.

- Proszę za mną. Książę czeka.

Znów otoczyli go żołnierze uzbrojeni w szpady i muszkiety.

- Dobrze. Już idę.

Przeszli przez bramę na mały dziedziniec. Tu wszystko było inne niż na skąpanej w słońcu esplanadzie. Pietro spoglądał na szereg wznoszących się straganów. Ludwik XV je tolerował.

O tej porze były zamknięte, ale w ciągu dnia, gdy panował ożywiony ruch, sprzedawano na nich pamiątki i bibeloty. Wielkie damy wynajmowały lektyki za trzy sole dziennie, aby uniknąć chodzenia po bruku, gdzie trudno nie ubrudzić sukni łajnem i słomą.

Włóczędzy i nachalni żebracy zwykli gromadzić się na schodach Skrzydła Ministrów.

Żołnierze eskortujący Pietra zasalutowali wartownikom prewota, którzy stali przed Dziedzińcem Marmurowym. Tu panowała pustka. Nie było nawet dworzan, którzy z poważnymi minami dyskutowaliby o wydarzeniach ponurego ranka.

Co tłumaczyło to poranne wyludnienie?

Na twarzy Pietra pojawił się uśmiech.

Rozzochrany, zakłopotany Landretto, poczciwy, stary Landretto, biegł mu naprzeciw.

- Przyszedłem, kiedy się tylko dowiedziałem od jednego z gwardzistów księcia! Co się stało?

- Ejże! - zgromił go żołnierz. - Ty tam, cofnij się!

Ignorując groźny ton, Landretto poszedł z nimi.

- Marnie dziś wyglądasz - powiedział Viravolta, patrząc na swego dawnego lokaja.

I rzeczywiście, choć ubrany w haftowaną złotem welurową liberię, Landretto miał zmęczoną, smętną twarz.

- Dziś przynajmniej możesz ze mną iść, nie klucząc, a to już coś.

- Część nocy przesiedziałem w garkuchni, wróciłem bardzo późno. Po pałacu krążą plotki. Mówi się, że to koniec.

- Widzę, że wypileś szklaneczkę czy dwie, żeby zapomnieć...

Landretto pokręcił głową, a Viravolta próbował powściągnąć uśmiech. Jego dawny lokaj pochodził z Parmy i jak on bardzo wcześnie został sierotą. Landretto długo przemierzał

całą Italię, biedował, trochę zebrał. Mając czternaście lat, wstąpił jako lokaj na służbę u bogatego

mieszczanina z Pizy, potem pracował w Genui. Pietro spotkał go pewnego wieczoru w Wenecji. Wyrzucony przez swoich państwa lokaj, siedząc w rynsztoku, wyżałał się szczyrom i gwiazdom, popijając czerwone jak krew chianti. Pietro pomógł mu stanąć na nogi, a w jakiś czas potem młodzieniec został jego służącym. Okazał się doskonałym pomocnikiem, gdy Viravolta pracował dla Serenissimy jako Czarna Orchidea i prowadził

tajne śledztwa w imieniu doży. Czarna Orchidea... Już tak dawno nie słyszałem tego pseudonimu. W swej tajnej służbie dla Francji Pietro często sygnował pisma jedynie inicjałem „V”, toteż trudno mu było bez rozrzewnienia wspominać przydomek, który stał się tak sławny i chlubny.

O ile Pietro mimo upływu czasu wyglądał jeszcze młodo, o tyle Landretto dorobił się zmarszczek, przytył i miał podwójny podbródek. Niedługo po przeprowadzce do Francji Viravolta musiał oddać swego lokaja na służbę u króla. Choć już czterdziestoletni, Landretto został paziem. Powierzono mu wyjątkową funkcję, jego zadaniem było bowiem kształcenie paziów. Odtąd mieszkał z tymi chłopcami - w większości niepokornymi podrostkami, opornymi na wszelkie formy nauczania. Dostał się zaszczytu, do którego nie predestynowało go urodzenie. I tu rekomendacje doży oraz weneckich senatorów ułatwiły sprawę. Opieka kanclerza, a także Saint-Florentina, sekretarza stanu w Domu Króla, sprawiły, że poczciwy lokaj znalazł się u szczytu chwały. Landretto był teraz przysposobionym dziedzicem jednego z najznamienitszych parmeńskich rodów, przynajmniej na piśmie, mógł więc piastować urząd w Stajniach Królewskich za powszechną aprobatą. Ten urząd również był w pewnym sensie fikcyjny. A dla Viravolty cała sytuacja była niemal obraźliwa. Lecz w jego oczach Landretto pozostawał nadal dzieciakiem z ulicy, którego niegdyś wyciągnął z rynsztoka.

*

- Na Boga, o co pana oskarżają? - zapytał Landretto. - Czy oni poupadali na głowy?
- Księżę twierdzi, że jestem zamieszany w jakąś aferę. Lada chwila dowiem się nieco więcej.
- Proszę mi powiedzieć, jak mogę pomóc. Będę czekał.
- Dobrze.

Landretto był znowu jego lokajem z dawnych lat.

Tuż przed wejściem do budynku, w którym oczekiwał go książę d'Aiguillon, Viravolta rzucił okiem na pałacowe skrzydło mieszczące apartamenty królewskie.

Myślami przeniósł się ku zasłonom, które były dziś niczym całun żałobny.

Dożywa ostatnich chwil.

Właśnie w tej chwili król konał.

* * *

Blady jak płótno Ludwik XV leżał w swym łóżu, wpatrując się w ciężkie story.

Gdy we wtorek dwudziestego szóstego kwietnia, podczas kolacji w Trianon, nie zdołał przełknąć ani kęsa, złożył złe samopoczucie na karb chwilowego zmęczenia. Nazajutrz pojawiła się gorączka, a następnego dnia przymuszono go, by powrócił do Wersalu.

Początkowo nie przypuszczał, że to może być ospa. Myślał, że przeszedł już tę chorobę w wieku osiemnastu lat i że jest uodporniony. Dwór poznał prawdę wcześniej niż on. Klan pani du Barry drżał, zwolennicy Choiseula szykowali się na najgorsze. Pośród tych nieszczęśników królewskie córki, a przede wszystkim Adelajda, wykazały wielki hart ducha.

Zamknęły się wraz z nim w komnacie, zanim jeszcze poznał diagnozę Fakultetu. Ukrywając przed monarchą prawdę, można było wprawdzie podnieść go na duchu, lecz podjęcie takiej gry sprawiłoby, że skona na oczach Francji pozbawiony spowiedzi. Na szczęście Ludwik potrafił bez niczyjej pomocy trafnie oceniać swój stan.

Ospa.

Patrzył na story, próbując się skupić.

Trzeciego maja wezwał panią du Barry, którą bardzo kochał i cenił. „Lepiej nie dopuszczać do skandalu, jaki wybuchł w Metz. Należę do Boga i mojego ludu. Jutro musi pani wyjechać”. Faworycie pozostało jedynie podporządkować się jego woli. Tego samego dnia, po odprawionej w jego komnacie mszy, Ludwik przyjął ostatnie sakramenty z rąk Monsignore de Beaumonta oraz wielkiego jałmużnika, kardynała La Roche-Aymona.

Wówczas jednak miał jeszcze nadzieję wyzdrowieć. Nawet kiedy powlókł się do okna, żeby zobaczyć, jak pani du Barry wsiada do karety, by odjechać na wygnanie do Rueil... Teraz, wspominając tamten obraz - dyskretne falowanie sukni, delikatną stopę, białą dłoń wspartą na drewnianej poręczy, ostatnie spojrzenie rzucone ku królewskiemu oknu - nie mógł już się okłamywać: krótka chwila, przez którą obserwował wówczas ukochaną, była ostatnią. Bogu niech będą dzięki!

I tobie też, Jeanne du Barry, i może do zobaczenia w zaświatach. Dla wielu ta kochanka była hańbą Francji. Dla niego jednym z niewielu powodów, by żyć. I to się nie zmieniło.

Story drżały, obraz hrabiny się rozpraszał.

Dwa dni potem kazał wezwać spowiednika. Utracił nadzieję, poddał się i czerpał z powagi tych chwil zdumiewający spokój. Lecz był królem i chrześcijaninem, mimo słabości charakteru. Księdzu Maudoux wyznał grzechy, za które żałował. Oczywiście można to było uznać za łatwą pokutę w obliczu śmierci, po przeżytych już życiu, które było, jeśli nie drwiną z zaleceń Kościoła, to przynajmniej omijaniem wielu z nich. Lecz on był szczery. Prosił Boga o wybaczenie skandalu, jaki wywołał jego sposób prowadzenia się. Po tamtych słowach nie powinien był już nigdy sprowadzać hrabiny na dwór. Ale król odzyskał spokój. Znalazł dość sił, by szepnąć do córki Adelajdy:

- Nigdy nie czułem się tak dobrze i tak spokojnie.

Ludwik starał się mieć otwarte oczy. Głowa straszliwie go bolała, krew dudniła w skroniach, ciało

rozdziarał ból. Oczy gubiły się w mroku, który nie miał nic wspólnego z ciemnościami zapadającymi nocą. Ze wszystkich sił chwycił się roztańczonego obrazu stor.

Za nimi świat nadal będzie się kręcił. Będzie się kręcił, a pani du Barry będzie żyć pełnią swej młodości. Ale... nie był tu sam. Kto był przy nim teraz, gdy konał jak na oceanie? Na pewno ksiądz. Kardynał, a także medycy z Fakultetu... Och, miał ich dosyć, tych lekarzy w czarnych sukniach! Nikogo nie chciał już widzieć - tylko chwycić się tych zasłon, zapomnieć o koronie, która zbyt długo uciskała jego skronie... a jego oczy gasły - za silna gorączka, za silna...

Czy lud go kochał? - zastanawiał się monarcha. Jakie zachowa o nim wspomnienie?

Wyrzucano mu podróże, niechęć do życia publicznego. Panował pięćdziesiąt dziewięć lat, z czego przez trzydzieści jeden naprawdę był władcą. Za czasów Króla Słońce wszystko funkcjonowało zgodnie z zegarem z Dziedzińca Marmurowego, i to tak dalece, że - jak rzekł

Saint-Simon - mając almanach i zegar, każdy, choćby o trzysta mil od Paryża, mógł dokładnie powiedzieć, co robi król. O tak!

I choć Ludwik XV zawsze odnosił się do dzieła znakomitego poprzednika z głębokim szacunkiem, a sam niewiele zmienił, może poza Operą Gabriela, to próbował uwolnić się od niektórych rygorów etykiety, by cieszyć się czasami radością spontanicznego życia. Lubił

pozostawać w swoich apartamentach w kręgu najbliższych. Niemal pół roku spędzał w Parc-aux-Cerfs, w Choisy lub La Muette. Rzecz jasna, szlachta nie opuszczała pałacu, który pozostawał ośrodkiem władzy, jednak z czasem oddalała się od niego. Delfina upodobała sobie Paryż. Dwór podążał za nią i lud także. Coraz rzadziej, bo już tylko w uroczyste święta, pojawiał się w okolicy pałacu.

Na pewno był władcą nieco nieudolnym. Stracił Quebec, nie zapobiegł osłabieniu Kanady i Luizjany. Anglicy wciąż dominowali na Atlantyku, a on nie zdołał pomóc Nowej Francji. Nie udało mu się też powściągnąć sporów religijnych w kraju. Francja była rozdarta.

Ale nie przesadzajmy. Nie wszystko malowało się w czarnych barwach. Dzięki niemu Europa wciąż była francuska. Wszędzie wyrastały małe Wersale. Zdobył Lotaryngię i Korsykę, wspierał towarzystwa naukowe, zakładał szkoły wyższe i akademie królewskie. Nauka rozkwitała. Jego administrację uważano za jedną z najlepszych na świecie, zwłaszcza w domenie finansów, budowy mostów, policji, inżynierii! Przy kanclerzu Maupeou, choć z pewnym opóźnieniem, podjął śmiałe reformy. Jego błędy były raczej skutkiem zaniechania niż błędnej oceny sytuacji. Często improwizował, godząc tendencje ministrów i okazując żelazną wolę w sporach z parlamentem. Ale najpoważniejszym problemem było lekceważenie obowiązków o charakterze symbolicznym. Nie przystępował do komunii świętej, nie dotykał

chorych na skrofuły. Zachowywał się jak zwykły deista, jak despota obojętny na opinię poddanych. Nie liczył się też zbyt z filozofami, którzy nieustannie go atakowali, podobnie jak atakowali władzę - co wychodziło na jedno.

*

Cierpię, Boże, tak bardzo cierpię...

Story kołysały się łagodnie.

Starał się mimo wszystko pozostać prawym i sprawiedliwym. Z pewnością wołał

frywolne kochanki z Parc-aux-Cerfs od poważnych ministrów. Lecz szykując się do odejścia na zawsze, myślał, że pozostanie dla Francji i swojej monarchii Ludwikiem kochanym, Bien-Aimé.

Ludzie czuwający u jego wezgłowie, ci, których twarzy już nie rozróżniał, ujrzeli wówczas, że jego wargi drżą, jakby mówił do siebie, jakby próbował się uśmiechnąć.

Kochany...

* * *

- Markiz Pietro Viravolta de Lansalt!

Dwuskrzydłowe drzwi otworzyły się przed Pietrem.

Zwykle książę d' Aiguillon pracował w innym gabinecie niż ten przygotowany na dziś, w pobliżu króla, w Skrzydle Ministrów wychodzącym na Dziedziniec Marmurowy. Ale teraz, gdy władca był w agonii, ze względu na wyjątkowe okoliczności zmieniono zwyczaj. W

gabinecie sekretarza stanu unosiła się woń podenerwowania. Na jego nabijanym złotymi gwoździami biurku piętrzyły się grube tomy akt. Inne wypełniały półki biblioteki, stojąc obok książek geograficznych, historycznych, prawniczych i z dziedziny strategii wojennej. Mapa Europy wisiała nad kominkiem, na którym królowała spoglądająca srogo Diana z brązu.

Globus z planami kontynentów czekał tylko na muśnięcie wędrującej ręki, by wskazać, na czym skupić się ma uwaga potężnego królestwa.

Książę d' Aiguillon stał przy ledwie rozchylnych zasłonach.

- Viravolta! Nareszcie.

I z lodowatą uprzejmością wskazał mu fotel.

*

Pietro uważnie przyglądał się twarzy człowieka o tak niezwykłej przeszłości.

Cioteczny prawnuk Richelieugo, bardzo wcześnie wybrał karierę wojskową. Jako zaciekły przeciwnik Choiseula, najlepszego z ministrów Ludwika XV w latach 1758-1770, wyrobił

sobie opinię wroga nowych idei. Pozorna słodycz w jego oczach świadczyła tylko o zdolności tego wytrawnego polityka do poruszania się po mętnych wodach i omijania raf. Jednak jego inteligencja i pracowitość pozwalały mu powściągnąć skłonności do autorytarnego zachowania i łagodziły efekty zarzucanej przez wielu dwulicowości. Stojąc na czele dworu Bretanii, stał się narzędziem monarchy w walce z dążeniami parlamentarzystów królestwa do przejmowania prerogatyw królewskich oraz z ideą głoszącą, iż parlamenty tworzą jedno

„ciało”. Ta walka trwała do chwili, gdy Parlament paryski postanowił zaprzestać służby, co ocierało się o przestępstwo obrazy majestatu. Po latach gnuśności Ludwik XV postanowił

twardą ręką rządzić krajem.

Król zdymisjonował Choiseula, a urząd kanclerza powierzył Maupeou - synowi, następnie zaś na stanowisko kontrolera generalnego finansów powołał ojca Terray. Tak powstał sławny triumwirat - Maupeou syn, książę d'Aiguillon, Terray. Krytykowani za srogość, stworzyli rząd uczciwy i mądry. Ich poczynania były niepopularne, jednak atmosfera się zmieniała. Ludwika XV krytykowano dotąd za dezynwolturę, teraz oskarżano go o nadmierną aktywność, wręcz tyranie. W czasach, gdy istniały już załążki Frondy, on umacniał

władzę królewską. Ze swej strony ascetyczny ojciec Terray, którego Viravolta często spotykał

w Wersalu, okazał się jednym z najlepszych ministrów finansów w dziejach monarchii francuskiej.

Ale w tej chwili sytuacja księcia d'Aiguillon, sekretarza stanu w Ministerstwie Wojny i Spraw Zagranicznych, nie była łatwiejsza od tej, w jakiej znalazł się Viravolta. Choć król długo udzielał mu poparcia, ich relacje nie zawsze były serdeczne, wręcz przeciwnie. W roku 1742 Ludwik XV odbił Aiguillonowi kochankę. Złośliwe języki mówiły, że odtąd książę mścił się na władcy, potajemnie ciesząc się względami pani du Barry. Pietro nie wiedział, czy rzeczywiście tak było. Ostatecznie właśnie za radą pani du Barry książę d'Aiguillon objął

tekę ministra spraw zagranicznych. Gdyby Ludwik XV zmarł w najbliższym czasie, Aiguillon znalazłby się w potrzasku, i dobrze o tym wiedział. Maria Antonina została by królową Francji, a pani du Barry była jej wrogiem - partia wydawała się z góry przegrana.

Ach, ta polityka... i miłość!

Viravolta przygotowywał się więc na najgorsze.

*

Książę d'Aiguillon w upudrowanej peruce i bogato zdobionym surducie stał przy oknie. Odwrócił się i podszedł do Viravolty. Usiadł, podparł brodę ręką i bębniąc palcami drugiej dłoni o biurko, milczał. Po chwili przystąpił do ataku.

- A zatem i pan, Viravolta, mnie zdradził...

Tak nadał ton rozmowie.

- Książę wie, że nigdy nie spiskowałem przeciwko niemu.

- Taak... - mruknął z powątpiewaniem Aiguillon i spojrzał Viravolcie prosto w oczy. -

Pietro Viravolta de Lansalt... Człowiek, który zdemaskował księcia von Maarkena, zdemaskował *il Diavolo* i ocalił dożę... To było kilka lat temu, prawda?

- Czas szybko mija, Ekscelencjo - odparł Pietro.

- Domyśla się pan, że sytuacja jest skomplikowana... Długo odwlekałem tę rozmowę, Viravolta... a może powinienem powiedzieć „V”?

Książę się wyprostował.

- W dniu, gdy zrozumiałem... Och, Boże... Czarny Gabinet... Tajna dyplomacja rozpoczęta przez samego króla! I tak od niemal trzydziestu lat! Proszę zrozumieć, bardzo przykro dowiedzieć się, że uważają cię za idiotę.

- Ekscelencjo, najwyraźniej nim pan nie był, skoro nie mógł pan dłużej ignorować istnienia tego Gabinetu, podczas gdy pańscy poprzednicy, i to nie byle jacy, nawet się go nie domyślali.

Książę lekko się uśmiechnął.

- Zawsze był pan mistrzem komplementu, Viravolta. Cóż, to nieodzowna umiejętność w pańskim fachu... A u dworzanina druga natura. W Wenecji przeszedł pan dobrą szkołę. Ale przyzna pan chyba, że i Francja nie jest zła w tej dziedzinie... - Głęboko westchnął. - Widzi pan, ja jestem żołnierzem. Późno uczyłem się dyplomacji... Och, Viravolta! Nic dziwnego, że Czarny Gabinet zechciał korzystać z pańskich usług, gdy tylko pan tu przyjechał. Lecz nie można służyć kilku panom równocześnie.

- Czyżby dlatego, że nie dość służyłem temu krajowi, aresztowano mnie dziś rano?

Pobrzmiwająca w tych słowach gorycz, ale i pewna beztraska, nie umknęły księciu.

Pietro pożałował, że zadał pytanie takim tonem.

Aiguillon podjął:

- Dwie noce temu w Galerii Zwierciadlanej znaleziono zwłoki młodej kobiety. W

samym sercu Wersalu. Bóg jeden wie, jak zabójca się tu dostał. Szwajcarzy pamiętają, że widzieli postać wchodzącą od strony Salonu Wojny. Morderca musiał być bywalcem pałacu i potrafił wybrać sprzyjającą chwilę. Na szczęście ciało znaleziono tuż po zabójstwie.

Wyobraża pan sobie, co by się działo, gdyby rankiem dworzanie ujrzeli taki widok, a strażę niczego by nie dostrzegły! Udało nam się zapobiec plotkom. Choroba króla przysłoniła to wydarzenie i to także, jeśli można tak rzec, korzystny zbieg okoliczności. Dziewczyna miała na imię Rosette. Pracowała w perfumerii Fargeona. Być może pan wie, że Fargeon to jeden z głównych

zaopatrzeniowców dworu.

- Co to ma wspólnego ze mną?

Książkę podsunął mu leżącą na biurku książkę.

Pietro zwrócił na niego pytające spojrzenie.

- Zaraz się pan dowie.

Wenecjanin sięgnął po książkę.

Był to przykurzony duży zbiór, opatrzony starannie wykaliografowanym, jak się to niegdyś robiło, tytułem: *Bajki La Fontaine'a*. Oprawę wykonano z ciemnobrazowej skóry. Jej obrzeża zdobiły arabeski. Pietro otworzył książkę. Niektóre karty były brudne, sklezione lub miały pozaginane rogi. Zebrano tu wszystkie bajki. Przeglądając książkę, Pietro zauważył, że niektóre z nich są zakreślane czerwonym atramentem. Obok każdej, na karcie po lewej stronie, zamieszczono grawiury, groteskowe karykatury, często zabawne i dziecinne, ale zawsze staranne i ładne. Wilk miał lada chwila pożreć koźlą i pochylał się nad jego zgrabnym karkiem. Rolnik tyrał w słońcu obserwowany przez dzieci, Perrette szła ścieżką, niosąc na głowie dzban mleka. Na pierwszej karcie widniał rok wydania: 1695.

Nagle Pietro odłożył książkę.

To czarne, ostre, urywane pismo... Dedykacja.

„Dla Pietra Viravolty de Lansalt”.

Uniósł głowę.

- Ale... Nie bardzo rozumiem.

- Pozwoli pan, że pana oświecę... - powiedział książkę.

Wstał.

- Ten stary zbiór bajek leżał obok zabitej. Podobnie jak liścik, który panu przekazałem, a także kilka drobnych kostek, które okazały się jagnięcymi. Proszę się postawić na moim miejscu, Viravolta. Mam zakrwawioną księgę, konającego króla, tajnego agenta zamieszanego w morderstwo popełnione w sercu pałacu... A jakby tego było mało -

przestępcę, który odrodził się z popiołów. Chyba pan rozumie, że to wszystko nie daje mi spokoju...

- Dobrze - przerwał Pietro - ale przecież ten Bajkarz... On nie żyje, sam go zabiłem, i to właśnie tu!

Aiguillon zakręcił globusem.

- No cóż, albo zmartwychwstał, albo... ktoś się pod niego podszywa.

Pietro się zasepił. Choć kiedyś tożsamość Bajkarza nie była tajemnicą, jego portret wywołał wiele sporów. Chodziło o pewnego zakonnika, Jacques'a de Marsille'a. Mówiono, że jest jansenistą, i to tak opętany, że uczestniczył w inscenizacjach ukrzyżowania, jakie niegdyś najzagorzalsi mistycy organizowali w podziemiach Saint-Médard. Niektórzy twierdzili, że to były ksiądz, który teraz pobiera haracze od prostytutek. Krążyły mroczne opowieści o jego udziale w sabatach i innych okultystycznych ceremoniach. Jeszcze inni utrzymywali, że to nabożny i sprawiedliwy człowiek o gruntownym wykształceniu, wielki miłośnik Pascala, głęboko uduchowiony asceta. Czyż nie wspomagał ubogich, a najbiedniejszym nie użyczał gościny pod swym dachem? Był członkiem towarzystw naukowych, bynajmniej nie tajnych, więc przemawiało to raczej na jego korzyść, potwierdzając, że jest oświeconym mężem. W domenie polityki ojciec de Marsille zasłynął z niezbyt szczęśliwych wypowiedzi o Marii Teresie Austriackiej. Pietro pamiętał, że przed śmiercią piętnował „gangrenę Francji”. I niewątpliwie zakonnik był niespokojnym duchem, może nawet człowiekiem niezrównoważonym lub szalonym. Niewątpliwie też tamtego radosnego wieczoru miał szansę odmienić świat. Czy jednak udało się poznać prawdziwe pobudki jego czynu? Wiadomo było, że dawny opat parafii Saint-Médard sam podjął

działanie po wielokrotnych prośbach o audiencję u króla. Nigdy jej nie uzyskał. Ustalono, że nie reprezentował żadnego stronnictwa, żadnej frakcji... A jego śmierć nie budziła wątpliwości! Cóż więc się stało?

- Zapewniam, że nie mam pojęcia, co to ma znaczyć - powiedział Pietro.

Księżę przybrał pozornie obojętny wyraz twarzy.

- Proszę zatem przyjrzeć się temu niebieskiemu dokumentowi, który leży na biurku.

Pietro chwycił wskazane papiery spięte metalową klamrą.

- To raport policyjny - wyjaśnił Aiguillon. - Na pierwszej stronie znajdzie pan coś w rodzaju epigramatów, które rozpowszechniane są na dworze teraz, gdy król umiera. W tej sytuacji nikt o nich nie mówi. Udało mi się raz jeszcze zapobiec skandalowi i dość sprawnie odzyskać kompromitujące ulotki. Wiele znaleziono a to w Salonach Diany i Salonach Herkulesa, a to w ogrodach i Oranżerii. Pamięta pan, że podobne paszkwile znajdowano tuż po przybyciu delfiny do Francji. Na ten natrafiliśmy przy fontannie w Labiryncie.

Pietro spojrzał na kartkę i przeczytał:

„Gdy dopełniły się jego haniebne dni,

Ludwik zakończył karierę.

Płaczą dworzanie, płaczą łajdacy,

Nad ojca utratą drogiego.

A wkrótce na tron

Wstąpić ma córka Wiednia,

Maria Antonina Lotaryńska z Habsburgów rodu.

I siądzie na nim, jak na amancie.

Żądna tylko rozkoszy.

Mąż niezguła nic zdziałać nie może,

A żona do zabaw skora,

Z księżną de Lamballe

Radości szuka prostych”.

Książę zatrzymał globus i spojrzał na Viravoltę.

- Zbadaliśmy atrament i pismo, ale to nic nie dało, podobnie jak analiza książki La Fontaine’a, kości czy epigramatów rozrzuconych to tu, to tam. Nie muszę panu przypominać, w jakich okolicznościach trafiają do nas te pisemka. Nie po raz pierwszy ich celem staje się delfina...

W Wersalu epigramaty były powszechnym zjawiskiem. Lud musi się wyszaleć.

Aluzje do grzesznego związku Marii Antoniny i jej przyjaciółki, księżnej de Lamballe, należały do klasyki gatunku. Czasami wychodziły z kręgów władzy. Najczęściej te kalumnie pozostawały bez konsekwencji, ale tym razem ton pisemka był ostrzejszy. A atak na niezdolność do poczęcia dziedzica przez Ludwika Augusta i przyszłą królową był silnym ciosem.

- Niektórzy - podjął książę - wyobrażają sobie nawet, że to ja rozpowszechniam tego rodzaju wierszyki... albo pani du Barry! Tyle że pod tym epigramatem, jak pod innymi, podpisał się Bajkarz.

*

Pietro przełożył kartkę i zaczął czytać raport policyjny.

- Mamy powody sądzić, że dziewczynie znalezionej w Galerii Zwierciadlanej zadano wyjątkowo okrutną śmierć. Nogę miała złamaną w kostce, Viravolta. Potrzaskiem na wilki.

Ślady liny wskazują, że potem zawisła na drzewie. Bóg jeden wie, gdzie... i co mogło się stać.

Bajkarz zapewne skrócił cierpienia biedaczki, zanim ją związał. Mam przynajmniej taką nadzieję, bo znalezione przez nas ciało było na pół pożarte przez wilki. Potem morderca spokojnie przewiózł ją do pałacu i załadował na taczkę, by tak dotrzeć do Galerii Zwierciadlanej. Na parkiecie wciąż jeszcze są ślady.

Viravolta tylko pokręcił głową.

Księżę zachęcił go do przejrzenia kolejnego dokumentu.

- Ta mała Rosette miała na szczątkach twarzy muszkę, z rodzaju tych wycinanych żelaznymi nożykami z czarnej tafty. Nie muszę panu tłumaczyć, co oznaczają takie muszki!

- Pod okiem to sygnał zabójczego nastroju - szepnął Pietro. - W kącikach ust zachęta do pocałunku... Filuterne na wargach, uwodzicielskie na policzku, bezwstydną na nosie, dostojne na czole, dyskretne na dolnej wardze...

- Ta, którą miała Rosette, była opatrzona inicjałem „B”, jak Bajkarz, i zakrywała wągier.

- A zatem kryła tajemnicę... - rzekł ponuro Pietro.

Odczekał chwilę, a potem wyjął z kieszeni list na wołowej skórze, który przekazano mu w chwili zatrzymania.

- A to? Ta skóra... przez moment myślałem nawet...

- Nie, to wołowa. Ale litery... to ludzka krew. Krew biednej Rosette. Znaleźliśmy to na jej ciele, przy zbiorze bajek. Oczywiście La Fontaine'a. *Wilk i baranek*. Stąd te kości i cała reszta. Ktoś próbuje prawić nam morały. *Racyja mocniejszego zawsze lepsza bywa...* I jak się pan przekona, Bajkarz zaprasza pana osobiście do jakiejś gry w kotka i myszkę.

- Ale dlaczego mnie?

- Jest pan tajnym agentem, tak? Młody spryciarz, Baptiste Lansquenet, także dostał swoją bajkę. Ten chłopak był... amantem Rosette.

Aiguillon pokazał mu miniaturę z wizerunkiem młodzieńca.

- Ale... ja go chyba znam.

- Wcale mnie to nie dziwi! Był informatorem hrabiego de Broglie. Pracował też u Fargeona. Został otruty... perfumami.

Viravolta zwrócił na niego oczy pełne zdumienia.

- Perfumami? W jaki sposób?...

- Szczegóły znajdzie pan dalej. Mówiłem panu, że Lansquenet miał swoją bajkę. Jak wszyscy zamordowani agenci. Prawdopodobnie istnieje i ta wybrana z myślą o panu...

- Jest ich, jak widać, dziesięć. Dziesięć takich, które mi wskazuje... i których spełnieniu mam zapobiec, jeśli zdołam wygrać w grze, do której mnie zaprasza? Dziesięć morderstw? Dziesięć

pułapek do uniknięcia? Czuję się zaproszony do okrutnej, niesamowitej gry. Nie wiemy jednak, czy będzie sięgał po bajki we wskazanym porządku. Ani nawet, czy są dobrane tylko z myślą o mnie. Może rzucił te karty, żeby nas zmylić. Powiedział pan: wszyscy zamordowani agenci?

- Tak. Nie pan pierwszy otrzymał bajki. Więcej szczegółów odnoszących się do każdego zamordowanego znajdzie pan w raporcie... Pozostawmy to na później, teraz bowiem chciałbym przejść do sedna sprawy. Niech pan przejrzy kolejne dokumenty. Dwudziesty pierwszy marca tysiąc siedemset siedemdziesiątego czwartego. Śmierć Beccaria zwanego Baronem, w Sceaux, przy kolacji w oberży. Pierwszy kwietnia, śmierć Fanfreluche'a, zwanego Królem Kier, podczas misji w Trewirze. Czwarty kwietnia, śmierć pani Boisremy, zwanej Żmija, po wyjściu ze schadzki, oczywiście będącej częścią misji, w Epinay. Dwunasty kwietnia, w wypadku ginie Manergues zwany Meteorem... To w Londynie.

Pietro zaczynał rozumieć. Choć nie każdą z tych osób znał, pseudonimy nie były mu obce.

- Tak, to agenci - powiedział tylko. - I to wyłącznie tajni agenci króla. Ktoś próbuje nas wyeliminować. Wszystkich tajnych agentów króla, jednego po drugim! Ten ktoś podaje się za Bajkarza. Ale nie rozumiem, bo skoro ta agenda, Czarny Gabinet, została zlikwidowana...

- A czy została, Viravolta? - zapytał Aiguillon, świdrując go spojrzeniem.

Pietro nie odwrócił oczu.

- Ekscelencjo, zapewniam, że jestem szczerzy. Sam tego nie wiem. Nie mam wieści od hrabiego de Broglie, odkąd popadł w niełaskę.

- Dajmy temu spokój! Żadnego zaszyfrowanego liściku? Żadnego pilnego wezwania, rozkazu, by trwać w pogotowiu?

- Daję słowo, że nie - odparł Pietro.

- Viravolta... Dostrzega pan ten paradoks? Oto po raz kolejny zmuszony jestem strzec interesów delfiny, choć ta pała do mnie nienawiścią, a może także chronię agentów, którzy knuli za moimi plecami. Jutro Maria Antonina będzie królową, a to, co dzieje się dziś, nie wróży nic dobrego. Nie wiem czemu, ale Bajkarz atakuje krąg agentów bliskich królowi.

Wkrótce królewska para stanie w pierwszym szeregu, a Bajkarz być może jest...

- Jednym z nas.

- I być może to sam Broglie. Któż to może wiedzieć? Innymi słowy, pański

„zwierzchnik” z Czarnego Gabinetu, jeśli wolno tak powiedzieć... Wasz cesarz półmroku! A w każdym razie ktoś, kto nie chce się pogodzić z likwidacją Czarnego Gabinetu. Albo kto chce się zemścić? Chyba że chodzi o agenta obcego wywiadu, który stara się wykorzystać okoliczności, żeby zdestabilizować sytuację. Ktoś z dworu? To wszystko mi się wymyka.

Ludwik XV umrze, a jego wnuk zasiądzie na tronie. Nie zna się na sprawach państwowych.

Monarchia jest dziś krucha. Wiem, że darzy pan sympatią filozofów i encyklopedystów.

Trzeba przyznać, że król ich chronił, a Wolter wspierał nas. Wie pan jednak, że król ma wielu wrogów, zwłaszcza wśród burżuazji i w parlamentach.

- Ale przecież to nie o nich chodzi, prawda?

Księżę popatrzył na niego, zaciekawiony.

- Proszę mówić dalej!

Pietro zmrużył oczy.

- Jeżeli ktoś podszywa się pod Bajkarza... to musiał wiedzieć o jego istnieniu.

- A to znaczy...

- To ktoś... z wąskiego kręgu. W dodatku zna Wersal jak własną kieszeń! Skoro zdołał

się dostać do Galerii w środku nocy... Być może jest teraz tu, może bywa co dnia w pałacu!

- To daje nam zaledwie dziesięć tysięcy potencjalnych podejrzanych! Viravolta, czy zdaje pan sobie sprawę, ilu rzemieślników, lokajów, żołnierzy, paziów, stajennych, kucharzy, ogrodników, architektów, nie wspominając o dworze i o gościach, przewija się przez pałac?

Księżę pochylił się ku niemu.

- Postanowiłem zacząć od pana.

Pietro patrzył mu prosto w oczy.

- Nie uważa pan chyba, że byłbym zdolny do takiego obłąkańczego czynu.

- Oczywiście, że nie... Proszę mi jednak powiedzieć, dlaczego pana wskazał? Jakie powodują nim motywy? Zemsta osobista? Polityka?

Pietro wiedział już, co musi zrobić.

- Proszę powierzyć mi to śledztwo.

- Słucham?

Pietro pochylił głowę.

- Przecież właśnie tego Ekszelencja chce? Po co dłużej kluczyć? To aresztowanie...

Nie wierzył pan ani przez chwilę, że mógłbym być zamieszany w spisek przeciwko panu, dworowi czy królowi, prawda? W takim razie proszę powiedzieć mi to wprost. Bajkarz zaprasza mnie do wspólnej gry? W takim razie proszę potajemnie powierzyć mi tę sprawę.

Aiguillon uśmiechnął się drapieżnie.

- Widzę, że zaczynamy się rozumieć. Niech pan znajdzie Bajkarza, rozwiąże tę sprawę, a wyjdzie pan z niej z honorem. Jeżeli jednak zawiedzie mnie pan, jeżeli będzie pan prowadził podwójną grę, ukrzyżuję pana, Viravolta. Nowy władca w końcu dowie się o epigramatach i nie zechce długo tego tolerować. Trzeba będzie dać mu kozła ofiarnego. I będzie nim pan, a na dokładkę Charles de Broglie. Jeżeli idzie o mnie, to i tak jestem już skończony, przynajmniej na scenie życia publicznego. Lecz nasz przysły Ludwik XVI nie ma jeszcze pojęcia o tajemnicy i o waszej działalności. I może to nie wystarczy do podważenia szali. Mam na głowie trupa, pada pańskie nazwisko... Czego więcej mi trzeba?

Bądźmy szczerzy. Jeżeli pójdę na dno, pociągnę pana za sobą. Proszę nie zapominać, że z Brogliem mi się udało. Moja kariera wisi na włosku, ale ciągle jestem ministrem.

I uśmiechnął się szeroko, lecz w tym uśmiechu było wiele goryczy.

- I oczywiście ani słowa Marii Antoninie.

Przez chwilę serce Pietra biło mocniej. Czy naprawdę uwierzył w pogróżki Aiguillona? Widmo Piombi, weneckiego więzienia, do którego niegdyś trafił, stało mu przed oczyma. Na własnej skórze poczuł, czym jest więzienie. Czy miał zaznać tego jeszcze raz, w Bastylji? Na myśl o tym przeszły go ciarki. Koniec Sekretu był bardzo prawdopodobny. Przyszłego króla mogły przerazić informacje na temat Czarnego Gabinetu...

Czy postanowi z nim skończyć i obarczyć winą Brogliego i jego agentów? Pietra nie powinno to dziwić, bo przecież w przeszłości padł już ofiarą racji stanu... i nie miał najmniejszej ochoty ponownie tego doświadczać.

Spojrzenie sekretarza stanu było bardzo wymowne.

„Nie ma sensu się oszukiwać. Mam nóż na gardle, wystarczy jedno muśnięcie ostrza”.

Zacisnął zęby.

Aiguillon znowu spojrzał na Viravoltę i dodał:

- Proszę pomówić z panem Marienne z Domu Króla. Do jego obowiązków należy ocena wynalazków, które przesyłane są do nas z całego kraju. Idę o zakład, że jego pomoc może okazać się bardzo przydatna, ale sądzę, że już się znacie. Potem niech pan zajrzy do perfumerii tego... Jeana-Louisa Fargeona. Zaopatruje dwór i panią du Barry, poza tym był

pracodawcą Rosette i Baptiste'a Lansqueneta.

Książę wysunął szufladę i wyjął flakonik z purpurowym płynem.

- To perfumy, w które wtykał nos młody Baptiste. Fargeon na pewno będzie mógł

powiedzieć panu, jaka jest ich kompozycja... Ale proszę pamiętać, że i on znalazł się na liście podejrzanych.

Pietro uniósł flakonik i patrzył, jak płyn tańczy przed jego oczyma.

Nie odważył się otworzyć buteleczki i powąchać zabójczych perfum, choć wciąż wątpił, czy można zabić, podsuwając człowiekowi do powąchania taką substancję. Miał

jednak doskonały powód, by odwiedzić mistrza Fargeona i nękać go pytaniami.

- Co do Brogliego... - podjął Aiguillon - proszę wciągnąć go w rozmowę i postarać się zorientować, czy ma coś wspólnego z tą sprawą. Zniknięcie agentów nie mogło mu umknąć, nawet gdy był z dala od Wersalu. Nie mam wieści od kawalera d'Eona, Breteuila i Vergennes'a. Nie mówiąc o wielu innych, o których istnieniu nie wiem. Proszę odnaleźć i uprzedzić, kogo uważa pan za słuszne, no i mieć się na baczności. A przede wszystkim ustalić, kim jest ten Bajkarz.

Po chwili milczenia Pietro zapytał:

- Jeszcze jedno... Jak Eksceleńcja dowiedział się tak dużo o Sekrecie Króla... I o mnie?

Książę podał mu raport, który leżał na jego biurku.

Czternasta. V opuszcza Wersal i kieruje się do Saint-Germain-en-Laye w towarzystwie pani A.S.*** i C. czterokonną karocą. Piętnasta piętnaście. Karoca dociera do obrzeży lasu.

Pietro zdobył się na uśmiech, jak przystało na wytrawnego gracza.

- Wiem dopiero od kilku miesięcy - dodał książę - ale i to wystarczy.

- Proszę powiedzieć, komu zlecono śledzenie mnie.

- Tajemnica dyplomatyczna.

Prawdę mówiąc, wszyscy szpiegowali tu wszystkich.

Aiguillon lekko się pochylił.

- Teraz sprawa jest w pańskich rękach. Ale tak między nami, nie będziemy wracać do pseudonimu V. To było dobre dla Viravolty z Czarnego Gabinetu. Niech pan wymyśli coś lepszego... Ma pan jakiś pomysł?

Pietro popatrzył na niego w zadumie.

- Może...

Książę wstał. Pietro uczynił to samo, lecz bez pośpiechu.

Już w progu Pietro odwrócił głowę.

Aiguillon spojrzał mu w oczy.

- Niech pan dochowa wierności wobec mnie, Viravolta. - Zawiesił głos, a potem dodał: - I jeszcze jedno... Za każdym razem Bajkarz zostawiał, oprócz poematów, pewien prezent.

- Co takiego?

- Różę, przyjacielu. Czerwoną różę.

Viravolta uniósł brew. Aiguillon uśmiechnął się do niego.

- Viravolta, na pańskim miejscu... - Książę poklepał go po ramieniu. - Dopadłbym go osobiście.

* * *

Szwajcarzy skrzyżowali za Viravoltą halabardy. Landretto czekał w sąsiednim salonie.

Lokaj podbiegł do swego dawnego pana.

- I co? Co się stało?

- W każdym razie jestem wolny - rzekł Pietro. - Przynajmniej chwilowo.

- Dlaczego kazał pana aresztować?

- Znalazł moje nazwisko na zwłokach...

- I?...

- Postarałem się, żeby powierzył mi śledztwo, które miało mnie pogrążyć.

- Cały pan! Czy mogę jakoś pomóc?

- Na razie nie. Nie chcę cię mieszać w tę sprawę. - Pietro zmarszczył brwi. - Ale bądź gotów, nigdy nic nie wiadomo.

* * *

A książę d'Aiguillon długo siedział w gabinecie, patrząc przed siebie.

Blady i zmęczony, zerknął na papiery zalegające na biurku, nad którymi siedział całe dnie.

Silnym pchnięciem wprawił w ruch globus.

Skarby pana Marienne'a

GALERIA ZWIERCIADLANA

PODZIEMIA SKRZYDŁA MINISTRÓW, WERSAL

Pietro udał się wprost do Galerii Zwierciadlanej. Towarzyszący mu Landretto opuścił go na chwilę, by odebrać rozkazy od wielkiego koniuszego.

Pałac zastygł w oczekiwaniu. Nikt nie wiedział, co będzie robić rodzina królewska, jeżeli śmierć zabierze Ludwika XV tego ranka. Atmosfera w kularach była napięta - zbliżał

się czas żałoby. W Galerii panował zamęt. Wiele osób powracało pilnie do Wersalu. Pietro zatrzymał się tam na kilka minut. Ostrożnie przyklęknął w miejscu, gdzie znaleziono Rosette.

Wszystko zostało wyczyszczone, pozostało jednak kilka śladów na parkiecie - rysy, a także grudki zastygłego wosku i niewyraźne ciemne kręgi, zapewne krew, która wsiąkła w podłogę.

Pietro znalazł nawet coś, co ku swemu przerażeniu uznał za odłamek paznokcia, choć mógł to być drobny odprysk jagnięcej kości, o której wspominał Aiguillon. Uniósł głowę.

Gdzieniedzie zawieszano już czarne zasłony. Wenecjanin wsparł dłoń na kolanie i gładził podłogę, nie odrywając oczu od szepczących dworzan.

Słyszał te szepty, widział kładące się na podłodze cienie.

Panowała atmosfera skupienia i smutku.

A zatem - pomyślał - Bajkarz wrócił. Być może spośród zmarłych... Bóg jeden wiedział, za sprawą jakiego czaru. To tu będzie teatr, w którym rozegra się dziwny pojedynek, jakiego jeszcze nie było. W sercu dworu Francji.

Przywykły do spisków i kowań w Serenissimie, Pietro bez trudu podjął tę grę -

zarazem budującą i melancholijną, pełną pychy i gwałtowności - jaką było dworskie życie.

Wśliznął się do niej z istic kocią zwinnością. Co dnia gromadziły się tu tłumy ludzi, wszyscy mieli nadzieję, że zostaną przedstawieni królowi. Była to okazja, by uzyskać łaskę słowa, gestu czy choćby zwykłego uśmiechu, który mógł odmienić całe życie. Lecz można tu było także stracić honor, a nawet życie. Być dworzanielem oznaczało opanować zasady profesji.

Należało znać hierarchie i przynależne każdemu honory. Sztuka swobodnego powitania, krótkiego skłonienia brody, zadawania pytań tak, by nie patrzeć na stojącego na wprost, mówienia głośno i

wyraźnie, lekkiego poruszania się, niemal pływania po posadzkach -

wszystko to wymagało wdzięku i dużej praktyki. Czasami trzeba było podjąć ryzykowny krok i w razie konieczności w porę się wycofać, udawać kapryś, aby okazać siłę, zrećźnie schlebiać władcy lub osobistościom z jego otoczenia, aby utorować sobie drogę do sukcesu. A wszystkie te kalkulacje i starania, jak powiedział w minionym wieku La Bruyère, cała ta ryzykowna gra kończyła się niekiedy szachem, czasem wręcz - matem. Złoto i krew płynęły tu jednym strumieniem.

Istoty, które Pietro miał teraz przed oczyma, w surdutach i drapowanych jedwabnych sukniach, znały dworski labirynt. I choć Pietro nie był nowicjuszem, musiał przyznać, że Francuzi rozwinęli tę grę do najwyższego stopnia wyrafinowania. Również dzieląc pychę i arogancję, osiągnęli wyższy stopień zakłamania niż Włosi, a to nie było takie proste.

Codzienny lęk przed utratą łask w zasadzie mógłby doprowadzić zdrowego człowieka do obłądzenia. Funkcjonowanie dworu przypominało obroty starego, pocziwego koła fortuny.

Zwierciadła w Galerii pomnażały te zmagania drobnych wpływów i wielkiego cierpienia.

Pietro uśmiechnął się cynicznie. Pierwsza aluzja Bajkarza była jasna.

Teatr, tak. Teatr zwierząt.

A bajki rzeczywiście rodziły się w tych alkowach.

„Spotkaliśmy się, Viravolta:

Oto dziesięć Bajek wybranych ku naszej uciechu.

Czy zechcesz zabawić się ze mną?”

Wenecjanin wstał.

Wyglądził surdut i od niechcienia musnął jeden z połyskujących na palcach pierścieni.

Wszystko rozegra się za tymi murami. On jest tu, wśród nas. Ale gdzie?

Nie miał już czasu do stracenia.

Odszukajmy więc Augustina Marienne’a.

Podczas gdy przechodził przez Galerię, rozwijano ostatnie czarne zasłony, które opadały przed wychodzącymi na park oknami.

* * *

Gabinet urzędnika odpowiedzialnego za wynalazki w Domu Króla znajdował się w suterenie Skrzydła Ministrów. Viravolta otworzył drzwi i zszedł po schodach wiodących do starych podziemi

zamkowych. Natrafił na kolejne drzwi z okutego żelazem drewna, opatrzone potężnym rzeźbionym zamkiem. Zapukał trzykrotnie, a potem wszedł. Dwa stopnie prowadziły do sali, w której pracował Augustin Marienne.

- O... Viravolta! Dawno się nie widzieliśmy!

W głębi, za biurkiem, stał mężczyzna około sześćdziesiątki. Miał splecione ręce, a jego postura przypominała nieco sfinksa. Pełen godności, wysoki, ubrany w czarny surdut, nie pasował do otaczającej go rupieciami, bo pokój wyglądał, jakby przetoczył się tędy cyklon.

Marienne poprawił binokle i zaprosił Viravoltę zamaszystym gestem, niczym pana pałacu z tysiąca i jednej nocy. Pietro rozejrzał się wokół. Ta kłamociarnia nieodmiennie wprawiała go w zdumienie. Sala była wąska i bardzo niska. Szkice, rysunki i inne konkurujące ze sobą dziwaczością plany wisiały na ścianach. Viravolta uniósł brew na widok zagadkowej maszyny - kół, lin i zaworów oplatających rodzaj karocy zdobionej złotymi liliami. Nad wszystkim unosił się metalowy komin z piórami.

- Widzę, że otrzymał pan nowe propozycje... - zażartował.

Komentując ten szkic, czyjaś ręka z pełną powagą, krągłym, wyrobionym charakterem, napisała: „Projekt poruszanej wyłącznie siłą mechaniczną bezkonnej karocy do podróży Jego Wysokości Króla”. Nieco dalej czyjś ołówek czerpał inspirację z prac Leonarda da Vinci - było tam pół tuzina urządzeń, które, jeśli wierzyć załączonym opisom, pozwalały

„latać w powietrzu na podobieństwo ptaków”. Gdy Pietro uśmiechał się, ciesząc oczy tym bogactwem ludzkiej myśli, Augustin położył rękę na stercie zakurzonych dokumentów.

- Doprawdy, moje zadanie jest coraz bardziej przytłaczające. Te studia, szkice, obliczenia napływają tu setkami z całego królestwa. Towarzystwa naukowe przesyłają nam niektóre wynalazki sygnowane przez jednego lub wielu ich członków. W tych kręgach panuje zawiść. Po propozycji pojawia się kontrpropozycja. Inne to pomysły pojedynczych osób, spośród których wiele uważa się za geniuszy! - Poważniejąc, spojrzął na Pietra. - Lecz geniuszy, przyjacielu, spotyka się nader rzadko. Oczywiście, wszyscy pragną wykorzystać swoje talenty i owoce swej wyobraźni w służbie Francji! Przyznaję, że cel jest szlachetny.

Każdy ma też nadzieję, że uzyska wynagrodzenie, na które zasługują te równania i wysublimowane szkice, z których część, proszę uwierzyć, jest tak pokrętna, że nie pojąłby jej najwybitniejszy gramatyk i najroztropniejszy inżynier!

Powiedziawszy to, zdjął binokle, by przetrzeć je szmatką.

- Mimo to mam dla tych fantazji sporo podziwu. Cóż za żywotność, cóż za wyobraźnia!

Pietro przechadzał się nadal po tym gigantycznym schowku. Krzesło na kółkach czekało, aż wprawi je w ruch człowiek, który ukryje się w skrzyni, by pedałowac, używając deseczek z resorami. Ów wynalazek miał zapewnić miłą przejażdżkę dwojgu spacerowiczom siedzącym na ławce. Dalej

znajdowała się jakaś skomplikowana płatanina rur umożliwiająca, jeśli wierzyć załączonej nocie, przesyłanie tajnych sygnałów dźwiękowych. Machina miała służyć „agentom Króla i żołnierzom Jego Wysokości w czasach wojny” lub, jak dodawał

sprytny wynalazca, „dworzanom w budzących oburzenie miłostkach”. Ksiądz - astronom z południowego zachodu proponował lunetę powiększającą, przez którą „widać gwiazdy, jakby się było tuż obok”. Mości Jean Viot de Fontenay miał inną propozycję - pompy antygazowe do oczyszczania wszystkich szamb w Wersalu. A tych było coraz więcej i ich opróżnianie wciąż nastroczało problemów, zwłaszcza że przez ogrody przetaczały się tłumy ludzi. Istniały wprawdzie stare latryny, głównie na końcach skrzydeł Północnego i Południowego, lecz Viravolta, który miał okazję do nich zajrzeć, wiedział, że na przykład przy wejściu na Dziedziniec Gwardii Szwajcarskiej miejsca te stale tonęły w ekskrementach. O latryny nie dbano, choć studiów, planów i projektów tworzonych przez najlepszych królewskich inżynierów było wiele. Nikt nie zdołał skutecznie rozwiązać problemu. W tym kontekście pan de Fontenay i jego projekt należeli do kategorii higieny społecznej.

Viravolta przechadzał się, kręcił głową, kładł palce na ustach, aby nie wybuchnąć śmiechem, czasem okazywał szczery zachwyty. Augustin, który całymi dniami oglądał takie cuda, był bardziej sceptyczny i obojętny. Jego praca sprowadzała się głównie do sekretarzowania - pisał listy zawsze tej samej treści.

- Proszę popatrzeć na przykład na to.

Augustin odwrócił się twarzą do półki, na której stał dziwaczny przedmiot. Były to jakby cztery gałęzie wokół drewnianej kuli z zapadką na górze. Ze szczytu tej kuli ołowiane kulki staczały się po czterech rurkach - po dwie z każdej strony. Zamocowane na końcówce wyglądały jak pajęczne odnóża. Wpadając to do jednej, to do drugiej rurki, ołowiane ciężarki poruszały nimi na przemian, przechylając „pająka” to w lewo, to w prawo. Augustin zademonstrował wynalazek Viravolcie, spuszczać kulki z odpowiednią częstotliwością.

Mały pająk jakby ożył i poruszał się rytmicznie w miarę opadania kulek, a odnóża przetaczały się za sprawą koła, które zapewne sterowało całością. Gdy ołowiane kulki znajdowały się już na dole rurki, ta przechylała się w przeciwną stronę, więc po chwili kulki wracały na górę, by znów stoczyć się do innej rurki. Pokaz był najprostszym sposobem wyjaśnienia, jak funkcjonuje ta machina, której zastosowania Viravolta nie potrafił sobie wyobrazić.

- Przyjacielu, jest to owoc krótkotrwałej obsesji. Ciągły Ruch. Wielka Sprawa. Chodzi o stworzenie ruchu podobnego do boskiego, a może do pierwszego motoru Arystotelesa.

Ruch ten miałby odbywać się bez udziału człowieka, bez wiatru czy też nurtu rzeki, bez ognia i bez pracy zwierząt. Odkąd ci przekłęci filozofowie wymyślili Encyklopedię, każdemu się wydaje, że przyczyni się do rozwoju nauki, czy jest oberżystą, czy nudzącym się na wsi panem na zamku. I byle kto zabawia się w mechanika...

Odwrócił się i otworzył jedną z leżących na biurku teczek.

- To oczywiście nie działa. Tarcie i opór powietrza zawsze pokonują w końcu tę niby-wieczność. Mam tu dwieście pięćdziesiąt podobnych projektów. Wszystkie lądują w koszu na śmieci. Najczęściej ograniczamy się do napisania wynalazcom jakiejś uprzejmej formułki, dziękujemy im w imieniu króla, i to musi im wystarczyć. Nie chcemy jednak zniechęcać ludzi, bo w końcu, kto wie? Może wśród dziesięciu tysięcy fanfaronów znajdzie się kiedyś jeden da Vinci? Gdybyśmy tylko mogli go odnaleźć, nie odpisując całej reszcie!

Perpetuum mobile... Pietro uśmiechnął się z rozczuleniem.

Augustin spojrział na niego.

- No dobrze. Czy to książkę pana tu przysłał?

- Tak.

- Och, książkę... Jeśli sprawy potoczą się tak, jak na to wygląda, to Aiguillon może pożegnać Wersal, zanim skończymy rozmowę. Ale rozejrzyjmy się... Niech pan sobie wyobrazi, że w tym chaosie mam parę nowinek, które mogą okazać się pomocne w pańskiej pracy.

Minął Viravoltę i podszedł do szafy. Wydawało się, że czegoś szuka. Po chwili wysunął powoli przedmiot przypominający kufer podróżny. Pokazał jego zawartość Wenecjaninowi. Pietro natychmiast domyślił się, co zobaczy.

Broń, którą miał przed oczyma, była pistoletem, ale o niezwyklej fakturze i wyglądzie.

Przypominał pistolety dog-lock używane przed stu laty przez Anglików, ale także naszego twigga, a w pewnej mierze również żelazny pistolet scottish all Steel flintlock, charakterystyczny dla szkockich wyżyn. Przede wszystkim broń ta miała kilka luf - dokładnie sześć. Pietro nigdy niczego takiego nie widział. Broń miała około trzydziestu pięciu centymetrów. Jej łożo było powleczone mosiądzem, a wymienne przykręcane lufy przypominały o istnieniu nieskróconego modelu regimentów kawalerii. Pistolet powstał w manufakturze w Saint-Etienne i nosił pieczęć h/b. Rękojeść wykonano z drewna orzechowego, aby zaś broń godnie zastąpiła poprzednie modele, okuto ją metalem, tworząc całość zdolną - jak się wydawało - roztrzaskać czaszkę wroga.

- Pozwoli pan zaprezentować sobie coś, co moglibyśmy nazwać systemem Marianne'a

- rzekł Augustin, skłaniając głowę.

Musnął palcami lufę. Wyglądał na dumnego z siebie.

- Viravolta, ta broń zachwycałaby rusznikarzy z Liege. To rewolucja. Trzymamy ją jeszcze w sekrecie, ponieważ nastrocza wielu problemów. To zaledwie pierwsze modele.

Mają po sześć numerowanych luf. U wylotu każdej z nich zrobiono cztery nacięcia umożliwiające demontaż przy użyciu klucza, który znajdzie pan w kuferku. Powiedziałem, że to rewolucyjna broń. Dlaczego? Jak działa? Hm... System opiera się na wynalazku, swego rodzaju oddzielnej kapsule, która z pewnością kiedyś zastąpi krzemień.

Gładził palcami broń.

- Załadowanie prochu następuje tu, przez uderzenie kurka w mosiężną kapsułę. Ta wsuwa się wówczas do tunelu i trafia do komory spalania. Ten mechanizm daje zadziwiające korzyści, przede wszystkim to rozwój broni wielostrzałowej! Proszę spojrzeć na ten długi cylinder z lufami... Naciskając na spust, może pan je przesuwając i używać kolejno, a w każdej znajdzie się kapsuła. Specjalna osłona przykrywa kurek przy uderzeniu, aby zapobiec oparzeniu palców Strzelca. Broń nie jest zbyt praktyczna w użyciu, ponieważ wszystkie lufy przed użyciem trzeba załadować od przodu, a pistolet jest duży. Pracujemy jednak nad różnymi projektami załadunku od zamka...

Augustin odchrząknął.

- Krótko mówiąc, to dla pana. Dzięki obracającym się lufom może pan wystrzelić sześć razy bez załadowania. Wprowadziłem kilka drobnych innowacji. Chciałbym wygrawerować na okuciu napis „patent Marienne’a”. Ale skromność i potrzeba zachowania tajemnicy zmuszają mnie do pozostania w cieniu. Taki jest smutny los królewskiego urzędnika.

I roześmiał się jakby do siebie.

- Dodam, że ta broń bywa przydatna także w starciu wręcz. Widzi pan ten kurek, który można z łatwością odblokować palcem wskazującym.

Przesunął go. Z trzaskiem wystrzeliło lśniące ostrze.

- Doskonale, a... to? - zapytał zdumiony Pietro.

Wskazał drugi cylinder na końcu broni, bo wydawało mu się, że to tłok ze sprężyną.

- A to...

Augustin odwrócił się i wyjął z szafy mały chwytak z wygiętymi zębami owinięty liną.

- Może pan tu zamocować ten chwytak. Bez problemu zrozumie pan, jak go rozłożyć.

Umieszczony w tej wyrzutni, umożliwia wejście w ciągu paru sekund na dach pałacu. Lina jest wystarczająco mocna, żeby utrzymać człowieka. Wiem, że w Wenecji widział pan już szpady - arkebuzy, halabardy strzelające i inne podobne dziwactwa. Przyzna pan, że to drobiazg godzien uwagi. Prawdę mówiąc, wymyślił to dawny oficer marynarki.

Ale Pietro już go nie słuchał. Chwycił broń. Ułożył ją w ręce, dotykał palcem spustu wysuwającego sztylet. Sięgnął po chwytak.

Głos Augustina wyrwał go z zadumy.

- To nie wszystko.

Teatralnym gestem ujął zanurzone w kałamarzu pióro.

- Przyjacielu, to pióro jest najzwyczajniejsze. Ale to...

Otworzył szufladę pod blatem i wyjął inne gęsie pióro ładujące podobne do pierwszego, a także mały czarny kałamarz. Miał tajemniczą minę. Odkręcił kałamarz i z niepojętą dla Viravolty ostrożnością zanurzył w nim ostrze pióra.

- Proszę o uwagę... - powiedział, dając Viravolcie znak, by się odsunął.

Gwałtownym ruchem rzucił piórem o ziemię, tak że przeleciało nad biurkiem zwrócone ostrzem do przodu. Pietro mimowolnie krzyknął i odskoczył. Po zetknięciu z podłogą pióro eksplodowało, powstał obłok szarawego dymu, a w powietrzu czuło się woń prochu.

- Niezłe do podpisywania wybuchowych kontraktów, prawda? - odezwał się Augustin.

- Pióro jest silniejsze od szpady. Przekonał się pan, że wystarczyła kropelka. Proszę tego nikomu nie mówić, ale zawdzięczamy to cudo dawnemu notariuszowi z Chaumont, którego znudziło przystawianie pieczęci i podpisywanie aktów notarialnych. Przez pewien czas ten dzielny człowiek, zamiast stosować prawo, wprowadzał je w czyn. Teraz pełni urząd w paryskim Parlamencie, pozwoli pan jednak, że przemilczę jego nazwisko.

Otworzył etui zawierające kałamarz i pół tuzina piór. Pietro wyjął jedno z nich i ledwie zanurzył w kałamarzu, żeby powtórzyć próbę. Nie śmiał jednak nim rzucić i tylko dokładnie je oglądał, a Augustin bawił się etui.

- Mam dla pana jeszcze jeden prezent.

Wyjął z kieszeni talię kart.

- Drogi przyjacielu, te karty wyglądają całkiem niewinnie i na pozór nadają się do każdej z modnych gier. Ale proszę nie wierzyć pozorom.

Palcem zsunął kartę i przytknął jej krawędź do grubego pliku papierów. Kiedy przesunął nią po papierze, rozległ się dźwięk przypominający cięcie żywego ciała.

Stos papierów przedzielił się na pół.

- Jak pan widzi, trzeba obchodzić się z nimi delikatnie. To był król kier. Każda karta ma ostrze jak brzytwa po prawej stronie. Cała talia trzymana razem stanowi bardzo groźną broń. Niech pan nie sięga po nią lekkomyślnie, Viravolta. I niech pan zawsze sprawdzi, czy nie utnie pan sobie ręki.

Ostrożnie odwrócił kartę.

- Na rewersie każdej karty widnieje między innymi... kwiat, przyjacielu. Pozna go pan. Ta gra to pomysł mistrza wista i faraona. Dorzuciłem do niej tylko pewien drobiazg... z myślą o panu - powiedział, skłaniając głowę. - Domyślałem się, że nie poradzi pan sobie beze mnie.

- Jestem do głębi wzruszony - odparł Pietro.

Augustin włożył talię do metalowego pudełka i podał Viravolcie.

- To wszystko. Och, mógłbym pokazać panu jeszcze inne rzeczy, choćby to -

powiedział, otwierając jasnoniebieskie puzderko wyściełane aksamitem.

Pietro ujrzał szereg małych czarnych kropek wyglądających jak pastylki.

- To muszki. Ale jeśli rozgniecie pan którąś na twarzy noszącej ją kobiety, wydzieli się kwas, który definitywnie zniszczy jej urodę... Kłopot w tym, że nie wiem jeszcze, do czego można je wykorzystać... Mam też diamentowy pierścień, który tnie szkło i metalowe pręty, i...

- To wystarczy - przerwał Pietro.

Augustin przestał drapać się po głowie.

- Ma pan rację. Cóż! Proszę jeszcze o złożenie podpisu w zeszycie, muszę dbać o porządek i składać zamówienia. I zaklinam, żeby pamiętał pan o moich wskazówkach i troszczył się o te drobiazgi. Proszę nie zapominać, że poza piórami to prototypy.

Pietro podszedł. W ręku wciąż trzymał pióro, które zanurzył w wybuchowym atramencie.

- O nie, jeśli łaska, nie tym piórem! Tamtym..

- A, rzeczywiście - mruknął Pietro, zmieniając pióro.

- Przyznaję, że zamówienia odbierają tu zwykle nasi architekci, inżynierowie i urzędnicy Domu Króla. Pan jest wyjątkowym klientem. Nie co rano zaopatruję agenta Jego Wysokości. Powinienem to jakoś zaznaczyć, żeby nie zagubił się pan w tym całym tłumie.

- Racja, racja - kiwał głową Pietro.

- Cóż! Proszę tu podpisać, może być pseudonim albo jakiś charakterystyczny symbol, abym mógł szybko odnaleźć wpis.

Pióro na moment zawisło w powietrzu. Pietro uniósł brew i uśmiechnął się.

- Mam przecież stary przydomek...

Mrugnął do Augustina i podpisał się eleganckim, pięknym charakterem.

Nagle ktoś zapukał głośno do drzwi.

Pietro i Augustin spojrzeli na siebie.

Za drzwiami stał przerażony Landretto.

- To ty? Coś się stało?

Przez chwilę patrzył na Viravoltę, nie odzywając się. Potem rozłożył ręce i powiedział

z żalem:

- Stało się!

Powrót Orchidei

APARTAMENTY DELFINA, WERSAL

REZYDENCJA CERCEAUX, MARLY

Ludwik August krążył po komnacie jak dzikie zwierzę po klatce. Maria Antonina była przy nim.

Kiedy usłyszał narastający zgiełk, a w korytarzu rozległy się kroki, król zrozumiał, że nadszedł czas... i zadrzał.

Utracił ojca, mając jedenaście lat, a matka, Maria Józefina, osierociła go w dwa lata później. Jego wychowaniem zajął się dziadek, Ludwik XV, który wypełniał to zadanie bez większego zapału. Być może uznał, że jego wpływ nie byłby najkorzystniejszy, może był

zmęczony nauczaniem całego świata, bo przekazał ten obowiązek kilku szczęśliwym wybrańcom - księciu de La Vauguyon i ojcu de Radonvilliers, do których dołączyli najpierw dwaj jezuici - Croust i Berthier, a następnie ojciec Soldini. Powszechnie uważano, że młody książę nie jest ani dobry, ani zły. Uczył się łaciny, niemieckiego i angielskiego, przejawiał

duże zainteresowanie historią, a przede wszystkim geografią. Niepewny siebie, był w dodatku wyjątkowo niezdarny. Bez żadnego powodu wmawiał sobie, że jest miernotą.

Odrabiał lekcje, dużo czytał i polował, uczęszczał na msze, prowadził księgi rachunkowe, zajmował się dobroczywnością, chętnie rozmawiał o technice ze ślusarzem Gamainem i widać było, że lepiej czuje się wśród psiarczyków niż w towarzystwie dworskich dam. Wydawał się rozchwiany między dwiema drogami życia, jakby wciąż balansujący na linie własnego niezdecydowania - czy obrać tę, która nawiązuje do promiennej wspaniałości przodków, czy tę, która da mu tylko możliwości podziwiania tej wspaniałości z dołu.

Pewnego dnia powiedziano mu, że i on kiedyś zostanie panem narodu, jedynym jego władcą z woli Boga. Wiedział, jakie cechy powinien mieć dobry monarcha. Ukształtowały go prawa i tradycje monarchii francuskiej, zalecenia Bossueta i Fenelona, relacje panujące między państwem a Kościołem. Na ogromnych obrazach, zdobionych arabeskami przypominającymi drzewa i gigantyczne fasole, oglądał ciągnące się bez końca powiązania Karolingów, Kapetyngów, Świętego Ludwika, Karola VII, Ludwika XI i Ludwika XIV.

Wiedział wszystko o rywalizacji przodków w Domach i dynastiach francuskich, o wygórowanych ambicjach księstw, którym trzeba było przytrzeć rogi, i o parlamentach, które należało od czasu do czasu przywołać do porządku. Wchłaniał tę wiedzę z szacunkiem człowieka, któremu nie wolno ignorować przeznaczenia. Idee filozofów, poruszające umysły w całej Europie, teorie Monteskiusza i

pomysły Rousseau nie były mu już takie bliskie.

Ludwik XV zawsze odsuwał go od zarządzania sprawami kraju, a Ludwik August to akceptował. Odnosił się do dziadka z synowską miłością, ze szczyptą strachu, a niekiedy - z niemą dezaprobatą. Król zachował się jak oszalały stary piernik, wynosząc dziwkę uliczną niemal do godności królowej Francji. Liczący dwadzieścia lat Ludwik August żył dotąd jak w bajce - marzeniami, które zapewne pragnął ziścić, choćby po części, nie tak błyskotliwie, ale pomyślnie. Z biegiem lat przemyslenia, które czynił, rozwinęły w nim skłonność, zapewne wrodzoną, do melancholii i nawet pełna temperamentu, radosna Maria Antonina nie zdołała temu zaradzić.

Wbił oczy w podłogę i nie śmiał nawet zerknąć przez okno, jakby widok świata, jaki roztoczyłby się przed nim, był dla niego udręką.

Roztrzęsiony, zacisnął zęby i bezradnie patrzył na żonę, szukając wsparcia.

- Czuję, że lada chwila zwali mi się na głowę cały świat! - powiedział.

Zdmuchnął świecę.

Rozdygotany płomyk lampki zgasł na balkonie królewskiej komnaty.

Król umarł! Niech żyje król!

Ludwik znowu spojrzął na Marię Antoninę. Łzy podeszły im do oczu. Gdy dworzanie i bliscy przybyli i przepychali się w drzwiach, oni oboje klęczeli i szlochali.

A Ludwik XVI szepnął:

- Panie Boże, miej nas w opiece, czuwaj nad nami. Zbyt młodo przyszło nam panować!

Otchłań rozwarła się przed nimi. Jak powie po latach uczonego pamiętnikarz, wydawało się, że w tamtej chwili młody król doznał przerażającej wizji, w której zobaczył wszystko, co powinien był wiedzieć, a czego go nie nauczono.

* * *

Viravolta szybko wrócił do rezydencji przy drodze do Marly, w której mieszkał wraz z Anną Santamarią i Cosimem. Wpatrywał się w swoje odbicie w dużym lustrze w sypialni. Za jego plecami Anna wylegiwała się w łóżku. Tam, w pałacu, mówiło się teraz wyłącznie o śmierci. Atmosfera była ciężka - zaczynała się żałoba i Pietra ogarnęła nieokiełznana chęć, by sprzeciwić się losowi. Teraz mógł obserwować w lustrze piękną Wenecjankę, jej obnażone piersi, jej kręcone włosy opadające na ramiona, rozwiązany gorset, gołe uda...

Pietro umył się, założył perukę i przypudrował ją. Anna wstała, wybrała dla niego ubranie, postanawiając, że tym razem nie będzie to francuski surdut, jeden z tych, które zwykle nosił, idąc do pałacu, ale wenecki *justaucorps* w jasnym kolorze, zdobiony lamówkami i wyszywany złotą nicią - strój z dawnych lat. Pietro nie uzupełnił go ani czarnym płaszczem z czasów weneckich zmagani, ani

karnawałową białą. Poprawił rękawy i wygładził

białą koszulę. Anna uśmiechnęła się, unosząc drapowaną spódnicę sukni, której góra opadła, i podeszła sprawdzić zapięcie pasa. Pietro wsunął dłonie w rękawiczki i wyciągnął szpadę, wspominając tamten dzień sprzed dwudziestu lat, kiedy to, wyszedłszy z Piombi, poczuł się jak zmartwychwstały. Stanął na baczność, potem wsunął szpadę do pochwy, wykonawszy przedtem małą paradę. Obejrzał pióro otrzymane od pana Marienne'a, niezwykle pistolet-sztylet i talię kart zdobionych kwiatami, pozwalając, by krążąca wokół Anna spryskiwała go wodą kolońską.

- Tym razem ryzykujemy naprawdę dużo, kochanie. Jeżeli mi się nie powiedzie...

- Wierzę w ciebie - odparła Anna. - Dobrze o tym wiesz.

Pietro odetchnął.

- Zapewne masz rację. - I znowu przejrzał się w lustrze. - W każdym razie wszystko gotowe.

- Niezupełnie...

Oddaliła się na moment, a potem podeszła do niego, kryjąc coś pod serwetką.

- Po południu wybrałam się do ogrodu... Mam nadzieję, że ogrodnicy nie będą mieli mi tego za złe. I pokazała mu podarunek: czarny kwiat.

Serce Pietra drgnęło.

- A teraz, Bajkarzu, kimkolwiek jesteś, wyzywam cię na pojedynek.

*

Wiadomość o śmierci Ludwika XV rozchodziła się z Wersalu, obiegając kraj: Król umarł! Umarł król! Niech żyje król! Uderzano w dzwony, a lud Francji wznosił modły i śpiewy - żałobne i pełne nadziei. Na dziedzińcach i na schodach, w ogrodach i pod oknami pałacu narastał zgielek, który rozchodził się po drogach i oberżach, ogarniając całe królestwo.

Pietro wsunął kwiat do butonierki i wygładził jego płatki. Patrząc w lustro, uśmiechnął się do Anny Santamarii.

Odpowiedziała mu z właściwym sobie wdziękiem.

- I oto - rzekła - powróciła wiosna... - I wciąż się śmiejąc, dodała: - ...A wraz z nią Czarna Orchidea.

AKT II

Bal zwierząt

Jeżeli w Republice Literatury istnieje coś genialnego, to rzekłbym, iż jest to sposób, w jaki Ezop

wypowiada morały. [...] Ośmielam się, Panie, przedstawić Waszej Wysokości kilka próbek. To stosowna do młodego wieku Waszej Wysokości Rozmowa. Jesteś, Panie, w wieku, kiedy zabawy są dozwolone książętom; lecz równocześnie musisz poświęcać kilka chwil na poważne refleksje. Wszystko to łączy się w bajkach, które zawdzięczamy Ezopowi. Z pozoru są dziecinne, przyznaję, lecz ta dziecinna forma spowija jedynie ważne prawdy...

Pokorny i zawsze posłuszny,

także niezmiennie wierny sługa Waszej Wysokości

De La Fontaine

List do delfina

Morderstwa in Fabuła

DZIEDZINIEC MARMUROWY, WERSAL

PERFUMERIA FARGEONA, ULICA DU ROULE, PARYŻ

Pietro szedł przez Dziedziniec Marmurowy do karocy, która miała go zawieźć do Paryża. Krocząc po kamiennej szachownicy, obserwował dworzan, którzy skupili się w grupkach. Kobiety stały z parasolkami, mężczyźni z laskami. Gdy usunięto świecę z królewskiego balkonu, dworzanie zaczęli się rozchodzić. Wersalska menażeria cichła.

Tylko kilku pogrążonych w modlitwie kapłanów towarzyszyło zwłokom monarchy, na oczekaniu złożonym w ołowianej trumnie i zalanym octem winnym do chwili przewozu do bazyliki Saint-Denis. Trumnę z ciałem szybko przewieziono wśród tłumu poddanych, jednak widząc toczący się wóz, lud nie żegnał go łzami, a okrzykiem „Taiaut, taiaut!”, jaki król zwykł był wydawać podczas polowań. Cóż! Wszystko działo się tak szybko! Pietro pokręcił

głową.

Wrócił do Wersalu, żeby zobaczyć się jeszcze z księciem d’Aiguillon. Rodzina królewska tego samego dnia wyjechała do Choisy. Nikt nie miał ochoty zostać w pałacu.

Ludwik August, następca tronu, nigdy nie chorował na ospę, więc ryzyko zarażenia wciąż było duże. Viravolta widział, jak królewskie siostry, po chwilach heroicznego towarzyszenia konającemu monarsze, wsiadały do karocy wraz z księżniczkami Klotyldą i Elżbietą. Młoda para królewska i dwaj bracia Ludwika z małżonkami podróżowali inną karetą. Idąc na spotkanie z Aiguillonem, Pietro natknął się na angielskich gości przechadzających się po apartamentach księżniczek, a także wybierających się na przechadzkę po ogrodach! Nie potrafił pojąć, jak to możliwe. Anglicy w samym sercu pałacu jakby nigdy nic! Książę niepokoił się nie bez powodu! Taka beztraska tworzyła wymarzone warunki dla Bajkarza.

I to właśnie najbardziej zdumiewało w tym miejscu. W Wersalu praktycznie nie było ochrony, nikt nie dbał o bezpieczeństwo. Pałac i ogrody stały otworem przed każdym, kto chciał się tu dostać. Dla

kogoś takiego jak Viravolta, znającego sekrety Wenecji, tamtejsze spiski i knowania, to był powód, żeby rwać włosy z głowy. Wersal niewątpliwie był

najpiękniejszym pałacem świata, a jednak wchodziło się tu jak do karczmy. Ale kiedy Pietro usiłował zwrócić na to uwagę Domu Króla, spotykał się z rozbijającą apatią. Trudno mu było pojąć dawną tradycję, po części wyjaśniającą taki stan rzeczy. Każdy Francuz powinien mieć możliwość dotarcia do swego monarchy. Logiczną konsekwencją tego pięknego obyczaju była niemożność stworzenia systemu ochrony, który odcinałby ten dostęp. Każdy, jeśli tylko miał stosowny ubiór i nie był żebrakiem ani mnichem, ani ladaczną, ani ospowatym, mógł wejść do pałacu i chodzić po nim jak po muzeum, zaglądać do oficjalnych Apartamentów Króla, przysiąść przy kominku w jednym z antyszambrów, a nawet wejść do komnaty, w której sypiali władcy. Mężczyźni zobowiązani byli mieć u pasa szpadę, a jeśli jej nie posiadali, mogli bez trudu wypożyczyć broń na jednym ze straganów przed bramą. Bandy prostaków i wulgarnych przekupek ciskały obelgami w możliwych, zbierając się pod balkonem królowej, a nawet w pałacowych wnętrzach, tuż obok prywatnych gabinetów. Pośród całej tej gawiedzi krążyły kanalie, na które nikt nie zwracał najmniejszej uwagi.

Rzecz jasna, zbrojnych było tu wielu, a króla chronili liczni gwardziści. W Wersalu stacjonowały cztery kompanie mające zapewnić bezpieczeństwo, w tym szkocka i szwajcarska. Łucznicy oraz straż przewota pełnili rolę pałacowej policji. Bramy głównej strzegły dwa regimenty piechoty - gwardia francuska i szwajcarska. Kiedy władca opuszczał

Wersal, towarzyszyła mu lekka jazda, muszkietierowie albo żandarmi. Wszyscy ci ludzie regularnie przeprowadzali rewizje i inspekcje i pełnili wartę w ogrodach, prowadząc ze sobą sfory spanieli bretońskich. Ograniczali się do przepędzania pikami kryjących się po różnych zakamarkach biedaków. Poza tym wersalscy żołnierze byli skłonni do dezynwoltury.

Kompanie zmieniały się co dwadzieścia cztery godziny, a zastawiona parawanami, łózkami, bronią, rzeczami osobistymi Sala Straży zastępowała im koszary, z tą różnicą, że panował tu nieopisany chaos.

Pietro westchnął. Cóż, przynajmniej miejsce tętniło życiem.

Splunął i przywołał stangreta, który czekał w pobliżu.

Konie ruszyły truchtem.

*

Wpatrzony w bruk Pietro oparł dłoń na rękojeści szpady i zaczął planować działania, które musiał podjąć w początkowej fazie śledztwa.

Dobrze, podsumujmy...

Musiał pilnie pomówić z hrabią de Broglie, a potem skontaktować się z innymi agentami świętej pamięci Jego Królewskiej Wysokości i poinformować ich o niebezpieczeństwie, które nad nimi zawisło. Było niewidzialne, niepojęte, ale bardzo realne.

Bajkarz chciał wyeliminować ludzi z dawnego Sekretu Króla, przynajmniej tych, których uważał za najgroźniejszych. Dlaczego? Pietro nie znał odpowiedzi na to pytanie. Być może Broglie wiedział na ten temat nieco więcej. Jednak hrabia popadł w niełaskę i wciąż przebywał w Ruffec, a podróż zajęłaby sporo czasu. Co do samych agentów, to Wenecjanin nie uzyskał od księcia d'Aiguillona satysfakcjonujących informacji. Vergennes był w Sztokholmie, kawaler d'Eon w Londynie, Beaumarchais - Bóg wie gdzie, ale na pewno nie w Wersalu. A dziś dwór opuszczał pałac. Pietro chciał skłonić Brogliego do ściągnięcia agentów, jeśli ten jeszcze nie podjął takich kroków. Może któryś z nich wie coś, co mogłoby pomóc w śledztwie. Jednak z oczywistych względów bezpieczeństwa każdy z nich pracował

w tajemnicy przed pozostałymi, a niektórzy nawet się nie znali. Poza tym, jak sugerował

Aiguillon, Bajkarz mógł być jednym z nich.

Tymczasem Pietro musiał jednak udać się do Paryża, żeby złożyć wizytę w perfumerii Fargeona. Biedna Rosette i jej kochanek Baptiste Lansquenet byli jego pracownikami, przez co mistrz stawał się idealnym podejrzanym. Lecz Pietro odnosił się do tej hipotezy sceptycznie. Fargeon od pewnego czasu był oficjalnym dostawcą dla wielu wpływowych osób na dworze, z panią du Barry na czele. Co mogłoby skłonić kogoś takiego do ohydnej zbrodni i udziału w spisku? Chyba że czynił to pod przymusem? Wenecjanin westchnął.

Rosette najprawdopodobniej zginęła dlatego, że wtrąciła się w nie swoje sprawy... Może chodziło o jakieś wyznania w alkowie? A może stała się przypadkowym świadkiem kompromitującej rozmowy? Lansquenet był tylko drobnym informatorem. Czy i on odkrył

coś, co mogłoby uzasadnić jego śmierć i - dla spokoju mordercy - śmierć jego ukochanej?

Może dowiedzieli się o istnieniu Bajkarza, a - co gorsza - poznali jego zamierzenia czy nawet... tożsamość. Bez względu na to, jakie zdobył wiadomości, nie mógł ich już przekazać.

Zabrał tajemnicę do grobu. Ale skojarzenie enigmatycznego przydomku Bajkarza, jakby zmartwychwstałego, z pieprznymi epigramatami, które ostatnio krążyły wśród wrogów Marii Antoniny, wskazywało, że wydarzenia mogą przybrać niepokojący obrót.

*

Pietro zabrał ze sobą dokumenty przekazane mu przez Aiguillona i książkę z bajkami.

Machinalnie przeglądał zbiór, potem zatrzymał spojrzenie na przykurzonej okładce...

Ale to inne kwestie bardziej go wzburzyły. Zgodnie z tym, co powiedział Aiguillon, Pietro znalazł w szczegółowych raportach informacje dotyczące śmierci agentów Sekretu.

Rosette miała własną bajkę, *Wilk i baranek*, inni zostali zamordowani w okolicznościach szyderczo nawiązujących do utworów La Fontaine'a, czasem bardzo popularnych, czasem niemal nieznanych. La Vouivre zginęła uduszona, więc przypadła jej bajka *Dzban z mlekiem*, Baronowi, otrutemu w oberży, *Lekarze*, a Meteorowi, utopionemu w Tamizie, *Człowiek i dwa osły*. Prowadzący śledztwo

zawsze zwracali uwagę na niezwyklej inscenizację. Wszystkie już wykorzystane bajki czyjaś ręka zakreśliła czerwonym atramentem. Do tego należało dorzucić jeszcze dziesięć pozostałych, adresowanych specjalnie do Pietra, z Rosette i Baptiste'em w roli przestrogi. A ta przestroga miała coś wspólnego z perfumerią Fargeona. „Oto dziesięć bajek wybranych ku naszej uciechu./Czy zechcesz zabawić się ze mną?”. Po cóż jednak zapraszał Viravoltę do tego makabrycznego tańca, rzucał mu wyzwanie, a zatem stwarzał

ryzyko, że przeszkodzi w odegraniu ostatnich bajek?

Tymczasem jednak trzeba było przyznać, że losy Baptiste'a Lansqueneta potoczyły się zgodnie z regułą. Jak powiedział książę, informator został zabity... perfumami - zapewne przy użyciu trującej substancji, która w dużej dawce dostała się do jego płuc. Jak dotąd nie udało się ustalić ani skąd pochodziła, ani jaka to była substancja. Czy takie wykorzystanie perfum było możliwe? Młodzieńca znaleziono w kuchni nędznego mieszkanka, które wynajmował w okolicy Hal, o dwa kroki od ulicy du Roule i perfumerii Fargeona. Siedział na krześle z rękami związanymi z tyłu, wytrzeszczonymi oczyma i nosem w inhalatorze. Dookoła leżały ochłapy mięsa. Potworny grymas wykrzywiał twarz zmarłego, a śledczy twierdzili, że był to groteskowy uśmiech. Na plecach trup miał przypiętą kartkę z bajką *Bocian i lis* pochodzącą z Pierwszej Księgi. Opowiadała o tym, jak bocian zemścił się na lisie. Lis zakpił z niego, podając mu jedzenie na talerzu, z którego biedny ptak niczego nie mógł zjeść. Zaprosiwszy lisa do siebie, bocian zastawił nań pułapkę, serwując mięso w dzbanie.

...lis ślinę połyka,

Wietrzy jakieś miłe wonie,

Sięga łapą, ostrzy zęby,

Lecz na próżno mordę wtyka:

Szyja długa, ciasne wręby,

Ni ugryźć, ni zmoczyć gęby;

Szkło tylko liże i skrobie,

A bocian dziobie i dziobie.

Wydziobał wszystko. „Mój luby sąsiedzie -

Rzecz - jak widzę, nie jesz: czyś nie chory?”

Zrozumiał lis; i na czczo, chociaż po obiedzie,

Strapiony i zawstydzony

Jak gdyby kurze dał się złapać w szpony,

Chytre lisy! pomnijcie, że do czasu sztuka:

Znajdzie się w końcu bocian, który was oszuka 2 .

Za każdym razem na miejscu zbrodni była róża pąsowa jak krew, taka sama, jaką znaleziono na rozszarpanym przez wilki ciele Rosette. Pietro skrzywił się, zaczął grzebać w kieszeni i wyjął z niej próbkę perfum, które dał mu Aiguillon. Purpurowy płyn, podobny do krwi, kołysał się jak tajemnica, jak przepowiednia. Zobaczymy, pomyślał Czarna Orchidea, co na to wszystko powie drogi mistrz Fargeon - bez względu na to, czy jest winny, czy niewinny.

Cóż, mistrzu Fargeonie... Pora, żebyśmy pogawędzili.

* * *

Siedząc w karocy, Pietro pogрузił się w rozmyślaniach. Spoglądał przez kremowe firanki. Droga do Paryża wciąż była pełna wybojów i błotnista. Pomarańczowe światło późnego popołudnia kładło się na niej migotliwymi plamami. Sekwana niosła mnóstwo śmieci, które płynęły po powierzchni, pośród brunatnych, zielonych i szarych smug wody.

Rzeka, do której w Gobelins szpitale i warsztaty wyrzucały wszelki brud. Bez względu na porę roku tu robiono pranie. Latem ludzie przychodzili, żeby popływać. A czasem, żeby się utopić, a przynajmniej spróbować. Ach, ten Paryż! Miasto brudu i błota! Od Pałacu Królewskiego po Tuileries, od Luwru po Pałac Sprawiedliwości, piękno gmachów wyrastało nad cuchnącą breją szamb, jak fasady weneckich wili nad laguną. Smród był nie do zniesienia. Ten, kto wychodził na ulicę bez powozu, ubierał się na czarno. Kiedy padało, parasolnicy proponowali przechodniom usługi, a wielu z nich było, jak Baptiste Lansquenet, informatorami tajnej policji.

Widok tych ulic był odpychający i urzekający zarazem. Pietro mimowolnie się uśmiechnął. Wokół panował gorączkowy ruch. Tu przemknął powóz ubranego w czarny strój medyka, tam kabriolet baletmistrza. Nieco dalej - płatnerza. Młodzieńcy na koniach pokrzykiwali na pieszych, którzy stawali im na drodze. W promieniach zachodzącego światła jakiś szlachcic poganiał batem sześć zaprzężonych do powozu koni, nie bacząc na tłumy ludzi, stangreci krzyczeli: „Uwaga! Z drogi!”. Czasami dochodziło do wypadków, ale nie wzbudzały one większych emocji. Lektyka, która zapuściła się tu z Wyspy Świętego Ludwika, przecisnęła się pomiędzy dwiema karocami, cudem umykając z pułapki. Dwójka dzieci o mały włos nie wpadła pod koła berlinki. Zewsząd słyhać było krzyki - to sprzedawców ostryg, to ludzi czyszczących bruk z odchodów, to tragarzy, sprzedawców ziół, złodziejasków i sprzedajnych dziwek polujących na klientów. Od straganów dobiegały 2
Przełożył Władysław Noskowski.

nawoływania handlarzy wychwalających nowe śledzie albo portugalskie pomarańcze, ryby łowione w La Manche i przewożone do Paryża w dużych beczkach z morską wodą, a teraz podskakujące przed oczyma kupujących. Rzeźnicy zabijali zwierzęta na ulicy, krew płynęła strumieniami po bruku, lepiała się do butów.

Powiewające poły sutanny księdza plątały się ze spódnicami bab, które zażarcie się kłóciły, nie szczczędząc sobie obelg. Miasto stopniowo ogarniał mrok, cienie się wydłużały, sylwetki były jakby zamazane.

Z wież Norte-Dame miasto wyglądało jak ulepione z białego i czarnego gipsu, utkane z kamienia i z kredy, z brył i dymu, który wzbijał się dość wysoko, by spowić dzwonnice, które opływała Sekwana - wijąca się i migotliwa wstęga. Miasto dyszało jak astmatyk, tak głośno, tak mocno, wyglądało jakby ze starej, udrapowanej z koronki osady miało nagle przemienić się w potwora, zdolnego rozszarpać każdego, kto stanie mu na drodze. Rzeka cuchnęła wyziewami, ale i rozlączała blask. Garbarze, piekarze, kawiarze, stolarze, kowale, sprzedawcy win, jubilerzy, lichwiarze, pismacy, sklepikarze, aptekarze, modystki, księża i akuszerki, aktorzy i aktorki, żebracy i dogorywający nędzarze - wszystko to roilo się i krążyło w oparach siarki, sody, w pyłe mąki i węgla, i w wielu innych przejawach miejskiego życia, którego zachłanność nie znała granic.

Karoca przejechała wzdłuż złoconego ogrodzenia Tuileries. Pietro znowu skupił się na informacjach na temat Fargeona uzyskanych od księcia d'Aiguillona. Mistrz pochodził z Montpellier i podawał się za człowieka nauki, zwolennika postępu. Chwalił się, że zgłębiał

nieznane dotąd obszary chemii, że zdołał powiązać bukiet zapachowy ze zmiennym stanem ducha. Z zapisków Aiguillona wynikało, że Fargeon był żarliwym czytelnikiem Encyklopedii.

W swych papierach miał także traktat przodka, Jeana, aptekarza i wytwórcy pachnideł, obdarzonego królewskim przywilejem, człowieka, który jako pierwszy opracował jednolitą nomenklaturę wyrobów perfumeryjnych, oraz dzieła Antoine'a Hornota o zdolnościach węchowych i encyklopedię niemieckiego uczonego von Hallera, *Traktat o odczuwaniu* de Condillaca czy wreszcie wczesne pisma Lavoisiera.

Po śmierci ojca powierzono go opiece podmistrzego Jeana Ponceta, rodem z Sète, który to utrzymywał, że „nozdrza są bramą duszy”. Fargeon, dawny uczeń oratorianów, znalazł możliwość, by rozwinąć własną mistykę opierającą się na podniesieniu rangi natury wobec panującego wszechwładnie ducha. Pod skrzydłami mistrza z Sète i czujnym okiem matki kontynuował edukację, tworząc własne pudry, róże, barwiczki i inne kosmetyki, także mydła, maści wybielające dłonie i twarz, olejki i farby nadające blask włosom, opiaty do zębów, tabletki odświeżające oddech...

Pietro spojrzał w górę, słysząc głos stangreta, który poinformował go, że są już na miejscu. Wsiadł, gdy tylko karetka się zatrzymała. Ulica du Roule, w samym sercu dzielnicy Hal, była dość szeroka, a po obu jej stronach ciągnęły się sklepiki i stragany. Gęstniejący przed wieczorem tłum płynął w kierunku Pont-Neuf lub w stronę kościoła Saint-Eustache.

Pietro poprawił trójgromny kapelusz. Zanim wszedł, zwrócił oczy na szyld. Był pod numerem jedenastym. Kamienica liczyła trzy piętra. Jej okna, poddasze i balkony upodobały ją do sąsiednich. Viravolta otworzył drzwi - pojawił się tuż przed zamknięciem.

* * *

Naprzeciwko perfumerii, w bramie, jakiś mężczyzna założył kaptur, osłaniając niemal całą twarz.

Tak, przyjacielu... Witaj na balu zwierząt. I wyciągnął błyszczący sztylet.

Osobliwy mistrz Fargeon

PERFUMERIA FARGEONA, ULICA DU ROULE, PARYŻ

Pietra uderzył kontrast między ulicznym smrodem a tym łagodnym oceanem perfum, w którym się zanurzył. Olejek narczyowy i z kwiatu pomarańczy mieszały się z bliskimi jego sercu zapachami włoskimi - cytryny, pomarańczy, mandarynki, cedru, grejpfruta. Drzewo sandałowe i orientalne przyprawy - cynamon, kardamon - wplatały się nieco ostrzejszą nutą.

Jakże daleki był ten świat od cuchnącego Wersalu! Ściany pokrywała perłowobiała boazeria, drabiny umożliwiały dostęp do ustawionych na półkach z drewna akacjowego towarów.

Flakoniki z pachnidłami, pudzera, kościane tabakierki, słoiczki bergamotu, etui z wonnościami - wszystko to było odpowiednio wyeksponowane. Nalewki z ziół z Montpellier stały obok wód o zapachu róży, jaśminu, fiołka, irysa, żonkila czy rumianku. Pietro uśmiechnął się mimowolnie, gdy zwróciwszy oczy w górę, zobaczył wymalowane na suficie pyzate cherubiny. Idąc, zdjął kapelusz, by powitać siedemnastoletnią dziewczynę, która przerwała układanie bukietu, zwracając się do klienta.

Doprawdy, te bukiety są tak piękne, że trudno wybrać tylko jeden - powiedział.

Dziewczyna oblała się rumieńcem, co rozbawiło Pietra.

- Panienko...?

- Mam na imię Constance.

- Jestem weneckim szlachcicem.

- Przybywa pan z Wenecji? - zapytała śpiewnym głosem.

Buzia uroczej Constance rozblęła.

- Chciałbym pomówić z panem Fargeonem..

Nie spuszczać go z oka, cofnęła się w głąb sklepu.

Wróciła po chwili w towarzystwie mistrza Fargeona. Był to mężczyzna około trzydziestoletni o nadwielkie poważnej twarzy. Wysokie czoło, gęste brwi, głęboko osadzone oczy - w sumie zupełnie przeciętne oblicze, którego znakiem szczególnym była niewielka krostka, a może znamię na lewej skroni. Pietro powitał mistrza skinieniem głowy, ten zaś czekał, spoglądając na niego pytająco i nieco podejrzliwie.

- Panie Fargeon... Przychodzę do pana w imieniu księcia d'Aiguillona.

Po tych słowach pokazał mistrzowi oficjalny rozkaz opatrzony królewskimi symbolami i pieczęcią

Sekretariatu Stanu.

- Od księcia? - wydusił z siebie Fargeon. - Jakim cudem ta sprawa zaszła tak wysoko?

Sprawiał wrażenie zdenerwowanego. Tymczasem Constance, zajęta układaniem bukietu, raz po raz zerknęła na Wenecjanina.

- Policja już tu była - dodał mistrz.

- Wiem o tym. Ale ta sprawa jest dość... szczególna. Chciałbym odbyć z panem krótką rozmowę.

- A pana godność?...

- Moje nazwisko nie ma znaczenia.

Mężczyźni przez chwilę wpatrywali się w siebie.

- Proszę za mną - powiedział mistrz, spoglądając na Constance. - Jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu, pójdziemy na antresolę.

Zanim Pietro ruszył za właścicielem sklepiku, mrugnął do młodej dziewczyny, a ta beztrąsko się do niego uśmiechnęła. Fargeon i Wenecjanin przeszli przez zaplecze pełne skrzynek i książek. Potem dotarli do serca perfumerii - pracowni.

Była to spora, słabo oświetlona izba. Stały w niej pękate kociołki, kadzie, konwie, prasy do wyciskania, moździerze, szumówki. Na jednym ze stołów królowały przezroczyste destylarki, probówki i lejki do inhalacji. To tu mistrz destylował i wytwarzał cenniejsze pachnidła. W tym sanktuarium siedział łysy, tęgi mężczyzna, który skojarzył się Viravolcie z szalonym mnichem z opactwa na odludziu, gdzieś w Abruzji. Zaledwie dwa pukle włosów zachowały się za jego skroniami. Oczy miał duże, jakby wiecznie wytrzeszczone. Pod koszulą rysowały się wałki tłuszczu. Drewnianą łyżką mieszał w naczyniu jakąś maź, która na tym etapie - upstrzona płatkami, pełna grudek - miała w sobie coś niepokojącego. Fałszywy cysters bez słowa spojrział na Pietra i powitał go skinieniem głowy. Wenecjanin także mu się uklonił, a Fargeon szepnął:

- To Crapaud. Jest trochę stuknięty. Ma szczęście, bo tak jak ja ma nos, o jakim inni mogą tylko pomarzyć, i potrafi wyłowić z tysiąca zapachów ten, który nada kompozycji urok nowości. Ale poza tym to kretyn...

- A... - skwitował Pietro, nie wiedząc, co powiedzieć.

Opuścili pracownię przez ukryte drzwi i weszli po schodkach na antresolę, skąd inne drzwi prowadziły do skromnie umeblowanej komnatki. Dwa krzesła stały przy niskim stoliku ozdobionym wazonem z suszonymi kwiatami. Pod ścianą Viravolta zobaczył łóżko bez materaca. To tu, zaraz po przyjeździe do Paryża, mieszkał Fargeon. Wskazał Pietrowi krzesło, odchrząknął i powiedział, kręcąc głową:

- Śmierć naszego dobrego króla to wielkie nieszczęście.

- O tak - westchnął Pietro.

Nie podjęli jednak tego wątku i Fargeon po chwili milczenia zerknął na Wenecjanina.

Potem podjął:

- Powtórzę panu to, co powiedziałem już policji. Dowiedziałem się o śmierci Baptiste'a, potem o Rosette, a dopiero później o ich związku. Nie byłem o tym poinformowany, aczkolwiek przeczuwałem, że tak może być, widząc czasami, jak na siebie patrzą. Podkreślam, że z zasady nie wtrącam się w sercowe sprawy pracowników. Dość mam problemów z tymi dworskimi!

Pochylił się i splótł ręce na kolanach.

- Widzi pan, praca wymaga ode mnie ostrożności. Jestem niczym ptak w żmijowisku.

Pani Vigier uprzedziła mnie, że tak to wygląda, gdy tylko przybyłem do Paryża, bo pragnęła chronić naiwnego prowincjusza. Szybko pojąłem, co miała na myśli! Ten sklepik, choć pragnąłbym tego uniknąć, odwiedzają szpicle, wszelkiego autoramentu podejrzanego typki i hordy posłów i ambasadorów. Wdzięk i pachnidła to tylko fasada naszego dworu. Za nią kryją się intrygi. To, co pan powie jednemu, może urazić drugiego, i tak dalej. Wystarczy jeden fałszywy krok na naprężonej linii, po której stąпам, pomiędzy moim sklepikiem a Wersalem, bym w ciągu godziny popadł w ruinę. Rozumie pan, jak bardzo wstrząsnęła mną ta sprawa... A śmierć dwójki młodych ludzi wprowadziła mnie w przerażenie i głęboki żal. Proszę mi wierzyć - szczerze ich lubiłem.

- I nie wie pan, w co mogli się wplątać?

- Nie. Oczywiście, prosiłem ich, aby zachowywali się dyskretnie. Cóż! Robię perfumowane podwiązki dla hrabinek, które lubią sobie pofikać, jeśli można się tak wyrazić.

Zaopatrywałem bogatych księży kokietów we fiołkowy puder, mam zwariowanych klientów, którzy używają kilku różnych specyfików o określonych porach dnia. Gdyby takie informacje wyszły na jaw, byłoby to dla mnie naprawdę groźne! Wyjazd pani du Barry nie przysłuży się moim interesom. I nic by mi nie dało wtrącanie się do intryg, które mnie nie dotyczą, a w dodatku mogą mi zaszkodzić.

Pietro słuchał. Intuicja podpowiadała mu, że mistrz jest szczerzy. Faktycznie ograniczał

się do powtarzania tego, co powiedział już policji. Pozostawała jednak pewna szansa - zacząć z innej beczki. Był jeszcze inny sposób zmuszenia go do wyznań - wprowadzić go w zakłopotanie.

Pietro sięgnął do kieszeni. Wyjął z niej flakonik z purpurową cieczą.

- Ten flakonik zawiera perfumy, którymi otruto Baptiste'a Lansqueneta.

- Co takiego?!

- Nie poinformowano pana, w jakich okolicznościach zmarł ten młodzieniec, prawda?

- No cóż... Nie, nikt nie podał mi szczegółów, ja...

- Uważa pan, że czymś takim można zabić człowieka, mistrzu Fargeon?

- Perfumami...?

Pietro wyjął korek flakonu, a potem podał go rozmówcy.

- Właśnie tym - powiedział.

Fargeon przez chwilę patrzył na Pietra, wywracając ze zdumienia oczy.

- Co mam z tym zrobić?

- Proszę tylko powąchać - odparł Pietro.

Fargeon zmrużył oczy. A potem zdobył się na odwagę. Jego nozdrza zbliżyły się do flakonika.

Niemal natychmiast odsunął go od siebie.

- Cóż to za paskudztwo! - rzucił.

- Ściśle mówiąc: trucizna.

- I pan nazywa to perfumami? Chyba pan sobie nie wyobraża, że mógłbym stworzyć coś tak obrzydliwego?!

- Uważa pan to za obelgę dla swego profesjonalizmu, tak?

Pietro zachęcił go, by jeszcze raz powąchał płyn.

- Baptiste'a Lansqueneta znaleziono z nosem w inhalatorze, z rękami związanymi z tyłu. Panie Fargeon, czy mógłby mi pan powiedzieć, jakich składników użyto, by zrobić tę substancję?

- Jakich składników?

- Tak. Co wyczuwa pański nos, że się tak wyrażę.

Fargeon zawahał się, potem znów zbliżył flakonik do nozdrzy.

Wąchał, jak zanurza się czubek palca w lodowatej wodzie. Najpierw krótko, tylko raz.

Potem jeszcze raz, z mniejszej odległości, tuż nad flakonikiem. Zamknął oczy, przełamując wstręt:

- Ohydne i trujące. To prawda. Wiodące nuty zapachowe dość łatwo rozpoznawalne.

To lilie, złotowłos, jestem tego niemal pewien... chwileczkę... Tak, jestem absolutnie pewien.

Ale to nie wszystko...

Wciąż z zamkniętymi oczyma przesuwał sobie flakonik pod nosem.

- Głębsze nuty tworzy co najmniej jeden składnik, który rzeczywiście czyniłby substancję toksyczną... Belladona. Tak, na pewno. To belladona...

Lilia, belladona, złotowłos. Dobrze...

- Czy to już wszystko?

- Nie - odparł Fargeon, unosząc na krótko głowę. - Ale cokolwiek by to było, ilość wyziewów, jakiej trzeba by użyć, żeby zabić, jest taka, że... dla mnie to czyste fantazje, mój drogi... och, przepraszam pana... Nigdy nie słyszałem takiej bajki!

- To pasowałoby do człowieka, którego szukam. Otóż myślę, że nasz przyjaciel Baptiste został otruty. Ale wdychanie śmiertelnych perfum to tylko inscenizacja.

Dodatkowo ktoś musiał wprowadzić do jego żył zabójczą substancję, równocześnie wpychając nos biedaka do inhalatora. Ale ta chęć zwrócenia naszej uwagi na perfumy... to wyreżyserowane przesłanie dla nas. Proszę mówić dalej.

- Głębokie nuty są już bardziej problematyczne... Jest tu aron, bazylia i szczypta... och, to okropne, nie mogę sobie przypomnieć...

Pietro wyciągnął szyję, ale Fargeon wciąż marszczył brwi, szperając w pamięci.

- To niepojęte, mam to na końcu języka... Boże, co za mikstura... Tak czy inaczej, proszę zapamiętać, że poza bazylią jest to wyłącznie ekstrakt kwiatowy... To kwiaty, tylko i wyłącznie kwiaty!

Lilia, złotowłos, belladona, aron. Same kwiaty... i jeszcze bazylia.

Fargeon z rozczarowaniem pokręcił głową.

- Nic z tego. Zapytamy Crapauda, niech chociaż raz na coś się przyda. Crapaud!

Crap...

Przerwał mu rozdzierający krzyk.

Wenecjanin poderwał się na równe nogi.

Niemal wyrwał drzwi z zawiasów i zbiegł po schodach, a mistrz za nim.

Pietro wpadł do pracowni.

Twarzy Crapauda nie było widać. Opasłe cielsko cystersa przebierańca, którego dłonie kurczowo

zaczisnęły się na brzegach naczynia, bezwładnie leżało, głowa i ramiona były zanurzone we wrzącej brei, którą przygotowywał, w tym prapoczątku upiększającego specyfiku, pośród płatków i grudek.

Masywna drewniana łyżka tkwiła tuż obok, w mazi.

Pietro podbiegł, chwycił Crapauda w pól i wyciągnął z ukropu. Z bladej i okrągłej jego twarz zmieniła się w krwistoczerwoną, powieki były niesamowicie obrzmiałe i ogromne, nos szkarłatny. Papka, którą mimowolnie połknął, spływała mu z ust. Krew zmieszała się z zawartością naczynia i utworzyła na jej powierzchni smugi. Pietro szpetnie zaklął. Crapaud był tak ciężki, że o mało go nie wypuścił. Viravolta zdławił krzyk na widok rany na szyi ofiary. Ktoś poderznął biedakowi gardło i to tak brutalnie, że głowa przeraźliwie kołysała się w rękach Wenecjanina. Oprawca rozciął mu też brzuch może sztyletem, a może szpadą.

Crapaud nie miał wnętrzości! Fargeon podskoczył i zamarł, z trudem powstrzymując się od krzyku na widok trupa. Pietro dopiero teraz zauważył kartkę przypiętą na plecach nieszczęsnego idioty.

„Znał Rosette i Lansqueneta,

Lecz gorsza rzecz się stała, gdy ujrział mą twarz.

O, Nieba! Szantażować

Zamierzał mnie.

Cóż za zuchwalstwo lichego robaka!

Wyobraź to sobie, Viravolta!

Lecz nade wszystko pamiętaj:

Widzę cię.

Tymczasem Bajkarz,

Swe dzieło spełniając,

I dla Crapauda bajkę

Znalazł stosowną, A do niej różę dołącza.

Zapachem znaczącą tę stancę”.

* * *

ŻABA I WÓŁ

Księga I - Bajka 3

Żaba ujrzała wołu,

Co wzrostem sięgał olbrzyma.

Mogąc co do wielkości z jajem iść pospołu,

Zazdrością podniecona, pręży się, nadyma,

By dorównać zwierzęciu, męczy się usilnie.

„Siostró - mówi - zważaj pilnie:

Czy dosyć? Mówże! Czym mu dorównała?”

„Nie”. - A teraz?” - „Bynajmniej”. - „Czym dość już nabrzęka?”

„O, jeszcze ci daleko!” I gadzina mała

Tak się nadeła, że pękła.

Wielu ludzi winno się dojrzeć w tym obrazie.

Mieszczuch wznosi pałace na wzór pańskich dworów,

Każde ksiąźątko ma ambasadorów,

Każdy markiz chce mieć pазie 3.

* * *

Siedem Bajek, mój skarbie, zostało!

Jedną więc dam ci radę:

Idź za wonią śmierci.

Viravolta puścił ciało Crapauda, którego głowa znowu wpadła do misy, i biegnąc ku wyjściu, dobył szabli.

- On tu był! - krzyknął. - Bóg jeden wie, jak się tu dostał!

*

Na zapleczu panował niezmacony spokój. Pietro gwałtownie pchnął drzwi i wpadł do sklepu jak burza. Constance, cała we łzach, siedziała skulona w kącie. Bajkarz ją poturbował, miała podartą sukienkę, a bukiety poniewierały się po podłodze wraz z flakonikami i potłuczonymi słoiczkami pudru fiołkowego. Błada jak płótno, wskazała ręką jeszcze uchylone drzwi. Szłochała, usta jej drżały i nie mogła wydusić z siebie ani słowa.

Pietro wybiegł na ulicę. Tu wciąż panował oszałamiający ruch, ślepa, anonimowa machina nie zwalniała, obracało się wielkie koło pracy, wciągając nawet tych, którzy chcieli na chwilę uciec od swych codziennych zajęć. Mieszczanin w karocy. Gromada studentów.

Nauczyciel tańca. Woźnice i stangreci pokrzykiwali: „Z drogi! Z drogi!”. Dzieciarnia.

Handlarze. Rzeźnicy ostrzający swe noże.

Mnich przemykający w ciemnościach.

I setki dzwonów.

Paryż.

Pietro popatrzył na tłum po lewej... i po prawej...

Z szablą w jednej, a kapeluszem w drugiej ręce bezradnie się skrzywił.

- *Miseria* - westchnął.

Wrócił do sklepiku. Dziewczyna dochodziła do siebie. Byle jak wsadziła bukiety do wazonów, podnosiła rozrzucone flakony.

- Lepiej się czujesz?

- Ja... nie słyszałam dzwonka... Wszedł tak nagle, zaskoczył mnie... Miał na głowie kaptur... nic nie widziałam...

3 Przełożył Stanisław Komar.

Pietro ponownie przeszedł przez sklep, zmierzając na zaplecze.

- Proszę pozamykać wszystkie wejścia.

Wrócił do pracowni. Fargeon wciąż stał z opuszczonymi rękami i patrzył jak błędny na zwłoki Crapauda, nie śmiał jednak ich dotknąć, toteż nieszczęsny głupek nadal nurzał się w ziołowej papce.

W końcu mistrz, który wyglądał, jakby sam wrócił z zaświatów, wykrzyknął:

- Irys bagienny!

- Słucham? - zapytał Viravolta.

- Zapach tego kwiatu... którego nie potrafiłem rozpoznać. To irys, a dokładniej, pewna bardzo osobliwa odmiana irysa...

Fargeon zwrócił na Pietra wielkie, wyrażające bezsilność i niezrozumienie oczy.

- Irys bagienny. To kwiat... sabatów!

Twarz Pietra sposepniała.

Kruk i lis

DROGA DO MARLY

PRACOWNIA BAJKARZA, WERSAL

REZYDENCJA DES CERCEAUX, MARLY

HALE, PARYŻ

Potrójny mord.

Trzy morderstwa powiązane z Bajkami i... z perfumami.

Viravolta kontynuował przesłuchanie Fargeona, a Constance polecił wezwać policję.

Biedna dziewczyna wyszła ze sklepu ku wielkiemu niezadowoleniu mistrza, który kolejno stracił troje pracowników. Wkrótce pojawili się policjanci, a przedstawiciel komisarza generalnego odbył długą rozmowę z Pietrem. Dyskusje i poszukiwania wciąż trwały, choć zbliżała się już północ. Troje zamordowanych - Lansquet, Rosette, a teraz Crapaud. Każde z nich coś wiedziało. Każde w pewnym momencie zetknęło się z Bajkarzem. Kolejne przesłuchanie Fargeona, Constance i innych

kupców nic nie dało. Nie wiedzieli nic o Bajkarzu, a ten zniknął bez śladu, pozbywszy się świadków. Ale jak! Pod nosem Pietra!

Trzeba przyznać, iż morderca osiągnął cel - Viravolta kipiał gniewem i z trudem ukrywał niepokój. Gdy wychodził ze sklepu, komisarz zapytał z pełną powagą, czy jego śledztwo coś przyniosło.

Wenecjanin, wkładając kapelusz, powiedział tylko:

- Proszę się nie martwić, to dla mnie nic nowego. Będę pana o wszystkim informował...

*

Teraz wracał karocą do domu.

Co właściwie działo się wokół tej perfumerii? Jedyne tropem pozostawały dla Pietra słowa, tylko słowa - bajki i epigramaty, którymi Bajkarz z taką lubością znaczył swój szlak, a także niezwykle perfumy, również pozostawione niczym podpis. *Bocian i lis* dla Baptiste'a, który uważał się za sprytnego, *Wilk i baranek* dla Rosette, ofiary swej niewinności, a teraz *Żaba i wół* dla grubasa, który próbował bawić się w szantażystę. Bajkarz zapełniał swój zwierzyniec. Co zdarzy się teraz? Pietro przypomniał sobie słowa pisane krwią na wołowej skórze. *Kruk i lis*, *Lew i szczur*. Siedem ostatnich bajek.

Chwycił zbiór, który zabrał ze sobą i zaczął przeglądać zakreślone na czerwono bajki.

Mało wyszukane ryciny na kartach sąsiadujących z tekstem przyciągnęły jego uwagę. Obok *Wilka i baranka* widać było wilka rozszarpującego baranka, którego powieszono za nogi na drzewie tuż nad strumieniem. Nieopodal stał porzucony wózek... *Bociana i lisa* ilustrowała rycina, na której konający - jak się wydawało - lis wciąż tkwił z pyskiem w wąskim gardle dzbana, podczas gdy rozbawiony bocian spokojnie kończył posiłek. Nieco dalej żaba dosłownie pękała tuż obok wołu. Kruk wyglądał jak przypięty do pnia, był przerażony, a pod jego pazurami leżał ser. Szczur uwięziony w klatce obserwował lwa, który krążył wokół, gotów go pożreć... Wenecjanin pokręcił głową. Jak mam się w tym odnaleźć? Kto będzie krukiem, a kto lisem? Kto lwem, a kto szczurem?... Spojrzał na listę na wołowej skórze i w myśli wykreślił trzy pierwsze bajki.

BOCIAN I LIS - LANSQUENET

WILK I BARANEK - ROSETTE

ŻABA I WÓL - CRAPAUD

KRUK I LIS

LEW I SZCZUR

PIES I CIEŃ JEGO W WODZIE

MAŁPA KRÓLEM

KONIK POLNY I MRÓWKA

ŻÓŁW I ZAJĄC

LEW W STAROŚCI

A co do perfum... Lilia, złotowłos, belladonna, aron, irys bagienny. Nie było wątpliwości, że Baptiste'a otrul nie tylko perfumami, po co jednak cała ta inscenizacja? Po co zwracać uwagę na toksyczną substancję, a zatem i na jej dokładny skład? „Idź za wonią śmierci”... Czy Bajkarz chciał w ten sposób dać im coś do zrozumienia? Pietro przypomniał

sobie hipotezy, jakie przyjmował z Aiguillonem - Bajkarz jako dawny tajny agent? Pionek w służbie obcego mocarstwa, jakiegoś stronnictwa wrogiego państwu albo nieznanej organizacji? Chyba że jest działającym samotnie szaleńcem, może dworzaninem z Wersalu?

W takim razie uderzyłby wcześniej i znacznie wyżej. Wszystko to nie wróżyło niczego dobrego. Przez pałac przewijało się dziennie dziesięć tysięcy osób. W tej chwili to miejsce opustoszało, wkrótce jednak znowu ściągną tam tłumy i nie da się kontrolować wszystkich wchodzących i wychodzących! Pietro westchnął. Tajemniczy przeciwnik mógł długo wodzić go za nos, a ironiczne nawiązywanie do bajek aż zanadto przypominało mu weneckie przygody. Znowu trafił na specjalistę od rebusów i literackich gier, które tworzyły labirynt liter, by zmylić tropiącego.

Rozprostował nogi i zamyślił się.

Spoglądał na flakonik z purpurową ciecżą, potem na bajki i czerwoną różę. Pogładził

płatki orchidei, którą miał w butonierce, przymknął oczy i opuścił kapelusz na twarz, próbując choć chwilę odpocząć mimo podrygiwań karocy.

Bociany, żaby, wilki i baranki tańczyły mu w głowie.

Odpoczywał bardzo krótko. Miał przy sobie raport księcia d' Aiguillona. Ta historia z bajkami nie dawała mu spokoju. To wszystko wydawało się zbyt łatwe, a zarazem bardzo tajemnicze... Jakby obraz nie był kompletny. Otworzył teczkę z dokumentami. Książę d' Aiguillon zgromadził najważniejsze informacje o La Fontainie i jego twórczości. Z

pewnością tu był pierwszy klucz do zagadki. Pietro pogрузzył się w lekturze. Po latach beztroskiego życia przedstawiciela prowincjonalnej burżuazji w Château-Thierry La Fontaine pełnił funkcję strażnika wód i lasów, nie rezygnując z częstego bywania w salonach. Był

miłośnikiem literatury antycznej i nowożytnej. W roku 1658 jego inspirowany dziełem Owidiusza poemat heroiczny *Adonis* zwrócił na autora uwagę nadintendenta finansów de Fouqueta z Vaux-le-Vicomte, który to został protektorem La Fontaine'a. Po klęsce Fouqueta poetę przyjęła księżna Orleanu i to na jej dworze odniósł ogromny sukces po wydaniu *Opowiastek i noweli wierszem* - pełnych wdzięku, pisanych nieregularnym wierszem. Tę samą manierę zastosował w pierwszych

bajkach, wydanych w roku 1668. Pod opieką pani de La Sablière, a potem państwa d'Hervartów napisał kolejne dwa zbiory tych perełek.

Czytelnicy gorąco przyjęli „komiowe bogactwo stu rozmaitych aktów”, z których to płynął

morał - po trosze pesymistyczny, po trosze epikurejski. Bezpośrednią inspiracją byli dla La Fontaine'a Ezop i Fedrus, a także mądrości rodem z Indii. Choć zręczny dworzanin, słynął z niezależności. Same bajki liczyły trzy zbiory, do tego dodać trzeba dwanaście ksiąg apologów, barwnie i trafnie odwołujących się do świata zwierząt. Posługując się

„zwierzętami, aby uczyć ludzi”, La Fontaine uderzał w wady i wypaczenia społeczności ludzkiej.

Pietro niewidzącym wzrokiem spoglądał przez okno karocy.

Komedia w stu aktach...

Posługiwał się zwierzętami, aby uczyć ludzi...

Zabójstwa, których modus operandi stały się okrutne bajki.

Pietro zamknął raport.

Oto, w co nas wciągnięto!

* * *

Po powrocie do swej pracowni, o dwa kroki od pałacu, Bajkarz zdjął kaptur.

Ciężko dyszał, ale raz po raz wybuchał śmiechem.

Rzucił długi, zakrwawiony nóż do miski i umył ręce w zimnej wodzie.

*

Długo, pracując jako lokajczyk w Wersalu, krążył po najciemniejszych zakątkach pałacu. Cierpliwie tkął sieć, poznawał pałacowe nawyki i zwyczaje, stosunki panujące na dworze i tajniki walki o władzę. Odtąd nie był już sam. Jego sprzymierzeńcami byli ludzie potężniejsi, niż ktokolwiek mógłby przypuścić - tego nie odgadłby nawet Viravolta. Bajkarz przywołał do życia ową komediową osobowość. Nie jakiegoś błazna królewskiego czy dworskiego karła, ale króla. Bo teraz stał się królem zwierząt! I znowu wybuchnął głośnym śmiechem.

Aby skuteczniej szpiegować, zacieśnił sieć wokół Wersalu. On także, jak przystało na władcę mroku, miał swoich informatorów. Korzystał z usług pewnego garbusa, który w dzień pracował w latrynach gwardii szwajcarskiej. Z Etienne'em, potępieńczą duszą, chytrym i prymitywnym, gotowym zrobić wszystko, czego się od niego żąda, spenetrował teren. Dotarł

aż do szefa Sekretu, hrabiego de Broglie, który był teraz na wygnaniu w Ruffec! Kiedy chodził

zasięgnąć języka u tego biednego pokraki, zawsze służalczego, patrzył, jak garbus uprzęta ohydne błoto. Widok odchodów nasuwał Bajkarzowi skojarzenie pracy informatora z kipiącą w nim nienawiścią, a hańba, którą Wersal skrzętnie ukrywał za słoneczną fasadą, dość wiernie oddawała charakter sługusa.

Od czasu do czasu Etienne wrzucał ścierki do wiadra z szarą wodą i parskał

śmiechem, zasłaniając usta ręką. Kiedyś w lesie zaatakowały go wilki. Od ich pazurów o mało nie stracił połowy twarzy. Teraz miał na policzku trzy głębokie szramy, które deformowały go i powodowały, że wyglądał jak pół człowiek, pół zwierzę. Bajkarz cenił tego wyrzutka, który w życiu zaznał tylko cierpienia i nienawiści. Nikt nie martwił się o takiego marnego robaka w Wersalu i nikt nie zwracał na niego uwagi, toteż Etienne był idealnym wykonawcą najohydniejszych zadań, jakie zlecano jego panu. Służył mu jako sprzątac i jako woźnica. Bajkarz uważał go za przedłużenie tej przynoszącej wstyd bestialskiej części własnej osobowości, z której zrodziła się śmiertelna gra. Był niczym te istoty z bajek, w których jego pan - wykolejony erudyta szukał inspiracji, obmyślając kolejne pułapki.

Często wspominał własne dzieciństwo. On także nie miał lekkiego życia. Wciąż stała mu przed oczyma ta kłapa nad głębią otwierająca się na nieokreślony blask, ta kłapa, którą bezskutecznie usiłował otworzyć. Wciąż pamiętał wilgotne drewno, o które zdierał sobie paznokcie. Czasami, kiedy zostawiali go samego, był pośród ciszy, a potem schodził, żeby się zaszyć między workami z solą i butelkami wina. Kładł ręce na kolanach, wciskał w nie brodę i wpatrywał się w owal okienka w dachu, które wychodziło na ulicę. Próbował

zrozumieć, co mu się przytrafiło. Dziecięcy rozum nie potrafił kontrolować gniewu. A ten gniew kiełkował w zatrutym gruncie.

*

Uratował go opat. Wiedział, jak rozwinąć jego inteligencję, którą zresztą ten święty mąż uważał za błyskotliwą. „Bóg nad tobą czuwa, synu”, powtarzał nieraz. A jego umysł

nakierował się na jeden cel i jemu tylko służył. Tym celem była zemsta. Kiedyś marzył o starych mitach, wyobrażał sobie, że nie wygląda, jak te stwory, te chimery z rysunków w starych książkach z bajkami, które udawało mu się podwędzić niani i innym dzieciom. Sam przypisywał sobie cechy i moc boskich potworów, które zapełniały jego świat i w tajemnicy szeptały do niego. Kiedy nauczył się czytać, rzucił się na opowieści i pochłaniał je jak szalony. Kiedy opanował podstawy greki i łaciny, a także katechizmu, czytał psalmy i pogańskie historie, które opat mu dawał pomiędzy pascalskimi wywodami. A on uważał

się za boga pana albo za satyra, za centaura o muskularnym torsie, za wytrawnego łucznika.

Raz jak Gorgona, raz jak faun porywał nimfy w leśnych ostojach. Niezmordowanie czytał

cenną książkę - przykurzoną i obdartą - zbiór bajek, swą własną komedię, niewiarygodne streszczenie swego życia, metamorfoz i niepokojów.

Jego życie było komedią.

Teraz wszystko to było już dalekie. Z tamtych czasów pozostał tylko gniew, ostry osąd, zdolność przenikania duszy. Tak, właśnie dlatego garbus go bawił i dlatego, gdy zachodził do niego w latrynach, żeby popatrzeć, jak zmywa brudy, napawając się tym królestwem zepsucia i smrodu, zanosił się śmiechem.

Witajcie w moim królestwie!

Bo teraz za wszystko zapłacą!

*

Zamknął za sobą drzwi łączące go z dzieciństwem i usamodzielniał się. Stał się dziki i drapieżny. Słoneczny. Błyskotliwy. Wyrafinowany. Był niezrównanym graczem, architektem zdolnym przewidzieć trzy, pięć, dziesięć kolejnych ruchów na szachownicy, którą miał w głowie. Zimny i metodyczny. Cma, nocny motyl, który potrafił przeistoczyć się w nędzarza, w markiza dekadenta, w lokaja albo księcia. Był zarówno panem, jak i psem. Z marionetki przemienił się w lalkarza. Wszystko było gotowe. Bajki zostały wybrane. Włożył wiele trudu w wyszukanie dzieł i mistrzów, a także w ułożenie własnych poematów przy bladym świetle kaganka, gładząc pióro i dobierając słowa, które przestawiał i zmieniał dziesiątki razy. Któż przypuściłby, że skrywał ten talent - cierpliwie rozwijany i żywiony nienawiścią! O tak, był

swego rodzaju poetą, czarnym poetą!

I jak przystało na prawdziwego artystę, nie zaniedbywał jakże delikatnego, jakże ważnego daru i talentu do improwizacji.

Bajkarz skrzywił się, wyczuwając smród bijący od płaszcza. Jedyнным problemem, jaki wiązał się z odwiedzinami w miejscu pracy Etienne'a, był ten uporczywy smród latryn, który przesiąkał ubranie. Właśnie ten odór wyczuła Rosette w dniu śmierci. Odgadła, ale zbyt późno, kim był. Biedna Rosette! Posiadł ją kiedyś w jednym z domów, w których pracowała.

Takie ladacznice za nic miały spasionych markizów, staruchów w pudrowanych perukach i młodych zuchwalców, cynicznych i cuchnących. Ale przy nim były jak trusie. Bały się go i wyczuwały jego moc. Etienne także pragnął małej Rosette. Ale mógł o niej tylko pomarzyć.

Wyśmiałyby jego bladą cerę, szydziłyby ze szram na twarzy, nie wspominając już o tym, co usłyszałyby garbus, gdyby odważył się przy niej rozebrać. Bajkarz miał nieostrożność poczynić pewne wyznania, gdy się z nią zabawiał, czego niemym świadkiem był Etienne.

Popęłnił błąd. Dziewczyna pobięła opowiedzieć o wszystkim swojemu kochasiowi, temu Lansquenetowi. Była zwyczajną idiotką! „Baptiste! Zawsze będę cię kochała!”. A Crapaud ich śledził, bo też był głupim poczwara. W sumie smutny wodewil, smętna bajka! Wszyscy troje mogli unicestwić plan Bajkarza, wydając go innym wtyczkom i agentom Sekretu. Nie mógł sobie pozwolić na kolejny taki błąd.

Bajkarz przez chwilę rozglądał się po pracowni. Wstawił tu łóżko i dbał, żeby pościel była zawsze nieskazitelnie czysta. Ta troska graniczyła z manią. Przy posłaniu stały dwa suche bukiety kwiatów, ułożone z artystycznym smakiem. Głęboki fotel i kilka książek, w tym *Klelia* Madeleine de Scudéry i kilka tomów *Historii naturalnej* Buffona na etażerze, dopełniało wystroju tego szczególnego wnętrza. Część pełniąca rolę pracowni świadczyła natomiast o gorączkowej pracy i wielkiej różnorodności zajęć. W głębi stał stół pokryty cienką warstwą kurzu. Jeszcze leżały na nim szczątki odartego ze skóry królika. Drewniany stelaż w kształcie zwierzątka czekał w pobliżu, podobnie jak różnokolorowe roztwory chemiczne. Na poplamionej tłuszczem ścierce leżały szczypce, obcęgi, noże i inne narzędzia.

Szkice królika w różnych pozycjach wykonane z talentem i dbałością o szczegóły leżały obok podobnych rysunków, na których widniały kuny, łasice, ptaki. Nieopodal, na drewnianym cokole, rudy lis z otwartym pyskiem zdawał się czekać na zbłąkaną kurę. Na zrobionych własnoręcznie ramach rozpięte były skóry.

Jego opiekun, opat, nie interesował się naturą. Ale on, Bajkarz, znalazł w niej prawdziwe ujście dla swej obsesyjnej potrzeby precyzji, umiłowania techniki i dobrze wykonanej pracy. A poza tym - dla fascynacji chirurgią. Równie fascynujące było dla niego przywrócenie zwierzętom wyglądu, jaki miały za życia. Początkowo tylko wypychał je słomą.

Z czasem doskonalił technikę. Śledził wszelkie nowinki, używał na przykład metalowych prętów, które - wsunięte w łapy - usztywniały konstrukcję i pozwalały nadawać zwierzętom naturalne pozycje. Bajkarz miał zwyczaj mierzyć każdą nową zdobycz, następnie odtwarzać na precyzyjnych, anatomicznych rysunkach ubarwienie i wszelkie charakterystyczne cechy.

Cierpliwie zdierał skóry, zaczynając od nacięć na brzuchu i po wewnętrznej stronie łap.

Zachowywał czaszkę i kości kończyn. Przy obdzieraniu trzeba było bardzo starannie oddzielać skórę, usuwając każdą drobinę mięśni, tłuszczu czy kości, aby nie dopuścić do ich rozkładu po pewnym czasie. Następnie skórę należało wyprawić i zmiękczyć przed naciągnięciem i montażem całości. Ochronę skóry zapewniały odczynniki chemiczne i proszki. Równocześnie wykonywał makietę ciała zwierzęcia, modelował z gliny szkielet, jeśli nie wykorzystywał naturalnego kośćca. Mydło arsenowe, które konserwowało najszlachetniejsze futra, leżało w zasięgu ręki. Kiedyś Bajkarz miał szczęście poznać w Saint-Médard aptekarza Jeana-Baptiste'a Bécoeura, od którego dowiedział się o tym wspaniałym odkryciu. Odtąd zawsze miał je w pracowni.

Wypychając zwierzę, przywracał mu właściwy kształt. Żeby jak najlepiej oddać jego cechy i zachować blask spojrzenia, używał szklanych oczu i innych sztucznych elementów, na przykład języków. W końcu nakładał skórę i dopasowywał ją, uprzednio natłuszczając.

Czasami trzeba było kilku pociągnięć farbą i pozostawało wykonać ostatnie szwy. Bajkarz zawsze starał się nadać swoim dziełom najbardziej realistyczną pozycję. To była sztuka i przypominała nieco to, co robił La Fontaine - sztuka „rzeźby zwierzęcej”.

Tyle precyzji... Tyle staranności...

Bajkarz powiódł wzrokiem po pracowni, zatrzymał spojrzenie na bukietach przy łóżku.

„Idź za wonią śmierci”.

Jego twarz wykrzywiła się w diabolicznym uśmiechu.

Stał tak przez kilka sekund, potem naciągnął kaptur na czoło.

Do dzieła! Nie ma czasu na odpoczynek. Gdy wypełni plan, będzie mógł odetchnąć.

Znów otulił się płaszczem. Etienne czekał. Trzeba było przygotować kolejne dzieła, zająć się innymi agentami Sekretu. Teraz, kiedy pozbył się Rosette, Lansqueneta i Crapauda, zatamował krwotok. Jego plan stanowił połączenie kalkulacji z adaptacją, której wiodącym motywem były bajki. Każdemu pisana była inna śmierć. Każdy stawał między Bogiem a Diabłem. Gdy Bajkarz zaplanował już przebieg zdarzeń, przygotował liścik dla Viravolty.

Viravolta, wróg... Dziesięć ostatnich bajek dla niego i dla świata. Ale Orchidea nie doczeka końca...

Upłynęło sporo czasu, zanim zdecydował, po której stronie stanąć. Zanim zawarł

przymierze z wrogiem i zanim wskrzesił Bajkarza z zaślubin 1770 roku - tę postać, którą niegdyś stworzyli z opatem. Zaśmiał się. W czarnej pelerynie z kapturem przemykał jak zjawą, jak koszmar. Dziś wieczorem zakosztuje w lesie wolności. Będzie galopował jak piekielny jeździec, znowu kryjąc się za zasłoną drzew, za pniami wystrzeliwującymi z ziemi niczym strzały. Będzie poezją, szaradą, enigmą, metaforą. Zbuduje własny mit, opowieść na kanwie tych makabrycznych historii, których nikt nie śmiałyby opowiedzieć dzieciom, a jeśli, to tylko szeptem, o zmroku. Będzie... Bajkarzem!

Właśnie zamierzał wyjść, gdy ktoś trzykrotnie, ciężko zakołatał do drzwi.

Chwycił sztylet i podszedł otworzyć.

- Etienne?

- No - odparł niski, głęboki głos.

Grymas wykrzywił mu twarz, kiedy usłyszał, kto go odwiedza.

- Lord Stevens! Nie spodziewałem się tu pana. Przypuszczam, że przyszedł pan sprawdzić, jak przebiega realizacja planu.

Wyprężony mężczyzna, którego twarz niknęła w mroku, nie odpowiedział.

Bajkarz skłonił głowę.

- Zapraszam... Proszę mi jednak wybaczyć, że będę mógł poświęcić na tę rozmowę tylko chwilę.

Położył rękę na sercu.

- Muszę snuć kolejną bajkę.

* * *

Słabe, żółte i pomarańczowe światła przemykały tu i tam jak świetliki. Pietro wpatrywał się w nie, poddając się kołysaniu karety.

Wreszcie wjechał na wybrukowany dziedziniec i po chwili stukot kopyt ustał na komendę stangreta. Pietro wysiadł i odprawił pojazd. Spojrzał w górę. Rezydencję przy ulicy Cerceaux zbudowano pół wieku temu. Duże okna w łukowatych wykuszach wyglądały jak patrzące w noc oczy. W jednym z nich paliło się światło - to Anna czekała na jego powrót.

Wejście oświetlały dwie latarnie. Pietro otworzył drzwi, zdjął kapelusz i rzucił go na komódkę w przedpokoju. Przeszedł po szachownicy posadzki, kierując się ku szerokim białym schodom. Rozpiął kamizelkę. Na piętrze zerknął w stronę pokoju Cosima. Drzwi były uchylone. Pietra zaniepokoiło porzucone w progu ubranie - chłopaka nie było, prawdopodobnie wyszedł, szukając rozrywki. Jego pokój wyglądał jak śmietnisko pełne pogniecionych koszul, rzuconych byle jak fraków, poniewierających się pończoch. Łóżko pozostało rozesełane, a gruby tom Encyklopedii służył jako podpora chwiejącej się komody.

Można by uznać, że był to swoisty sposób zastosowania zasad techniki i fizyki, a także nowych nauk, które popularyzowali Diderot i jemu podobni. Pietro skręcił do komnaty, którą dzielił z Anną Santamarią.

Zasnęła. Przy ich łóżku dopalały się świece w złożonych kandelabrach. Nie mieli tu już służby, odkąd ostatnia pokojówka dostała chronicznego kataru i odesłano ją do domu.

Trzeba było znaleźć jedną lub dwie nowe. Został im kucharz imieniem Ariel, ale o tej porze na pewno chrapał w oficynie. Pietro uśmiechnął się na widok kurczaka i sera pozostawionych dla niego przez Annę. Zagrzała też wodę, by mógł się umyć. Woda już wystygła. Pietro zdjął

koszulę, buty i spodnie, a potem wsunął zbolące nogi do srebrnej miednicy i okrył kolana płóciennym ręcznikiem z Limburga. Na moment odrzucił do tyłu głowę, zmęczony i niespokojny. Spojrzał na kominek - zimny i ciemny. Potem jego oczy zatrzymały się na lustrze nad toaletką Anny. Miała inne w swoim buduarze, ale to blisko alkowy pozwalało jej rozczesywać włosy rankiem, tuż po przebudzeniu.

Pietro zobaczył swą twarz. Z miejsca, w którym siedział, lustro wydało mu się dziwnie obrócone. Widział tylko część odbicia, pod kątem ostrym. Ćwierć jego twarzy odcinał owal ramy, w którą oprawiono lustro. Przyjrzał się sobie nieco uważniej. Uniesiona brew. Rozmazany puder. Przymrużone oczy i siatka zmarszczek w kącikach powiek. I zmarszczki na czole, których nie dało się już nie zauważyć. Oczywiście, wciąż był przystojny.

Ale osiągnął wiek, łagodnie rzecz ujmując - stateczny. W oczach zobaczył dawny żar, który dziś wieczorem zdawał się ożywiać wspomnienie pięknych lat spędzonych w Serenissimie, kochanek, karcianych gier w podejrzanych zaułkach, pojedynków u stóp złotych schodów i śpiewu nad laguną.

Nie ruszając się z fotela, zdołał sięgnąć po stary wenecki sztylet z rękojeścią z masy perłowej, który najczęściej kładł na toaletce Anny.

Chwilę potem jego uwagę zwrócił jakiś cień. Przymknął oko. Ten kształt przypominał mu... kwiat.

Orchidea.

Orchidea na ścianie.

Kim właściwie był, pytał samego siebie, jeśli nie... cieniem? Bawił się palcami, wysuwając nad kwiat orchidei z krainy wyobraźni dwa czułki owada... Tak, kimże był, jeśli nie ruchliwym cieniem? Bajką? Jestem bajką. A Bajkarz także jest cieniem. A może i cały ten świat. To teatralna scena, na której rozgrywa się sztuka w czterech aktach... Wszystko to cienie.

Westchnął, nagle ogarnięty złym przeczuciem.

Popatrzył na Annę, która spała w alkwocie, między dwiema zasłonami baldachimu. Na podłodze leżał modlitewnik w skórzanej oprawie. Dłoń Anny Santamarii wysunęła się spod pościeli i opadła, jakby chcąc dotknąć książki. Kobieta leżała na brzuchu, z twarzą wtuloną w poduszkę, i głęboko oddychała. Ona jedna potrafiła zawsze przywrócić mu prawdziwe oblicze i dać poczucie pełni. Pietro wsłuchiwał się w szum wiatru, który hulał po dziedzińcu i sprawiał, że dom skrzypiał. Od Anny biło niezwykle ciepło. Patrzył na nią, a jego twarz jakby spoważniała, posmutniała. Może próbował przypomnieć sobie coś najważniejszego, witalnego. Anna ocknęła się i uniosła powieki. Patrzył na jej usta, na zarumienione policzki, pieprzyk w kąciku ust. Promienny i ufny uśmiech ożywił jej twarz.

- O, jesteś. Wiedziałam, że wrócisz.

Pocałował ją i szepnął:

- Kocham cię, mój śpioszku.

Rozebrał się i o mało nie przewrócił miski, zagryzł usta, żeby głośno nie przekląć.

W domu naprawdę brakowało służby.

A ty, Landretto... Gdzie jesteś?

Uśmiechnął się na tę myśl. Przed oczyma stanął mu sługa, który był przy nim przez wiele lat. Co robił dziś wieczorem? Viravolta lubił tego starego łotra! Pamiętał, jak Landretto wychodził z siebie przed dożą i Emiliem Vindicatim, by jego pan odzyskał wolność, jak przynosił mu do celi w Piombi książki i nowiny z miasta, jak dowcipkował z Casanovą, który w tym czasie także gościł w więzieniu Republiki.

Landretto, stary druhu! Dlaczego ze mną nie zostałeś? Brakuje mi ciebie. Dlaczego się rozstaliśmy?

Gdzie się podziały czasy, gdy we trzech śpiewali na ulicach Wenecji? Boże, jak szybko płyną lata! Gdzie się podziela ich młodość - jego młodość? Widział, jak z twarzy opada wersalski puder, jak pojawiają się gondole sunące po brudnej wodzie kanałów, jak barwiczka spływa z twarzy, jak topnieją serca... Czyż to wszystko nie było tylko absurdalnym snem? I gdzie się podziały czasy, kiedy chciało im się śpiewać?

Pietro wolno rozprostował nogi. Przysypiał. Widok Baptiste'a Lansqueneta z wykrzywioną twarzą wciśniętą do inhalatora, Rosette powieszonych na drzewie, z nogami rozszarpanymi przez wilki, i straszliwie poparzonego Crapauda przesunął mu się przed oczyma. Bajkarz śmiał mu się prosto w twarz.

Po kilku minutach ocknął się, drżąc z zimna.

Zmrużył oczy.

Pojedynek już się zaczął.

Ale, do diabła, czego mam szukać?

* * *

Trójgraniasty kapelusz Landretta leżał przy rozesłanym łóżku.

Był powiernikiem i wiernym lokajem. A teraz znalazł się w fatalnym położeniu.

Siedział z rękami związanymi na plecach w uniformie królewskiego pazia.

Powinien był słuchać wewnętrznego głosu albo po prostu usłuchać dawnego chlebobdawcy, Pietra Viravolty. Krew tętniła mu w skroniach. Migrena stawała się nieznośna, zbolełe mięśnie potwornie ciążyły. Wczoraj znowu za dużo wypił. Roztył się, to prawda, ale -

na Boga - dlaczego tyle pił? A teraz... czy to koszmar, czy rzeczywiście wpadł w zasadzkę?

Niech ktoś mi powie, że to tylko zły sen...

Siedział z rękami na plecach - związany. Zwrócony twarzą do zimnej, odrapanej ściany. I próbował sobie przypomnieć.

Nie musiał wyjeżdżać do Choisy. Wraz z kilkoma znajomymi ruszył z Notre-Dame do dzielnicy Hal, gdzie mieli swoje ulubione miejsca. Opróżniali kilka butelek nieopodal Wyspy Świętego Ludwika. W drodze powrotnej, pomiędzy dwiema piosenkami, natknął się na czarującą dziewczynę, przesadnie umalowaną. Zaczepiła go. Miała najwyżej dwadzieścia lat.

To była jedna z tych uroczych paryskich ladacznic. Miała malinową sukienkę z falbankami, zalotnie poruszała wachlarzem, a jej policzki pałały. W końcu Landretto dał się namówić.

Dziewczyna przypominała mu tę ślicznotkę, którą kochał w Wenecji, Damę Kierową, tajną agentkę

doży. Ulicznica komplementowała jego męską urodę, schlebiała, traktując jak dobrze urodzonego, zachwycała się stanowiskiem dworzanina Jego Królewskiej Mości, a nawet podziwiała złote guziki przy mankietach i haft na fraku. Zostawił paziów, którzy mrugali do niego okiem, kiedy szedł w stronę tawerny.

Dziewczyna przyprowadziła go w okolice Châtelet, do kamienicy z pokojami na poddaszu, jakich wiele w starym Paryżu. Izdebka była ciasna, o poszarzałych ścianach i niemal bez mebli. Łóżko z zimną pościelą, miska, krzesło. Okno wychodziło na brukowane podwórze. Smuga bladego światła drgała tuż przed nim. Tkwiąc teraz na tym krześle, Landretto nie widział nic oprócz wilgotnej ściany. Nie potrafił sobie nawet przypomnieć, co się wydarzyło, odkąd tu przyszedł. Nie miał pojęcia, czy udało mu się stanąć na wysokości zadania, a to była chyba ostatnia myśl, jaką zapamiętał z tamtych początkowych chwil.

Zawstydzony, zapadł w sen, a może omdlenie. Obudziła go lodowata woda.

Na horyzoncie dogasał dzień. Woda spływała mu jeszcze po twarzy, kilka kropli wpadło za kołnierz. Dziewczyna zniknęła. Na szyi miał sznur.

A kiedy z wolna dochodził do siebie i składał okruchy wspomnień, za jego plecami jakiś głos recytował:

KRUK I LIS

Księga I - Bajka 2

Bywa często zwiedzionym,

Kto lubi być chwalonym.

Kruk miał w pysku ser ogromny;

Lis, niby skromny,

Przyszedł do niego i rzekł: „Miły bracie,

Nie mogę się nacieszyć, kiedy patrzę na cię!

Cóż to za oczy!

Ich blask aż mroczy!

Czyż można dostać

Takową postać?

A pióra jakie!

Szklniące, jednakie.

A jeśli nie jestem w błędzie,

Pewnie i głos śliczny będzie

Więc kruk w kantaty; skoro pysk rozdziawił,

Ser wypadł, lis go porwał i kruka zostawił 4.

Drżące nogi Landretta opierały się o krzesło. Lina, przeciągnięta przez hak, na którym niegdyś wisiał żyrandol, była przywiązana do drzwi. Wystarczył lada podmuch, żeby krzesło się wywróciło, a on wraz z nim. Bolała go głowa, miał spocone dłonie. Lina wpijała mu się w szyję.

- Kim... Kim jesteś? Czego chcesz? - zapytał zdławionym głosem.

Początkowo słyszał tylko oddech, potem dobiegł go głos:

- Jeżeli pozwolisz, to pogawędzimy chwilkę o twoim panu.

4 Przełożył Ignacy Krasicki.

- O... moim panu?

- Nie bierz mnie za idiotę. Mówię o Czarnej Orchidei.

- Skąd wiesz...

- Jesteśmy w Paryżu - odparł głos. - Pomówimy też... o twoim drugim panu. I o tym, jak zdradziłeś.

- Zdradziłem?!

Landretta przebiegł dreszcz. Przez chwilę wydawało mu się, że upadnie. Stopa zsunęła mu się z oparcia krzesła. Z trudem utrzymywał równowagę, ale mając związane ręce, niewiele był w stanie zrobić, i coraz bardziej się dusił. Język wysuwał mu się z ust.

Nieszczęsny paż z trudem chwycił oddech. Usiłował obrócić głowę, żeby zobaczyć Bajkarza, który siedział za nim, trzymając w ręku sznur.

- Dobrze usłyszałeś. Pocziwy lokaj... Wiesz, że moja rola polega na wykrywaniu i ujawnianiu ludzkich ułomności. Dość żartów! Nie będziemy się bawili w ciuciubabkę, nie będziemy udawali... Wiem, że twoje drzewo genealogiczne jest wymyślone od korzeni po wierzchołek. Ty, wychowawca królewskich paziów, figura na dworze... Istny żart! Ty potomkiem szlchetnego parmeńskiego rodu! Wiem, że zawdzięczasz to listom weneckich senatorów i przychylności króla, który zechciał przymknąć oczy... Czyż jednak nie przymykał

oczu na wszystko, i to przez całe lata? Czyż nie był po prostu ślepy?

Landretto wydał z siebie niezrozumiały bełkot.

- W rzeczywistości, mój Landretto, jesteś kłamcą i judaszem. Bez rodziny, prawda?

Zawsze byłeś sierotą...

Oddech Landretta był krótki i urywany. Dawny lokaj szalał z bólu i gniewu i nie wiedział już, co powiedzieć. Oczy piekły go od łez. Bajkarz wybuchnął śmiechem. Wstał i krążył wokół ofiary. Parkiet skrzypiał pod jego stopami.

- A teraz usidliła cię zwykła ulicznica, bo jesteś tak arogancki, że uwierzyłeś, iż zwabiła ją twoja uroda, a może ten uniform ze złotymi guzikami, lokajczyku! Landretto, jesteś chodzącym oszustwem! Kukielką, marionetką, zwyczajną marionetką! Tym właśnie jesteś! Uzurpowałeś sobie tę nową pozycję! I przez ciebie stanie się nieszczęście. Powiedz mi zatem... W jakie zwierzę cię zmienię?

Landretto jęknął.

- Twoje milczenie jest wymowne, judaszu. Mam wrażenie, że cię zaskoczyłem.

Widzisz, ja też lubię pisać wiersze. Ale od kruka różnisz się tym, że nie dasz rady stroszyć piór i na pewno nie odlecisz.

Bajkarz podszedł do krzesła. Jego ręka zawisła nad sznurem, wciąż rozciągniętym między hakiem i klamką drzwi.

- Och, drogi Landretto!... Postanowiłem zabawić się z twoim panem. Zasłużył sobie na szczególne względy. Ty też, lokajczyku... Landretto, będziesz moją przynętą.

Gdy to mówił, otworzyły się drzwi. Landretto pomyślał, że to już koniec, ale Bajkarz popuścił linę, aby nowo przybyły mógł wejść. Landretto miał wrażenie, że to nowy koszmarny sen, bo zobaczył zdeformowaną sylwetkę garbusa, którego prawą stronę twarzy szpeciły trzy głębokie szramy. Poznał tego kalekę. Garbus... mijał go ze sto razy, na ogół przy latrynach szwajcarów. I nagle dotarła do niego ta ironia losu - codziennie byli w Wersalu! A ten smród! Teraz, spod ciężkich powiek, szczerząc w uśmiechu debila bezzębne szczęki, garbus patrzył na niego. Chyba rozkoszował się widowiskiem.

Za plecami Landretta znów rozbrzmiał śmiech - tym razem chichotliwy, wysoki, niesamowity. Bajkarz wyciągnął ręce i zaczął naśladować ruchy skrzydeł, a także pokrzykiwania kruka - przejmujące i groteskowe. Rękawy jego płaszcza ułożyły się jak czarne skrzydła, a on wciąż wymachiwał ramionami, kryjąc twarz pod kapturem.

- Etienne jest... moim lokajem. I jest o wiele wierniejszy od ciebie. Przyjacielu, w jakie zamienić cię zwierzę? Módl się! Módl się, żeby Etienne nie otworzył tych drzwi! I recytujmy chórem.

Garbus wpatrywał się w niego.

Bajkarz znowu się roześmiał. Potem, poważniejąc, zaczął lodowatym tonem:

- *Bywa często zwiedzionym...* Jak to było dalej, Landretto?

Filozofia w Ogrodach

TARASY SKRZYDŁA POŁUDNIOWEGO,

OGRODY WERSALU

BUCKINGHAM HOUSE, LONDYN

„Idź za wonią śmierci”.

Lilia, złotowłos, belladonna, aron, irys bagienny.

Same kwiaty... i jeszcze bazylia.

Pietra nachodziły dość mroczne myśli, wiedział jednak, że musi wczuć się w mentalność wroga, zrozumieć sposób jego postępowania, bo to jeden z kluczy do sukcesu.

Postępowanie Bajkarza wiele o nim mówiło - lubił opowiadać historyjki, najchętniej makabryczne. Pietro dostrzegł coś niezwykle istotnego - myśleć jak on oznaczało zerwanie z konwencjonalnymi metodami. Musiał nauczyć się „myśleć poezją”. Tylko tak mógł

prowadzić śledztwo. Poezja ta była, rzecz jasna, czarna. Musiał myśleć poprzez bajki, rozwiązywać literackie rebusy. Na tym polegała jego praca, takiego dzieła postanowił

dokonać przeciwnik. Bajkarz zabijał w duchu francuskim. To była jego siła, finezja, wyjątkowość. Być może składniki perfum także snuły jakąś bajkę. Być może w nich kryło się znaczenie zaproszenia, a także „porady” udzielonej Viravolcie - „Idź za wonią śmierci”.

Tymczasem Viravolta nie potrzebował wiedzy Fargeona, ale znawcy kwiatów. A w tej sprawie najlepiej było zwrócić się do jednego ze wspañałych wersalskich ogrodników.

Kiedy przyjechał do pałacu - opuszczonego przez dworzan i część żołnierzy - udał się prosto na tarasy. Był maj, miesiąc krzewów i kwiatów. Zimą rozbijano lód w fontannach i stawach, na zaśnieżonych trawnikach. Drwale usuwali z lasu połamane i uschnięte drzewa.

Wiosną naprawiano kanalizację, rury doprowadzające wodę do fontann, prowadzono prace ogrodnicze, ściągano na Wielki Kanał część flotyli, w tym szalupy, łodzie i gondole z Serenissimy. Gdy Pietro wszedł do ogrodów, kończono właśnie ustawianie drewnianych ławek w południowej części, zdobiono adamaszkiem i kwiatami pojazdy spacerowe i wystawiano na zewnątrz cenne drzewka pomarańczowe w królewskiej Oranżerii. Ogrody zalane słońcem były przepiękne, jednak po śmierci króla wciąż jeszcze panowała tu pustka.

Wersal przypominał samotną śpiącą królową w zaczarowanym zamku.

Schodząc z tarasów, Pietro zauważył pracującego ogrodnika. Poprosił go o radę, ten zaś wskazał mu

jednego z kolegów po fachu.

- Przekonasz się, panie... To Normandczyk, potomek kilku pokoleń królewskich ogrodników. Czasami jednak zajmuje się także innymi dziedzinami, i choć wygląda jak prosty ogrodnik, odebrał gruntowne wykształcenie. Chwali się, że przez pewien czas był

ogrodnikiem Woltera w Ferney. Od tamtej pory zrobił się z niego prawdziwy filozof. Chyba uważa się po trosze za swojego pana, ale trzeba przyznać, że faktycznie ma dużą wiedzę.

Niech pana nie dziwią jego długie dygresje! Inspirację czerpie ze swej pracy.

Tego mi właśnie trzeba, pomyślał Pietro.

Ruszył na spotkanie z Normandczykiem. Ten, w kapeluszu na głowie, z podwiniętymi rękawami, usuwał miotłą igliwie i płatki, które opadały z klombów. Strużki potu spływały mu po przedramionach. Kilku innych ludzi wycinało gracami chwasty. Ostrza ich narzędzi zostawiły regularne ślady na piasku alejek. Zazwyczaj w tym miejscu krążyli przedstawiciele rozmaitych profesji i było tu jak w ulu - murarze witali hydraulików, zielarze przycinali swoje uprawy, między żywopłotami przejeżdżały wózki ostrzących noże i nożyce, a ukryci w zielonych korytarzach, w miłych oku altankach, kamieniarze, złotnicy, ślusarze, malarze robili, co w ich mocy, by upiększyć te ogrodowe gabineciki. Rybacy zaglądali tu, by dostarczyć piasku do wysypywania alejek. Ale dziś panował spokój.

- Ejże! Przyjacielu... Pozwól, że się przedstawię... Pietro Viravolta de Lansalt.

Powiedziano mi, że jesteś poniekąd... feniksem mieszkańców tego lasu.

Ogrodnik uniósł głowę.

- Viravolta... Czyżbyś był pan tym Wenecjaninem?

- Do usług. Mam małą zagadkę dla twojej mądrej głowy...

*

I szybko wyjaśnił mu przyczyny swego zainteresowania kwiatami. Rzecz jasna, nie wspomniał o samych morderstwach, powiedział jednak, że specyficzne perfumy z olejków kilku kwiatów uśmierciły niewiernego kochanka. Sądził, że składników nie dobrano przypadkowo, ale z rozmysłem i w ściśle określonym celu. Aby historyjka i dyskusja nabrały pikanterii, Viravolta dodał, że pracował w służbie Jego Królewskiej Wysokości.

- Którego króla? - zapytał Normandczyk.

- Ma się rozumieć: nowego.

Potem wymienił składniki tajemniczych perfum. Chciał poznać odczucia rozmówcy co do natury, a może symboliki kwiatów użytych do ich przygotowania. Normandczyk uważnie go słuchał. Na jego

czole pojawiły się zmarszczki. Stał, wsparłszy dłoń na trzonku miotły. Pietro zerkał na kosmyki włosów wysuwające się spod jego kapelusza.

Wreszcie ogrodnik uśmiechnął się i zdjął nakrycie głowy.

- Pyta pan, czy kwiaty mają znaczenie symboliczne? Ależ, panie de Lansalt...

Ogrodnik zamilkł, patrząc na niego, a potem rozłożył ręce.

- Proszę się rozejrzeć... Tam, koło Zwierciadeł, na wprost tarasów, tuż przed pałacem, krzyżują się dwie główne osie ogrodów. Sądzi pan, że to przypadkowa kompozycja? Nic z tych rzeczy... - Zmrużył oczy. - Czy kwiaty mają znaczenie? Te ogrody to las symboli! Panie de Lansalt, one do nas mówią! Mają swą wymowę moralną, jak pragnął nasz wielki władca Król Słońce...

- Naprawdę? - zapytał Pietro, udając zdumienie.

- Oczywiście - podjął ogrodnik. - Tę ziemię orano, przekopywano, odżywiano, wygładzano jak poemat! Proszę zerknąć na przykład na drogę wiodącą z północy na południe... Zaskoczę pana, mówiąc, że to ścieżka człowieka zagubionego, który nie zważa na Niebiosa ani na wspólne dobro, skupiając się wyłącznie na świecie pozorów i iluzji? Iść tą drogą to zmylić kierunek, poświęcić wszystko człowiekowi, odchodząc od Boga i zapominając o życiu wiecznym. To nie jest droga prawości wskazywana przez Ludwika Wielkiego!

- A zatem rzeczywiście jesteś pan filozofem!

Normandczyk roześmiał się.

- Och, tylko troszkę! Przyznaję jednak, że pracowałem u pana Woltera i czerpałem ogromną przyjemność z troski o jego ogród. Czasem, wieczorami, rozmawialiśmy i patrzyliśmy na zachód słońca. Ja wykonywałem ostatnie prace, on siedział w fotelu z nogami na krześle... Ale mniejsza o to.

- Proszę opowiadać.

- Pan Le Nôtre, który zaprojektował te ogrody, był artystą, panie de Lansalt! Może mi pan wierzyć lub nie, ale mój dziadek pracował u niego. To mi przypomina pewną anegdotę...

Pietro odkaslnął.

- No tak, przepraszam. Otóż, jeżeli na przykład pójdzie pan na zachód od ogrodu Latony, zobaczy pan rozwidlenie, trzy drogi...

Oparłszy na chwilę miotłę o ramię, odwrócił się i rozłożył ręce. Gestami wskazywał

Pietrowi różne strony ogrodu.

- Droga Północna, pod okiem surowej Pallas, to droga odpowiedzialności i pracy.

Południe ciągnie nas ku rozkoszy i błahym myślom... A przed panem otwiera się jedyna droga prawości - Prosta Droga, Aleja Królewska! Te ogrody są niczym bajka. Snują opowieści! I jak już mówiłem, mają swój morał...

- Doskonale... Wróćmy jednak do moich kwiatów, jeżeli łaska...

Pietro skupił się, przypominając sobie wszystkie składniki perfum śmierci.

Lilia, złotowłos, belladonna, aron, irys bagienny. Same kwiaty... i bazylia.

Normandczyk słuchał cierpliwie, potem zagryzł usta:

- Tak, panie de Lansalt, rzeczywiście, kwiaty mają swoją mowę... Jej tajemnica sięga zapewne czasów, kiedy człowiek usiłował przeniknąć sekrety natury, poznając kwiaty. Kiedy pracuję w tych ogrodach, panie de Lansalt, gawędzę z nimi, być może, szukając części siebie.

- Nigdy pan nie przestaje...

Normandczyk znowu się roześmiał.

- Ogrodnik, filozof... To po trosze to samo, prawda? Tego fachu nie wybiera się przypadkowo. Proszę mi jednak przypomnieć kwiaty z pańskich perfum.

- Otóż... Otóż jest tam lilia.

Normandczyk wyprostował się i podrapał po głowie.

Potem wsparł łokieć na kiju miotły.

- Lilia. Niewątpliwie to najprostsze pytanie. Mówi się, że wyrosła z kropli mleka, która spłynęła z piersi Hery, kiedy Zeus pozwolił Heraklesowi ssać ten dający nieśmiertelność pokarm. Jedna taka kropla stworzyła Drogę Mleczną, z drugiej zrodziła się lilia. Afrodyta pozazdrościła jej bieli i obdarzyła wyjątkowo dużym słupkiem...

- Urocze.

- Symbolizuje też najwyższą szlachetność i dlatego jest kwiatem naszego dobrego króla. W średniowieczu ukazywano ją jako kwiat o trzech płatkach oznaczających Wiarę, Wiedzę i Rycerskość. Trzy kwiaty lilii na lazurowym tle, a do tego złoto to Francja! A w ogrodach można było na nią natrafić niemal wszędzie, jako na symbol rycerskiej miłości...

Podobnie jak na różę.

Pietro pomyślał o czerwonej róży, którą Bajkarz niezmiennie znaczył swój szlak.

- Powiedziałaś: róża... Co sądzić o takim skojarzeniu?

- No cóż... Jeśli lilia oznacza króla, to róża królową!

Królowa kwiatów, Afrodyta i jej piękno. Kupidyn, syn Marsa i Wenus, nosił wiosną koronę z róż jak Priap, bóg płodności i ogrodów. Mój święty patron!

- Ale róża i lilia? Czy to może mieć... wymowę polityczną?

Ogrodnik zastanawiał się przez chwilę.

- Tak... Róża odegrała niezwykle ważną rolę w Anglii.

- W Anglii?

Pietro zawiesił głos.

- To dynastia Plantagenetów, panie de Lansalt.

- A, prawda... Przeciwstawiła sobie dwa obozy w rodzinie. Wojna dwóch róż za Henryka VI! *Red for Lancaster, white for the York*. Toczyła się walka o koronę!

- Właśnie.

- Król, wojna, miłość, Anglia... Deklaracja? Nic z tego nie rozumiem.

- Róża i lilia. To starcie dwóch sił, panie de Lansalt. Dwóch koronowanych głów.

Pietro westchnął i zwrócił oczy na czubki pantofli, którymi uderzał o piaszczysty grunt.

- Obawiam się, że dałem się wciągnąć w piekielny zamęt. Chyba powinienem spojrzeć na to wszystko z innego punktu widzenia.

- Proszę się nie zniechęcać. A reszta składników?

- Był tam złotowłos.

- Kwiat elizejskich duchów. Kwiat dla zmarłych herosów...

Jaki to ma związek z morderstwami, zastanawiał się Pietro.

Czyżby chodziło o tajnych agentów?

- Złotowłos to kwiat żałobny. A także symbol utraconej miłości. Razem z różami rośnie na klombach, o tam... Sadzono go w pobliżu grobów, bo zmarli mieli się ponoć zajadać jego korzeniami. Niektóre odmiany, jak *Asphodelus ramosus*, także nawiązują do władzy królewskiej. Czy to już wszystko?

- Nie. Belladona?

- Szkodliwa roślina o kwiecie trującym tak silnie, jak tojad! Nazywa się ją piękną panią, ale to

oczywiście ludowa nazwa. Ta prawdziwa brzmi *Atropa belladonna*. Doprawdy, po cóż panu tak niebezpieczny bukiet?

- Żeby zrobić niebezpieczne perfumy.

- Ta roślina jest kojarzona z najstarszą z trzech Perek. Służy przecinaniu nici przeznaczenia śmiertelników. To już koniec?

- Został aron.

- Symbolizuje tylko jedno: pułapkę.

Pułapka...

Pietro bezwiednie się cofnął.

Pułapka Wersalu. I oto jestem na miejscu.

Pokręcił głową i spojrzał ogrodnikowi w oczy.

- I jeszcze coś, ostatni element. Irys bagienny... a poza tym ziele bazylii.

Normandczyk zmrużył oczy.

- Proszę, proszę... Przed chwilą mówiłem panu o lili. Najciekawsze jest jednak, że heraldycznym kwiatem Domu Francji nie była w rzeczywistości lilia, lecz irys. To dość szczególna odmiana: irys bagienny o żółtych kwiatach i mieczowatych liściach.

- Czyli królewska lilia to irys?

- Tak. Wziął nazwę, jak wiele innych, od imienia greckiego bóstwa. Jak lilia i orlik, symbolizuje czystość, a także Mękę Pańską i Zmartwychwstanie. Łączy się go z grzechem pierworodnym. Jednak ta specyficzna odmiana... ten kwiat ma kłocze o cierpkim, odpychającym smaku. Robiono z niego maści, którymi smarowali się czarownicy, panie de Lansalt. To kwiat sabatów!

- Żaden z moich kwiatów nie symbolizuje więc wprost... morderstwa?

- Nic mi o tym nie wiadomo. Ale mamy tu odpowiednik...

- Doprawdy?

- Bazylia to nienawiść.

Pietro zaniemówił. Stał i pocierał ręką czoło. Coraz bardziej powątpiewał w trafność swoich przeczuc. Tym razem intuicja chyba go zawiodła. A jednak... wciąż miał wrażenie, że za mgłą czai się bolesna prawda.

„Idź za wonią śmierci”.

Róża i lilia. Starcie dwóch potęg. Dwóch koron. Złotowłos, kwiat zmarłych bohaterów. Belladonna, trucizna. Aron jako zasadzka. Irys bagienny - sabat Bajkarza. A wszystko to przyprawione bazylią nienawiści.

Pogrążony w rozmyślaniu Pietro nie wiedział, czy popada w szaleństwo, czy też wreszcie do czegoś doszedł. Stał, wpatrując się w piasek pod nogami. Był wzburzony.

Podążając od substancji, która zabiła Lansqueneta, poprzez jej składniki do kwiatów, w których zapisana była tajemnicza bajka, zdawał się iść za wonią śmierci rozsiewaną przez Bajkarza od początku tej sprawy. Ślad był subtelny, a zarazem... niebezpieczny.

- Stokrotne dzięki, przyjacielu. Być może wyświadczyłeś Jego Królewskiej Wysokości wielką przysługę, choć nie potrafiłbym teraz powiedzieć jaką.

- Kwiaty to moja pasja, a służba królowi zaszczyt... choć jestem filozofem - odparł lekko sarkastycznym tonem.

Pietro uśmiechnął się i już zamierzał odejść, gdy coś mu się przypomniało.

- A skoro już o tym mowa... - I znowu się uśmiechnął: - Co powiesz o orchidei, panie filozofie? Dokładniej: o czarnej...

Normandczyk także się uśmiechnął.

- Oznacza zapach, panie de Lansalt. Niezwykły zapach.

Przez chwilę stali w milczeniu. Potem Pietro szczerze się roześmiał.

Normandczyk wrócił do zamiatania liści, a Viravolta, wciąż zamyślony, odszedł.

Gdy zbliżał się do schodów wiodących na tarasy, od balustrady podszedł do niego jakiś człowiek, którego twarz zasłaniał szal. Chwycił Viravoltę za rękę, wciąż kryjąc się w cieniu.

Czarna Orchidea odruchowo sięgnął po szpadę.

Spod szala dobiegał głos.

- Tędy, V. Szukałem pana.

Pietro stał przez chwilę bez słowa, nie zamierzając iść za tym głosem. Mężczyzna westchnął i odsłonił twarz.

Teraz Viravolta wiedział już, z kim ma do czynienia.

- Skoro skończył pan pogawędkę i wążanie kwiatów...

Stał przed nim hrabia de Broglie.

- Viravolta, musimy porozmawiać.

* * *

W tym samym czasie agent specjalny Korony wchodził do ogrodów Buckingham House w sercu Londynu. Przybył z Francji, aby przekazać wysoce niepokojący raport.

Przeszedł przez St James's Park, a potem wkroczył do królewskiej rezydencji, każąc zaanonsować się Jego Wysokości George'owi Williamowi Frederickowi, zwanemu Jerzym III, elektorowi Hanoweru, Królowi Zjednoczonego Królestwa i Irlandii. Po dopełnieniu nieodzownych formalności, przejściu przez bramę oraz labirynt korytarzy został skierowany do ogrodów. Zaanonsowano go lordowi Stormontowi, jednemu z najbliższych doradców króla, zazwyczaj pełniącemu urząd angielskiego ambasadora we Francji, który na krótko powrócił do Londynu. Szpieg strzelił obcasami i złożył raport. Przekazując informacje, zerkał

od czasu do czasu na królewską postać w peruce i obszernym czerwonym płaszczu ze złotymi galonami, zdobionym gronostajami. Jerzy III zdawał się pochłonięty różanymi krzewami.

Kupił tę rezydencję w roku 1761, a następnie podarował ją swej młodej małżonce Charlotte.

Lubił zaszywać się tu z rodziną. Teraz, oczekując na długie spotkanie z najważniejszymi ministrami, które miało się zacząć za godzinę w St James's Palace, król zażywał tu odpoczynku. Chętnie przechadzał się po ogrodach, obserwował rosnące tu krzewy, róże i polne kwiaty. Na ręce miał rękawiczkę, by bez obawy dotykać kolczastych róż. Lord Stormont, podparłszy brodę ręką, w najwyższym skupieniu słuchał agenta. Wkrótce podziękował mu za raport i podszedł do Jego Wysokości.

- Król Francji nie żyje - powiedział.

- Nie żyje? - powtórzył w zadumie Jerzy III. - A zatem stało się.

- Niepokojące jest, Wasza Wysokość, to, co dzieje się na szczytach naszego kontrwywiadu. Pewne poczynania wymykają się spod kontroli.

- Cóż robi lord Stevens?

- Nie wiem. Zareczam jednak, że możliwie najszybciej to ustalę. Ponoć przygotowuje operację, zgodnie z instrukcjami Waszej Wysokości. Ta operacja nosi nazwę... „Party Time”.

Jerzy III spojrzał na niego z ukosa.

- „Party Time”? Na Boga, cóż to ma znaczyć?

Lord Stormont rozłożył ręce.

- Ależ nie mam pojęcia! Proszę mi jednak wierzyć... Ustalę to!

Jego Wysokość cmoknął i puścił kolczastą gałązkę róży, którą trzymał w ręku.

- Może czas przywołać lorda Stevensa do porządku. Proszę mnie o wszystkim informować na bieżąco.

Potem, już jakby nieobecny duchem, powrócił do swoich róż. Stormont, spoglądając na ogrody, rzekł posępnym głosem:

- *I will, Your Majesty.*

„Party Time”.

Loteria Narodowa

DOMENA KRÓLEWSKA W CHOISY

Czy to możliwe?

Stojąc w oknie swoich apartamentów w Choisy, Maria Antonina nie mogła skupić myśli.

Dopiero teraz rzeczywistość zaczynała do niej docierać. Po raz pierwszy doznała wstrząsu tuż przed wyjazdem z Wersalu, słysząc, jak jej świta poleca sprowadzić „konie królowej”. Krajobraz drgał przed jej oczyma. Osłoniła usta chusteczką. Serce skakało jej w piersi. Wraz z małżonkiem szła korytarzami, pośród tłumu dworzan, mając za sobą hrabinę Prowansji oraz hrabinę i hrabiego d'Artois. W karetce, która wiozła ją do Choisy, napięcie było niemal namacalne. Pod wpływem emocji hrabina d'Artois przejęzyczyła się. Wszyscy wybuchnęli histerycznym śmiechem. Po przyjeździe do Choisy, z dala od wersalskiego smrodu, można było odetchnąć świeżym powietrzem. Ta chwila zdawała się sprzyjać spokojniejszej analizie sytuacji. Spoglądając na piękny ogród, młoda kobieta próbowała zebrać myśli. Była oszołomiona żałobą, jednak z tych odczuć wolno wyłaniała się wspaniała i przerażająca przyszłość.

Królowa Francji!

Przez chwilę obserwowała tańczące na wietrze gałęzie drzew. Potem usiadła i sięgnęła po pióro. Wolno zanurzyła je w kałamarzu, pochyliła się i uśmiechnęła do pewnego wspomnienia. Po zakończeniu ceremonii ślubnej cała rodzina przeszła podpisać kontrakt ślubny. Król podpisał go tylko imieniem Ludwik, a delfin - Ludwik August, bardzo starannie kreśląc każdą literę. Potem pochyliła się Maria Antonina, by napisać Maria Antonina Józefina Joanna. Ale przy pierwszym „J” zrobiła dużego kleksa. Może to przez krótkie wahanie po

„ina”, na końcu imienia Antonina. Nie przywykła do nowego podpisu w języku francuskim.

Na chrzcie nadano jej imiona Maria Antonina Josepha Joanna. W domu nazywano ją Antoine, bo

imiona o francuskim brzmieniu były chętnie nadawane na dworze wiedeńskim.

Kleks.

Parsknęła śmiechem, potem jej oczy się zamgliły.

Wszystko to wydawało się tak odległe...

Teraz pisała do matki, cesarzowej Marii Teresy Austrackiej.

Nie potrafię powściągnąć zachwytu nad przychylną mi Opatrznością, która wybrała mnie, najmłodsze z Twych dzieci, na królową najpiękniejszego królestwa Europy. Bardziej niż kiedykolwiek czuję, że zawdzięczam to mojej mądrej Matce, która zadała sobie tyle trudu, by zapewnić mi taką pozycję...

Wstała po chwili i, zamyślona, zajęła się układaniem bukietu z lilii.

Ludwik XV zmarł. Maria Antonina miała wrażenie, że część jej własnego życia odchodzi wraz z nim. Lubiła Papę-Króla, a on zawsze okazywał jej życzliwość i troskę, mimo kilku drobnych niedomówień. Było jej smutno, czuła się trochę zagubiona. Ale czyż całe jej życie od chwili przyjazdu do Francji nie było właśnie takie? Jednak dziś, wśród tych mieszanych uczuć, pojawiła się i z wolna zaczynała dominować satysfakcja.

Ileż razy? Ileż razy musiałam staczać walkę?

Początkowo, niczym mała, żywiołowa owieczka, która pragnęła wszystko robić jak najlepiej, musiała uczyć się zwyczajów, intryg i strategii francuskiego dworu. Po przyjeździe wzięła się za nią stara hrabina de Noailles, jej dama dworu, „Madame Etykieta”, jak ją nazywała. W pałacu członkowie rodziny królewskiej byli panami, a zarazem niewolnikami.

Protokół nie zmienił się od czasów Ludwika XIV. Maria Antonina wkrótce odkryła, że etykieta to narzędzie wyrafinowanej walki o wpływy. Potrzebowała trochę czasu, żeby uchwycić wszystkie jej subtelności. Uwięziona w tym gorsecie od rana do wieczora, budziła się między dziewiątą a dziesiątą, wkładała suknię, odmawiała modlitwę, jadła śniadanie, składała wizytę damom króla, a o jedenastej się czesała. W południe zbierali się domownicy.

Królowa malowała się i myła ręce przed licznie zgromadzonymi dworzanami. Nauczyła się, jak różnicować powitania - od skinienia głową po wdzięczny skłon, zależnie od wchodzącego. Potem przebierała się i szła na mszę, spacerowała, uczestniczyła w rozrywkach i zajęciach, jadła kolację i tak do ceremonii kładzenia się, przed pójściem spać. Specjalistka od ukłonów, po mistrzowsku operująca trenem i kryoliną, Maria Antonina udoskonaliła pewne techniki i stała się niedościgniona. Od czternastego roku życia była pierwszą damą Wersalu. Jak nikt inny „płynęła” po parkiecie, niemal się nad nim unosząc. Szybko zrozumiała, jak bardzo Wersal pożąda plotek i kłótni. Tu sikało się za zasłoną, żeby potem, z rękami upačkanymi jeszcze moczem, niszczyć wrogów, uśmiechając się pod maską z pudru.

Była przewrażliwiona na jednym punkcie i doskonale o tym wiedziała - chodziło o zdolność do poczęcia potomka. Matka powiedziała jej jasno, że od tego zależy przymierze francusko-austriackie,

a zatem i równowaga Europy. W swoich listach cesarzowa nieustannie powtarzała, że szczęście małżeńskie zależy od zalet żony. Maria Antonina nie szędziła sił, ale na darmo. Mówiło się o „oziębłości”, po cichu o niemocy jej męża. Szeptano o stulejce.

Początkowo król i dwór nie byli zaniepokojeni, składając wszystko na karb nieśmiałości delfina. Jednak w końcu król zaczął się martwić tą sytuacją. Jego wnuk trawił całe dnie na polowaniach. Pojawienie się na dworze było dla niego torturą. Nad apartamentami miał

warsztat i nie próbując nawet zrozumieć potrzeb żony, poświęcał długie godziny na robienie kluczy i demontowanie zamków. Czasami pomagał pałacowym robotnikom w ich podłej pracy, często snuł marzenia, czytając książki historyczne i geograficzne. Maria Antonina, wbrew radom matki, która lękała się o zdrowie córki, przyłączyła się do polowań. Ta rozrywka pozwalała jej otaczać się uroczym towarzystwem i urządzać pikniki, podczas których, ku rozpaczy hrabiny de Noailles, nie obowiązywał protokół. Polityka i interesy śmiertelnie ją nudziły. Zresztą niewiele z tego rozumiała. Ludwik próbował różnych kuracji -

kąpieli, naparów, a nawet opiłków żelaza. Rozważano zabieg chirurgiczny, ale lekarze stwierdzili, że żadne fizyczne przeszkody nie uniemożliwiają skonsumowania małżeństwa. A może Ludwik nie chciał być silny i płodny? Może nie chciał być podobny do dziadka?

Maria Antonina informowała matkę o swym życiu seksualnym. I oto cudem 22 lipca 1773 w Compiègne Ludwik August, przed wyjazdem na polowanie, odniósł zwycięstwo.

Udało mu się! Czym prędzej pospieszył obwieścić nowinę królowi, który uściskał go z radością i poczuciem ulgi. Pierwsza przeszkoda została pokonana, ale dziecka wciąż nie było.

Tymczasem hrabia Prowansji, a potem hrabia d'Artois zawarli małżeństwa. Odtąd w Wersalu były trzy książęce pary. Spacery, polowania, bale i spektakle znów wypełniały dnie. Maria Antonina wciąż czekała, bojąc się, że któraś ze szwagierek wcześniej niż ona zostanie matką.

Wątpiła, ale nie traciła nadziei.

Dziecko? Kiedy będę miała dziecko?

Wydawało się, że chce czytać w księdze przyszłości.

Królowa Francji...

Na szczęście, zawsze mogła liczyć na wsparcie hrabiego de Mercy-Argenteau, ambasadora Austrii, jej mentora i opiekuna od chwili przyjazdu do Francji. Maria Antonina mogła rozmawiać z nim niemal o wszystkim. Był doświadczonym politykiem i wyświadczał

jej wiele przysług. Zawsze będzie jej pomagał. Poza tym śmierć Ludwika XV miała jeden pozytywny skutek. Pani du Barry nigdy więcej nie przestąpi progów pałacu królewskiego.

Wojna między nimi dwiema trwała długo. Postępowanie Papy-Króla w tej sprawie oburzało Marię Antoninę. Przyzwyczajona do cnót i surowości zasad obowiązujących w Wiedniu, porcelanowa

laleczka przez pięć lat na każdym kroku przeciwstawiała się powabnej faworycie. Teraz mogła działać swobodnie. Z rozkazu konającego króla hrabina opuściła Wersal, gdzie królową była teraz Maria Antonina. Może uda się jej także doprowadzić do odprawienia Aiguillona, który nigdy nie krył niechęci do przymierza z Austrią, i skłonić męża do ściągnięcia na dwór Choiseula.

Tak, nauka była trudna.

Uśmiechnęła się. Teraz moja kolej.

Usiadła przy biurku, by napisać list. Miała tyle przemyśleń! Teraz wiedziała już, jak wykorzystać swą pozycję. Po powrocie do Wersalu sama zajmie się dworskimi rozrywkami, będzie wydawała bale, uroczystości, będzie organizowała przejażdżki i spacerzy. Miała do tego talent. Będzie najpiękniejsza, pierwsza, stanie się dla Francji i świata wzorem, przyda królestwu blasku i świetności, jakiej mu trzeba. Wersal! Matka w Wiedniu będzie z niej dumna! Uczyni z życia święto, a nie drogę krzyżową. Chciała się śmiać, szaleć, porwać Francję do tańca! Czula, że się rumieni, policzki ją paliły.

A głos w głowie powtarzał:

Królowa! Królowa Francji!

* * *

Odważmy się... Trzeba mieć odwagę.

Na drugim końcu posiadłości Choisy Ludwik August, wygodnie oparty w fotelu, korzystał z krótkich chwil samotności, by przemyśleć nową sytuację. Zaszycie się tu w gronie bliskich było miodem na jego serce. Podjął ryzyko, pozwalając Paniom Ciotkom, by mu towarzyszyły. Wiedział, że niemal do końca czuwały przy swoim ojcu i mogły się zarazić, ale kochał je i pragnął, by w dniach żałoby były blisko niego i reszty rodziny. Mimo to nie potrafił zapanować nad lękiem. Gorąco żałował, że wcześniej nie poświęcał dość uwagi sprawom państwowym.

Dlaczego dziadek nie wymagał od niego obecności na Radach? Czy zawsze uważał go za piąte koło u wozu? Dziś Ludwik dotkliwie odczuwał swą słabość. A przecież musiał

udowodnić, że jest prawdziwym władcą. Ministrowie nigdy dotąd nie słuchali go z uwagą. Z

jego winy. Sprawy państwowe po prostu go nudziły. Teraz musiał stanąć na wysokości zadania. Nie mógł już dłużej bawić się w myśliwego i ślusarza. Obawa przed szerzeniem się ospy nie pozwoliła mu dotąd spotkać się z ministrami. Należało z tym zaczekać, choć priorytetem było teraz utworzenie nowego rządu.

*

Nie miał wystarczającego w tym względzie doświadczenia. Potrzebował kogoś zdolnego mu pomóc w kierowaniu krajem. Wezwany pilnie Sartine zmarnował daną mu szansę. Tak rozmyślając, Ludwik August przechadzał się po ogrodach, rozczarowany i bezsilny. Zwykł splatać ręce na plecach i

pochyłać głowę, wpatrując się w ziemię i pozwalając czekać ludziom, którzy chcieli wiedzieć, co postanowi. Sprawa Aiguillona właściwie została już rozstrzygnięta. Książę był sprzymierzeńcem hrabiny du Barry, a to komplikowało sytuację. Król wiedział, że Maria Antonina bez wahania zaproponuje Choiseula, którego zwolennicy już się mobilizowali, licząc na powrót do łask. Jednak Ludwik nie zapomniał, jak Choiseul przeciwstawił się niegdyś jego ojcu, świętej pamięci delfinowi, i to w bardzo drażliwych sprawach. W tej sytuacji król nie chciał ani barrystów, ani choiseulistów. Boże, jak to wszystko się komplikowało! Kogo prosić o radę?

Ludwik - bo tak odtąd miał się nazywać Ludwik August, musiał przywyknąć do skróconej formy imienia - darzył braci ograniczonym zaufaniem. Znowu pozostawało mu zdać się na opinię ciotek. Adelajda pojawiła się, aby go poinformować, że chętnie wręczy mu listę osób nadających się do pełnienia najwyższych stanowisk. Utrzymywała, że listę tę sporządził

niegdyś jego zmarły ojciec, delfin Ludwik Ferdynand, syn Ludwika XV, co było gwarancją, że są to ludzie godni zaufania.

Młody król zwrócił oczy na papier, który trzymał w ręce. I znowu przyszły mu na myśl słowa, których tak bardzo się bał:

Nie poradzę sobie!

Cóż z tego, że przygotowywał się na to, co musiało się stać, i stało się o wiele za wcześnie! Co innego wyobrazić sobie siebie w królewskich szatach, z insygniami władzy, co innego naprawdę wziąć ten ciężar na własne barki. Poczul ściskanie w gardle. Zapanował nad drżeniem ręki. Nie wiedział, dlaczego właśnie teraz na myśl nasunęło mu się wspomnienie.

Było to podczas balu urządzonego dla małych księżąt. Zorganizowano loterię i każdy miał podarować swój los osobie, którą najbardziej lubił. Królewskie dzieci bardzo szybko otrzymały mnóstwo upominków. Ludwik August patrzył, jak biegają, śmiejąc się, pokrzykując z radości, wymieniając całusy. Stał, obserwując tę gromadkę, sam jednak miał

puste ręce, bo nikomu nie przyszło do głowy, żeby obdarować właśnie jego. Kiedy w końcu dostał zabawkę z loterii, nie zgodził się nikomu jej podarować i zatrzymał ją dla siebie.

Zarzucono mu, że nie przestrzega reguł gry. Odpowiedział krótko:

- Wiem, że nikt mnie nie lubi, ja też nikogo nie lubię i czuję się zwolniony z obowiązku dawania prezentów.

Zawsze go pomijano.

Dlaczego pomyślał teraz o tym epizodzie?

Od pewnego czasu Ludwik próbował wyzwolić się z kompleksów, patrzeć na siebie bez emocji. Zadanie nie było łatwe. Orli nos, wydatne usta, mocno zarysowana broda. A do tego brzydkie zęby. Twarz łagodziły nieco oczy krótkowidza, jakby wada wzroku nadawała im nieco więcej łagodności i ciepła. Wiedział, że jego głos ma nowe brzmienie i łatwo wchodzi na wysokie tony. Poruszał się

kaczym chodem, kołyszając się z powodu tuszy. Miał za to ogromną siłę. Jak przystało na Burbona, był wytrawnym myśliwym i doskonałym jeźdźcem, niemal urodzonym centaurem. Czy wykaże się zdolnością podejmowania decyzji, dokonywania wyborów, poprowadzenia królestwa, którego stał się przewodnikiem? Wziął

głęboki wdech, potem zakręciło mu się w głowie. Źle się czuł. Odkaslnął. Po chwili wstał i poszedł po pióro, które zanurzył w kałamarzu.

On też musiał napisać list.

Panie, w wielkim bólu, który na mnie spadł i który dzielę z całym królestwem, muszę jednak wypełniać swe obowiązki. W tym jednym słowie zamyka się wiele zobowiązań, ja zaś mam zaledwie dwadzieścia lat. Nie sądzę, bym posiadał niezbędną do tego wiedzę. W dodatku nie mogę spotykać się z żadnym z ministrów, wszyscy bowiem przebywali z chorym królem. Wiele słyszałem o Pańskiej prawości i dogłębnej znajomości spraw państwowych, której to zawdzięcza Pan swą reputację. To właśnie skłoniło mnie, by Pana prosić o wsparcie radą i wiedzą. Będę zobowiązany, jeśli zechce Pan jak najprędzej przybyć do Choisy, gdzie powitam Pana z największą przyjemnością...

Tak, potrzebował mentora, który byłby zarazem pierwszym ministrem i najwierniejszym sługą. Przerwał, by raz jeszcze spojrzeć na listę potencjalnych kandydatów.

Kardynał de Bernis? Nie ma mowy o ściągnięciu na dwór zwolennika „Mamuški Ladacznicy”, jak Ludwik August i jego ciotki nazywali Pompadourkę. Machault? Dlaczego nie? Oddalony niegdyś przez Ludwika XV, był zwolennikiem równości podatkowej, pragnął

walczyć z nadużyciami. Mimo że miał już siedemdziesiąt trzy lata, tryskał energią. Z

pewnością zaproponowałby wizję polityczną dla Francji. I potrafiłby naprawić finanse.

Oczywiście, zaczęłyby od ataku na przywileje i część szlachty zaczęłaby się burzyć. Może jednak byłby to ten drugi, jakże potrzebny, oddech dla monarchii.

Ludwik XVI westchnął i po raz ostatni spojrział na listę. Nazwisko Machaulta było na niej podkreślone.

Posłaniec wyjechał w godzinę potem.

Los chciał, że galopując, zgubił podkowę.

Musiał więc zawrócić do Choisy.

Tymczasem Ludwik zmienił zdanie. Na myśl przyszedł mu ktoś inny. Ktoś, kto także był ministrem zmarłego króla i jak Machault stracił łaski władcy, ponieważ w roku 1740

pozwoił sobie na drwiny z Pompadourki. Odtąd przebywał na wygnaniu w Pontchartrain, niedaleko od Wersalu. Był już stary, ale doskonale znał arkana władzy. Uprzejmy, doświadczony, potrafił trzymać się z daleka od sporów i knowań. Zdecydowany, ale dyskretny, z pewnością pomógłby

młodemu królowi dźwigać ciężar władzy. I Maria Antonina nie miałaby nic przeciwko niemu. Ustępując Adelajdzie, która walczyła o tego kandydata, Ludwik XVI zmienił decyzję.

Drugie nazwisko zostało podkreślone na liście.

Maurepas.

Przy nim sytuacja się uspokoi.

Król polecił wezwać królową, aby ta przekazała wiadomość Paniom Ciotkom.

I kurier znów ruszył w drogę.

Ludwik XVI westchnął. Teraz musiał pomyśleć o dalszym składzie rządu.

Maurepas mu pomoże, jeśli przyjmie propozycję.

Odwagi, do diabła, muszę mieć odwagę!

*

Właśnie wtedy Guimard, odźwierny, poprosił o widzenie z królem. Przyszedł z polecenia intendenta d'Ogny, odpowiedzialnego za pocztę. Dlaczego prosty odźwierny prosi nagle o rozmowę z królem, dlaczego tak nagle i ma tak mocne poparcie? Ponoć miał do przekazania wielkiej wagi list informujący o sprawach, które nie mogły czekać. Wszystko to wydało się Ludwikowi bardzo dziwne.

Przyjął Guimarda.

Odźwierny wręczył mu zalakowany list. Podpisał go hrabia Charles de Broglie.

Król chwycił list i rozciął go nożem do papieru.

Ale... cóż to miało znaczyć?

Istnienie Czarnego Gabinetu.

Prawda o dwudziestu ośmiu latach paralelnej dyplomacji prowadzonej przez dziadka.

Sekret Króla.

Ludwik XVI z przerażeniem odkrywał prawdę, która wydawała się nieprawdopodobna.

Droga śmierci

ORANŻERIA W WERSALU

Oranżeria przypominała małą katedrę. Przestronna, wysoka, o doskonałej architekturze, wznosiła się na wprost ogrodów Le Nôtre'a. Długą galerię centralną, zwróconą na południe, otaczały dwie inne

pod Stu Schodami. Całość otwierała się ogromnymi oknami na Dolny Klomb zamykający ją niczym w szkatułce. Le Nôtre pragnął w ten sposób ukazać

„wieczną wiosnę ogrodu Hesperyd”. Okrągłą sadzawkę pośrodku otaczało sześć gazonów.

Zimą ponad tysiąc drzew w donicach znajdowało tu schronienie przed chłodami. Wtedy oranżeria zamieniała się w las. Gdy było ciepło jak teraz, drzewa wystawiano na Dolny Klomb, którego były wówczas jedyną ozdobą.

I właśnie w tym uroczym miejscu ukryli się Pietro i szef Czarnego Gabinetu. Drzewka pomarańczowe z Portugalii, Hiszpanii i Włoch, drzewka cytrynowe, wawrzyny granatowca i setki innych roślin osłaniały ich przed spojrzeciami. Przycięte w kule drzewa rosły w drewnianych donicach, których wygląd nie zmieniał się od XVII wieku. Broglie i Wenecjanin przeszli obok pozostawionej tu dwukółki, by usiąść pod arkadami galerii. W dole, w słońcu, ogrodowa balustrada na południowym skraju klombów biegła aż do drogi z Saint-Cyr, za którą mieli swą łaźnię szwajcarzy.

Pietro rozejrzał się wokół.

Wieczna wiosna ogrodu Hesperyd.

- Chciałem się z panem zobaczyć - powiedział Viravolta.

- A zatem jestem.

- Nie mógł pan lepiej trafić. Właśnie zamierzałem jechać do pana do Ruffec.

Przed Wenecjaninem stał Charles-François de Broglie w granatowym surducie o długich rękawach i bogato zdobionym kołnierzu. Zsunął szal z kapelusza. Pietro przez chwilę obserwował jego mocno zarysowane brwi, zmarszczki na czole i w kącikach oczu, wąskie usta. Broglie! Potomek twórców pierwszych francuskich służb wywiadowczych! Stworzone za panowania Ludwika XIII, doskonalone przez szarą eminencję kardynała de Richelieu, ojca Josepha, przebiegłego kapucyna, służby te miały w przeszłości wielu sławnych agentów, jak baron Hercule de Chamacé czy François Langlois, niegdyś proboszcz Saint-Germain-l'Auxerrois. Pierwsza siatka odniosła wiele sukcesów, między innymi ocaliła La Rochelle przed atakiem z morza, a w lipcu 1640 roku dała nauczkę hiszpańskiej flocie w pobliżu Przylądka Świętego Wincentego. Służby, choć osłabione za czasów Ludwika XIV, kiedy to kierował nimi energiczny, znany dowódca policji, La Reynie, przetrwały. Rozkwitła wtedy kryptologia, a ojciec i syn Rossignolowie opracowali „Wielki Szyfr”, system bardzo długo nierozpracowany przez wroga. Morskie wyprawy szpiegowskie przyczyniły się do rozkwitu handlu z koloniami francuskimi. W epoce Charles'a de Broglie narodził się Sekret Króla.

Siatka zaangażowała wyłącznie wysokiej klasy specjalistów, dla których pracowali oddani bez reszty agenci. Niestety, nie udało się zapobiec wojnie siedmioletniej czy utracie Kanady.

A dziś, podobnie jak książe d'Aiguillon, Broglie znalazł się w bardzo trudnej sytuacji.

Wyglądał na zdenerwowanego. Pietro czekał, aż zacznie rozmowę.

- Viravolta, przyszedłem tu, ponieważ i ja muszę z panem chwilę pogadać. Och, to wygnanie mnie zabija! Widzi pan, dwór nigdy nie przepadał za moją rodziną. Za życia świętej pamięci delfina mieliśmy przynajmniej potężnego sprzymierzeńca. Mój stryj, opat de Broglie, miał na niego i delfinę duży wpływ. Gdyby nie te przekłete suchoty, już dawno wróciłbym do łask! Opat chciał dać memu bratu Victorowi-François Ministerstwo Wojny, a mnie Ministerstwo Spraw Zagranicznych...

- Jeszcze nie wszystko stracone. Pozwoli pan, że o coś zapytam: jak działa Sekret Króla?

Charles de Broglie westchnął, a potem, nie kryjąc irytacji, zaczął krążyć w pobliżu rozmówcy.

- Jak działa Sekret! Bogowie, nie mam pojęcia! Nie wiem, co postanowi Ludwik XVI.

Jak dotąd Aiguillon wciąż piastuje stanowisko! A skoro już o tym mowa...

Przystanął, zmrużył oczy, patrząc na Czarną Orchideę.

- Czy on z panem rozmawiał?

Pietro po krótkim namyśle postanowił grać w otwarte karty.

- Tak. Jego także niepokoi obecna sytuacja, ale z pewnością pana to nie dziwi. Teraz, gdy du Barry odeszła, obawia się, podobnie jak pan, że jego dni na dworze są policzone.

- Faktycznie, jak ja! Załóżmy, że Aiguillon odejdzie z rządu. Czy jego miejsce znowu zajmie Choiseul? Wciąż cieszy się szacunkiem króla, a zwłaszcza królowej! Przymierze z Austrią to on! Od dwudziestu lat powtarzam, że nie jestem wrogiem takiej polityki, ale to nie trafia do Marii Antoniny! Wszystko, czego chciałem, Viravolta, to wzajemność, prawa, ale i idące za nimi obowiązki! A tymczasem Francja zachowała się jak pies, któremu kazano warować, i zaakceptowała wszystko, do czego dążyła Maria Teresa. Nie kiwnęliśmy palcem, kiedy ucztowała nad trupem Polski! Dopuściliśmy do tego! A ten akuszer nieszczęścia, Mercy-Argenteau, całymi dniami niańczy królową! Nie da mi zbliżyć się na krok! Ona tym bardziej! Jaki wpływ wywiera na króla? To najważniejsze pytanie. I co w związku z tym robi Ludwik? Co robi król?

*

Pietro słuchał tej mowy, obserwując przechadzającego się nerwowo Charles'a de Broglie.

- Mam wybór między Aiguillonem, który doprowadził do osłabienia Sekretu i afery Bastylji, a klanem Choiseula, który najchętniej ujrzałby mnie smażącego się w piekle. Księżę może w każdej chwili mnie skompromitować. A ja się zastanawiam, jaką rolę w tym wszystkim odegrał pan, Viravolta!

Hrabia de Broglie wyciągnął w jego stronę oskarżycielski palec.

- Nigdy nie powiedziałem księciu ani słowa na temat działań Sekretu i dobrze pan o tym wie - odparł spokojnie Pietro. - Służyłem panu i Jego Wysokości. Wie pan, jakie świadczyłem usługi i jak potrafiłem wykorzystać swoją niełatwą sytuację. Wypełniałem oficjalne i tajne misje z takim samym

oddaniem. Radzę nie przesądzać z góry, jaką decyzję podejmie król i jak potoczą się sprawy. Może wybór nie padnie ani na Aiguillona, ani na Choiseula. Ale skupmy się na agentach...

- Co powiedział panu książę?

- Powierzył mi pewną misję. Misję specjalną, dla której dobra gotów jest w razie potrzeby współpracować z panem! Bez względu na to, po czyjej stronie, w tej sprawie nie możemy być bezczynni. Coś się szykuje! Co pan wie o Bajkarzu?

- Proszę mi powiedzieć, co na ten temat wie Aiguillon, a wtedy porozmawiamy.

- Dotarły do niego informacje o kilku morderstwach i to go zaniepokoiło. Beccario, zwany Baronem, zabity w Sceaux podczas kolacji w oberży. Fanfreluche, Król Karo, w Trewirze. Pani de Boisrémy, zwana Wdówką, gdy wracała ze schadzki w Epinay. Manergues, zwany Meteorem, w Londynie. Co się dzieje?

- Niestety, to wszystko prawda, Viravolta. Te wydarzenia mają taki zasięg, że podejrzewałem nawet Aiguillona o przejście na stronę wroga.

- On także jest pełen obaw i przypuszcza, że zagrożenie może być większe, niż się nam wydaje. Król zmarł, Ludwik XVI nie zna się na polityce, państwo jest osłabione. Książę uważa, że możemy mieć do czynienia zarówno z wrogiem zewnętrznym, jak nawet z kimś z Sekretu. Dlatego potrzebuje pana i mnie. Charles, skąd Bajkarz mógł wiedzieć, kim jesteśmy?

Czy istnieje lista nazwisk? Czy ktoś przechwycił zaszyfrowaną wiadomość, tu lub gdzieś indziej - w Londynie lub w Wiedniu?

Charles zmarszczył brwi.

- W tej sytuacji pan i ja także należymy do kręgu podejrzanych, Viravolta.

- Proszę sobie wyobrazić, że książę ma też to na uwadze. Dlatego ma nadzieję, że uznamy jego gest za dowód zaufania, choć, przyznaję, w innej sytuacji powinniśmy może mieć się na baczności.

- Sekret funkcjonuje od dwudziestu ośmiu lat, Viravolta. Trudno wykluczyć, że ktoś z nas cierpliwie gromadził informacje, żeby wykorzystać je w odpowiedniej chwili. Siatka jest szczelna, ale nie ma zabezpieczeń, których mądry i zdeterminowany wróg nie zdołałby usunąć. Obaj doskonale o tym wiemy. Przecież pan także zna wielu moich agentów.

- To prawda... A inni? D'Ogny, Vergennes, d'Eon, Breteuil? Zostali ostrzeżeni? Czy trzeba ich ostrzec? Czy coś wiedzą?

Charles spojrzał Pietrowi prosto w oczy.

- Proszę mi zaufać. Ja także podjąłem już śledztwo.

- Wiemy, że troje pracowników perfumerii Fargeona zaopatrującego dwór wiedziało coś o osobie, a

może o zamiarach Bajkarza. Wszyscy zostali zabici, a najważniejszy wydaje się tu punkt wyjścia, niejaki Baptiste Lansquenet...

- Owszem, był jednym z naszych informatorów...

- I najwyraźniej odkrył prawdę. Podobnie jak Rosette i niejaki Crapaud. Perfumy, których użyto do zgładzenia Lansqueneta, mają niezwykły skład. I te bajki towarzyszące każdemu morderstwu...

Mówiąc to, Pietro pokazał mu kartkę, na której zapisał listę bajek sporządzoną przez Bajkarza.

Brogie wziął ją, uniósł brew, a potem szybko oddał Pietrowi.

- ...A my mamy grać role zwierząt.

- Dziesięć bajek, nie licząc już wykorzystanych dla innych. Dziesięć wybranych specjalnie z myślą o mnie to zapewne pożegnalny bukiet. Zostało ich jeszcze siedem.

- Ma do pana osobisty żal. O co?

- Nienawidzi mnie, ponieważ zabiłem... jego inspiratora, pierwszego Bajkarza. Tak przynajmniej sądzę. Opat Jacques'a de Marsille'a.

- Kimże był? Jego starszym bratem? A może ojcem?

- Opat?... Cóż, to całkiem możliwe - odparł Pietro. - Sądzę, że powinniśmy sięgnąć do archiwum Sekretu i wydobyć wszystko, co udało nam się zebrać na temat pierwszego Bajkarza. Być może śledztwo zostało przeprowadzone zbyt pośpiesznie. Proszę przejrzeć stare akta, wznowić śledztwo w sprawie Saint-Médard. Co do perfum, to niezrozumiałe. Nie wiem, do czego zmierza ten człowiek! Rozmawiałem z pewnym Normandczykiem, ogrodnikiem z zawodu, a...

Nagle Viravolta zamilkł.

Lilia, złotowłos, beladonna, aron, irys bagienny, bazylia.

Róża i lilia. Starcie dwóch potęg. Dwóch koron. Złotowłos, kwiat zmarłych bohaterów. Belladonna, trucizna Parki przecinającej nić ludzkiego losu. Aron - symbol zasadzki. Irys bagienny na wielki sabat Bajkarza. A wszystko przyprawione bazylią nienawiści.

„Idź za wonią śmierci”.

*

- To oczywiste. Te słowa wiele znaczą - powiedział Pietro, popadając nagle w zadumę.

- Co takiego? - zapytał hrabia.

- Tu chodzi o kogoś... - zaczął Pietro - kto jest wrogiem króla i królowej. Ale nie tylko... To wróg

całej monarchii.

Stał nieruchomo, całkowicie przekonany o trafności tej tezy.

- Ktoś chce rzucić na kolana państwo i władzę. Może być wrogiem wewnętrznym albo zewnętrznym. Wojna dwóch potęg...

Spojrzał na Charles'a.

- Lilia i róża. Francja i Anglia.

- Anglia? - zdziwił się Charles. - Wielki Boże, skąd to panu przyszło do głowy?

- To intuicja - odparł Pietro. - Proszę, żeby postarał się pan czegoś dowiedzieć. To nie jest niemożliwe. Bajkarz jest szaleńcem, nie ma cienia wątpliwości, że realizuje osobisty cel, że chce zemsty. Ale być może nie jest sam. Nie zdziwiłbym się, gdyby stał się trybikiem spisku na wielką skalę. Może jest wykorzystywany do celów politycznych. A jeśli taki sam los spotkał pierwszego Bajkarza?

Otrząsnąwszy się ze zdumienia, Charles zaczął rozważać taki scenariusz. Widząc jego zatroskaną twarz, Viravolta odgadł, że w tej chwili myśli kłębią mu się w głowie, jakby chciał

sam połączyć mnóstwo docierających do niego informacji. Był wszak sercem wywiadu, poznawał tyle tajemnic, że teraz mógł pokusić się o stworzenie spójnego obrazu sytuacji...

- Zrobimy tak, Viravolta. Ze swojej strony chcę najpierw ustalić, czy mamy poparcie króla, czy też nie. Trzeba ratować Sekret! Napisałem już list do Jego Wysokości. Och, nie rozpisywałem się o tych dwudziestu ośmiu latach służby, choć, do diabła, mógłbym!

I znów zaczął się nerwowo przechadzać.

- Przypominam mu, że zadanie to powierzył mi król, jego dziadek, a ja przyjąłem je, nie kryjąc zastrzeżeń. Widzi pan, jaki byłem uczciwy, Viravolta? Sam zaproponowałem, żeby poinformować Choiseula, a potem Aiguillona, o istnieniu Czarnego Gabinetu. Ale on się nie zgodził! Tylko on! Król!

- Wiem o tym.

- Aiguillon i pani du Barry mnie prześladowali. Taka jest prawda! Potem doszło do afery Bastylli i mojego wygnania. Ale Jego Wysokość pragnął mnie chronić. Wciąż zaszczycał mnie zaufaniem, za to teraz wpadłem w sidła! Chciał, żeby Sekret nadal działał, Viravolta. To bardzo kłopotliwe, ponieważ muszę poinformować o wszystkim nowego króla.

Raporty agentów będą spływały z zagranicy do Wersalu. A on nic z nich nie zrozumie.

Czekam więc na jego instrukcje, bez których nie wiem nawet, czy nadal istniejemy. A pozbycie się nas w tej chwili byłby potwornym błędem!

- Z pewnością - przyznał Pietro.

- Musimy działać. Ale do tego trzeba mi czegoś więcej niż intuicja. Potrzebuję dowodów! Niech pan posłucha... Rozmawiałem z Sartine'em i zwołałem na jutro naradę z dwoma czy trzema agentami. Wszyscy oni pełnili misję w Londynie, choć w różnych okresach. Być może przekażą mi cenne informacje. Znają sytuację, ale jeszcze nigdy się nie spotkali. Czekając na decyzję króla, musimy się wspierać. Wyzaczyłem im spotkanie w paryskiej kawiarni „Procope”. Pewnie pan tam bywał.

- Owszem, zaciągnięto mnie i tam.

- Proszę przyjść jutro o piątej po południu, Viravolta.

- Czy pan też tam będzie?

- Na pewno nie. Mam zbyt dużo ważnych zajęć. Zwłaszcza po tym, co od pana usłyszałem.

Po tych słowach Charles strzelił bystrymi oczyma w prawo, potem w lewo i osłonił

twarz szalem. Równocześnie szukał czegoś w kieszeni płaszcza. Wyjął z niej dziwną małą książeczkę.

- Anglicy! Tego tylko brakowało! Być może sytuacja jest groźniejsza, niż się nam wydaje. Niech pan sobie wyobrazi, że i ja dostałem wiadomość od Bajkarza.

- Co takiego?!

- To było w Ruffec. Ale, o dziwo, to jest przeznaczone dla pana.

Pietro nie wierzył własnym uszom. Patrzył na książeczkę. Przeczytał tytuł: *O sposobie pokazywania ogrodów Wersalu*.

Viravolta spojrział pytająco na Brogliego.

- To... królewski spacer, Viravolta. Nigdy pan o tym nie słyszał? Wielki Król, Ludwik XIV, osobiście napisał ten tekst. To swoiste zaproszenie do przechadzki i poznania ogrodów.

Oczywiście, najpiękniejszych na świecie. Taką trasę proponował tym, którzy pragnęli ujrzeć zachwycające pejzaże. A do zobaczenia było tak dużo, że w roku 1689 powstał cały przewodnik. Powtarzał takie spacerunki cztero- czy pięciokrotnie. Ta wersja nie została opatrzona datą.

Pietro wziął książeczkę do ręki, jednak nie rozumiał, o co tym razem chodzi.

- Ale... kto... jak... Co mam zrobić z...

- Bajkarz zaprasza pana na spacer!

Pietro otworzył książeczkę. I rzeczywiście, pod królewskim tytułem *O sposobie pokazywania*

ogrodów *Wersalu* ujrzał kilka wierszy spisanych chyba ręką wroga, który najwyraźniej ulegał naturalnej skłonności i dość przykreemu zwyczajowi pisania epigramatów i innych ironicznych wierszy.

„To znowu ja, drogi Viravolta;

Czy nadal grać ze mną dziś chcesz?

Idźmy zatem dalej perfum Miłym szlakiem!

To dla ciebie rada ma:

Po ogrodach idź za mną w ślad,

Ich alegorii poznaj czar.

Dołącz do mnie,

A na tej wielkiej scenie

Znajdziesz mnie”.

- Faktycznie wodzi nas za nos, jakby prowadził na spacer - wycedził przez zęby Viravolta.

- Ja nic z tego nie rozumiem, ale niech pan podąża tym tropem! Niech pan zabawia się kwiatami, a ja tymczasem spróbuję ocalić Sekret!

Pietro zniósł ten cios bez mrugnięcia oka.

- Zobaczymy, dokąd nas to zaprowadzi. I proszę jutro nie zapomnieć o „Procopie”. Ja natomiast zajmę się królem i naszymi sprawami. Pomogę panu, jak będę mógł i kiedy tylko będę mógł. Będziemy się kontaktowali przez d’Ogny’ego i Szyfr. Do zobaczenia, Viravolta.

Tylko proszę... Niech go pan znajdzie, choćby musiał pan wykopać go spod ziemi! Jeżeli się panu nie uda, czeka nas upadek władzy! I Sekretu! No i mój...

Gdy się odwracał, żwir zaskrzypiał pod jego stopami.

- ...A przy okazji, także pański.

* * *

Wkrótce Pietro znalazł się przed pałacem. Odwrócił się twarzą do ogrodu i przeglądał

książeczkę. Bajkarz i Król Słońce zachęcali, by zaczął spacer tu i teraz od tarasów, na których stał.

Przed nim rozpościerał się świat iluzji, sugestii, odwołań, alegorii - świat ogrodów. To była Mapa Czułości. Pietro nie umiałby powiedzieć, dlaczego nagle o tym pomyślał. Kraina Słodocy granicząca

na zachodzie z Morzem Wrogości, na wschodzie z Jeziorem Obojętności, na północy z Morzem Niebezpieczeństw dzielącym ją od *Terra incognita*, Krainy Namietnej Miłości. Czułości ze swymi trzema miastami: Czułym Przecenianiem, Czułą Słabością i Czułą Wdzięcznością... Po sławnej mapie pani de Scudéry można było wędrować od Nowej Przyjaźni do Zrozumienia, Uległości, Troskliwości, Wrażliwości, Czułości, Posłuszeństwa i Ufnej Przyjaźni albo przejść przez Lekceważenie, Chłód, Frywolność i Zapomnienie aż do Jeziora Obojętności... Tak, oczywiście, pomyślał Pietro.

Ogrody Wersalu tworzyły doskonałe tło dla dworskiej pompy i dla melancholii, dla intymnych gier uwodzicieli i samotnego marzycielstwa. Były swego rodzaju Mapą Czułości!

Tu wszystko zasługiwało na podziw, wszystko było okiełznane, udomowione, miłe oku -

przycięte trawniki, urocze klomby, alejki, koronka krzewów, nad które wyrastały tuje, i kwiatowe łąki wokół posągów i fontann.

*

Viravolta uniósł głowę.

Znów pomyślał o kwiatkach i o perfumach.

Spisek. Spisek przeciwko królowi i królowej. Przeciwko królestwu.

Róża i lilia...

A pośrodku orchidea!

Z książeczką w ręce ruszył na wojnę z ogrodami Wersalu.

O sposobie pokazywania ogrodów Wersalu

OGRODY LATONY, OŚ PÓŁNOC-POŁUDNIE

LABIRYNT, ZIELONY GABINET

Pietro zszedł z tarasów i ruszył do ogrodu według wskazówek Ludwika XIV i Bajkarza.

O sposobie pokazywania ogrodów Wersalu.

Otworzyć się na symbole - to był klucz, który miał go doprowadzić do Bajkarza. Ten myślał poprzez symbole. Pasma tych metafor wytyczy ścieżkę śledztwa, stanie się jej złotą nicią, nicią Ariadny. Viravolta musiał przyjąć jego tok myślenia, podążać za nim, nauczyć się jego języka.

Czyżbym... popadał w szaleństwo? A może to tam, do krainy obłądu, pragnie mnie doprowadzić obłąkany narrator?

Zwilżył palec, spuścił oczy i otworzył książeczkę, żeby zagłębić się w lekturze tekstu Króla Słońce.

O sposobie pokazywania ogrodów Wersalu.

To było zaproszenie do podróży.

Zmarszczył brwi i pokiwał głową.

1. Opuszczając pałac przez westybul od strony Marmurowego Dziedzińca, wychodzimy na taras. Trzeba tu koniecznie przystanąć na najwyższych stopniach, aby ogarnąć wzrokiem klomby, stawy i fontanny Gabinetów.

Zwracając oczy w prawo, Pietro mógł podziwiać Wazę Wojny, po lewej ujrzał Wazę Pokoju.

Podążaj za duchem króla.

Oczy Wenecjanina przenosiły się z wazy na wazę. Szedł. Spacerując wolnym krokiem, miał zejść po schodach pomiędzy nimi dwiema. Zamęt i spokój. Właśnie w ten sposób życie, mimo ciągłych wahań, cierpień i niepewności, torowało sobie drogę między bitwą a zawieszeniem broni. Pietro domyślał się jednak, że nie było to jedyne przesłanie Bajkarza. Ten chciał mu także powiedzieć, że zależnie od podjętych działań - to on będzie współodpowiedzialny za pogrążenie państwa w wojnie lub ocalenie pokoju. Naprawdę chcesz wypowiedzieć mi wojnę? - zdawał się pytać wróg. Dlaczego nie podejmiesz pertraktacji, nie przyłączysz się do mnie? Bajkarz dawał mu szansę na przymierze albo wyłączenie się z gry.

Tylko te słowa: musisz wybierać - były zapowiedzią planu, groźbą w zawieszeniu. Albo ściągnie piorun, albo zapobiegnie jego uderzeniu. To nie była zwyczajna przechadzka, lecz duchowe uniesienie i - Pietro już to odgadł - pole walki.

Zszedł po schodach.

Duch Ludwika XIV podpowiadał:

2. Potem trzeba iść prosto w kierunku fontanny i zatrzymać się, aby obejrzeć Latonę, jaszczurki, balustradę, posągi, Aleję Królewską Apolla, kanał, a potem odwrócić się i spojrzeć na ogród przed pałacem.

Nieopodal znajdował się Ogród Latony z największą fontanną parku, arcydziełem.

Inspiracją projektu były *Metamorfozy* Owidiusza. Pietro starał się przypomnieć sobie tę starożytną historię. Latona, matka Diany i Apolla, jedna z żon Jupitera, została wygnana z Olimpu przez Junonę, która nie wybaczyła boskiemu małżonkowi niewierności. Błąkając się z dziećmi po ziemi, szukała pomocy u wieśniaków licyjskich, ale na próżno. Wezwała Jupitera, aby ją pomścił, a on zamienił egoistycznych wieśniaków w ropuchy i żaby. Dlatego płazy, a także kilka żółwi ukazano na obrzeżach fontanny. Stworzenia te otaczały Latonę i jej dzieci niczym zropanieni ludzie, na zawsze oddaleni od myśli, Prawdy i Piękna. Z

otwartymi pyskami, wpatrzono w niebo, wyły chórem. „Odmieńcie serca, otwórzcie się na innych albo sami zostaniecie przemienieni!”.

Teraz sens tego mitu stał się dla Pietra jasny. Ta część ogrodu leżała u zbiegu dróg, o których mówił mu ogrodnik. Ich skrzyżowanie, jak dostrzegł Wenecjanin, oznaczało coś jeszcze - jego obecność w tym miejscu była niczym wkroczenie do ogrodu Park snujących nie Przeznaczenia. Zupełnie jakby ważyły się jego własne losy. Przypomniawszy sobie słowa Normandczyka: „Te ogrody są niczym bajka, panie de Lansalt. Snują opowieści. I mają swój morał”...

Pietro głęboko odetchnął.

Którą drogę wybrać?

Na północ wiodła ścieżka pracy, odpowiedzialności i tworzenia. Na południe -

przyjemności, które mogły pograżyć w ułudzie. Prosto biegła Aleja Królewska, rzecz jasna -

droga prawości i szlachetności, którą należało podążać. Szeroka i piękna, trochę smutna i surowa, wiodąca z pałacu. To była droga uczciwych ludzi. Roztaczał się z niej widok na zbiorniki wodne, imponująca perspektywa prostych linii ciągnących się aż po horyzont. Ta droga nie skręcała, nie rozwidlała się, nie niknęła. Pod okiem Laokoona, który, otoczony przez synów, ponosił karę, zbłąkana dusza pojmowała, że należy strzec się Diabła, a widząc Wenus suszącą włosy pośród perlistych kropelek wody, utwierdzała się w decyzji obrania nowej drogi życia utkanej z miłości i światła. Geometryczne, pełne znaczeń linie biegły aż do wspaniałej Fontanny Apolla, której półokrągły, otwarty na nieskończoność basen otaczały graby i posągi. To tu zbiegały się wszystkie drogi. Pośrodku fontanny piękne rumaki boskiego wozu przeżyły się, wynurzając się z wody. To była apoteoza Apolla, który - w otoczeniu delfinów - symbolizował codzienne odrodzenie o wschodzie Słońca i wędrówkę życia. Rzecz jasna, miał też wyobrażać króla - Króla Słońce! Pojawiał się za ścianą wody, ze znakiem trzech lilii wybrańca, w chwale dwudziestu ośmiu tryskających w górę strumieni, pomiędzy czterema punktami - czterema trąbkami obwieszczającymi światu jego nadejście...

A w dole, nisko, tafla gładkiej wody Wielkiego Kanału pośród szpalerów drzew towarzyszyła spojrzeniu, wiodąc je aż po horyzont przez tę idealną, pogodną perspektywę okna otwartego na świat.

Pietro zmrużył oczy, przypomniał sobie przesłanie Bajkarza i powrócił do królewskiej przechadzki.

Szedł. Miękki piasek skrzypiał pod jego stopami. Pietro miał osobliwe wrażenie, że jakaś tajemnicza moc łączy go z ziemią, jakby w nią wrastał, żeby nawiązać dialog z sercem tego ogrodu i z życiem, które w nim kwitło.

Po drodze natknął się na gwardzistę. W tym niemal wyludnionym parku wydało mu się to nierealne i bardzo tajemnicze. Żołnierz leżał na broni. Miał zamknięte oczy. Wyglądał

na półmartwego - jakby był jednym ze zdobiących park posągów. Viravolta nie zdziwiłby się, gdyby kłaczka roślin owinięły się wokół niego, na zawsze zamieniając go w kamień.

Pietro minął go w milczeniu. Dzieliło ich kilka metrów.

Kontynuował spacer.

3. Potem trzeba skręcić w lewo, żeby przejść między Sfinksami. Po drodze należy przystanąć przy Gabinecie, zwrócić uwagę na kępy krzewów i na trawę.

Zbliżając się do Sfinksów, zatrzymamy się, by spojrzeć na ogród południowy, a następnie kierować się prosto do Oranżerii, w górę, skąd widać gaj pomarańczowy i Jezioro Szwajcarów.

„Właśnie tak. Otwórz się... Pozwól się poprowadzić”.

Skręcając w lewo i widząc przed sobą bezkres ogrodów, przed pałacem wkraczało się na zakazany Szlak wiodący z północy na południe. O tym kierunku mówił mu ogrodnik. To była droga odszczepieńców, którzy zapomnieli o Bogu. U jej wylotu dwa Sfinksy spoglądały na siebie. Siedzące na jednym z nich uskrzydłone dziecko zdawało się odpychać Pietra prawą ręką: „Nie idź tędy!”. Z grzbietu drugiego inna istota starała się zawrócić go na drogę prawości. Te Sfinksy stały przed nim jak dwie enigmy wraz ze swymi kamiennymi cherubinami. „Nie zmyl drogi”. Lecz właśnie tę drogę wskazał mu Bajkarz. Pułapka symboli, rebus francuskiego ogrodu - szarada wciągała go z każdym krokiem. Zrozumiał, że Bajkarz nie tylko wiódł go szlakiem opowieści, ale też zachęcał, by przyjął jego wizję i wraz z nim przeszedł do innego świata. „Wejdz, chodź do mnie, do mojego teatru, stań na mojej scenie”.

A Pietro pozwalał się prowadzić na tę arenę. I czuł, że zmierza ku jakiemuś posępnemu objawieniu. Wiedział jednak, że czai się ono gdzieś tu, skulone w cieniu przy końcu drogi.

„Pozwól, by prowadziły cię symbole. Oddaj ich mocy wyobraźnię, tę Czarodziejkę.

A twoim Czarodziejem będę ja.

Jesteś teraz w MOIM królestwie”.

Pietro zastanawiał się, czy już oszalał, czy ośleplł i zagubił się, skoro traci czas na wpatrywanie się w abstrakcyjne słońce. Zbliżał się do tajemnicy i oto znów ogarnął go niepokój. Szedł przez południowe ogrody aleją wysadzaną cisami rosnącymi w kępach po sześć. A szóstka to liczba Diabła. Sześć cisów to symbol Śmierci! Trzymając się tej drogi, dojdzie do Oranżerii. W słodkim spokoju tego geometrycznego edenu, z dala od rzeczywistości, ulegnie pokusie teorii i interpretacji symboli, podda się pięknu bezprzedmiotowych konstrukcji intelektualnych. Tu Bajkarz ukazał mu się w swej pełnej mocy - był nie tylko reżyserem, lecz także mordercą. Był szaleńcem, ale i moralistą. Za Oranżerią egzaltowany spacerowicz miałby dokonać życia w Jeziorze Szwajcarów, czyli złudzeń, utopii i iluzji raju. W dali posąg Marcusa Curtisa skakał w ogień. Pietro raz jeszcze spojrział na drogę, którą już przemierzył - rabaty, gazony, Sfinksy. Przed sobą miał Oranżerię, jezioro, Marcusa Curtisa. Oś północ-południe, trzy szóstki - oś Zła! Obejrzał się i znów zwrócił oczy ku Oranżerii.

Szedł u boku Lucyfera, jak niegdyś w Wenecji.

Zbliżamy się.

Pozwól Bajkarzowi, żeby cię prowadził.

4. Skręcamy w prawo, aby przejść między Apollem z brązu a Lantinem, a następnie przystanąć i ujrzeć Bachusa i Saturna.

5. Schodząc w dół przy Oranżerii, docieramy do gaju pomarańczowego, a dalej do fontanny, skąd spojrzeć można na cały budynek. Potem alejkami pośród drzewek pomarańczowych kierujemy się do Oranżerii...

Król zachęcał do chwili wytchnienia w tym miejscu.

Bajkarz opuszczał krainę złudnych przyjemności i rojeń. Brał Wenecjanina za rękę i nakazywał skręcić na zachód, ku drodze uczciwego człowieka, lecz nie tak, by ujrzeć ją przed sobą, w pełnej szlachetności, utkaną ze światła i elegancji, jak widział ją Pietro z tarasów.

Nie, ta droga była po prostu skrótem. Bajkarz tkął swą sieć, dokonywał dzieła, a Pietro podążał wytyczonym szlakiem wtajemniczenia, po trosze z konieczności, po trosze z własnej woli, powodowany instynktem i rozumem.

Dokąd chcesz mnie zabrać? Do jakiego sanktuarium, do jakiego imperium? Do twojego?

Skręcił za Sfinksem i poszedł wzdłuż tarasów w stronę Zwierciadeł. Te zbiorniki wodne stanowiły przedłużenie cudownych wnętrz Galerii Zwierciadlanej. Tu kryły się najskrytsze głębie duszy, to była świątynia zadumy. Tafle wody odbijały ruch nieba i gwiazd, a także wędrówkę ducha. W tym ogrodzie wszystko przypominało o wieczności, ale woda mówiła o życiu ziemskim i czasie, który płynie krętymi ścieżkami ludzkich emocji. I nagle Pietro zaczął rozumieć - a raczej zaczął bać się, że rozumie, dokąd ostatecznie ma dotrzeć.

*

...A wychodzimy przez przedsionek Labiryntu.

*

Zatrzymał się przed wejściem.

Rosnące tu graby miały ponad siedem metrów wysokości. Pietro w białej koszuli i francuskim fraku, z włosami związanymi z tyłu, szpadą i pistoletem u boku, stał tu jak w progu krainy zagrożeń i pozorów niczym Ulisses u wrót świata, o którym nie wiedział ani ile w nim mroku, ani ile światła.

To tu niegdyś ścigał pierwszego Bajkarza.

Nić Ariadny... prowadząca do Labiryntu!

Czarna Orchidea położył dłoń na rękojeści szpady.

Czy wejdzie do piekła, czy do raju?

W ogrodzie panowała niezmacona cisza.

Świat zamilkł.

Pietro wolno przekroczył granicę.

Wszedł do Labiryntu.

*

Wyhodowana przed wiekiem kwadratowa połać gęstego lasu, zdobiona posągami z polichromowanego ołowiu, zatraciła blask. Labirynt stanowił dzieło Le Nôtre'a i Charles'a Perraulta, kontrolera generalnego i nadintendenta budów królewskich. Ale rodowód tego miejsca był pełen poezji. Niemały udział miał w tym Bajkarz, który opowiadał, jak Amor, pogratulowawszy Apollonowi piękna wersalskich ogrodów, poprosił, aby ten skrawek zieleni mógł należeć wyłącznie do niego. Bo miłość była labiryntem, w którym łatwo się zgubić...

Pietro zmrużył oczy. Amor i autor moralitetów trzymający w ręku nić Ariadny, i postać Ezopa, autora starożytnych bajek, znalazły się po dwóch stronach bramy wejściowej. Kontrast między starym Ezopem, przygarbionym, niezgrabnym, a jednak uosabiającym mądrość, a pięknym młodzieńcem, którego przesłanie było zupełnie inne, stanowił zagadkę potęgującą tajemniczość tego lasu.

Na postumencie Ezopa wykuto słowa:

Przebiegłych i zręcznych zwierząt przykładem,

Które waszych zwyczajów żywym są portretem,

Pragnę gorąco Mądrości uczyć i rozwagi.

A na postumencie Amora widniała riposta:

Chce, by kochali i byli rozważni,

Bo szaleństwem jest nie kochać,

Każde zwierzę we własnym to powie języku.

Pietro patrzył na posągi.

Tu coś było. Coś innego...

Wenecjanin zagryzł usta i ruszył.

Zerwał się chłodny wiatr.

Uskrzydłony Amor wskazywał palcem wejście do Labiryntu. W drugiej ręce trzymał
nić Ariadny... a także zwiniętą kartkę, która łagodnie kołysała się na wietrze.

Zdawała się czekać na niego.

Pietro podszedł bliżej. Tak, to była kartka.

Przez chwilę patrzył na martwą twarz posągu.

Na usta zastygłe w enigmatycznym uśmiechu.

A potem znów zwrócił oczy na drżący w palcach Amora liścik.

„Gra toczy się w najlepsze.

Przynajmniej wiem, że się nie pomyliłem... Dotarłem tu, gdzie chciałem”.

Sięgnął po kartkę, delikatnie ją rozwinął.

„Mam nad tobą władzę, a moja wyobraźnia nie zna granic.

Zmyślam i odmieniam, tworzę, splatam i rozplatom.

Ze skrawków cienia tkam sieć i wzmacniam osnowę.

Bo jestem Autorem, Viravolta!

Zgubię cię, omotam, odnajdę i stracę,

Wepchnę w gęstą mgłę i wyprowadzę,

By dalej wodzić cię, jak chcę.

Jestem Bajkarzem, jestem Strażnikiem,

A ty moim psem”.

Pietro pokręcił głową i jeszcze raz spojrział na wejście do Labiryntu.

Tak, oczywiście, chce mnie wodzić za nos. I ciągle to robi.

No cóż! Wejdźmy, przekonajmy się, dokąd mnie prowadzi.

Niemal natychmiast zobaczył pierwszą fontannę. Pośrodku basenu siedziała sowa, a przy niej dwa
ptaki - chyba łabędzie. Woda tworzyła wolierę, wystrzeliwując strumieniami niczym sztuczne ognie.
Widziana z daleka, przypominała kępę trzciny. To było nieco już zapomniane nawiązanie do sławnej
ongiś maszyny bajek Ezopa, stworzonej przez Mercadégo i Ballina.

Cała kompozycja wyglądała jak Księga Bajek. Pietro przełknął ślinę i poszedł dalej.

Wędrował po Labiryncie, gdzie krzyżowały się aleje, a przy każdym ich zbiegu była fontanna. Graby rzucały cień na aleje, które spotykały się w trzydziestu dziewięciu punktach.

Basen każdej fontanny był inny, zdobiony pięknymi kamieniami i rzadko spotykanymi muszlami. Na każdym wyrzeźbiono zwierzęta, które opowiadały o sytuacji z bajki Ezopa, w porządku ustalonym przez Perraulta i Le Nôtre'a.

I. KSIĄŻĘ I PTAKI

II. KOGUTY I KUROPATWA

III. KOGUT I LIS

IV. KOGUT I PERŁA

V. KOT I SZCZUR STARY

VI. ORZEŁ I LIS

Bajki zostały wybrane spośród innych wedle wolnej woli artystów, dlatego że najlepiej służyły im jako inspiracja kompozycji ogrodu i pretekst dla ich wyobraźni. Każda fontanna kryła jakąś maksymę ułożoną przez poetę Izaaka de Benserade'a - czterowiersz wygrawerowany złotymi literami. Kiedyś służyły edukacji delfina.

Pietro wsuwał się pod listowie. Zwierzęta z bestiarium dopadały go, mówiły do siebie przez gęste płoty zieleni. Tu Wenecjanin mijał ptaki, tam małpy i koguty, tu znowu koguta, kurę i smoka, szczura i lisa, żurawia i słowika. Zwierzęta naśladowały ludzi, żeby lepiej obnażyć ich cechy, ich wady i słabostki. Były tylko martwym kamieniem, a jednak, mimo upływu czasu, mimo mchu, który je porastał, i jaszczurek, które po nich biegały, były tak wspaniale wyrzeźbione, że wyglądały jak żywe. Ich słowa wyrażały się poprzez strumienie wody wytryskującej o pewnych porach i na pozór wprawiającej cały ten zwierzęcy świat w ruch.

Ściany zieleni nigdy nie otwierały się na pustą przestrzeń.

XXI. WILK I ŻURAW

XXII. KRÓL, STRZELEC I KANIA

XXIII. MAŁPA KRÓLEM

XXIV. LIS I KOZIEŁ

XXV. RADA SZCZURÓW

XXVI. MAŁPA I KOT

XXVII. LIS I WINOGRONA

Pietro zbliżał się do środka lasu, myślał o słowach Bajkarza i wszystko nagle stawało się ciemniejsze, bardziej tajemnicze. Miał przerażające wrażenie, że jest obserwowany i że Bajkarz zakłóca koleje jego losu. Widział siebie jako kukiełkę zagubioną w chorym umyśle, w nieokreślonej wyobraźni wroga. I pośród tych zwierząt kim miał być? Pietrem Viravoltą, Czarną Orchideą, postacią z bajki, z opowieści? Gdzie była jego nić Ariadny? Jaką tragedię, jaką tajemnicę zapowiadał ten spacer? Bajki, stworzenia - co miały oznaczać? Poszukiwanie prawdziwych, ostatecznych znaczeń? Zepsucie? Przemijanie czasu? Pęd ku nicości? Bajkarz patrzył na swego uwięzionego szczura i mówił: „Ze mną się zgubisz”. Pietro zapuszczał się w Labirynt, szedł wąskimi, pełnymi uroku alejkami... Ale to były alejki podstępny i czarów.

Tak, był już bardzo blisko, był...

Zamarł.

XXXIV. LIS I KRUK

XXXV. ŁABĘDŹ I KANIA

XXXVI. WILK I GŁOWA

XXXVII. WĄŻ I JEŹ

XXXVIII. KACZKI I MAŁY SPANIEL

XXXIX. WYJŚCIE Z LABIRYNTU

Dotarł do serca Labiryntu, do Bezimiennego Lasku.

Tu krzyżowało się pięć alei, zachęcając, by gość odnalazł w sobie spójność i jedność.

Ten zakątek był niczym złota liczba tej zdumiewającej geometrii, klucz sklepienia, środek ciężkości, bez którego runęłaby cała konstrukcja.

Pośrodku pięciokątnego zagajnika, na ziemi, leżał kolejny liścik, przewiązany czerwoną wstążką.

Pietro podniósł go drżącą ręką.

„To moja gra, już zrozumiałeś,

Tyle fontann

W Labiryncie tryska,

Utkanych bajkami

W każdej roślin kępie!

Tyle fontann

Bajkami zdobionych,

Które dały mi natchnienie.

Gdy na zgubę wiodłem Agentów Sekretu.

Tyle fontann

I jedna tylko Róża

Przeciw jednej Orchidei

W Labiryncie myśli.

Stoisz u zbiegu dróg,

Gdzie krzyżują się intrygi i losy.

Viravolta! Chodź!

Znajdź śmierć w tym ogrodzie!”

Bajkarz

Wenecjanin cofnął się kilka kroków. I nagle wszystko zrozumiał.

Trzydzieści dziewięć skrzyżowań i trzydzieści dziewięć fontann zdobionych ołowianymi rzeźbami, rozrzuconymi po Labiryncie - to tworzyło intrygę i machinerię Bajkarza. Lasek Ezopa został zaprojektowany tak, by oglądać go w ściśle ustalonym porządku. Trzeba było poświęcić na to dość czasu i iść od punktu do punktu, odczytując kolejne maksymy, a wreszcie wyciągnąć z nich morał. Wilk i baranek leżący przy zwłokach Rosette, Lis i konik polny przy Lansquenecie czy też Żaba i wół, nie wspominając, Boże drogi, o pozostałych - Kruku i lisie, Lwie i szczurze - Bajkarz bawił się jak ogrodnik albo projektant ogrodów, tkając sieć i snując wątek, w którym osadzał postacie, by dowolnie żonglować ich życiem. Nie czerpał inspiracji wyłącznie z bajek La Fontaine’a i starego Ezopa, ale także z kompozycji ogrodu! Mówiąc o zwierzętach, Ezop i La Fontaine kpili z ludzkich ułomności, a tajemniczy Bajkarz uznawał się za ich spadkobiercę! Snując się po krainie bajek i legend, wybierał, co chciał, by tworzyć własne dzieło, i wciągał Pietra do labiryntu owych szyderstw i myśli!

Pietro czuł się przytłoczony. Spojrzał w górę.

Droga Mądrości...

On jest naprawdę bardzo silny.

A gdy zobaczył, dokąd dotarł, i ujrzał to, co teraz ukazywało mu się w całej przerażającej, makabrycznej pełni, w środku Bezimiennego Lasku, zmarło mu serce.

Jaką trzeba mieć wiedzę, by osiąść mądrość?

To był widok jak z koszmarnego snu. Pietro osłonił ręką usta. Czuł, jak coś w nim pęka.

- O! Nie... - szepnął zdławionym głosem.

W tej zielonej komnacie wisiał Landretto. Bezwładny, na wierzchołku grabu, w środku Bezimiennego Lasku. Jego sztywne ciało kołysało się w prawo i w lewo. Landretto, który wyciągnął go z weneckich lochów, z którym przemierzył każdą ścieżkę Serenissimy, ścigając strzygi, Landretto, który nad nim czuwał i który tak bardzo pomógł mu odzyskać Annę. Landretto, na którego zapał i wierność zawsze mógł liczyć... A teraz był tu, ubrany w kolorowe szaty królewskiego pazia. Jego peruka poniewierała się po ziemi. Pietro miał przed sobą martwą siną twarz. Podszedł chwiejnym krokiem i wtedy zauważył, że Landretto nie patrzy na niego swoimi oczyma, bo zastąpiono je dwiema szklanymi kuleczkami o pustym, przerażającym wyrazie. Twarz zmarłego była wykrzywiona w groteskowym uśmiechu, jakby Bajkarz pragnął utrwalić na niej drwinę zza grobu. Nie było wątpliwości, że to zwłoki Landretta, ale w jego usta wepchnięto wiązki trawy, podobnie jak do uszu i brzucha. Sterczały z nich czarne, nasmarowane tłuszczem pióra. Potraktował Landretta jak zwierzę!

On go... on go wypchał!

„Viravolta! Chodź!

Znajdź śmierć w tym ogrodzie!”

Do kubraka ofiary przypięta była kartka. Pietrowi wystarczyła krótka chwila, żeby zrozumieć przesłanie. Wielki kawałek sera, pokruszony, żaloszny, leżał pod nogami przyjaciela. Tytuł wiersza był jasny - Kruk i lis. Potem następowało parę słów rodem ze słownika taksydermii..

Wykonanie egzemplarza podzielić można na pięć podstawowych etapów -

odarcie zwierzęcia ze skóry, wyprawienie skóry, przygotowanie formy lub manekina, naciągnięcie skóry i prace wykończeniowe.

1. *omasztowanie i sylwetka,*

2. *nałożenie płótna,*

3. *wstępne modelowanie,*

4. *naciągnięcie skóry,*

5. *zakończenie montażu.*

Nieopodal leżało to, co zwykle: czerwona róża, a obok wyperfumowana Biblia i graca, jakiej używają ogrodnicy...

Tak... do wycinania chwastów!

Pietro znowu się cofnął. Myśli kłębiły mu się w głowie. Dotąd nie zdołał uwierzyć w to, co widział. W tym labiryncie miłości, w ogrodzie śmierci, jego wróg zabijał, zabijał *in Fabula!*

Nagle usłyszał głos:

- Orchideo, witaj w moim teatrze cieni.

I poczuł potężne uderzenie w głowę.

Świat zawirował. Viravolta zachwiał się, na próżno usiłując odwrócić głowę i spojrzeć na napastnika, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa.

Zdołał jeszcze popatrzeć na wiszące na drzewie ciało Landretta, zanim stracił przytomność.

AKT III

Róża i lilia

Do Pana de Barillon

Choć pojmuję, że z wielu stron świata

Suną ku nam wrogowie,

Że król Anglii nie kocha króla Francji jak brata

- Tego nie mieszczę w mej głowie.

Czyż nie czas Ludwikowi dać chwilę wytchnienia?

Jakiż inny Herkules nie czułby znużenia,

Pokonując tę hydrę? Trzebaż, by na nowo

Walczył z coraz inną jej głową?

Jean de La Fontaine, *Władza bajek*.

Księga VIII - Bajka 4 (przeł. Jadwiga Dackiewicz)

W jaskini lwa

WERSALSKA MENAŻERIA

Kiedy uniósł powiekę, zobaczył lwa.

Strumienie krystalicznej wody tryskały w ciemne niebo.

Leżał wewnątrz... klatki.

O nie!

Serce tłukło mu się w piersi.

Pietro poderwał się, dławiąc okrzyk.

W odległości trzech metrów od niego chrapał lew.

*

Wersalska Menażeria, wybudowana przez Le Vau na końcu Wielkiego Kanału, była pierwszym projektem Ludwika XIV w tym odległym zakątku parku. Z dziedzińca wchodziło się do małego pałacyku, złożonego z części głównej i galerii łączącej ją z pawilonem, który był punktem obserwacyjnym i służył do odpoczynku. Po pokonaniu schodów i przejściu przez uroczy salon wchodziło się do ośmiokątnego gabinetu z siedmioma oknami i wejściem do żelaznego korytarza biegnącego na zewnątrz. Widać stąd było siedem układających się wachlarzem dziedzińców tak, że z pierwszego piętra można było wszystkie je ogarnąć spojrzeniem. W każdym mieszkaly ptaki i rzadkie zwierzęta, a zamykała je tylko żelazna balustrada biegnąca dookoła. Na parterze urządono grootę wykładaną kamieniami i muszlami.

Z jej ścian i sklepienia tryskała woda, pośrodku zamontowano obracające się urządzenie, które wyrzucało delikatny strumień.

Mój Boże... Gdzie ja jestem?

Pietro zaczynał widzieć coraz wyraźniej. Z wolna dochodził do siebie. W pobliżu egipskie kury z białymi ogonami dreptały z zabawną gracją automatów. Obok nich miały swoje miejsce pelikany, strusie i inne stworzenia z Afryki. Z czasem dzikie i egzotyczne zwierzęta z ogrodów Vincennes dołączały do gromadki z Menażerii. Były tu wielbłądy i dromadery, słoń sprowadzony z Czandemagor, dziki kot o umaszczeniu tygrysa i nosorożec, którego szczególnie upodobali sobie odwiedzający to miejsce. W Menażerii można było też zobaczyć pawie, antylopy, tygrysy... i starego lwa.

Pietro cofnął się, przesuwając nogi po piachu.

Ohydny smród dzikiego zwierzęcia w połączeniu z wonią krwi uderzył jego nozdrza, gdy ramieniem oparł się o kraty klatki.

Usłyszał swój chrapliwy oddech, potem w ciemnościach rozległ się czyjś szept.

Wzniósł oczy.

Bajkarz był tuż obok.

Siedział na metalowym balkonie nad klatką. Oparł dłoń w rękawicze na kolanie, w drugiej ręce trzymał różę. Był otulony peleryną.

- Cii... Niech go pan nie budzi - szepnął.

Viravolta przysięgłby, że widział jego uśmiech. Bajkarz wyciągnął spod peleryny kartkę, rozłożył ją i rzucił do klatki lwa.

- Ta jest dla pana, Orchideo.

Pietro powiódł wzrokiem za kartką, która opadała, kołysząc się niczym zeschnięty liść na wietrze. Wstrzymał oddech, obawiając się, że papier spadnie na pysk lwa. Kartka w ostatniej chwili przesunęła się i wylądowała dokładnie pomiędzy nim a dziką bestią.

Wenecjanin instynktownie sięgnął ręką do boku, ale wróg odebrał mu szpadę, a także pistolet od pana Marianne'a, pióra i sztylet, a nawet talię kart. Pietro miał tylko ubranie i pas ze sprzączką.

Bajkarz roześmiał się.

- Przejdźmy do kolejnej bajki.

Wenecjanin nie widział tekstu zapisanego na kartce. Nie śmiał po nią sięgnąć, zdołał jednak odczytać tytuł. I to już wystarczyło.

LEW I SZCZUR

Kocur ryknął, jakby jakaś natrętna mucha zakłóciła jego sen.

Tym razem... Sytuacja się skomplikowała.

*

Pietro miał zeschnięte usta. Wzniósł oczy, patrząc na kutą w żelazie balustradę balkonu.

Bajkarz oparł na niej nogę i stał nieruchomo.

- Lubi pan zwierzęta domowe?

Leżący niedaleko od Pietra zwierzak chrapał, jego nozdrza drgały. Resztki kości i połać krwistego mięsa, którego nie zjadł, poniewierały się po ziemi. To była nadzieja na krótkie odroczenie egzekucji, nic więcej. Pietro nie śmiał nawet drgnąć.

- Podobał się panu mój kwiatowy szlak? - szepnął Bajkarz.

- Bałem się, że podążam złą drogą - odparł Wenecjanin.

- Oczywiście, mógłbym użyć innych kwiatów... Na przykład aloesu ze względu na gorycz i ból... Krwawnik na wojnę, amarylis na sztuczki! Przyjacielu, wiedziałem, że jest pan człowiekiem inteligentnym i wykształconym. Wrażliwym na poezję, dostrzegającym to, co skryte pod powierzchnią... Zaimponował mi pan. Jaki bukiet, jaki wieniec mógłbym przygotować dla pana? Rzecz jasna, orchidee... A może nieśmiertelniki albo tulipany?

Viravolta zacisnął zęby, powściągając strach i gniew. Jego twarz sposepniała. Tylko nadludzkim wysiłkiem zdołał powstrzymać się od krzyku, od dania upustu wściekłości.

- Zamordował pan Landretta!

Głowa Bajkarza lekko się uniosła. Pietro na próżno usiłował dojrzeć jego twarz.

- Mój poczciwy Viravolta! Niech pan zejdzie na ziemię! Pański drogi lokaj, stary przyjaciel... On pana zdradził!

- Zdradził?

- Mój drogi, on pracował dla księcia d'Aiguillona! Niech pan przejrzy na oczy! Jego zadaniem było śledzić pana!

- Łżesz!

Tym razem Pietro podniósł głos. I zaraz tego pożałował.

Lew warknął.

- Niech się pan zastanowi... Oczywiście, był do pana przywiązany. Ale teraz służył

królowi. Pełniąc swe funkcje, miał też okazję sporo się dowiedzieć! Nawet Broglie był z nim blisko. Landretto nie przepadał za drobnymi intrygami Sekretu... Zwrócił się do Aiguillona.

Pan i on obraliście różne drogi!

Bajkarz rozłożył ręce. Pietro przypomniał sobie szczegółowy raport, który pokazał mu książę d'Aiguillon podczas spotkania w Skrzydle Ministrów. Raport dotyczył jego...

*Czternasta. V opuszcza czterokonnym powozem Wersal, by udać się do Saint-Germain-en-Laye w towarzystwie pani A.S.*** oraz C. Piętnasta. Karoca dociera do skraju lasu...*

- Kłamstwo - powtórzył gniewnie.

- Spokojnie, Viravolta - odparł Bajkarz. - Wsłuchaj się w głos własnego serca. Wiesz, że to prawda. Ten lokajczyk bał się o twoje życie. I miał rację. Prawdopodobnie sądził, że w ten sposób cię chroni. Wymyślił sobie taką metodę, żeby pozostać twoim aniołem stróżem.

Pozwól mi jednak rozkoszować się tą chwilą szczęścia... Czarna Orchidea! Jeden z najinteligentniejszych agentów Sekretu!

Ten głos był pełen nienawiści lekko zabarwionej podziwem, a może nawet pewną... serdecznością. Pietro zadrżał.

- Niestety, muszę pana opuścić - powiedział Bajkarz. - Czekają na mnie inne obowiązki.

Zszedł z balkonu.

- Ale kim pan jest? - zapytał Viravolta, starając się nie krzyczeć. - O co ma pan do mnie żal? Kim był dla pana Jacques de Marsille?

Bajkarz przez chwilę milczał. Nikt nie potrafiłby powiedzieć, co myślał ani co czuł w tej chwili. Jednak w końcu Pietrowi wydało się, że dostrzega cień uśmiechu pod kapturem.

- Och, tyle pytań, na które nigdy nie uzyska pan odpowiedzi... To denerwujące, prawda? Ale cóż? Za późno już na rozmowy. Zostawiam pana w kompanii mości lwa. To symbol pychy. Pychy, której i panu nie brak...

Skłonił się, a potem wskazał ręką ciemny kształt na podłodze balkonu. Pietro domyślił się, co to jest. Jego spada, pistolet, pióro, sztylet i karty.

- Starym zwyczajem pozostawia się walecznemu przeciwnikowi broń w godzinie jego śmierci. Z dumą oddaję panu ten honor. Przyznać jednak muszę, że chętnie zabrałbym ten niezwykły pistolet.

Wszystko to znajdowało się poza zasięgiem Pietra, który przerażony, rozejrzał się wokół. Kraty biegły w górę, spinając się jak dzwon trzy metry nad ziemią. Jedyne wyjście prowadziło przez żelazne drzwi, te jednak były zamknięte na masywną zasuwę. Serce Wenecjanina waliło jak młot. Wciąż się rozglądał po klatce. Ogarniała go panika. Próbował ją opanować za wszelką cenę i zachować jak najspokojniejszą twarz...

- Proszę mi zostawić chociaż... coś, czym mógłbym się zająć w tych ostatnich chwilach - powiedział, nadając głosowi lekko ironiczny ton.

Bajkarz zareagował śmiechem.

Zawahał się, a potem pochylił głowę i popatrzył na dobytek Czarnej Orchidei.

Podniósł etui z kartami.

- Oczywiście, pańskie karty z czarną orchideą na rewersie! Te, które przyniosły panu takie powodzenie w weneckich casini, na dworze, wśród najznakomitszych senatorów! Karty Czarnej Orchidei!

I znowu się zaśmiał.

- Sądzę, że tym razem nie ma pan żadnego asa w rękawie!

Wyciągnął rękę z kartami nad klatkę.

- Dobrze... Ostatnia partia Orchidei... Na pewno zagrasz pan w wojnę! Dobrze, niech pan gra... ze śmiercią.

I rzucił etui.

*

Karty spadły na pysk lwa... a potem zsunęły się i wylądowały tuż przy kartce z bajką.

- Zapowiedziałem, że będzie ich dziesięć...

Zwierzę przebudziło się ze snu.

- ...ale nie obiecywałem, że doczeka pan ostatniej! Bajkarz odwrócił się, łopocząc peleryną.

- Viravolta, zadziw mnie, wyrecytuj Lwa i szczura!

Jego cichy śmiech oddalał się, cichły kroki na metalowym balkonie.

Zniknął w poświacie księżyca.

*

Lew wstał.

Pietro chwycił karty. Zwierzę spojrzało w jego kierunku. Jego nozdrza węszyły woń obcego. W lśniących ślepiach czaiło się odziedziczone po przodkach okrucieństwo. Na chwilę spotkały się spojrzenia człowieka i wyrwanego ze snu drapieżnika. Pietro zlał się zimnym potem.

Podniósł z ziemi resztki mięsa.

- Spokojnie, spokojnie - powiedział, choć brzmiało to absurdalnie.

Wyciągnął karty z etui. Czarne orchidee tańczyły mu przed oczyma.

Nie czekając ani chwili, oderwał kawał krwistego mięsa i owinał nim kilka kart o brzegach ostrych jak brzytwy, kart Augustina Marienne'a. Bestia ryknęła, szeroko otwierając paszczę, z której ciekła spieniona ślina. Szykował się do skoku. Wystarczyłoby jedno uderzenie łapą żeby powalić Pietra. Lwie pazury mogły rozerwać mu twarz na strzępy, zęby przegryźć gardło. Pietro rzucił mięso pod pysk drapieżnika. Wystawało z niego kilka kart, wbitych niczym płatki czekolady w ciasto.

- Jedz - powiedział łamiącym się głosem. - Jedz pyszne mięsko!

Lew chwycił je niemal w locie, nie spuszczając intruza z oka. Zamierzał go rozszarpać i już oblizywał się na myśl o tej uczcie. Pietro, odpychając się obcasami, poderwał się z miejsca. Był pewien, że wybiła jego godzina.

Boże, odpuść grzechy moje!

I nagle lwa ogarnęły drgawki. Rozwarł paszczę i zaczął machać łbem, jakby próbował

pozbyć się czegoś, co utknęło mu w gardle. Ryknął jeszcze, ale jego głos był zduszony. Oczy rozbłysły dziko w bólu i panicznym strachu. Pietro rzucił się na kraty w śmiesznym odruchu i wsunął między nie stopy, próbując wspinaczki. Wdrapał się najwyżej, jak mógł, uciekając przed drapieżnikiem, który skoczył w jego stronę. Przez chwilę Wenecjanin był tuż nad nim.

Zalana krwią tocząca pianę paszcza zwierzęcia dotykała jego butów. Potem Pietro zaczął się ześlizgiwać.

Spadł!

Butem kopnął lwa w nos.

Oszołomione, wściekłe z bólu zwierzę cofnęło się.

Teraz lew krążył, jakby coś rozdzierało go od środka. Pietro znowu chwycił karty.

Lew rzucił się na niego.

Wokół pałacyku Menażerii, na siedmiu wybiegach dla ptactwa i zwierząt egzotycznych, zapanowało niezwykle poruszenie. Można by pomyśleć, że w trzymany tu zwierzętach ożyły dzikie instynkty. Koty nerwowo krążyły za kratami, nosorożec uderzał w nie rogiem, egipskie kury stroszyły pióra, słoń z Czandemagor ryczał, ile sił w płucach. Było tak, jakby wszystkie zwierzęta obserwowały Viravoltę, okrążając arenę, na której staczał

walkę z lwem.

Bohaterowie bajek ruszyli do boju.

Przyciśnięty do krat klatki Wenecjanin znalazł się pod drapieżnikiem. Rozpaczliwie wsunął rękę w złocistoczną grzywę, bojąc się, że lada chwila rozerwą go pazury lwa. Czuł

jego cuchnący oddech. Przez moment Pietro bał się nawet, że bestia odgryzie mu głowę. Jego twarz znalazła się niemal w paszczy lwa.

- No masz! Żryj! - wrzasnął, wciskając karty do gardła napastnika.

Szczęki zacisnęły się na tyle, żeby ostrza kart rozcięły ciało. Lew znowu ryknął, dławiąc się. O mało nie zmiażdżył Wenecjanina. Wyprężył się, uniósł łapy i napiął mięśnie.

Jego grzywa zadrżała. Potem zwinął się, jakby chciał wyrwać sobie z paszczy tnące ostrza.

Kręcił się jak szalony, potwornie skowycząc. Człowiek i lew spojrzeli na siebie jeszcze raz.

W ślepiach bestii pozostały już tylko strach i cierpienie.

Potem lew nagle zwalił się na ziemię.

Z pyska chlusnęła krew. Pietro miał wrażenie, że widzi przemykający pod ścianami krwawy cień...

Lew ucichł.

Pietro słyszał teraz tylko własny oddech.

Zwierzęta w sąsiednich klatkach uspokoiły się i zapanowała cisza. Viravolta wciąż stał pod kratami, niezdolny ruszyć się z miejsca.

Jego serce wracało do normalnego rytmu pracy. Starał się kontrolować oddech. Krew wciąż dudniła mu w skroniach, a w ustach tak mocno zaschło, że ledwie wyszeptał:

- Cierpliwość i upływ czasu dają więcej niż siła i gniew... - I zmusił się do uśmiechu. -

Orchidea, kociaczku, jest niestrawna.

Wyprostował się dopiero po półgodzinie. Kręciło mu się w głowie.

Znów ogarnął go gniew, ale teraz musiał czekać w klatce do rana razem z trupem lwa.

O brzasku bez większego zaskoczenia spojrzął na idącego z grupą służących z Menażerii ogrodnika-filozofa, Normandczyka.

A ten spokojnie wszedł na żelazny balkon i popatrzył na Viravoltę.

- Panie de Lansalt... Co tym razem przyszło panu do głowy?

Pietro usiadł pod kratami.

Spojrzął na ogrodnika i tylko machnął ręką.

A potem zapytał:

- Czy mógłby pan przynieść klucz i wypuścić mnie stąd?

God save the King

HERBLAY

Wieś Herblay leżała na prawym brzegu Sekwany, parę kilometrów od Paryża. Jej nazwa pochodziła

z czasów rzymskich i oznaczała „miejsce obsadzone klonami” albo

„klony”. Bajkarz zatrzymał się na chwilę przed małym kościołem Saint-Martin wybudowanym w XII wieku w stylu gotyckim nad zakolem rzeki. Roztaczał się stąd piękny widok na Paryż i Saint-Germain-en-Laye.

Słońce właśnie wzeszło. Bajkarz spiął konia ostrogami i zjechał na brzeg, a potem skierował się ku starym domom. Koń stukał kopytami o kamienie na krętej głównej uliczce, pod murami domów o zdobionych fasadach, z niszami na wrota i głębokimi bramami. Mijał

piękne siedziby otoczone kamiennymi murami, widział wieśniaków, którzy wychodzili do pracy na pobliskich polach. Herblay liczyło około trzystu gospodarstw. Stare posiadłości senioralne otaczały szesnastowieczny zamek. Właściwie był to raczej wiejski dom o doskonałych proporcjach. Widziany z parku, „zamek” długo zachował dobry wygląd, ale jego ostatni właściciel popadł w długi i od czterdziestu lat dom coraz bardziej niszczał.

Właśnie tam Bajkarz zsiadł z konia.

*

W promieniach wschodzącego słońca zebrała się osobliwa grupka.

Światło przeświecało przez korony drzew, wydłużając cienie spiskowców. Wszyscy byli ubrani tak jak Bajkarz: czarne kaptury, czerwone róże na piersi. Prawdziwa mała armia.

U szczytu schodów prowadzących do dworku stał mężczyzna niepodobny do pozostałych.

- Spóźnił się pan.

Bajkarz szedł szybkim krokiem, a zebrani rozstępowali się przed nim.

- Viravolta nie żyje.

*

Lord Stevens, hrabia Bedford i Apostoł Wielkiej Łoży Żelaza był dość osobliwie ubrany. U boku miał szpadę, pikowany kaftan, skórzane rękawiczki i ciemne buty. Liczył

około pięćdziesięciu lat. Włosy okalały twarz o mocno zarysowanym podbródku, posępnych oczach i wzdargliwie wykrzywionych ustach. I on miał na piersi czerwoną różę. Wojna siedmioletnia nazaczyła go na zawsze - stracił jedno ucho, a teraz w jego miejscu miał płatek zrogowaciałej skóry o nierównych brzegach. Nie zapomniał też, jak Francuz przebił szpadą najstarszego z jego trzech synów, który służył pod jego rozkazami. Lord Stevens od bardzo dawna pracował skrycie dla Jego Wysokości Jerzego III i Korony. Ponad rok temu król osobiście powierzył mu kierowanie angielskim kontrwywiadem.

Stevens znał wielu francuskich agentów działających w Londynie. Wielokrotnie spotykał się z

Brogliem. Od własnych informatorów słyszał też o jego planie inwazji na Anglię, przygotowanym po podpisaniu pokoju paryskiego. Plan desantu działań wojennych powstał na rozkaz Ludwika XV przed dziesięciu laty. Lord Stevens obawiał się, że pewnego dnia projekt może stać się rzeczywistością. Rząd polecił mu ciche przeciwdziałanie wszelkim tego rodzaju akcjom, on zaś wykorzystywał do tego celu najbardziej zdumiewające metody i nie zamierzał przebierać w środkach. Stevens posunął się naprawdę daleko, ponieważ zaproponował podjęcie tajnej akcji destabilizującej monarchię francuską. Śmierć Ludwika XV i objęcie tronu przez Ludwika XVI, jeszcze niedoświadczonego, osłabiały państwo.

Chwila była wręcz idealna. Dlatego Stevens, wykorzystując siatkę króla Jerzego III i struktury Ministerstwa Spraw Zagranicznych, zdołał pozyskać niejakiego Bajkarza. Odtąd człowiek ten zaczął oczyszczać teren z agentów wroga, dziesiątkując tych z Sekretu, którzy mogli przeszkodzić w realizacji planu. Jerzy III nie wiedział jednak, jak daleko zdolny jest posunąć się jego oddany sługa. Nie było wszak mowy o burzeniu równowagi na kontynencie poprzez najzwyczajniejszy mord na królu Francji i córce Marii Teresy. A właśnie taki skrywany cel przyświecał Stevensowi.

Oslabiona przez filozofów i długie panowanie Ludwika XV Francja dojrzała do buntu.

Potwierdzały to wszystkie docierające do Stevensa informacje. Nadarzała się historyczna okazja złożenia u stóp Jerzego III trupa odwiecznego wroga. Domino Stevensa było już ułożone. On także miał plan, ale tylko Bajkarz znał jego szczegóły. Przedstawił je w manuskrypcie ilustrowanym pięćdziesięcioma jeden szkicami ołówkiem, pokazując trofea, broń, działa, topory, noże, sieci, a także godła Wielkiej Łoży Żelaza. Bez trudu zwerbował

małą armię cieni spośród jej członków. Gdy nadejdzie czas, zaproponuje swój „wielki projekt” Jerzemu III. Operacja, która miała wszystko zapoczątkować, nosiła już nazwę „Party Time”. Wszystko zostało przygotowane, obliczono nawet, ile trzeba sprzętu, zapasów żywnościowych i ludzi, żeby powołać docelową armię. A ta miała bez problemu utorować sobie drogę do Paryża. Brakowało jedynie imprimatur władcy. Króla z pewnością zaskoczy przedsięwzięcie na taką skalę! Ale już wkrótce wszystko będzie tak doskonale przygotowane, że Jerzy III zaakceptuje te działania jako jedynie logiczne. Wykorzysta okazję, aby rozprawić się z tym zgniłym narodem, który w krótkim czasie stracił dwóch królów i królową!

Wystarczy iskra. I on, lord Stevens, umożliwi Anglii zrealizowanie wymarzonego celu. Unia Dwojga Królestw. Róży i lilii. Lord Stormont, ambasador Anglii we Francji, wiele razy próbował się z nimi skontaktować, ale lord Stevens starał się tego unikać, a jego funkcja to usprawiedliwiała. Wycofanie się do kwatery głównej w Herblay umożliwiło mu tymczasowe zerwanie mostów i trwanie w celowym milczeniu.

Gdy Francja pogrąży się w chaosie politycznym, trzeba będzie uniemożliwić jej przygotowanie riposty przy poparciu Hiszpanii i Austrii, wykorzystując do tego Gibraltar, Jamajkę i Indie, co ostatecznie poszerzy wpływy brytyjskie. Oczywiście, niezależnie od wyniku akcji, nie wolno dopuścić, by Francja zdobyła cokolwiek na kontynencie amerykańskim, bo takie starcie miałoby już inną stawkę - zbyt wysoką. W latach 1739-1763

Wielka Brytania pozostawała w ciągłym stanie wojny, zmagając się z Hiszpanią w wojnie

siedmioletniej i tocząc wojnę sukcesyjną z Austrią. Dzięki przewadze na morzu udało się pokonać Francuzów u wybrzeży Portugalii. Korona zwyciężyła Dupleiksa w Indiach, a Montcalma w Kanadzie na równinach Abrahama w rejonie Quebecu. Pokój paryski z roku 1763 potwierdził supremację Anglii. Francja utraciła kolonie w Ameryce Północnej i posiadłości w Indiach. Anglia zyskała Nową Francję oraz tereny w Senegalu i Indiach, w tym Pondichéry. Umocniła swe morskie imperium. Po zawarciu pokoju między Austrią a Prusami przymierze Marii Teresy i Marii Antoniny z Francją tworzyło nowy, kruchy ład na kontynencie.

Ciągłe wojny opróżniły skarbiec Korony, Londyn zwrócił się do amerykańskich osadników. Nowe podatki nałożone przez Parlament mocą Sugar Act czy Tea Act wywołały niezadowolenie trzynastu brytyjskich kolonii w Ameryce. Anglia, nie zadowolony się zagarnięciem dla swej floty monopolu na przewóz niektórych towarów, zakazała sprzedaży wielu towarów do innych krajów. To powodowało stopniowe dławienie się plantatorów.

Ostatni kryzys z grudnia 1773 roku zapisał się w historii jako Boston Tea Party. Nie uznając monopolu kompanii brytyjskich na herbatę, amerykańscy osadnicy, przebrani za Indian z plemienia Mohikanów, wyrzucili w bostońskim porcie około trzystu pięćdziesięciu skrzyń herbaty do morza. Był to załadunek trzech statków Kompanii Indyjskiej. Wielka Brytania w ramach represji zamknęła port. Opinia publiczna solidaryzowała się z bostończykami.

Zwołano kongres osadników. Ludzie marzyli już o powołaniu nowych instytucji! A Jerzy III musiał podjąć najbardziej oszałamiającą decyzję w swoim życiu - uznać osadników za

„rebeliantów”, którzy choć już zdradzeni, nadal potwierdzali swe przywiązanie do Korony!

Co się stanie, jeśli rzeczywiście dojdzie do oderwania kolonii? Cała Ameryka Północna będzie stawką w tej grze. Rysował się konflikt między lojalistami a rebeliantami.

Może nawet wojna o niepodległość? Stevens nie miał co do tego wątpliwości. A w razie wybuchu wojny, gdyby rebeliantom potrzebny był sprzymierzeniec, gdzie mieliby go szukać, jeśli nie we Francji? Przyjmując taką hipotezę, Stevens wyobrażał sobie, jak monarchia francuska korzysta z okazji, by wesprzeć buntowników i wziąć odwet za pokój paryski.

Francja marzyła o takim rewanzu od dziesięciu lat. Czyż nie w tym celu odbudowywała flotę?

Modernizowała uzbrojenie i doskonaliła szkolenie żołnierzy, zwiększając liczebność armii, która wedle źródeł Stevensa osiągnęła trzysta tysięcy ludzi. Wielka Brytania wciąż panowała na morzach, jednak przymierze z Austrią, a także rodzinny pakt francusko-hiszpański, cokolwiek by o tym sądzić, dawały tym państwom przewagę na kontynencie europejskim. W

tej sytuacji wzburzenie trzynastu kolonii, jeśli miało narastać, mogło zwrócić uwagę wszystkich europejskich potęg na Wielką Brytanię.

A konflikt ogarnąłby cały świat!

*

Lord Stevens zszedł po schodach domu.

- Co z Czarną Orchideą?... - spytał. - Czy pokonał pan Wenecjanina?

- Tak - odparł głos spod kaptura.

- Brawo! Zabił pan legendę.

- Chwastów nigdy nie da się do końca wyplenić.

- Już czas skończyć tę grę. Śmierć Wenecjanina po tamtych kilku narobi hałasu.

- Cóż z tego! I tak nie wiedzą, jak sobie z tym radzić. Stevens, nie zostanę tu długo.

Mam spotkanie u „Procope’a”. Muszę dokończyć swe dzieło. I muszę dostarczyć specjalną przesyłkę do Choisy. Załatwi to jeden z naszych ludzi. To bardzo ważna sprawa.

Bajkarz odwrócił się w stronę zbirów. Potem podjął:

- Doskonale się bawię, Stevens. Wkrótce wpadną w panikę, jeśli się to już nie stało.

Muszę jednak zdobyć jeszcze kilka trofeów, i to nie byle jakich.

- Dobrze, niech pan zatem kończy. Proszę jednak nie mylić naszego przedsięwzięcia z zemstą osobistą. Wkrótce wszystko będzie gotowe.

Bajkarz wykonał błazeński pokłon, odwrócił się z łopotem peleryny i wskoczył na konia. Skinął ręką zakapturzonej gromadzie mężczyzn ubranych jak on, którzy wciąż czekali w ogrodzie. W ślad za nim ruszyli do rozproszonych po parku koni i uformowali się w niezwykle szyk piekielnej kohorty.

- Do zobaczenia wkrótce, Stevens.

Bajkarz wykrzywił usta w uśmiechu.

- *God save the King.*

Spiął konia, który stanął dęba, a potem pogalopował ku bramie. Odjechał, ciągnąc za sobą oddział w tańczących na wietrze pelerynach.

Stevens musnął palcami płatki róży.

Róża i lilia... I losy Ameryki.

Ofiara dla zjawy

OGRODY WERSALU

KAWIARNIA „PROCOPE”, PARYŻ

Pożegnał Landretta. A teraz, jadąc w stronę Paryża, wciąż miał przed oczyma obrazy, w których realizm nie był jeszcze w stanie uwierzyć.

O świcie stanął ze złożonymi rękami przed ciałem dawnego sługi. Za nim ogrodnicy i obsługujący Menażerię ze swymi nożycami, graczami i miotłami ustawili się, tworząc osobliwą wartę honorową. W innych okolicznościach takie pożegnanie zmarłego wydałoby się nieco komiczne, ale tego ranka między posągiem Latony a Labiryntem, między Fontanną Apolla i gigantem Enkeladosem zapanowała bolesna powaga i niezmacona cisza.

Landretto... Przyjacielu...

Pietro podszedł, nie próbując powstrzymać łez.

Landretto leżał na ławce, wciąż jeszcze w stroju królewskiego pazia. Miał zamknięte oczy, siną skórę, twarz zastygłą. Poranne światło zdawało się przywracać mu odrobinę życia.

Ktoś już zadbał, aby osłonić ślad po linie, która zacisnęła się na jego szyi. W splecionych na piersi rękach trzymał kapelusz. Pióra skrzyżowały się na jego sercu. Ktoś wypolerował mu galony i guziki.

Mały książę... Nie zagrają ci trąbki, nie popłyniesz po wielkich wodach...

Wenecjanin zamyślił się, gładząc zmarłego po twarzy.

Gdzie się podziała ich młodość - jego młodość? Patrząc na pył unoszący się nad ogrodami Wersalu, wyobrażał sobie gondole sunące po tłustych wodach kanałów, widział puder spływający z twarzy, tynki odpadające od murów, chore serca... Snuł

bolesny sen, ale gdzie się podziały te czasy, gdy słuchali śpiewu i śpiewali?

Pocałował go w czoło.

Landretto...

W końcu wyprostował się i wolno odszedł, raz jeszcze żegnając przyjaciela przed jego odejściem do nowej krainy cienia lub raczej, w co pragnął wierzyć, do zielonego raję.

Wieczna wiosna ogrodu Hesperyd...

*

Siedział w karocy, która wiozła go do Paryża.

Dobrze... Co teraz?

Musiał zebrać siły. Landretto nie mógł umrzeć na darmo, Pietro poprzysiął to sobie.

Teraz Viravolta zyskał przewagę nad wrogiem, który uważał go za zmarłego. Nadludzkim wysiłkiem

powściągając gniew i żal, podliczył zadane przez Bajkarza ciosy: BOCIAN I LIS - Lansquenet

WILK I BARANEK - Rosette

ŻABA I WÓŁ - Crapaud

KRUK I LIS - Landretto

LEW I SZCZUR - Ja

PIES I CIEŃ JEGO W WODZIE

MAŁPA KRÓLEM

KONIK POLNY I MRÓWKA

ŻÓŁW I ZAJĄC

LEW W STAROŚCI

Gdy karoca zatrzymała się przed elegancką, ukwieconą witryną „Procope’a” w dzielnicy Saint-Germain, Pietro wysiadł i zdecydowanym krokiem przeszedł kilka metrów dzielących go od kawiarni.

* * *

Otworzył drzwi „Procope’a”.

Panujący wewnątrz gwar był dla niego niczym uderzenie obuchem w głowę.

Kawa! Kawa! Wreszcie coś, co mogło zbliżyć paryżan do Wenecjan. W Wenecji Viravolta i jego drogi lokaj często zaglądali do „Floriana” albo do *ridotto*, aby w ten sposób zacząć suto zakrapiane, rozpustne zabawy. Ale tu kawa była zdrowa i święta, to była instytucja, świątynia, prawdziwy kościół, gdzie wypowiadano tyle prawd i głębokich sądów opartych na bogatym doświadczeniu... Warto było posłuchać tych tancerek i aktoreczek, które po wyjściu ze spektaklu zamieniały się w podpory mądrości świata, tych podpitych hazardzistów i wielbicieli bilardu, pospolitych ludzi i upadłych arystokratów, którzy chcieli się nawrócić, tych gwiazd jednego wieczoru, robotników wznoszących toasty za zdrowie króla. W Paryżu było sześćset, może siedemset kawiarni, a w każdej z nich mogło pojawić się co wieczór dwóch, dziesięciu, trzydziestu, pięćdziesięciu klientów. Wygłaszano tam tysiące mów, prorocत्व, pojawiały się dziesiątki pytań, co pozwalało wyrobić sobie dość dokładne wyobrażenie nie tylko o złu na tym padole - minionym, obecnym i przyszłym - ale także znaleźć rozwiązania, czasem bardzo radykalne, czasem zaskakujące, które mogłyby temu złu zaradzić...

Komedia francuska! Bajkarz i komedianci - oto, co nas otacza, pomyślał Pietro, stojąc w progu kawiarni na wprost hotelu, w którym mieszkali „Komedianci Króla”.

Ledwie wszedł, zatrzymała go jakaś kobieta, a może mężczyzna, bo Wenecjanin przez chwilę nie mógł tego stwierdzić. Wreszcie rozpoznał człowieka, który osłonił twarz kapeluszem z szerokim rondem, muszką i chustą jak u zbójnika. Poznał go po błyszczących oczach i charakterystycznym ruchu bioder. To był kawaler de Tonnerre, transwestyta, zasłużony agent Sekretu Króla, mężczyzno-kobieta o tysiącu twarzy, Afrodyta Hermafrodyt.

Przed Viravoltą stanął inny człowiek legenda - kawaler d'Eon.

Spotkali się kilka lat temu w Londynie, ale prawie się nie znali. Czarna Orchidea był

pełen podziwu dla tego kompana i jego doskonałych manier, które wykorzystywał zarówno w dyplomacji, jak i w szpiegostwie. Nazywano go także panną d'Eon, ponieważ słynął z wyjątkowej umiejętności przebierania się za kobietę. Pietro uśmiechnął się. Takie spotkanie warte było fatygi! D'Eon zaczął karierę jako adwokat w Parlamencie, następnie został

powołany przez Ludwika XV na stanowisko „królewskiego cenzora do spraw historii i literatury”. Później wstąpił do Sekretu Króla. Jako sekretarz ambasady na dworze carskim przekonywał carycę Elżbietę do zawarcia przymierza z Francją. Mówił, że był „lektorką” carycy, i używał wówczas pseudonimu Lya de Beaumont. Caryca odkryła pewnego dnia jego podstęp i usiłowała go wykorzystać, a gdy kawaler odmówił, został uznany za obłąkanego. W

roku 1762 uczestniczył w przygotowaniu słynnych planów inwazji na Wielką Brytanię.

Potem uzyskał stanowisko ministra pełnomocnego poselstwa księcia de Nivemois, a następnie był sekretarzem hrabiego de Guerchy, nowego ambasadora w Londynie. Toczył z nim spór i ciągnące się latami procesy. Całą Europę obiegły pogłoski, że w rzeczywistości jest kobietą. Nigdy nie próbował ich dementować. Miał subtelne rysy, delikatną twarz, długie rzęsy. Pietro zastanawiał się nawet, czy d'Eon nie podkreśla celowo tej dwoistości, która stała się w pewnym sensie jego znakiem firmowym. Znakiem niezwykle oryginalnym.

- O, to pan - powiedział Viravolta.

- Orchideo! Czekałem na pana. Proszę do nas dołączyć.

Tego dnia d'Eon miał na sobie długi niebieski płaszcz ze złotymi guzikami. Wszyscy się za nim oglądali, ponieważ spod płaszcza transwestyty widać było dziwną suknię z dekoltem obramowanym czarną wstęgą. Włosy miał związane z tyłu, a w ręku trzymał

wachlarz z karminowej koronki. Jeden z licznych pierścieni na palcach był sygnetem ze skrytką na truciznę - proszek łatwy do rozpuszczenia w napoju. Szpada u boku i sztylet za cholewą dopełniały tego wdzięcznego i niezwykłego stroju.

Przeszli przez kawiarnię. Pod kryształowymi żyrandolami odbijały się, w ogromnych zwierciadłach, sylwetki gości. Freski i obrazy na ścianach upodobały to miejsce do galerii malarstwa. To miejsce o paryskim szyku znane było ze szczególnego charakteru. „Procope” miał ambicje kawiarni literackiej, swoistego salonu, gdzie spotykają się i toczą dyskusje intelektualiści, artyści,

przypadkowi goście. Rousseau, Wolter i Diderot bywali tu często, podobnie jak Marmontel i Crébillon. Roilo się tu także od żurnalistów i jak co dzień od szpiegów. Po prawej skupili się szachiści, doskonali stratedzy toczący zaimprovizowany turniej. A tam, przy małym marmurowym stoliku, nieco na uboczu, siedziało dwóch agentów, do których zbliżali się właśnie Pietro i „panna” d’Eon.

Viravolta natychmiast poznał jednego z nich, także stałego bywalca tego miejsca.

Pierre-Augustin Caron de Beaumarchais, syn zegarmistrza, właściwie nie był agentem Sekretu, pełnił jednak wiele misji dla Sartine’a, szefa policji. Jego życie było jak romans.

Ożenił się w 1756 ze starszą od siebie o dziesięć lat Madeleine-Catherine Aubertin, wdową po Francquecie, którą pochował rok później. Podejrzewano, że nieco przyspieszył jej śmierć. Ale to tylko jeden z wielu skandali, jakie wywołał. Urodzony uwodziciel, nauczyciel gry na harfie córek Ludwika XV, wraz z odpowiedzialnym za finanse dworu Pâris-Duvenemem prowadził

spekulacje handlowe na szeroką skalę i pod tym względem także dowiódł swego geniuszu.

Dzięki ogromnemu majątkowi mógł kupić urząd królewskiego sekretarza, potem został

wielkim łowczym. Jako protegowany księcia Kondeusza, zaczął pisać utwory dla prywatnych teatrów, potem próbował sił jako dramaturg, tworząc *Eugenię* oraz sztukę *Dwaj Przyjaciele albo Kupiec z Lyonu*. Jego druga żona także zmarła wkrótce po ślubie, pozostawiając mężowi spory majątek. Tym razem oskarżono go o zagarnięcie spadku.

- No, no, Czarna Orchidea... - powiedział na widok Pietra.

Wenecjanin skłonił głowę, uśmiechając się kącikiem ust.

Jednak ani on, ani Beaumarchais nie mieli ochoty przywoływać wspólnych wspomnień. Od czterech lat dramaturg procesował się i borykał ze zmiennym losem, czy to w sprawie hrabiego de La Blache, czy problemów z testamentowymi zapisami Pâris-Duvenemaya, czy wreszcie sporem o memorandum z Goëzmanem. Miał opinię truciciela i oszusta. Co prawda, dowiódł swych zdolności, redagując dzienniki sądowe, lecz utracił przy okazji większość rodzinnego majątku oraz prawa cywilne.

Sartine był mu wciąż przychylny, ale Beaumarchais popadł w niełaskę króla. Ostatnio wrócił z Londynu, gdzie negocjował zakaz publikacji *Sekretnych pamiętników kobiety publicznej*, pamfletu na panią du Barry, pióra niejakiego Théveneau de Morande. Trzeba przyznać, że podczas swych tajnych misji Beaumarchais zachowywał się trochę jak słoń w sklepie z porcelaną. Pietro musiał udać się do Anglii, aby doprowadzić negocjacje do końca. I Beaumarchais’go i d’Eona znał równie słabo, co wynikało z ich rozkładu czasu poświęconego pracy dla służb, ale spotkali się kilka razy na dworze. Tym dworze, którego łaski Beaumarchais musiał koniecznie odzyskać. Transwestyta i dramaturg poznali się dopiero dziś. Ich spotkanie miało pozostać ściśle tajemnicą.

Jedno było pewne - w przeciwieństwie do Viravolty Beaumarchais nie wątpił, że ów kawaler jest naprawdę kobietą... co gorsza, ze spojrzeń, jakie rzucał, Wenecjanin wywnioskował, że dramaturg

nie pozostał obojętny na wdzięki transwestyty!

Sprawa nabiera pikanterii... pomyślał Viravolta.

- Sądzę, że się znacie - powiedział d'Eon do Viravolty. - Co do tej czarującej osoby...

- Saphir - odezwała się kobieta, wstając.

Ostatni z obecnych jeszcze się nie przedstawił. Jego mocno umalowana, ozdobiona sztucznymi brwiami twarz i ekscentryczna peruka wydały się Pietrowi znajome. Kobieta, która podała się za Saphir, wyglądała na młodą i bardzo energiczną osobę. Podała mu dłoń o długich palcach harfistki i uśmiechnęła się, witając go melodyjnym głosem o niezwykłym brzmieniu. W pierwszej chwili, Saphir drgnęła na jego widok. Na szyi miała duży niebieski kamień, od którego zapewne wziął się jej pseudonim. Na ręce nosiła bransoletkę. Suknia z kołnierzykiem i szeroką spódnicą miała chyba zapewnić jej jak największą swobodę ruchu.

- Spotkaliśmy się już kiedyś? - zapytał Pietro.

- Może we śnie, panie de Lansalt. Wiele słyszałam o pańskich wyczynach.

I zmierzyła go od stóp do głów.

- Zdaje się pan człowiekiem na miarę własnej sławy... Tylko jest pan nieco starszy niż na medalionach. Wie pan, że niektóre nadal leżą w sekretarzykach pańskich dawnych kochanek?

- Hm... Saphir, która już od dawna nie używa prawdziwego nazwiska, pracowała w Londynie i tam się poznaliśmy - wyjaśnił d'Eon. - Proszę sobie wyobrazić, że działa pod bardzo oryginalną przykrywką: śpiewała w operze. Ma cudowny głos. Potem wysłano ją do Wenecji...

Saphir szeroko się uśmiechnęła.

- Rozumiem - powiedział Pietro.

- Usiądźmy - zaproponował kawaler.

Wszyscy zajęli miejsca przy stole.

Beaumarchais zamówił kawę po turecku, Saphir sorbet.

- Proszę o cappuccino - rzucił Vilavorta i dodał z uśmiechem. - Z kremem na wierzchu.

- Broglie zorganizował spotkanie, w którym nie będzie uczestniczył - powiedział

d'Eon. - Zamordowano nie tylko ludzi z Sekretu, ale także drobnych informatorów. Ktoś chce zniszczyć całą siatkę! Trzeba będzie zmienić szyfry i pseudonimy.

Miał rację. W Londynie d'Eon posługiwał się pseudonimem William Wolff, Beaumarchais nazywał się Ronac, co było nieco patetycznym anagramem Caron. Saphir nie zmieniała pseudonimu.

- ...Wiedeńscy i tak złamali większość szyfrów - ciągnął kawaler. - Nie jesteśmy już bezpieczni. Jak wiecie, każda z ofiar dostała bajkę. Próbowałem ułożyć z tych okruczeń obraz całości... Ktoś się nami bawi, jesteśmy zagrożeni. Trzeba dowiedzieć się kto i dlaczego.

Beaumarchais wciąż z zainteresowaniem przyglądał się d'Eonowi.

- Ja też dostałem bajkę i niewiele brakowało, a nie uszedłbym z życiem - wyznał

Pietro. - On z nami gra. Możecie mi nie wierzyć, ale ten obłąkaniec czerpie inspirację z bajek La Fontaine'a i wersalskich ogrodów, tworząc scenerię morderstw naszych ludzi. Ściśle mówiąc, bawi się w zagajnikach i przy fontannach Labiryntu. To pułapka na nas, tak przynajmniej wynika z jego przesłania!

- Problem w tym, że nie wiemy, co stanie się z Sekretem! - przerwał Beaumarchais. -

Napisałem do króla, by wyjaśnić mu, w jakiej sytuacji postawił mnie jego dziadek, i przedstawić wyjątkowe zadanie, które powierzył mi w marcu. Wciąż podróżowałem z Londynu do Wersalu. Co najmniej czterokrotnie w ciągu sześciu tygodni. Tuż po powrocie dowiedziałem się, że Ludwik XV jest umierający, i nie mogłem mu nawet zameldować, że wypełniłem misję! Ta londyńska sprawa może mieć konsekwencje! Tymczasem kończę pisać pięcioaktówkę o hrabim, który zadurzył się w wychowanicy doktora i przygotowuje intrygę ze swoim sługą. Zatytułuję ją chyba *Cyrulik sewilski*, a może *Daremna ostrożność*, albo jedno i drugie. Co o tym sądzicie?

Popatrzyli na siebie.

- Hm... Przyznaję, że mamy pilniejsze sprawy.

Kawaler d'Eon rozłożył wachlarz zręcznym ruchem nadgarstka.

- Myślę, że ktoś próbuje przyspieszyć rozwiązanie Sekretu, aby zrealizować szerzej zakrojony plan, ale jaki? - powiedział. - Vergennes jest nadal w Sztokholmie. Być może dowie się czegoś więcej dzięki swojej siatce.

- Mówi się, że król zamierza powierzyć mu sprawy zagraniczne - powiedział

Beaumarchais.

- Wyobrażacie to sobie? - dodała Saphir - jeden z naszych w rządzie... To by rozwiązało nasze problemy!

- Wątpię jednak, żeby król wybrał naszego drogiego hrabiego de Broglie. Nie wyobrażam sobie również, by mógł pozostawić na stanowisku Aiguillona.

Zaniepokojony Pietro pochylił głowę.

- Wkrótce się przekonamy. Ludwik XVI jeszcze dziś musi się dowiedzieć o naszym istnieniu. Decyzje nadejdą w stosownym czasie. Ale jest gorzej, niż się wam wydaje. I nie w Sztokholmie, Wiedniu czy Prusach trzeba szukać zła. Bajkarz zabił Landretta, mojego dawnego lokaja, a teraz jest przekonany, że ja też już nie żyję. Obawiam się jednak, że mierzy wyżej, i to znacznie wyżej niż w nas.

- Nie rozumiem - odezwał się d'Eon.

- W króla? - zaryzykowała Saphir.

- W parę królewską. W cały system władzy. I myślę, że stoją za tym Anglicy. Nie mam pojęcia, jakimi kierują się pobudkami, na razie to tylko intuicja, brak mi dowodów.

Jednak obawiam się najgorszego.

- Anglicy? Znowu? Ale dlaczego? - zdziwił się d'Eon. - Czy cios, jakim był dla nas traktat paryski, im nie wystarczy? Obserwowałem Wilkesa i żaden z moich informatorów nie wspomniał o tego typu sprawie. Jeżeli istnieje plan zniszczenia siatki, to wątpię, żeby opracował go ktoś z kręgów rządowych lub parlamentarnych.

- Może to najemnik zwerbowany na tę okazję - wtrącił Beaumarchais. - Ktoś, kto działa poza ich strukturami.

- Ktoś z kontrwywiadu? - zapytał Pietro.

- Upoważniony lub nie, ale to prawdopodobne - powiedział d'Eon.

- Ależ to jakieś brednie! - krzyknęła Saphir. - Jerzy Trzeci nie posunąłby się do... do próby obalenia monarchii! A poza tym naraziłby się na gniew Marii Teresy, Hiszpanii, Prus...

na odwrócenie sojuszy!

- Owszem... Ale liczy się także Ameryka! - odparł Pietro.

- Och, Ameryka! Kto by się przejmował Ameryką!

- To nie takie głupie - wtrącił Beaumarchais, nagle popadając w zadumę.

Cmoknął.

- Będziemy dalej zbierać informacje, Viravolta, może pan na nas liczyć - ciągnął. -

Osobiście nie mam pojęcia, kim może być Bajkarz.

- A tymczasem wisi nad nami miecz Damoklesa, a my nic nie wiemy - westchnął

Pietro.

- Nikt nic nie wie - dorzucił d'Eon, wydymając usta.

- W takim razie po co się spotkaliśmy? - włączył się Beaumarchais.

- Właśnie! I ja się zastanawiam, w imię czego siedzimy tu razem, na oczach wszystkich, i łamiemy elementarne reguły bezpieczeństwa. Zastanawiam się...

Zapadła ciężka cisza. D'Eon zmrużył oczy.

- Czyżby Broglie... - podchwyciła Saphir.

Nadal milczeli, patrząc na siebie.

- Czworo za jednym zamachem! - zakrzyknął Beaumarchais, chwytając się za głowę.

- A jeśli to... - ciągnęła Saphir.

- ... zasadzka? - dokończył za nią d'Eon.

Ledwie skończył mówić, gdy usłyszeli świst. Podskoczyli. Coś uderzyło w ramę lustra tuż obok ich stolika.

Sztylet.

Na ostrzu zawieszono kartkę.

D'Eon zerwał ją i pokazał kompanom:

PIES I CIEŃ JEGO W WODZIE

Księga VI - Bajka 17

Iluz to ludzi w oblędzie

Goniąc marę, zysk postrada!

Trafną bajeczkę w tym względzie

Mędrzec Ezop opowiada.

Pies od rzeźniczej posługi

Niósł przez wodę mięsa kawał.

I wtem, gdy mu taki drugi

Z mięsem na dnie iść się zdawał,

Chcąc je porwać, puszcza własne

I zatapia w nurt głęboki.

Nie jestże to głupstwo jasne

Dwie za ogon chwytac sroki?5

- Łup i ułuda... - szepnął d'Eon.

Zobaczyli go, w odbiciu lustra, przed którym siedzieli.

Stał przed nimi, wsparłszy ręce na biodrach, wyprostowany niczym posąg, jak Komandor. Poły jego peleryny rozchyłały się, ukazując czarne spodnie i skórzane buty. Na piersi miał czerwoną różę, a u pasa srebrną klamrę. U jego boku błyszczała rękojeść szpady.

- Bajkarz - szepnął Viravolta.

Znowu zapadła ciężka cisza. Czwooro agentów jak na komendę zwróciło głowy w tę samą stronę. W oniemieniu patrzyli na tę zjawę.

- To prowokacja - powiedział w końcu Beaumarchais.

- I przyszedł tu sam! - zdziwiła się Saphir.

Viravolta poderwał się z miejsca.

- Zabiję cię gołymi rękoma!

W gniewie przewrócił krzesło.

- A zatem wciąż pan żyje - powiedział Bajkarz. - Udało się panu, Viravolta. Zaskoczył mnie pan. Proszę zatem wraz z nami wysłuchać kolejnej bajki...

Jego głos się zmienił. Teraz był niższy i groźniejszy.

- Łup i ułuda, przyjacielu.

Pietro już miał do niego doskoczyć, ale zatrzymał się w pół kroku. Bajkarz cofnął się, przepuszczając około dziesięciu mężczyzn. Wszyscy byli ubrani dokładnie tak jak on w czarne peleryny z kapturem. Rozeszli się po kawiarni. Klienci wstawali z miejsc. Wśród nich byli jeszcze inni Bajkarze, którzy teraz skupili się, szeleszcząc pelerynami. Szachiści cofnęli się od stolików, a ich pobladłe twarze dowodziły, że byli słabszymi strategami niż najęte do akcji zbiry. Wystraszeni kelnerzy „Procope’a” cofnęli się, dławiąc krzyki.

Gospodarz lokalu, wąsaty Sycylijczyk, który wyglądał na własnego dziadka, patetycznie załamał rękę.

- *Madre mia...*

- Skoro mowa o sekrecie... - wycedził przez zęby Beaumarchais.

- Rzeczywiście, świetne zagranie... - westchnęła Saphir. - A my daliśmy się tu zwabić jak naiwne dzieci!

W progu „Procope’a” Komandor wznosił rękę.

I znów wydawało się, że czas się zatrzymał. Beaumarchais wstał.

5 Przełożył Leopold Staff.

- Cóż, przyjaciele, myślę, że musimy się bronić.

Wyciągnął szpadę.

- I jak zwykle...

Przyjął pozycję do walki, a jego szpada zatoczyła wdzięczny łuk w przestrzeni.

- ...z godnością.

W ślad za nim broń chwycił d'Eon.

- I z elegancją.

W rękach Saphir błysnęły dwa sztylety, którymi zręcznie obracała.

- Z wyrafinowaniem...

- I z zapalem - dodał Viravolta, stojąc przy nich. Wszyscy czworo znaleźli się w kręgu utworzonym przez najemników Bajkarza. Ta sfora gotowa była rzucić się na nich. Pietro uśmiechnął się nienawistnie.

- Przytnijmy im brody - rzucił Beaumarchais.

I przeciął powietrze ostrzem.

Komandor opuścił ręce.

*

Natychmiast Bajkarz i jego banda skoczyli do przodu. D'Eon lewą ręką szybko złożył

wachlarz do osłony z karminowej koronki i kciukiem przesunął mały zamek. Uwolnione błyszczące ostrza wystrzeliły. D'Eon zręcznie machnął wachlarzem, kierując tę broń w stronę napastników. Zatrute ostrza dosięgły kilku przebierańców. Niemal natychmiast padli, rażeni trucizną. D'Eon zdmuchnął kosmyk włosów, wachlując się przez moment. Pietro zerknął na niego, zdziwiony.

- Czyżbyś i pani była klientką pana Marienne'a?...

Transwestyta tylko się uśmiechnął. Kilku przeciwników zdążyło już dobyć broni palnej, więc Pietro sięgnął po pistolet, który dostał od królewskiego urzędnika. Raz po raz oddawał strzały, a lufy obracały się ze świstem i metalicznym zgrzytem. Nie zmarnował

żadnej z sześciu kul, a jeden z napastników, ugodzony, gdy przeskakiwał przez stół, obrócił się w powietrzu, zanim padł u stóp Viravolty, po drodze łamiąc dwa krzesła.

- Ja także mam jeszcze asy w rękawie.

- Och, cześć nauce! - uśmiechnął się d'Eon.

Potem odrzucił wachlarz, a Pietro pistolet. I razem wmieszali się w tłum do walki na szpady. Saphir rozpięła suknię i zrzuciła ją, pozostając w błękitnym kostiumie, który podkreślał jej szczupłą talię. Ten strój bardziej nadawał się do walki. Z wielką maestrią zonglowała sztyletami. Beaumarchais nie był gorszy od innych. Zwinnym skokiem przemieścił się z krzesła na marmurowy stół i czynił wokół spustoszenie, bo był genialnym szermierzem. Walka dawała mu radość. Pietro dołączył do niego i zapewne ocalił, krzyżując broń z dwoma napastnikami.

- Po prawej! - krzyknął Pietro.

- Po lewej! - rzucił Beaumarchais.

Tymczasem stojący w drzwiach Komandor patrzył na walkę jak na spektakl teatralny.

Starannie osłaniał twarz kapturem, a kiedy zobaczył, jak Czarna Orchidea skoczył na żyrandol i rozkołysał go, by dostać się na drugi koniec sali i wylądować przy trzech Bajkarzach zagrażających Saphir, o mało nie zaczął bić mu brawa. Obsługa kawiarni i kilku klientów, którzy nie mieli nic wspólnego z bójką padli na podłogę i osłonili głowy rękami.

Szklanki, filiżanki i butelki tłukły się z hałasem. Półki były połamane. Lustra rozpryskiwały się na drobne okruchy. Łamały się krzesła.

A potem nagle wszystko ucichło.

Viravolta i Beaumarchais rozglądali się wokół.

Kawaler d'Eon uniósł głowę.

Saphir wstała i poprawiła przekrzywioną perukę, a potem zaczęła szukać na rumowisku spódnicy.

Wokół leżało około dwudziestu zabitych i rannych - jedni na podłodze, inni bezwładnie zwisając ze stolików lub krzeseł. Słysząc było charczenie. Wszędzie było pełno krwi, szkła i połamanych krzeseł, zupełnie jakby przez salę przeszło tornado.

Klienci, a raczej nieliczni ocaleni z wolna się podnosili.

Pietro pobiegł do wyjścia.

Komandor zniknął.

Została po nim tylko czarna peleryna i czerwona róża, jakby on sam po prostu zapadł się pod ziemię.

Pietro przyklęknął i zmarszczył brwi, podnosząc różę i wpatrując się w kwiat.

Łup i ułuda...

*

Cisnął różą daleko przed siebie, wstał i podszedł do jednego z dogorywających Bajkarzy. Tymczasem Beaumarchais z odrazą ocierał krew ze szpady, Saphir poprawiała suknię, a d'Eon składał wachlarz, by wsunąć go za dekolot, między poduszeczki, które miały udawać piersi.

- Irytuje mnie ta słabość łydek... - rzekł d'Eon.

- Nawiasem mówiąc, bardzo zgrabniutkich - stwierdził Beaumarchais.

- Pochlebca!

- Ale pełen szacunku...

- Muszę przyznać, że świętny z pana szermierz.

- Prawda?

- Lubię te kawiarnie literackie - wtrącił Pietro.

Chwycił za pelerynę pierwszego z brzegu Bajkarza i ściągnął mu kaptur. Ranny w brzuch mężczyzna jeszcze żył, ale oczy miał już błędne. Pietro skinął na Saphir, prosząc, żeby dała mu sztylet. Złapał konającego za włosy i zbliżył ostrze do jego oka. Z twarzy mężczyzny wyzierał paniczny strach.

- Kim jest Bajkarz?

Mężczyzna usiłował coś powiedzieć. Z ust ciekła mu strużka krwi.

- Gdzie się ukrywa? Mów?

Konający tylko jęknął. Pietro pochylił się nad nim.

- Co mówisz?

- Her... Herblay... Dwo... Dworek...

W chwilę potem skonał.

Herblay.

- Saphir? Wolff? Ronac?

Wszyscy podeszli, patrząc na niego.

- Na koń. Mamy sporo do zrobienia.

*

Viravolta podniósł i złożył zgubiony podczas walki kapelusz. Poprawił czarną orchideę na piersi.

Jego usta wciąż wykrzywiały zły uśmiech.

- Tym razem to my musimy rozpocząć grę.

Małpa królem

POSIADŁOŚĆ KRÓLEWSKA W CHOISY

DROGA DO MARLY

Deszcz dudnił o szyby pałacu w Choisy, a król rozmyślał o wstrząsających informacjach, jakie mu przekazano. Zapatrzony w tańczące na kominku płomienie, sprawiał

wrażenie osoby, która nie może uwierzyć w to, co usłyszała.

List od Charles'a de Broglie ujawniał mu istnienie Sekretu. Król nie potrafił tego pojąć. Właściwie zaczynał z wolna rozumieć, że musi być przygotowany na wszystko. A zatem dziadek przez z górą dwadzieścia lat korzystał z usług tajnych agentów zwerbowanych przez Czarny Gabinet! Gabinet - zjawę! I to na najwyższym szczeblu władzy państwowej!

Ludwik czuł się bezradny, odkrywając nagle, podobnie jak księżę d'Aiguillon, istnienie dyplomacji paralelnej. Teraz, gdy objął tron, musiał poznać i opanować tę machinę, znacznie bardziej skomplikowaną niż spektakle z czasów Lully'ego! I nie tylko brutalne starcie ze sprawami politycznymi wprawiało Ludwika w stan graniczący z desperacją. Teraz czuł się, jakby stanął nad przepaścią z której stopniowo, skrawkami, wyłaniały się tajne posunięcia Sekretu zmierzające do osadzeniu na tronie Polski francuskiego księcia, czego jedynym skutkiem były rozbiory; a także działania przeciw mocarstwu brytyjskiemu, równie bezowocne, czy wreszcie jedyne zwieńczone sukcesem, te w Szwecji. Nasuwało się więc pytanie - jeśli pominąć Szwecję, to czym przez te lata zasłużył się Sekret?

Hrabia de Broglie czekał na instrukcje. Co czynić? Czy podjąć decyzję o ostatecznej likwidacji siatki, czy może reaktywować tajną agencję i kontynuować dzieło dziadka? Na domiar złego król dowiedział się, że wiedeńscy agenci zdołali złamać szyfry i przechwycić informacje przekazywane przez francuskich szpiegów. Ludwik niewiele rozumiał z afery szyfrów. Same zasady funkcjonowania Sekretu należało poddać analizie i zweryfikować.

Pokiwał głową. Lista nazwisk agentów także wzbudziła jego zaniepokojenie. Dumouriez, Breteuil, d'Eon, Beaumarchais, nie wspominając nawet o tym weneckim szpiegu, słudze dwóch panów, Viravolcie! Reputacja tych ludzi, gdyby sprawa wyszła na jaw, mogłaby zaszkodzić państwu, a najgorsze było to, co wiązało się z hrabią de Broglie, zaciekłym wrogiem księcia d'Aiguillon, człowiekiem postrzeganym niekiedy jako wybitny spiskowiec, niekiedy zaś jako podrzędny manipulant!

Charles de Broglie bronił się - nie, nigdy nie spiskował przeciwko państwu i zawsze przyjmował rozkazy bezpośrednio od króla. Pamiętał, że do jego wygnania doprowadził

spisek uknuty przez księcia d'Aiguillon i panią du Barry. On był jedynie kozłem ofiarnym w tej sprawie. Wyjaśnił królowi zasady działania i strukturę Sekretu i ujawnił tożsamość kilku agentów: d'Ogny'ego, intendenta poczty, Guimarda, służącego w pałacu i przekazującego rozkazy, Dubois-Martina, którego zadaniem było szyfrowanie odpowiedzi adresowanych do króla i odczytywanie przychodzących, zaszyfrowanych. Wszystko to były szczegóły techniczne. Ludwik nie otrzymał pełnej listy agentów siatki. I przypuszczał, że ta siatka istnieje wyłącznie w głowie hrabiego... A gdyby jednak?

*

Guimard przekazał mu list od Brogliego, a od d'Ogny'ego zaszyfrowane wiadomości.

Król otworzył je, żeby zapoznać się z szyfrem. W paczce przesłanej przez d'Ogny'ego dwa listy nie

były zaszyfrowane - jeden od kawalera d'Eon, podpisany nazwiskiem William Wolff, drugi od Desrivaux, konsula generalnego w Raguzie. Oba donosiły o bieżących sprawach. Król zamierzał odpowiedzieć Charles'owi i odesłać listy tą samą drogą.

Zaproponuje, by wszystkich agentów opłacać do końca maja. Broglie zachowałby „biuro” do lipca, potem otrzymałby dalsze instrukcje, bardziej jednoznaczne. Do czasu podjęcia ostatecznej decyzji musiałby milczeć jak grób. Król chciał przez ten czas poznać dokładne przyczyny wygnania hrabiego, by móc trafniej ocenić sytuację. Do lipca zdąży wyrobić sobie opinię w tej sprawie...

Co zrobić z Sekretem?

Sprawy przybrały zbyt szybki bieg.

Wyciągnął nogi przed kominkiem i przetarł oczy.

Potem wrócił do pracy. Ku swemu zaskoczeniu otrzymał dziś jeszcze jeden niespodziewany list, ale zaszyfrowany w inny sposób. Pozostawiono go dla niego przy bramie Choisy. Pismo przeszło drogę urzędową, przekazane przez wartownika zwierzchnikom.

D'Ogny i Guimard zaprzeczyli, by wiedzieli cokolwiek o tej przesyłce. Dokładnie obejrzel kopertę i woskową pieczęć opatrzoną jedynie charakterystyczną literą B.

Obawiali się nawet, że list jest zatruty, co w Wersalu było modne. Ale niczego się nie doszukali. List nie dotarł tu używaną przez Sekret drogą, jakby... jakby był napisany specjalnie dla króla. Dano go Ludwikowi, oczywiście po uprzednim przeczytaniu i z zachowaniem wszelkich możliwych środków ostrożności. D'Ogny wiedział od Charles'a de Broglie, co oznacza „5”. Natychmiast poinformował o tym króla, a następnie skopiował list.

Absurdalne i niezwykle było to, że klucz do szyfru został podany, jakby naprawdę chodziło o wiadomość przeznaczoną osobiście dla króla! Teraz, pochylony przy kominku, mrużąc oczy, Ludwik bawił się w rozszyfrowanie listu. D'Ogny miał go przekazać także Dubois-Martinowi do prawidłowego opracowania.

Ale król nie zamierzał i nie musiał czekać. Szyfr był dziecinnie łatwy!

Był już bliski jego złamania.

8♣4♥♣24♥5♦♠3♥326 ♠524♥3 17803♥243

■3 1153173 2♦♣ ♠5♦♥3♥24 93♥24♣143...

„...I oto ujrzysz, Najjaśniejszy Panie,

Wierszyk ci przeznaczony na dzień

Gdy znów do tańca staniesz.

Ta Ezopowa bajka zawsze

W zachwytyt wprawia mnie”.

MAŁPA KRÓLEM

Pewną Małpę królem Zwierzęta obwołały.

Za to, że z koroną małpie wyczyniała psoty,

Czekającą, by na głowie spocząć wybrańca.

Lis, wyborem oburzony, rzekł do nowego króla,

By po skarb z nim ruszył

Świeżo znaleziony.

Małpa poszła, lecz zamiast skarb w ziemi znaleźć,

W wilczy dół wpadła.

„Wkrótce umrzesz, Panie,

Podpisano:

Bajkarz

Król ujrzał w lustrze swą zdumioną twarz.

* * *

Anna Santamaria wracała karocą od Rose Bertin, modystki królowej.

Nic nie wskazywało, aby ta kobieta miała zdobyć sławę. Rose Bertin przyszła na świat w Abbeville jako córka strażnika straży marszałkowskiej i mówiło się - a właściwie ona sama mówiła - że pewna Cyganka przepowiedziała jej niezwykłą przyszłość. Jako szesnastoletnia prowincjuszka przyjechała do Paryża z przekonaniem, że zostanie kiedyś przedstawiona na dworze. Znalazła pracę jako robotnica u pani Pagelle, w modnym sklepie „Trait-Galant”.

Rose naprawdę miała na imię Marie-Jeanne, ale uznała, że imię kwiatu bardziej pasuje do jej cery i ułatwi wejście w wielki świat, co okazało się trafne. Pracowała jak pszczółka, najpierw biegała po Paryżu, proponując pięknym damom całe pudła fatalaszków i frywolnych ozdóbek. Poznała księżnę de Conti, księżnę de Chartres, księżnę de Lamballe. Uznano, że Rose jest powabna, a księżę de Chartres, któremu wpadła w oko, chciał, aby została jego kochanką. Ponieważ dziewczyna mu odmówiła, zaproponował, że ją uprowadzi i obsypie diamentami. Pewnego dnia, gdy rozmawiała z hrabiną d’Usson, zaanonsowano księcia.

Dziewczyna nie wstała. Oburzona tym pani d'Usson strogo ją skarciła, Rose odparła zaś spokojnie: „Pani hrabina nie wie, że gdybym chciała, byłabym dziś księżną de Chartres... Oby jaśnie pan nie zapomniał, kim jest, a wtedy ja z pewnością nie zapomnę, że dzieli mnie od niego przepaść!”. A potem głęboko się skłoniła i uciekła.

Handel przyniósł jej majątek. Rose Bertin otworzyła własny sklep przy ulicy Saint-Honoré i nazwała go „Pod Wielkim Mogołem”. Błyskawicznie zdobyła klientelę. Sama Maria Antonina była nią zachwycona. Anna Santamaria także odwiedzała czasem jej sklep, choć przeważnie to Rose przychodziła do pałacu. Dziewczyna miała rację, wierząc w przepowiednię Cyganki. Powiodło się jej. Tak jak i Annie, bo piękna Wenecjanka musiała czynić cuda, żeby nie popaść w konflikt z panią du Barry za czasów jej panowania w Wersalu, a równocześnie nie utracić zaufania Marii Antoniny i księżnej de Lamballe, zagorzałej przeciwniczki hrabiny. Anna dowiedziała się wszystkiego jeszcze jako żona Ottavia w Serenissimie. Sama także pochodziła z arystokratycznej rodziny Santamaria z Wenecji, od dawna obeznanej z dworskimi intrygami. Wśród krewnych jej ojca było wielu dyplomatów, w tym dwóch ambasadorów we Francji.

*

Anna wracała obładowana pakunkami. Kupiła dwa kapelusze, jeden z bardzo delikatnej słomki zdobiony szarfami, a drugi przystrojony satyną wiązany pod płaszczem.

Nabyła również dwa czepki, jeden z organdy, a drugi z linonu. Myślała o tych nabytkach z uśmiechem na ustach, gdy karoca gwałtownie się zatrzymała. Zdziwiona, odsunęła fioletową zasłonkę i wyrzała na zewnątrz.

Zgięty wpół mężczyzna, który podszedł do drzwi, wyglądał znajomo. Był

niewyobrażalnie brzydki. Na twarzy miał trzy blizny, usta wykrzywił w bezzębnym uśmiechu i przypominał zwierzę, które uciekło z ponurej bajki dla niegrzecznych dzieci. Etienne natychmiast stwierdził, że go nie oszukano. Ta wenecka laleczka była rzeczywiście piękna.

Wpił się oczyma w jej kształtną szyję i piersi pełne jak dojrzałe owoce. Nosiła suknię z mocno dopasowanym stanikiem o głębokim dekolcie zapinanym na mnóstwo klamerek i wydłużonym na plecach dla podkreślenia bioder. Uszyta ze śliwkowego aksamitu kreacja doskonale ukazywała zgrabną figurę kobiety. Jasne loki Anny Santamarii opadały na ramiona. Inkrustowany szlachetnymi kamieniami motyl przysiadł na nich jakby przez nieuwagę.

Myśliwski nóż, który sługa Bajkarza wyciągnął zza pasa, rozwiał wszelkie wątpliwości Wenecjanki. Wiedziała już, czego może się spodziewać. W tej samej chwili poczuła odrażający smród, który od niego bił.

Zauważyła też, że nie jest sam. Karoca została zatrzymana na brukowanej drodze prowadzącej do Marly. Otaczało ją sześć innych osób. Anna nie widziała, że jej stangret siedział na koźle z nożem przystawionym do gardła.

- Nie... nie mogłem nic zrobić, pani! - krzyknął.

Anna pomyślała, że może uda jej się rozczulić napastnika, który właśnie zaglądał przez okno.

Wolno uniosła suknię.

- Cóż to, przyjacielu? Czego ode mnie chcesz?

- Niech pani wysiądzie i idzie ze mną - odparł Etienne, przeciągając słowa. I uśmiechnął się szeroko, odsłaniając bezzębne szczęki.

Subtelna dłoń Anny przesuwiała się po łydce, spod sukni wyłoniła się biała skóra... i skrawek podwiązki z czarnej koronki.

Błysnął pierścionek na smukłym palcu.

Etienne nie odrywał oczu od Anny.

- Ależ, proszę pana... Czy pan wie, kim jestem i jak mówili o mnie w Wenecji?

Nie zauważył małego weneckiego sztyletu z rękojeścią z masy perłowej, który błyskawicznie wyciągnęła zza podwiązki. Jej ręka zakreśliła krótki łuk w powietrzu. Ledwie zdążył odchylić głowę, a ostrze głęboko rozcięło mu brodę. Do starych blizn miała dołączyć jeszcze jedna.

- Nazywali mnie Czarną Wdową!

- Ladacznicą! - wrzasnął.

Jego kompani nadbiegli, uzbrojeni w noże i pistolety.

Anna, widząc, że nie ma szans, wyszła z wysoko podniesioną głową.

Stała przed nimi dumna i opanowana.

Etienne cofnął się o kilka kroków, ocierając zakrwawioną brodę.

- Teraz zrobię z tobą to, na co zasługują takie ladacznicę!

Jeden z kompanów chwycił go za rękę.

- Nie. Musimy mu ją oddać nietkniętą. Zapamiętaj to sobie.

- Tak. A kiedy już skończymy, ślicznotko... ty też zasmakujesz mojego ostrza...

I ograniczył się do uszczypnięcia jej w policzek. Cofnęła głowę, otoczona przez całą bandę.

- Nie dotykaj mnie, nędzniku.

- Ruszamy. Zasłońcie jej oczy.

Nagonka

DWOREK W HERBLAY

- Co teraz?

Viravolta cofnął się w cień.

D'Eon i Beaumarchais ukryli się wraz z nim za żywopłotem. Tymczasem Saphir udała się do Ruffec na spotkanie z Charles'em de Broglie. Agenci byli zdziwieni, że szef Sekretu zwołał ich na spotkanie w „Procopie” i że właśnie tam zastawiono na nich pułapkę. Albo było to jakieś nieporozumienie, albo to Broglie wydał ich na śmierć. Ale ani Viravolta, ani jego kompani nie mogli w to uwierzyć. Aby sprawę wyjaśnić, Saphir była gotowa sama podjąć się tego ryzykownego zadania. Rola, jaką musiał odegrać Viravolta, dramaturg i panna d'Eon, była równie niebezpieczna.

- Doliczyłem się dziesięciu. Stoją wokół domu.

Zapadła noc. Księżyc świecił zza chmur. Widoczny w dali dwór wyglądał na tym pustkowiu jak gotycki zamek, wokół którego krążyły nietoperze i sowy. Na piętrze migotały światła. W południowo-wschodnim rogu wznosiła się wieża o szpiczastym dachu. Po obu stronach schodów prowadzących do domu widać było pozostałości po starej fosie. Nieco dalej, nad stawem, rechotały żaby.

- Pójdę się rozejrzeć - zaproponował Pietro.

- Dokąd? - syknął Beaumarchais.

- Przejdę górą.

- Jaką górą? - padło pytanie z ust panny d'Eon.

Pietro uśmiechnął się, kładąc palec na sznurze przy kapeluszu.

- Dam wam znak.

I odszedł.

- Viravolta, wracaj!

Lecz on nie usłuchał.

- Jest niepoprawny - westchnął Beaumarchais.

- Jak to Włosi - dodał d'Eon.

Pietro zniknął w ciemnościach. Zobaczyli jeszcze, jak przemknął niepostrzeżenie między dwoma strażnikami, którzy przyświecali sobie latarniami, patrolując dawną fosę na południu. Ukryty za wieżą Pietro spojrzał w górę. Na piętrze, około dziesięciu metrów nad nim, ktoś zostawił otwarte okno, wystarczająco duże, żeby wszedł przez nie człowiek. Jedno skrzydło, okute ołowiem, lekko kołysało się na wietrze. Pietro sięgnął po wsunięty za pas pistolet Marienne'a. Przykręcił tuleję do lufy i sprawdził mechanizm wyrzutu. Musiał

najpierw rozplątać metalową linkę, którą wzmocniały węzły. Do dzieła! Ale te węzły... To nie miało sensu. Linka była tak poplątana, że kolejne próby nic nie dawały. Rozejrzał się. W

każdej chwili ktoś mógł go zauważyć. Wpychał hak do tulei, aż w końcu usłyszał długo wyczekiwany dźwięk. Potem skierował przyrząd w stronę okna.

Pyk.

I nic.

Pyk, pyk, pyk...

Pietro spojrzał na tuleję.

Tymczasem Beaumarchais zajmował sobie czas, jak potrafił, nie chcąc marnować ani chwili.

- Widzi pani, panno d'Eon... My dwoje, tutaj... nocą, pośród zarośli...

Objął „ją” w talii, ale panna mu się wyrwała.

- No nie, to jakiś koszmar!

Urażony Beaumarchais nie nalegał. Uśmiechnął się niewyraźnie.

D'Eon wzruszył ramionami.

Dramaturg westchnął i spojrzał tam, gdzie zniknął Pietro.

- Oj - szepnął.

- Co się dzieje?

- Idą - rzucił Beaumarchais, wskazując brodą miejsce, w którym stał Viravolta.

Człowiek z latarnią niebezpiecznie się zbliżał. Jeszcze kilka metrów dzieliło go od wieży, za którą przyczał się Wenecjanin. Na twarzy Beaumarchais'go pojawił się grymas.

Obaj z d'Eonem wyczekiwali.

- Musimy coś zrobić! - szepnął d'Eon.

- Ale co?

- Nie wiem! Niech pan zagwizdże!

- Ale po co?

Pokręcił głową, wzruszył ramionami i pochylił głowę.

Beaumarchais podniósł kamyk. Wychodząc z kryjówki, rzucił nim mocno w stronę człowieka z latarnią, a potem schował się w zaroślach.

- Na nic lepszego pana nie stać?!

Beaumarchais znowu się skrzywił.

- Naprawdę, czasami brak panu temperamentu - gniewał się d'Eon.

Kamień odbił się od ściany domu. Latarnia natychmiast zmieniła kierunek.

Zaniepokojony wartownik zawrócił. Po kilku metrach zatrzymał się i zaczął nasłuchiwać.

Beaumarchais i d'Eon wstrzymali oddech. Latarnia kołysała się w prawo i w lewo.

Mężczyzna wpatrywał się w ciemności. Zimny wiatr poruszał liśćmi kasztanowców.

Puk, puk, puk...

Pietro wyciągnął ręce, wciąż celując w okno.

Człowiek z latarnią znowu ruszył na obchód. Zbliżał się do niego.

Tym razem Pietro go usłyszał.

Szybciej! Szybciej!

I wciskał palcem przycisk.

Człowiek z latarnią był tuż-tuż, kiedy lina wystrzeliła, drgając.

Blokada puściła i metalowy hak błyskawicznie przeleciał przez otwarte okno, wpadając do pomieszczenia. Pietro pociągnął linkę i hak zaczepił się o parapet już za pierwszym razem. Wenecjanin wyprężył się. Teraz musiał już tylko wcisnąć przycisk, żeby lina zaczęła się zwijać, wciągając go na górę. Człowiek z latarnią wyłonił się zza węgła.

Światło omiotło ziemię pod nogami Viravolty. Zatrzymało się na chwilę, jakby wartownika coś zaniepokoiło. Przyczajony w krzakach Beaumarchais zadrżał. D'Eon chwycił go za rękę.

Pietro był ocalony. Przeszła chmura, potem znów wyłonił się księżyc. Ledwie zdążyli zauważyć, jak

noga Wenecjanina znikła za oknem.

- Udało mu się! - szepnął Beaumarchais.

- Ale co teraz? - zapytał d'Eon.

- Zrobimy to, co kazał. Zaczekamy na jego znak.

Viravolta szybko zsunął się na kamienną posadzkę dworu.

Udało się. Nie było trud...

Zamarł. Zobaczył trzy wymierzone w siebie pistolety.

Uśmiechnął się blado.

Zakapturzona głowa powiedziała ironicznym tonem:

- Dobry wieczór.

*

Zawieziona do dworu karocą Anna Santamaria znajdowała się teraz w dużym salonie na najwyższym piętrze. Powitał ją tu sam Stevens. Po chwili dołączył do nich Bajkarz.

Otoczona przez porywaczy, z uniesioną głową i opaską na oczach, stała przed nimi. Wciąż jeszcze miała związane ręce, pasemko włosów opadało jej na czoło, a piersi falowały nieco za szybko. Stevens trzymał w ręce jej sztylet. Po chwili odłożył go na stół pośrodku pokoju.

- Powiecie mi, gdzie jestem? - zapytała na pozór beztrוסko. - I kto zniża się do porywania bezbronnej kobiet?

Stevens uśmiechnął się.

- Nie przesadzajmy z tą bezbronnością.

Bajkarz usiadł nieco dalej, przy dużym kominku. Podparł brodę dłonią w rękawiczce.

Od czasu do czasu nonszalancko omiatał posadzkę stopą usuwając popiół i pył. Przy kominku, na żelaznych hakach, wisały dmuchawy i pogrzebaczki. Sufit był zdobiony dębowymi belkami. Salon oświetlał stary kinkiet zawieszony na łańcuchu pod północną ścianą. Podniszczone tapiserie, ukazujące sceny z polowania w lasach Saint-Germain, zakrywały ścianę południową. Od wschodu kremowe zasłony oddzielały ich od drugiego skrzydła budynku. Stół na wygiętych nogach i sześć krzeseł zajmowały środek salonu. Były ustawione na dywanie, którego chyba dawno nie czyszczono. W rogu pokoju, na biurku z dwoma kandelabrami leżały rozwinięte plany. Za oknem w mroku rysowały się targane wiatrem drzewa i świecił księżyc. Dalej wznosiły się domostwa Herblay i kościół z dzwonnicy.

Stevens podszedł do Anny i pogłaskał ją po twarzy. Odwróciła głowę.

- No, kochanie, moja złościco... Uspokój się.

Zwrócił się do Bajkarza.

- Dopadł pan lokaja, nie dosięgnął pana... Teraz mści się pan na żonie?

- Lokaja...? Pana? O czym pan mówi? - zapytała Anna.

- Może mam inne plany. Mając ją w rękę, zmusimy Viravoltę do wszystkiego. Złoży siebie w ofierze albo będzie służył naszej sprawie. Proszę się nie martwić i pozwolić mi rozegrać tę partię. Teren będzie oczyszczony, jak pan chciał, i razem zadamy ostateczny cios.

- Kim jesteście?! - krzyknęła Anna. - Gdzie jest Pietro? Gdzie mój syn?

Stevens uważnie się jej przyjrzał. Była tak piękna, że zapierało dech w piersi. Jej policzki pałały, a niemal zwierzęca wściekłość potęgowała jej urodę.

- Ale bardzo panią proszę... poznajmy się najpierw.

Stevens pogładził różę przypiętą do ubrania.

Red for Lancaster, white for the York.

Zdjął opaskę z oczu Anny.

Powstrzymała okrzyk, gdy Stevens z uśmiechem położył dłoń na jej ramieniu.

- Bardzo panią proszę, moja droga. Ma pani cudowne oczy... Można zakochać się w nich na śmierć, piękna markizo... Czy są zielone, niebieskie, piwne? Zmieniają się zależnie od światła... Zdziwiająca... Ale gdyby to tylko oczy...

- Stevens - skarcił go Bajkarz. - Niech pan nie zapomina, co jest dla nas ważne!

Stevens uśmiechnął się i odparł złośliwie:

- Pan z pewnością nie potrafiłby wykorzystać tego tak, jak ja bym pragnął.

Wciąż zakapturzony Bajkarz nie znalazł słów riposty.

Stevens znów patrzył na Annę.

- Moja droga, dołożę wszelkich starań, aby pani pobyt w tym domu był jak najmniej dotkliwy. Jeżeli będzie pani rozsądna, mogę nawet zdjąć pani...

Urwał w pół słowa. Ktoś dobijał się do drzwi.

Stevens zaklął.

- Czego tam znowu! Proszę!

W drzwiach stanął Etienne. Małpując ukłon, uśmiechnął się drwiąco, oblizał usta i powiedział:

- Jest tu Czarna Orchidea.

Serce Anny drgnęło.

- Macie jeszcze czas na ucieczkę - rzuciła tonem pogróżki.

- V... Viravolta? - powiedział z niedowierzaniem Stevens.

- Pod silną strażą - dodał zadowolony z siebie Etienne. - Próbował dostać się do dworu...
Zamknęliśmy go w celi.

- Jesteś tego pewien? - zapytał jeszcze Stevens.

Etienne skinął głową. Anna spochmurniała.

- Był szybszy, niż się spodziewaliśmy - dodał Bajkarz.

- Nie ma się pan czym chwalić - przerwał mu Stevens. - Wystarczyło dwóch czy trzech ludzi, żeby sobie z nim poradzili, a u „Procope’a” straciliśmy prawie dwudziestu. To chyba nie jest powód do zadowolenia.

- Zgadzam się z panem - mruknął Bajkarz.

Zapadła cisza. Po chwili Stevens zwrócił się do Anny:

- Uszczęśliwiona? Ale to jeszcze nie wszystko. Sądzę... że on nie wie o pani obecności w tym miejscu.

Spojrzał na Bajkarza.

- Przyjacielu, trzeba przygotować to spotkanie. Proszę wybrać stosowną bajkę. Czy nasz gość zostanie psem, osłem, sową? A ona? Myszką tygrysicą?

Bajkarz wolno ściągnął rękawiczki.

Anna spuściła oczy, zerkając na jego dłonie... Zmrużyła powieki.

Jego palce zdobiły lśniące pierścienie.

Stevens zwrócił się do Etienne’a:

- Przeprowadzisz go tu, kiedy... będziemy gotowi.

DWÓR W HERBLAY

Beaumarchais i d'Eon czekali w zaroślach, coraz bardziej się niecierpliwiąc.

- Co on tam robi?

- Powiedział, że da nam znak - przypomniał kawaler.

- Długo to trwa.

- Musimy mu zaufać.

- A jeżeli ma kłopoty?

- On? Skądże! Jego nic nie jest w stanie powstrzymać.

Spojrzenie Pietra wędrowało po wilgotnych kamieniach, gdy prowadzono go związanego kręconymi schodami na górę. Wreszcie otwarły się zamknięte na potężną zasuwę drzwi. Wepchnięto go do salonu. Żyrandol, świece i kandelabry, kominek, tapiserie. U

szczytu stołu siedział Stevens. Pietro uważnie przyglądał się jego długiej, szczupłej twarzy, siwiejącym, szaroczarным włosom, głęboko osadzonym oczom, okaleczonemu uchu, zmarszczce nad górną wargą. Zwrócił uwagę na różę na piersi. Stevens siedział na rzeźbionym krześle, za którym, trzymając rękę na oparciu, stała zakapturzona postać...

Bajkarz. Ten lekko skinął głową nie odzywając się ani słowem.

Stevens zabrał głos.

- A zatem to prawda. To pan! Co sprowadza pana w nasze skromne progi?

- Jest pan męczący, Viravolta - dodał Bajkarz, nie pozostawiając mu czasu na odpowiedź. - Zastanawiam się, jak zdołał pan przeżyć w klatce lwa, a potem u „Procope’a”...

i jak pan nas tu znalazł.

Pietro zauważył, że Bajkarz zmienił głos.

- Cóż! Najzwyczajniej jakoś udało mu się pana śledzić!

Ten akcent nie mógł mylić. Mężczyzna był... Anglikiem, ponad wszelką wątpliwość pochodził z Wysp! Nie tracąc ani chwili, Pietro analizował sytuację. Wtedy poczuł jakąś przykrą woń... Ten smród, ten smród...

Zmarszczył brwi.

Stevens wstał, aby podejść do leżącego na drugim końcu stołu arkusza eleganckiego papieru, przy którym czekało pióro i kałamarz. Obok nich pozostawiono sztylet. Etienne położył w pobliżu broń odebraną Pietrowi. Stevens gwizdnął z podziwu na widok pistoletu pana Marienne'a z zamiennymi lufami.

- Niesamowite! - powiedział, biorąc go do ręki. - Proszę schować go w bezpiecznym miejscu.

I znowu zwrócił się do Wenecjanina.

- Wpadliśmy na świetny pomysł. Zanim z panem skończymy, zagramy w pewną grę.

Drogi przyjacielu, rozwiążemy panu ręce. Ale proszę tego w żaden sposób nie wykorzystywać, to i tak na nic.

Kiedy dał znak, grupka ludzi weszła do salonu i otoczyła Viravoltę. Jeden z nich rozwiązał mu ręce. Pietro potarł zbolące nadgarstki. Dwaj mężczyźni stanęli przy grubych zasłonach.

- Kim pan jest? - zapytał Pietro.

Stevens uśmiechnął się i wskazał mu krzesło, zachęcając, by usiadł. Pietro usłuchał.

Miał przed sobą czystą kartkę, pióro i kałamarz. Jednak nowy zapach skupił teraz całą jego uwagę. Był coraz wyraźniejszy, coraz subtelniejszy...

Stevens mlasnął.

- Napiszemy ostatnią bajkę, przyjacielu. A razem zapełnimy nową kartę w historii.

Uważam, że będzie doskonale, jeśli napisze ją właśnie pan. W ten sposób Czarna Orchidea przyczyni się do realizacji naszego dzieła. Co pan na to?

- Powiedziałbym, że pomieszało się panu w głowie - zauważył Pietro. - Przypomina mi pan renegata, którego spotkałem kiedyś w Wenecji.

Stevens roześmiał się cicho.

- Do dzieła, przyjacielu! Pod dyktando. Bajka, którą razem napiszemy, jest przeznaczona dla wysoko postawionej osobistości. Prawdę mówiąc, jednej z najważniejszych w królestwie. To ktoś, kto jest panu bliski. Dlatego fakt, że pański charakter pisma poświadczy naszą deklarację, to istny dar niebios!

Pietro siedział przed kartką jak dziecko.

- Wolno panu marzyć.

- Cóż... Kłopot w tym, że nie ogarnia pan sytuacji. Pozwoli pan, że coś panu wyjaśnię.

Zacznijmy od krótkiej preambuły. Starożytni uczą nas, że nic nie jest równie skuteczne, jak odrobina teatru, gdy chce się wprowadzić zamęt w szeregach wroga w czas wojny. Rozumie pan? Znaczenie inscenizacji. Dramaturgii. Wytworzyć wrażenie, że jest się niewidzialnym.

Pojawiać się i znikać jak duch. Jak mit. Używać sztuczek i rozpląwać się we mgle... Przyzna pan, że Bajkarz ma w tej dziedzinie wybitne zdolności. Jeśli chodzi o mnie, staram się, jak mogę. Używam broni, którą umiem się posługiwać. A oto, co mam panu do zaoferowania.

Ten zapach... Ależ tak, to perfumy...

I wenecki sztylet leżący na stole...

Wtedy lord Stevens skinął na Bajkarza, który teatralnym gestem rozsunął zasłony.

- Anna Santamaria z Wenecji!

Pietro już myślał, że serce mu pęknie.

A Bajkarz zaczął recytować:

MIŁOŚĆ I SZALEŃSTWO

Księga XII - Bajka 14

W Miłości wszystko tajemnicą:

Jej strzały, jej pancerz, płomień i dzieciństwo.

Nie starczy dnia, by zgłębić tę wiedzę.

Toteż nie chcę wszystkiego tu tłumaczyć.

Rzec tylko pragnę, własnymi słowy,

Jak ślepiec, którego widzicie,

Jak bóg ów, powiadam, postradał jasność widzenia.

Jakie w ślad za tym poszły cierpienia, które dobremu owocują.

Sędzią kochanka uczyniłem, sam wstrzymując się od głosu.

Za zasłoną Anna Santamaria stała na desce nad czeluścią. Znów miała zasłonięte oczy i zakneblowane usta. Ze skrępowanymi rękami, stopami niewidocznymi pod suknią stała wyprostowana, nie wążąc się drgnąć ani nawet głębiej odetchnąć. Kolejne deski, niektóre omszałe i spróchniałe, zakrywały częściowo tę studnię i pozwalały nad nią przejść. Pietro zorientował się, że Anna stoi nad dawną klatką schodową dziś w ruinie, kiedyś zapewne obiegającą dwór po jego

zewnątrznej ścianie. Ta część budynku musiała być od dawna nieużywana, o czym świadczyły masywne dębowe drzwi za zasłonami, teraz otwarte, ale niegdyś zamykające zachodnie skrzydło budynku. Z klatki schodowej z kamienia i drewna, porośniętej dziś chwastami, pozostało zaledwie wspomnienie, ślad pierwotnego wyglądu tej rezydencji. Nad schodami, które nie prowadziły już donikąd, niknąc w ciemnościach, Pietro ujrzał pokryte patyną czasu portrety, oczy zapatrzone w grobowy mrok. Pod sufitem zauważył dziwny mechanizm, krążek czy też bloczek. I linę, która opadała w dół, lekko się kołysząc. W tej studni świstał wiatr, a w dole widać było tylko ciemną otchłań, jakby tu otwierała się droga do wnętrza ziemi, z której buchają cuchnące opary.

Wystarczyłby jeden fałszywy krok, żeby Anna spadła i skrzyła kark.

Za jej plecami stał mężczyzna ze sztyletem, gotów w każdej chwili zmusić ją do podjęcia ryzykownej wędrówki.

A Bajkarz recytował:

Szaleństwo i Miłość po jednej stały stronie.

Lecz że Miłość jeszcze niezaślepią,

Do sprzeczki doszło - Miłość radę bogów

Zwołać chciała.

Szaleństwu cierpliwości zbrakło.

I tak mocny cios Miłości zadała,

Że ta jasność widzenia postradała.

Wenus żąda zemsty,

Kobieta i matka surowo je osądzić chciała.

Bogowie spierać się zaczęli:

Jupiter i Nemesis

I podziemi sędziowie - gromada cała.

Wenus ogrom zła prezentowała.

Miłość jej dziecię, o lasce chodzić musi -

Za taką zbrodnię nie masz srogiej kary.

Szkodę naprawić należy.

Gdy rozważano szkody dla ludzi

I te dla rodziny,

Wysoki Sąd wyrok wreszcie wydał:

Skazał Szaleństwo, by wiodło wiernie Miłość.

- O przepraszam - wtrącił Stevens. - To nie było tak zaplanowane! Bo cóż, miał pan przecież nie żyć! To, że pan ocalał, a w dodatku złożył nam wizytę, zmusiło mojego przyjaciela do wprowadzenia zmian i do improwizacji. Doskonale pan rozumie, jak trudno reżyserować przedstawienie, które już trwa!

Roześmiał się i rozłożył ręce.

- *Madness leading Love*, Szaleństwo i Miłość! Och, to godne najlepszych angielskich poetów! Wiedział pan, że inspiracją dla każdej sztuki był utwór Louise Labé *Rozprawa między Szaleństwem a Miłością*, którego ideę przejął potem, jeśli mnie pamięć nie myli, ojciec Comire w swoich *Carmina*? Tekst zawiera łaciński poemat, doprawdy przepiękny, podchwycony przez La Fontaine'a. Ten utwór wzbudzał powszechny zachwyt... Ale dość tych dygresji.

Stevens przechadzał się po pokoju, splótłszy ręce na plecach. Skinął na stojącego za Anną człowieka ze sztyletem. Ten zdjął jej knebel.

- Pietro!

- Nie jesteś ranna?

- Viravolta, reguły gry są następujące. Za każdy wers, który pan napisze, jeśli łaska -

wyraźnie i starannie - będzie pan mógł udzielić swojej drogiej małżonce wskazówki, jak przejść nad studnią. Ale ostrzegam - niektóre deski są od dawna spróchniałe... Nie wytrzymałyby jej ciężaru. Niech pan sobie wyobrazi, że to metafora małżeństwa. Doda odrobinę pikanterii waszemu związkowi. No, Viravolta! Szaleństwo dla pana, miłość dla niej!

Potrafi pan przeprowadzić ją nad przepaścią?

- Wszystko będzie dobrze - powiedziała Anna głosem, który zdradzał jej przerażenie.

- Co na tym zyskam? - zapytał Pietro.

- Pan mnie pyta? Ależ, Orchideo... Wygra pan jej życie! Rozumie pan? Jeżeli napisze pan bajkę, a ona zdoła przejść, będzie żyła. Jeżeli chodzi o pana... Cóż, to co innego...

Pietro z trudem przełknął ślinę.

Nie! Tylko nie ona! Wszystko, byle nie to.

Przed oczyma stanął mu ten obraz - Landretto powieszony w zagajniku. Śmierć w ogrodzie, a teraz bawią się jej życiem!

Zachowaj zimną krew, błagam. Nie daj się wyprowadzić z równowagi, nie teraz!

Ślepe Szaleństwo prowadzi Miłość!

- Zostawcie ją - powiedział Pietro. - Ona nie ma z tym nic wspólnego.

Zaczynał się pocić. Stevens odchrząknął.

- Niech pan nie plecie głupstw. Zaczynamy. Jestem pewien, że zna pan naszą bajkę.

Nasz obecny tu specjalista powiedziałby panu, że jest ona...

Bajkarz skłonił się, kładąc rękę na sercu.

- Jest pierwsza, jak mówiłem, pierwsza pośród innych, w pierwszej księdze La Fontaine'a. Żadna inna nie była tak szeroko komentowana. Wasz wspaniały Rousseau podał

ją jako przykład tego, czego nie należy czytać dzieciom... I tym razem pierwotną wersję stworzył Ezop.

Pietro pokręcił głową.

- Konik polny pojawia się w bajkach tylko raz. Symbolizuje bezmyślność, beztroskę, lekceważenie, nieumiejętność przewidywania. To wady ludzi. Ale w tej bajce roi się od błędów! Na przykład konik polny żywi się za pomocą trąbki i nic mu po muszkach czy robaczkach, o których mowa w tekście. A poza tym umiera u schyłku lata, więc nie może głodować, kiedy nadejdą chłody, pomijając już fakt, że mrówka, która zimę przesypia, nie może tego usłyszeć. W dodatku mrówki są mięsożerne i nie jadają ziarna! Bajkarzom wolno fantazjować! *Licentia poetica*, jak to się mówi...

Co on mi tu opowiada! Irytował się Pietro.

- Zaczynamy! - powtórzył Stevens.

I stanął.

- Księga pierwsza, Bajka pierwsza. *Konik polny i mrówka*. Viravolta, proszę wziąć pióro.

Viravolta drżącą ręką sięgnął po pióro.

- Ma pan szczęście - uśmiechnął się Stevens. - Napisze pan wyrok śmierci Królestwa Francji własnym piórem!

Pietro powstrzymał się od uśmiechu. Pióro!

Jedno z tych, które mu zabrano. I kałamarz także...

Przypomniawszy sobie nauki Augustina Marienne'a. Pióro jest potężniejsze od szpady.

Augustin! Niech ci Bóg błogosławi!

Wolno otworzył kałamarz i zanurzył w nim pióro.

Sztylet dotykał boku Anny, by lada chwila zmusić ją do zrobienia kroku nad przepaścią. Kobieta drżała. Deska ledwie się trzymała.

Stevens zaczął dyktować.

- Piszemy:

Niepomny jutra, płochy i swawolny,

Przez całe lato śpiewał konik polny.

Lecz przyszła zima, śniegi, zawieruchy 6.

Pióro zawisło nad kartką.

Pietro wziął głęboki oddech.

- Miał pan rację - rzucił ze złowieszczym uśmiechem.

- W jakiej sprawie? - zdziwił się Stevens.

- Teatralności. I obłoków dymu.

6 Przełożył Władysław Noskowski.

A potem wszystko potoczyło się w zawrotnym tempie.

O pewnym piórze

DWÓR W HERBLAY

Kiedy wybuch zmiotł futryny i szyby na piętrze, ludzie w krzakach podskoczyli.

Zdumiony Beaumarchais spojrzawszy na d'Eona.

- To ma być ten sygnał?

D'Eon uniósł brwi i wzruszył ramionami.

- Co robimy?

Dziesięciu ludzi patrolujących okolice dworu pobiegło w stronę wejścia. Nagle przez park przebiegł galopem koń z jeźdźcem, którego trójganiasty kapelusz stoczył się na ziemię.

Także wstęgi jego peleryny ledwie ją trzymały. Mężczyzna miał na sobie prosty kaftan z kołnierzem o długich brązowych rękawach i kieszeniach z klapami, pod nim *justaucorps* w kolorze brzoskwiowym, białe spodnie i błyszczące buty. Jego młodzieńcza twarz zdradzała nieco porywczą odwagę, a w tej chwili - silny gniew. W galopie wyciągnął szpadę i groźnie zwrócił ostrze w stronę wrogów, którzy na ten widok odrzucili pochodnie. Cosimo Viravolta atakował z rozwianym włosom, krzycząc dla dodania sobie animuszu.

- A ten to kto?

- Nie mam pojęcia, ale jest zdeterminowany. I najwyraźniej stoi po naszej stronie.

Młodzieniec wpadł w grupę wrogów, wywijając szpadą.

Beaumarchais dobył broni.

- To dobry sposób...

- Taak... Dziesięciu na trzech... - westchnął d'Eon.

- Co za dzień! *Avanti!*

I rzucili się do walki.

Wybuchowe pióro pana Marienne'a zrobiło swoje. Lekko się obracając, Pietro rzucił

je za siebie, na posadzkę, odchylając nadgarstek. Stevens i Bajkarz odskoczyli. W obłoku dymu trzech ich ludzi padło na ziemię, pozostali nie mogli pojąć, co się dzieje. Viravolta błyskawicznie chwycił ze stołu sztylet Anny. Z zadziwiającą szybkością rzucił się na mężczyznę, który stał za jego żoną. Ostrze świsnęło w powietrzu, zanim przebiło gardło zbira.

Zatoczył się, chwytając rękami szyję, z której tryskała krew. Wtedy i Anna straciła równowagę i już była pewna, że runie na dno studni. Upadła, uderzając o resztki kamiennej balustrady schodów, o mało nie łamiąc kości brody. Na szczęście balustrada oddzieliła ją od przepaści. Leżący obok niej mężczyzna wił się i charczał. Deska, na której jeszcze przed chwilą stała Anna, rozkołysała się i runęła w przepaść, strącając kilka innych. Z dołu wzbił

się obłok pyłu.

Wykorzystując zamieszanie, Pietro rzucił się na najbliższego przeciwnika.

Obrócił mu w ręce pistolet i strzelił, trafiając w samo serce. Potem Wenecjanin zabrał mu szpadę, swoją własną wenecką, której pozbawiono go, gdy wtargnął przez okno.

- Teraz czuję się znacznie lepiej.

Kiedy się odwrócił, zobaczył, że w salonie zostało jeszcze dwóch przeciwników.

Czterech kolejnych spieszyło z odsieczą. Viravolta kopnięciem przewrócił krzesło i rzucił się na stół z ciemnego drewna.

Znów jestem otoczony.

Nadchodzili inni.

Stevens i Bajkarz wymienili spojrzenia. Stevens się uśmiechnął.

- Ten człowiek wciąż mnie zadziwia! Ale wszystko, co dobre, ma swój kres. Panowie!

Zabijcie go.

Dobrze, co teraz? zastanawiał się Pietro, ciężko dysząc.

Trzasnęły drzwi.

Cosimo w zakrwawionym ubraniu wpadł do salonu.

Pietro nie krył zaskoczenia.

- To się nazywa wejście! Co ty tu robisz?

Cosimo uśmiechnął się do niego.

Zakręcił młynka szpada.

- Przyszedłem poćwiczyć.

I ruszył. Pietro poszedł w ślad za nim, omijając krzyżujące się pod jego nogami szpady. Chwycił się żyrandola. Wylądował parę metrów dalej, u boku syna. Sztyletem martwego strażnika Anna uwalniała się z więzów. Z dołu dobiegał szcęk broni i odgłosy wystrzałów. To na pewno Beaumarchais i d'Eon postanowili wkroczyć do akcji. Viravoltowie

- ojciec i syn zwrócili ostrza w jedną stronę. Znów oblegała ich sfora zbirów. Pietro machnął szpadą ze świstem rozcinając powietrze.

- Dobrze. Zaczynamy. Cztery, ręka w lewo, ramię wyprostowane, szpada płasko.

- Wiem. Kontragarda i zbliżenie, prawa noga dyktuje rytm.

Zaatakowali. Pierwszy napastnik padł, osłaniając rękami ranę na twarzy.

- ...Pozycja do ataku i ruszamy.

To już nie była walka, ale balet.

- Zwód.

- Podwójny zwód.

- Kiepsko...

- Pchnięcie.

Etienne zaatakował ostatni. Z krzykiem ruszył do przodu, trzymając w ręku zakrwawione ostrze. Cosimo zdążył poczuć straszliwy smród jego przyodziewku i zobaczyć spadającą na niego ciemną masę. W zwierzęcych oczach rozbłysła wściekłość, usta wygięły się w grymasie, sprawiając, że twarz napastnika wyglądała jak oblicze zjawy z piekła rodem.

Przez moment Cosimo czuł się, jakby szarżował na niego dzik. To cuchnące monstrum spadło na niego całym ciężarem, ale na szczęście młodzieniec był bardzo szybki.

Ostrze szpady trafiło w środek czoła.

Etienne wytrzeszczył oczy, krew zalała mu twarz.

Po chwili charczał.

- A wreszcie, ugiąć kolana - zakończył Cosimo, prostując się, żeby nabrać tchu.

Etienne padł.

Posadzkę salonu zaścielały trupy.

- Nieźle mi poszło! - zawołał Cosimo.

- Prawda! - potwierdził Pietro.

Bajkarz zawył, widząc, że zamordowano mu sługę. Sytuacja stawała się krytyczna.

Rzucił się do drzwi i szeleszcząc płaszczem, zniknął. Gdy Viravolta i Cosimo kończyli walkę, Stevens podszedł do Anny. Pełen nienawiści i gniewu, chciał ją podnieść, chwytając za włosy. Nagle zauważył, że ma rozwiązane ręce. Zdjęła opaskę z oczu, uśmiechnęła się do niego promiennie i mściwie. Stevens nie od razu zrozumiał... a potem ostry ból przeszył mu mózg i jakby eksplodował. Anna wbiła mu w nogę sztylet i zaciskając dłoń na rękojeści, obracała ostrze.

- Czarna Wdowa! - krzyknęła. - Rozumiesz, teraz rozumiesz?

- Anno! - krzyknął Pietro.

Viravolta i jego syn już do niej biegli.

*

Odskakując od Anny, ze sztyletem wciąż tkwiącym w nodze, porażony bólem Stevens zawył, a potem chwycił zwisającą z belki linę i skoczył na niej w ciemny otwór klatki schodowej. Słysząc było, jak obraca się metalowy bloczek. Równoważące ciężar wiadro z kamieniami wzniosło się w górę z takim impetem, że uderzyło w sufit. Pietro, który ścigał

uciekiniera, o mało nie wpadł do studni. Spojrzał w dół, ale w ciemnościach niczego nie dostrzegł. Stevens uciekł. Cosimo położył dłoń na ramieniu ojca.

- Trudno!

- A Bajkarz?

Pietro podniósł Annę.

- On także uciekł - powiedziała. - Może jeszcze nie jest za późno.

- Mam nadzieję, że dopadną go na dole.

- Na dole?

- Zaraz ci to wyjaśnię.

Uśmiechnęła się do niego, poprawiając suknię, gdy ją do siebie tulił.

- Zastanawiałam się, gdzie się podziewasz. Wieczorem jest w Wersalu przyjęcie, a potem bal. Nie darowałabym sobie, gdybym go opuściła.

- Jeszcze ci mało tańca? - zdziwił się Pietro.

- A co ty na to, najdroższy?

Znowu padli sobie w ramiona i oboje spojrzeli na Cosima.

- Jechałem za ojcem od „Procope’a”. Nie tak trudno wpaść na jego trop. Wystarczy iść po trupach.

Pietro uściskał syna.

- Cosimo... dziękuję, że byłeś posłuszny ojcu. Poczyniłeś wielkie postępy!

Pietro cofnął się i spojrział na niego. Chłopak się roześmiał.

- Ojcze, i ty byłeś całkiem dobry jak na starca!

Wreszcie pojawili się Beaumarchais i d'Eon.

- Koniec bitwy - rzucił rozbawiony Pietro.

- Mam nadzieję, że to żart.

- Co z Bajkarzem?

- Nie widzieliśmy go - odparł d'Eon.

- Kim są ci ludzie? - zapytał Cosimo.

Pietro spojrzał na nich i z ręką na sercu podszedł bliżej.

- To moi przyjaciele - powiedział z uśmiechem.

Wszyscy razem podeszli do okna, które wypadło pod wpływem eksplozji pióra Augustina Marianne'a. Posadzka i kamienna ściana dworu były osmolone. W dali dostrzegli zakapturzoną postać Bajkarza i sylwetkę Stevensa, którzy jechali konno przez park. Właśnie dotarli do bramy rysującej się w świetle budzącego się dnia.

Pietro spoglądał za uciekinierami, gdy zawołała go Anna.

Odwrocił głowę. Wskazała palcem plany rozłożone na biurku stojącym w rogu salonu między dwoma kandelabrami, z których ściekał wosk. Pietro zerknął na syna, a potem podszedł.

A... co to ma znaczyć?

*

Zobaczył dwa rodzaje planów. Zniszczone przez proch i walkę, wyglądały na niekompletne. Pierwsze zawierały dane wyglądające na wzory chemiczne i wzbudzały niepokój. Informacje techniczne i lapidarne notatki były dość niejasne. Pojawiały się tam terminy łacińskie i greckie. Oprócz nich były cyfry, obliczenia kątów i odległości. Drugi typ planów był równie zagadkowy i stanowił jakby spletaną sieć załamujących się linii. W te krzyżujące się wpisano jakby figury geometryczne rozrzucone po dużej przestrzeni. Trudno było cokolwiek z tego zrozumieć. Tu i tam powtarzała się nabazgrana formuła PARTY

TIME.

I wreszcie Pietro znalazł maleńkie zielonozłote etui. Wenecjanin chwycił je i otworzył. Ku swemu zdumieniu ujrzał kosmyk włosów. A obok medalion z podobizną zmarłego króla Ludwika XV.

- Co to może znaczyć? - zapytała Anna.

Ściskając w ręce etui, Pietro szepnął.

- Nie mam pojęcia.

Kosztowne kapelusze

BIURO KSIĘCIA D'AIGUILLON

SALON POKOJU

APARTAMENT I SYPIALNIA KRÓLOWEJ

WERSAL

Była zima, dwór powrócił do Wersalu.

- I cóż, udało się uniknąć Bastylii? - zapytał Pietro.

Księżę d'Aiguillon odwrócił się. Podobnie jak podczas ich ostatniego spotkania, długo stał przy oknie, pozwalając, by wiatr rozwiewał poły jego ministerialnego niebiesko-złotego *justaucorps*. Patrząc w dal, wyglądał na człowieka, który utracił siły i zapał. Nie potrafił

ukryć rozgoryczenia. Jednak już podjął decyzję.

- Nie, Viravolta. Odejdę ze stanowiska. To, czego się obawiam, jest coraz bliższe.

Królowej nie udało się doprowadzić do powrotu Choiseula... Ale moją głowę dostanie na tacy. Król dokonał wyboru. Nie czekałem ze złożeniem dymisji.

Pietro usiadł w fotelu, założył nogę na nogę i oparł dłonie na podłokietnikach. W

gabinecie księcia w Ministerstwie Wojny panował bałagan, na jaki jeszcze niedawno ten pedantyczny urzędnik nigdy by sobie nie pozwolił. Na biurku piętrzyły się dokumenty.

Wszędzie stały pudła, a od czasu do czasu służący wchodzili, by w milczeniu zabrać z biblioteki książki i bibeloty. Pietro uniósł brwi, patrząc na wędrujące przed nim popiersie z brązu.

- Moje czasy już minęły, Viravolta. Przynajmniej chwilowo, a może na zawsze.

Przez chwilę rozmyślał nad słowami, które wypowiedział posępny, dość patetycznym tonem.

Potem spojrzał na Czarną Orchideę.

- Satysfakcję daje mi tylko świadomość, że Charles de Broglie nie wylądował lepiej niż ja. Nadal jest na wygnaniu i nie dostanie mojego ministerstwa... A już na pewno nie zostanie kanclerzem.

*

Ponura atmosfera jego gabinetu kontrastowała z radosnym nastrojem w Wersalu.

Rodziła się nadzieja. Lud chciał wierzyć w przemianę. Choć Ludwik nie cieszył się nadmiernym zaufaniem, potrafił zyskać sympatię. Po serii niemoralnych wybryków i śmierci świętej pamięci jego dziadka chwalono go za godne i cnotliwe zachowanie. Ludziom podobało się, że okazuje

przywiązanie do królowej, bo od niepamiętnych czasów kraj nie mógł cieszyć się widokiem zgodnej pary królewskiej. Smutne było tylko, że ta para wciąż nie zdołała począć potomka... Ludwik i jego żona niewiele osiągnęli w tej sprawie, ale i tak za dobrą wiadomość uznano, że król ma erekcję! Bóle królewskiego napletka podczas penetracji ustały. Pościel była poplamiona i wszyscy o tym wiedzieli, ponieważ od tego zależały losy tronu. Interwencja chirurgiczna okazała się zbędna - w końcu musi się udać.

Znany był już także skład rządu. Król bardzo długo się wahał, co w końcu zdenerwowało Maurepasa. Minister stanu bez teki miał w Radzie najważniejszy głos. Nikt inny nie dorównywał mu doświadczeniem. Od wygnania do Bourges, a potem Pontchartrain, za niesłusznie przypisaną niegdyś uwagę o pani de Pompadour, mentor widywał się w swym domu z gronem zwolenników. Ku powszechnemu zaskoczeniu ten siedemdziesięcioletni polityk wracał do czynnego życia. W Wersalu miał apartament nad królewskim, do niedawna zajmowany przez panią du Barry. To było jak symbol - mądry starzec zajął miejsce ladacznicy, by czuwać nad interesami państwa. Aiguillon, który był siostrzeńcem Maurepasa, liczył, że dzięki wujowi wróci do łask. Maurepas wstawił się za nim u Ludwika XVI, ale król nie zapomniał o powiązaniach księcia z panią du Barry. Maurepas nie nalegał.

Przywracając tradycyjny rozdział ministerstw Wojny i Spraw Zagranicznych, król oddał to pierwsze hrabiemu du Muy, dawnemu przyjacielowi swego ojca i gubernatorowi Flandrii, a drugie Vergennes'owi, który dotąd był ambasadorem w Szwecji. Ekipa została zebrana i Aiguillon musiał odejść. Skończył się triumwirat i niepopularne decyzje. Maupeou i ojciec Terray także zostali odprawieni. Turgot objął Finanse, Miromesnil Pieczęć, Sartine Marynarkę. A wszystko ku ogólnemu zadowoleniu. Maurepas, wielbiciel Monteskiusza, zwolennik monarchii dalekiej od absolutyzmu, dążył do przywrócenia silnej pozycji Parlamentu, co budziło zadowolenie burżuazji. Chwalono te nowe nurty i publicznie palono podobizny byłych ministrów. Króla i królową oklaskiwano kilka dni wcześniej, gdy opuszczali Parlament. Ludwik XVI chciał, aby go kochano! Na Pont-Neuf, na cokole pomnika dobrego króla Henryka IV, czyjaś ręka napisała: *Resurrexit*.

*

Księżę d'Aiguillon ciężko westchnął. Potem zwrócił się do Viravolty:

- Długo się zastanawiałem, jak postąpić. W końcu... - Podszedł do biurka. -

Postanowiłem pozwolić panu na kontynuację śledztwa. Jeżeli król chce bawić się z Sekretem, niechże to robi. Teraz na pewno o wszystkim już wie. Sądzę, że rozwiąże Czarny Gabinet. Co do pana... niech pan służy, komu pan chce, Viravolta. Wie pan, co myślę o Brogliem. Ale mnie to już nie dotyczy. Zostawię pana w spokoju.

Po raz pierwszy szczerze spojrział Pietrowi w oczy.

- Czytałem pańskie raporty... przynajmniej te, które był mi pan łaskaw przekazać -

dodał złośliwie. - Zagrożenie nadal istnieje. Dobro Francji nade wszystko, prawda!

Pietro skinął głową.

- Rzecz jasna. - I dodał: - Ekscelencjo, pańska szlachetność zasługuje na podziw.

Księżę skwitował ten komplement wyděciem ust, które miało wyrażać podziękowanie.

Wszystko już zostało powiedziane.

Aiguillon znów odwrócił się do okna.

Opuszczał Wersal jak duch.

Wychodząc z gabinetu, Pietro mimo wszystko czuł ulgę.

Decyzję księcia i kierunek, jaki przybrały zmiany, uważał za korzystne. Wizja Bastylji zniknęła. Miał wolne ręce.

Podszedł do niego lokaj. Ukłonił się i zapytał:

- Pan de Lansalt?

- To ja, słucham.

- Królowa wzywa pana do swych apartamentów.

* * *

Życie dworu płynęło normalnym rytmem. Zasłony zostały rozsunięte, a w oceanie wyrafinowania i subtelności słycać było cichy szmer małej fontanny. To Pietro Viravolta de Lansalt, agent Sekretu, dawny szpieg Rady Dziesięciu Serenissimy, sikał. Po drugiej stronie galerii, ledwie osłonięta firankami, dyskretnie przykucnąwszy, sikała także Yolande de Polignac, przyjęta do nowej koterii królowej Francji. Pietro zapiął spodnie. Yolande wstała, opuszczając krynolinę, i podeszła do lokajów ze swojej świty, którzy nosili „naczynie wybawienia”. Oboje spotkali się na lustrzanym parkiecie i na powitanie wymienili ukłony.

Pietro powiódł wzrokiem za oddalającą się damą. Mówiono, że w jej sposobie poruszania się jest coś uwodzicielskiego i ekscytującego. Rzeczywiście, miała wrodzony, podniecający wdzięk, urzekła od niechcenia, pomyślał Pietro, spoglądając na jej bujne biodra. Brunetka o owalnej twarzy i cudownej karnacji, leniwa i bezwolna, Gabrielle Yolande de Polastron, hrabina Jules de Polignac, większą część roku spędzała w swych dobrach w Claye i tylko od czasu do czasu odwiedzała Wersal, by spokojnie wypełniać dworskie obowiązki. Pietro poczekał, aż lokaje odejdą, a następnie ruszył w stronę apartamentów Marii Antoniny.

O tym, co wydarzyło się w Herblay, Pietro opowiedział Brogliemu, który oczywiście bronił się, zapewniając, że nie ma nic wspólnego z ujawnieniem czasu i miejsca spotkania agentów. Nie krył też oburzenia z powodu tego rodzaju oskarżeń ze strony własnych ludzi.

Był przekonany, że to Landretto wiedział o spotkaniu, a Bajkarz, prawdopodobnie podczas tortur, wydobył z lokaja tę informację, zanim go zabił. Ten pomysł, podobnie jak sugestia, że dawny lokaj

mógłby go zdradzić, była dla Viravolty nie do zniesienia. Raczej śledzono go albo któregoś innego agenta, gdy pojawili się w Paryżu. Pomijając tę kwestię, sytuacja nieco się wyjaśniła, ponieważ Anna usłyszała nazwisko Stevens, które nie było obce Charles'owi de Broglie. Hrabia wiedział, że człowiek ten pracuje dla angielskiego kontrwywiadu. Był też członkiem loży masońskiej w Sussex, Wielkiej Loży Żelaza. Broglie starał się za pośrednictwem swych londyńskich agentów dowiedzieć czegoś więcej. Beaumarchais i d'Eon wrócili na wyspy - jeden wysłany przez Sartine'a, drugi przez Sekret. Charles otrzymał też poufne informacje od lorda Stormonta, angielskiego ambasadora we Francji. Z jego słów wynikało, że Stevens, początkowo działający z upoważnienia Jerzego III, znacznie przekroczył swoje prerogatywy, realizując własny plan. Zaniepokojony jego poczynaniami rząd angielski zamierzał wysłać emisariuszy, przed którymi Stevens miał złożyć wyjaśnienia.

W razie potrzeby postanowiono odwołać go z funkcji. To była sprawa dyplomatyczna.

Ale kiedy Broglie usłyszał o planach znalezionych przez Annę i Pietra w Herblay, jego obawy tylko się nasiliły. Myśl, że chodziło o wymianę korespondencji na temat ataku na Francję, nie dawała mu spokoju. Rozwój sytuacji w Ameryce stawał się kolejnym problemem. Sprawy nabierały tempa, a Pietro wciąż zachowywał czujność. Plany z Herblay powierzono Augustinowi Marianne'owi. Jak dotąd próby ustalenia ich znaczenia nie przyniosły żadnych efektów. Po przybyciu do dworu muszkietierowie króla nikogo już tam nie zastali. Oczywiście, wróg wycofał się do innej kryjówki. Trzeba było zaczynać wszystko od początku. Ale teraz pojawił się kolejny bardzo niepokojący szczegół. Z etui zabranego przez Pietra z Herblay wypadł pisany odręcznie liścik, który ukryto w medalionie z wizerunkiem króla. Dla szefa Sekretu, który dobrze znał charakter pisma zmarłego monarchy, oczywiste było, że list pisał sam Ludwik XV. Adresowany do jakiejś Marii, brzmiał:

„Poczułem woń, co sprawiała,

Iż o kwiatach śniłem nieznanym,

Lecz w koszu twym znalazłem

Tylko nieśmiertelników bukiet.

Dla Marie”.

Broglie nie potrafił natomiast określić, do kogo należał pukiel włosów z etui. Pietro podpowiedział mu, aby poszperać w archiwach Sekretu, szczególnie uważnie przeglądając raporty dotyczące pierwszego Bajkarza, ojca Jacques'a de Marsille'a, i jego parafii w Saint-Médard. Sam zachowywał najwyższą czujność.

*

Viravolta stanął przed drzwiami apartamentów królowej, do których doszedł przez Salon Pokoju. Królowały tu marmury, freski i trofea z brązu. Szwajcar uderzył halabardą w parkiet, zaanonsował Viravoltę i natychmiast wrócił, by poprosić Wenecjanina o chwilę cierpliwości.

Okazując mu szczególne względy, królowa postanowiła przyjąć go w swej oficjalnej sypialni.

Splótnęszy ramiona, stanął przed oknem. Salon Pokoju zamieniono w Salon Gier Marii Antoniny. Królowa kazała ustawić tu stoły, krzesła i komody. Pietro wyrzwał na zewnątrz.

Było piekielnie zimno. Zapowiadała się ostra zima, a Wersal wciąż był źle ogrzewany. Sypał gęsty śnieg. Pietro wędrował oczyma po miękkim jak wata oceanie, który tworzył

kryształową pokrywę na krzewach. Przypomniał mu się zamordowany w tym ogrodzie Landretto. Pokiwał głową. Nie mógł zapomnieć tego widoku, który przesuwał się pod jego powiekami niczym gondola płynąca we mgle. Starał się myśleć o czymś innym, patrząc na skute lodem wody Wielkiego Kanału. Gdzieś w dali pozostawiono sanie.

Boże, jak pięknie wygląda pałac w tym śniegu!

Stłumił kichnięcie. Z zadumy wyrwał go dźwięczny głos.

- Proszę szybciej!

W salonie zrobiło się głośnie. Gromada młodych ludzi w perukach wносиła z apartamentu królowej różnej wielkości pudła. Ludzie mijali Pietra, a za nimi szła kobieta o wysoko upiętych włosach, przesadnie umalowana i wyperfumowana. Poruszała się szybko, nieustannie wydając polecenia i unosząc rąbek zielono-pomarańczowej sukni z tafty. Na głowie miała kapelusz z piórami, które rytmicznie się kołysały. Zdjęła koronkowe rękawiczki.

Miała bystre, ciekawskie oczy, muszkę na policzku i małe, mocno umalowane usta.

Przystanąła na moment przed Wenecjaninem i zmierzyła go wzrokiem. Tą kobietą była Rose Bertin, modystka królowej. Uśmiechnęła się i klasnęła w dłonie: „Szybciej!”, a potem zniknęła wraz ze swoimi pomocnikami.

*

W sklepie „Pod Wielkim Mogołem” Rose zatrudniała około trzydziestu pomocnic.

Szlafroczyki, stroje kąpielowe, mantylki, pelisy, chustki do nosa, kokardy, wachlarze, rękawiczki, kapcie i inne cuda uzupełniały ogromny wybór wyszukanych sukni i kapeluszy.

Roztrzepana, ale niezwykle pracowita, dumna jak niewielu, Rose podbijała właśnie dwory całej Europy. Po śmierci Ludwika XV wylansowała ogromne, piętrowe kapelusze o niesamowitym zdobnictwie. Wykorzystując czas żałoby we Francji, a potem ożywienie związane z nowym panowaniem, wymyśliła osobliwą ozdobę. Po lewej cyprys przystrojony treskami wylaniał się z krepy, która miała ukazywać płataninę korzeni. Po prawej kłos zboża leżał na rogu obfitości otoczonym białymi piórami. Ten kapelusz szybko ustąpił miejsca

„kapeluszu szczepienia”, na cześć odwagi króla, który w czerwcu zdecydował się na szczepienie przeciwko ospie, choć wciąż obawiano się skutków ubocznych tego zabiegu.

Modystka wykorzystała do wykończenia tego modelu drzewo oliwne, wokół którego wił się wąż Eskulapa, a na nim wspierał się bukiet kwiatów mających pokonać ospę wietrzną.

Wszystko to na tle zachodzącego słońca. Po pierwszych próbach pozwalała sobie na inne ekstrawagancje, jak *Qués aco* czy „kapelusz sentymentalny”, który przystrajało się zależnie od charakteru osoby lub nastroju. Z pewnością miała w sobie szczyptę geniuszu...

Odtąd wysokie, strojne kapelusze robiły w Wersalu furorę. Czasem fantazja szła za daleko. Otoczenie królowej dawało się rozpoznać po piórach sterczących co najmniej pół

metra nad głową...

Rose zniknęła, a Pietra wprowadzono do apartamentów Marii Antoniny.

* * *

W przestronnej komnacie, gdzie zwykle odbywała się ceremonia oficjalnego ubierania królowej, żyły i umarły dwie władczynie i urodziło się dwadzieścioro dzieci Francji. Wnętrze to oscylowało między intymnością a dostojnością i okazałością: kominek, wokół którego wyrzeźbiono palmowe liście, nad drzwiami barokowe freski, Cnoty Królowej wypisane na ścianach, a w rogach rzeźbione herby Francji i Austrii. Nad zwierciadłami Maria Antonina kazała umieścić portrety matki, swego brata Józefa i Ludwika XVI. Tkanina z pejzażem z Tours i okazałe królewskie łoże dopełniały całości. Poza tym panował tu potworny rozgardiasz.

- Wspaniałe, nieprawdaz? Doprawdy wspaniałe.

W pierwszej chwili Pietro nie widział ani fresków, ani rzeźbionych mebli, ale parę nożyczek. Pełen zapału szalencie zonglował nimi przy rytmicznym szczękaniu. Potem odkładał je na chwilę, aby upiąć gazę na peruce służącej jako model. Tym szaleńcem był

Leonard, niezastąpiony Leonard z latającym grzebieniem, pierwszy fryzjer-perukarz królowej, mistrz srebrnych nożyczek, specjalista od układania ozdób z gazy, don Kichot loczków, poskromiciel zbuntowanych kosmyków, księżę fryzjerskiej mody.

Otóż Leonard, choć nie nazywał się da Vinci, miał wielki talent do układania peruk i wszelkiego rodzaju pudrowania. Niegdyś Król Słońce miał problemy z przetoką którą operowano w roku 1685, a także częścią podniebienia, którą uszkodzono mu w 1686, po tym, jak zmuszono go do ssania pastylek na nieświeży oddech. W wieku trzydziestu pięciu lat wyłysiał i wtedy na dworze zaczęły pojawiać się peruki. Po wielkich perukach *in folio* przyszła moda na warkoczyki i treski, które bardzo cenili Viravolta. Damy miały swoje wysoko upinane koki, loki i sławne kapelusze, nie zostawały więc w tyle za panami. Trosce o fryzurę towarzyszyła troska o malowanie twarzy - wszyscy chcieli mieć białą skórę, dorzucali błękitu, aby podkreślić jej bladość, czerni, aby zaznaczyć oczy, różu, aby rozświetlić usta i policzki. A do tego dochodziły muszki z tafty. Od pewnego czasu do panny Bertin dołączyli fryzjer Leonard, a także... Jean-Louis Fargeon ze swymi pachnidłami. Po zniknięciu du Barry zdołał zaskarbić sobie względy królowej dzięki perfumowanym rękawiczkom, które nosiła podczas przejażdżek konnych, oraz „skromnej kąpeli”, której recepturę podał głównej kąpielowej

dla łatwiejszego utrzymania higieny.

Odtąd trójkąt Leonard-Bertin-Fargeon stale otaczał królową.

*

Teraz, przed Pietrem, pośród kapeluszy, pudeł i pudełek z trzewikami, obok stosu makaroników i na pół opróżnionych bombonierek, świeża jak róża stała Maria Antonina.

Zwróciła na Wenecjanina pogodne oczy, gdy tylko wszedł.

- Och! - powiedziała dźwięcznym głosem - już pan jest, panie de Lansalt!

Pietro uklonił się jej z szacunkiem.

- Wasza Wysokość.

- Cieszę się, że pana widzę. Wybacz mi pan ten nieład! Przed chwilą była tu panna Bertin. Ta kobieta ma zadziwiającą wyobraźnię.

- Oczywiście, Wasza Wysokość.

- Cóż pan teraz porabia, panie de Lansalt? Czy nadal tropi pan zło płynące z zagranicy i rozwiązuje zagadki policyjne? Jestem tym nieco rozzalona, bo te afery pozbawiają mnie pańskiego towarzystwa. Już od dawna tu pana nie widuję, nie czuwa pan nade mną. A przecież pan wie, że czułam się wtedy bezpieczna. Nie zapomniałam, że był pan aniołem stróżem delfiny, która przybyła do tego kraju.

- Wasza Wysokość będzie łaskawa mi wybaczyć. Proszę jednak wierzyć, nie ma dnia, bym nie dokładał starań, aby jak najszybciej powrócić do otoczenia Waszej Wysokości!

- Dobrze przynajmniej, że mam szczęście widywać pańską małżonkę na naszych wieczorkach. Śmieje się i powtarza, że wciąż pan gdzieś biega. Panie de Lansalt, doprawdy, niespokojny duch z pana.

Anna. Nie opuszczała żadnego spotkania.

- Dziękuję, Wasza Wysokość.

Maria Antonina uśmiechnęła się do niego szczerze. Wiedział, że się jej podoba. Miał

wrażenie, że trochę się zaokrągliła, jednak nie tracąc tego niepowtarzalnego wdzięku, z jakim unosiła głowę, ani serdeczności wobec ludzi, ani tej delikatności cery, którą można było porównać do porcelany. Biła od niej łagodna woń irysów, dzieło Fargeona. Była ubrana w srebrzącą się krynolinę, przepiękną, przewiązaną w talii zwykłą szarfą z niebieskiego jedwabiu. Miała już róż na policzkach, była upudrowana i prawie uczesana. Pietro uśmiechnął

się.

Stał przecież przed królową Francji!

- Przepraszam - powiedziała, zwracając się tym razem do Leonarda. - Muszę jednak odbyć krótką rozmowę z panem de Lansaltem. Może pan zostać. Pana propozycje przypadły mi do gustu, może jednak lepsza byłaby błękitna wstążka? Trzeba też zapytać pana Fargeona, czy dobrałby perfumy pasujące do tej chusteczki.

- Oczywiście, Wasza Wysokość, to doskonały pomysł.

- Panie de Lansalt, proszę podejść bliżej.

Zawirowała przed nim i przez chwilę szukała czegoś w pudłach. Tymczasem Wenecjanin rozglądał się po zabałaganionym wnętrzu. Na komodzie zobaczył niezliczone flakony perfum zdobione owocami i mitologicznymi miniaturkami, pastorał, kartoniki z maksymami w rodzaju „Miłość przemija, przyjaźń trwa” lub „Jestem wierna”. Były tam też rebusy, na przykład unosząca spódnicę kobieta, która próbuje złapać pchłę za podwiązkę z komentarzem: „Zazdroszczę jej”. Pod ręką były też flakony zdobione kameami, skórzane niezbędniki i sławny przybornik królowej. Ubrania także leżały w nieładzie - dwanaście zimowych płaszczy, tyleż sukien codziennych bogato zdobionych z krynoliną nie licząc perkalikowych i muślinowych. Ta obfitość sprawiała, że szeroko komentowano rozrzutność królowej, co urastało już do rangi problemu politycznego. Ludziom nie podobało się, że królowa Francji bardziej interesuje się modą niż troszczy o poddanych. Uważano, że ta frywolność zagraża skarbowi państwa. Turgot wyznał kiedyś Viravolcie, że Dom Królowej miał już deficyt w wysokości trzystu tysięcy liwrów, choć kilka miesięcy temu podwojono przyznawane mu fundusze. Teraz wydatki trzeba było pokryć z kasy Domu Króla.

Rozrzutność była oczywista, ale nie tylko królowa ponosiła za to odpowiedzialność.

Gdy przyjechała, Turgot postanowił dokonać ostrych cięć w budżecie, zaczynając od nadzwyczajnych wydatków na kuchnię, czyli setek potraw niepotrzebnie przygotowywanych na królewskie posiłki. Za takie marnotrawstwo dwór był krytykowany już od dawna, a wizerunek Ludwika XV, króla kapryśnego, utrzymującego ladacznice z Parc-aux-Cerfes, a potem panią du Barry, pogorszył sytuację. Choć rachunki państwa nie były publiczne, ludzie wyobrażali sobie istne cuda, monstrualne wydatki, zaspokajanie najbardziej szalonych zachcianek. Co gorsza, Maria Antonina dostała w prezencie od męża śliczny pałacyk Trianon i zaczęła urządzić mały chińsko-angielski ogród.

*

- Proszę popatrzeć, panie de Lansalt - powiedziała królowa. - Wśród tych skarbów jest coś, co powinno pana zainteresować.

Wyjęła z kartonu pudełko.

Pietro wyciągnął szyję.

Jego uwagę przyciągnął znajomy inicjał, złożone „B”.

Zacisnął zęby.

- Kiedy to dostarczono?

Maria Antonina uśmiechnęła się promiennie.

- Wczoraj wieczorem. Byłam przekonana, że to prezent od panny Bertin, ale ona zaprzeczyła, a w dodatku wygłądała na bardzo niezadowoloną że ktoś ją naśladuje.

- A co w tym pudełku?... - zapytał Pietro, sięgając po podarunek.

- Proszę otworzyć.

Otworzył. Wewnątrz leżał kapelusz.

To jego pomysł, pomyślał.

Kapelusz był ozdobiony szczególnymi kwiatami. Po prawej stronie umieszczono zwyczajny piec, wykonany z taką dbałością o każdy szczegół, że nie zabrakło nawet paska gazy, który wyobrażał dym unoszący się z komina nad domem. W progu stał owad w śmiesznym fartuchu w kratkę i prowadził ożywioną dyskusję z innym, trzymającym małą gitarę. Co ciekawe, pod owadem z gitarą ciągnęła się smuga ciemnej rtęci przypominającej krew.

- Dołączono do tego liścik - powiedział Maria Antonina. - Ale autor podpisał go tylko inicjałem „B”. Pokazałam go już panu Sartine’owi i panu Vergennes’owi, a oni natychmiast powiedzieli, żebym powiadomiła o tym pana.

- Dobrze uczynili - odparł ponuro Pietro. - Wasza Wysokość pozwoli, że zgadnę...

List tkwił w kapeluszu pomiędzy kwiatami jak złowieszcza wróżba.

Pietro chwycił go, próbując poskromić gniew.

Rozłożył kartkę.

- A jednak to napisał - szepnął i dodał, kręcąc głową: - Brakowałoby tylko, żeby to był mój charakter.

KONIK POLNY I MRÓWKA

Księga I - Bajka 1

Niepomny jutra, płochy i swawolny,

Przez całe lato śpiewał konik polny.

Lecz przyszła zima, śniegi, zawieruchy -

Gorzko zapłakał biedaczek.

„Gdybyż choć jaki robaczek.

Gdyby choć skrzydełko muchy

Wpadło mi w łapki... miałbym bal nie lada!”

To myśląc, głodny, zbiera sił ostatki,

Idzie do mrówki sąsiadki

I tak powiada:

„Pożycz mi, proszę, kilka ziarn żyta;

Da Bóg doczekać przyszłego zbioru,

Oddam z procentem - słowo honoru!”

Lecz mrówka skąpa i nieużyta

(Jest to najmniejsza jej wada)

Pyta sąsiada:

„Cóżeś porabiał przez lato,

Gdy żebrzesz w zimowej porze?”

„Śpiewałem sobie” - „Więc za to

Tańczujże teraz, nieboże!” 7.

* * *

„Tak oto, królowo złota,

Kiedy słońce blisko przesilenia spotka brzask,

Ty także zatańczysz”.

B.

7 Przełożył Władysław Noskowski.

Wszyscy wiedzieli, że Maria Antonina uwielbia kwiaty, szczególnie żonkile, fiołki, lilie, nie wspominając już o różach. Pietro nie musiał tym razem szukać rady Normandczyka, ogrodnika-

filozofa, żeby odgadnąć znaczenie tej nowej wiadomości - róża i lilia, jak zwykle, szczodrzeniec jako symbol obłudy, krwawnik, czyli wojna, nieśmiertelnik jako wieczny żal, a do tego dwie czy trzy chryzantemy.

To był znak.

Ale ta historia ze zrównaniem dnia z nocą słońcem i brzaskiem? Co to za metafora?

Bajkarz wciąż pragnie zabijać w bajce i poezji!

To wskazówka... co do czasu. Ale kiedy?!

Królowa znów stała obok i patrzyła na niego swymi sarnimi oczyma.

- Bóg mi świadkiem, że czytałam epigramaty i pamflety przypisujące mi wszelkie możliwe kaprysy, czasem obsceniczne wierszydła. Przeżyliśmy epidemię satyrycznych piosenek i jak zawsze wrogowie zarzucali mi wszelkie wady! Ale to... - Wzięła się pod boki. -

...Rozumie pan coś z tego? - zapytała.

Pietro westchnął.

W duchu cisnął kilkoma paskudnymi przekleństwami.

- Zajmę się tym, Wasza Wysokość.

The last of England,

LAS W SAINT-GERMAIN-EN-LAYE

Emisariusze króla Jerzego III spotkali się z lordem Stevensem na skraju lasu w Saint-Germain, jak wcześniej uzgodniono. Po nagłym wycofaniu się z Herblay Stevens i Bajkarz musieli znaleźć nowe schronienie. Szybko zebrali ludzi i przygotowali wyjazd do Reims. Ale Stevens nie mógł odmówić spotkania z dwoma szpiegami wysłanymi przez lorda Stormonta, który po rozmowie z Charles'em de Broglie z niepokojem obserwował bieg zdarzeń.

- Są - szepnął jeden z ludzi Stevensa.

Tylko blady księżyc od czasu do czasu wyłaniał się zza chmur. Dwaj żołnierze Stevensa nieśli pochodnie. Liście, ciemne i gęste, poruszały się na zimnym wietrze. Śnieg tworzył na tym tle białe plamy, które w ciemnościach przechodziły w odcienie szarości. Jakiś spłoszony gryzoń przebiegł tuż pod nogami Stevensa, unosząc z niepokojem pyszczek.

Wreszcie pojawili się dwaj zakapturzeni jeźdźcy.

Angielscy agenci zsiadli z koni i przywitali się.

- *Good evening, Sir. Secret service.*

- Lord Stormont jest zaniepokojony decyzjami, które pan ostatnio podejmuje. Jest pan tego świadom. Lord działa z rozkazu króla, który został powiadomiony o naszych problemach z oceną... pańskiej strategii. Gotów jest odwołać pana do Anglii i muszę panu powiedzieć, że decyzję uzależnia od naszego raportu.

Stevens poczuł, że zasycha mu w ustach. Nie zdradzając zdenerwowania, podjął:

- Nie ma powodu do obaw. Wrócę do Anglii już wkrótce i w takich okolicznościach, że król będzie ze mnie z pewnością zadowolony. Wywiążę się z zadania, które mi powierzył.

Drugi emisariusz zbliżył się o krok.

- To było w innych czasach i w innej sytuacji, panie. Weil, myślę, że musimy pomówić otwarcie. Otrzymaliśmy rozkaz szczegółowego zbadania pańskiego projektu, szczególnie operacji, którą nazwał pan „Party Time”. Chcemy wiedzieć, dlaczego postanowił

pan schronić się w dworze oddalonym od Wersalu i w jakich okolicznościach musiał pan opuścić to miejsce. Mamy prawo odebrać panu to zadanie.

Słyszając wzmiankę o „Party Time”, Stevens uniósł brew. Widocznie nikt nic nie zrozumiał. Teraz nie zdołał już powstrzymać się od śmiechu.

- Wy?! Wy macie prawo odebrać mi zadanie?! Nie zamierzam zdawać wam sprawy ze swych działań, nie będę się też tłumaczył przed lordem Stormontem. A co do naszego poczciwego króla Jerzego, to nie martwcie się o niego, przygotowuję właśnie pismo, w którym wszystko dokładnie wyjaśniam.

Szpieg pokiwał głową.

- To za mało. Proszę udostępnić nam dokumentację albo poproszę, żeby pojechał pan z nami. A wtedy zostanie pan pozbawiony wszelkich uprawnień.

Stevens także pokiwał głową.

- W takim razie... obawiam się, że znaleźliśmy się w impasie.

Pierwszy ze szpiegów położył dłoń na rękojeści szpady, drugi chwycił pistolet.

- Zechce pan...

Ludzie z pochodniami towarzyszący lordowi Stevensowi, chcieli także dobyć broni, ale szpieg z pistoletem okazał się szybszy i natychmiast w nich wycelował.

- *Don't move.*

Na chwilę wszyscy zastygli.

Obaj agenci, ludzie Stevensa i sam Stevens tworzyli osobliwy krąg na skraju lasu.

Potem Apostoł Wielkiej Łoży Żelaza splótł ręce, patrząc w zadumie na klamry butów.

- Przyjacielu... Zostanę, zostanę mimo wszystko... wiemy, wiemy na przekór wszystkiemu, choćbym miał być ostatni. *The last of England...*

To był znak. Za gęstym listowiem pobliskich drzew rozległy się wystrzały.

Obaj agenci upadli.

Pierwszy zginął na miejscu, drugi wił się na ziemi, potem znieruchomiał.

*

Wtedy z lasu wyszedł strzelec.

- Dziękuję - powiedział lord Stevens. - I powtórzył: - Dziękuję... Saphir.

Szła w jego stronę. W koszuli, spodniach i wysokich czarnych butach, z włosami związanymi z tyłu i podtrzymywanymi siatką była bez peruki, jednak jak zwykle - mocno umalowana. Na ramiona rzuciła krótką pelerynę, a wachlarz wsunęła za pas. Na jej szyi błyszczał szafir. Ciemnoniebieską kamizelkę zdobiły haftowane skrzydła owadów.

Dmuchnęła na długie lufy dwóch pistoletów, które trzymała w obleczonej w rękawiczki dłoniach, wciąż idąc po skrzypiącym śniegu.

- *You're welcome* - rzuciła, stając przed nim.

Stevens wskazał leżące na śniegu ciała. Z czaszek sączyła się wolno ciemna krew.

- Proszę się nimi nie przejmować. Osobiście skontaktuję się z lordem Stormontem i zrzucimy winę na służby Brogliego. Albo będziemy udawali, że nigdy ich nie widzieliśmy.

Saphir wydeła usta.

- Wątpię, żeby zdołał pan długo prowadzić tę grę. Chcę tylko, by zapłacił mi pan należną kwotę... Reszta jest mi obojętna.

- Prawdę mówiąc, niezbyt szczęśliwie ratowała pani swoją pozycję u „Procope’a”.

- Pański przyjaciel miał się pozbyć Viravolty. Reszta byłaby dziecinną igraszką.

Musiałam działać, tak jak wymagała tego sytuacja. Nie mogłam się zdemaskować.

Stevens wyszczerzył zęby w zjadliwym uśmiechu.

- Ale nie musiała pani zabijać dziesięciu naszych ludzi. Mimo to podoba mi się pani, Saphir. Właśnie takich najemników lubię.

- Sekret Króla zostanie wkrótce rozwiązany. Nie mam już nic do stracenia. Zamierzam przenieść się do waszego kraju. Nadal mam w Londynie wielu przyjaciół.

W ciemnościach rozległ się czyjś głos.

- Najpierw zakończmy nasze sprawy.

Stevens i podwójny agent odwrócili głowy.

Bajkarz wyjechał z ciemności na czarnym rumaku.

O tej późnej porze zrezygnował z peleryny z kapturem.

Zbliżał się do nich z odsłoniętą twarzą.

- Teraz jedziemy na jednym wozie. Nie możemy się już wycofać. Nie wdawajcie się w zbędne spory, trzeba skupić się na tym, co nas czeka.

Stevens spoglądał na współnika z podziwem, ale i lekką ironią którą nieodmiennie wzbudzał w nim ten człowiek. Bajkarz liczył około czterdziestu lat. Jego głos raz brzmiał

dźwięcznie, kiedy indziej jak zza grobu - zależnie od emocji, jakie ogarniały mężczyznę.

Spojrzenie, mimo pozornego spokoju, zdradzało gwałtowność. Włosy miał czarne, kędzierzawe, usta stale gniewnie wykrzywione, co pogłębiało dołki na policzkach. Cienie pod oczyma i zmarszczki nad brwiami, nawet pod warstwą pudru były wyraźnie widoczne i zdradzały bolesne przeżycia z dzieciństwa. Ale lata poświęcone na analizę władzy, penetrowanie najodleglejszych zakamarków Wersalu, nawiązywanie kontaktów ze zdrajcami Sekretu i angielskimi szpiegami, a przede wszystkim dojrzewająca w nim żądza zemsty także odcisnęły się piętnem na jego twarzy. Nie był ani brzydki, ani urodziwy, kiedy jednak siedział

na koniu, a szeroka peleryna opadała mu z ramion, prezentował się godnie i wzbudzał

niepokój. Był całkowicie nieprzewidywalny.

Stevens nie potrafił przeniknąć tego tajemniczego człowieka. Śledztwo, które podjął w jego sprawie, utknęło w martwym punkcie, nie dało się bowiem dotrzeć do zamkniętego kręgu sekciarzy z parafii Saint-Médard, z którymi był powiązany jego mentor, pierwszy Bajkarz - ojciec Jacques de Marsille. Stevens nie zdołał dowiedzieć się niczego więcej.

Nękało go pytanie o źródło głębokiej nienawiści, jaką Bajkarz żywił do całego świata, poczynając od Viravolty, na którym pragnął się zemścić z oczywistych przyczyn - za śmierć ojca Jacques'a. Mniejsza o szczegóły, powiedział sobie Stevens, Bajkarz jest mi potrzebny.

Kiedy zawarli pakt w Londynie, Stevens dostrzegł w nim błyskotliwą inteligencję, na której dotąd się nie zawiódł. Ale właśnie ta inteligencja rodziła ogromne ryzyko. Stevens uświadomił sobie siłę jego szaleństwa - maniacka precyzja, z jaką odzierał ze skóry zwierzęta i wypychał je, bestialstwo jego sługi, garbusa Etienne'a, wyrafinowana, przewrotna miłość do bajek, które mają uczyć dzieci. Te bajki zawsze wydawały się Stevensowi subtelne, ale i brutalne.

Razem zwerbowali Saphir, agentkę Sekretu, idealne źródło wiedzy o hrabim de Brogliem i jego siatce, a także o treści niektórych poufnych akt. Spotkanie w lesie miało na celu nie tylko rozprawę z angielskimi emisariuszami.

- Podjęłam wielkie ryzyko - powiedziała Saphir. - Sądzę, że już czas, bym otrzymała to, na co zasłużyłam.

Wzięła się pod boki i podeszła do Bajkarza. Schowała już pistolety.

Stevens i Bajkarz wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

- To prawda - przyznał Bajkarz.

Bez chwili wahania sięgnął po broń. Potem był błysk, detonacja, obłok dymu...

- Załatwione.

Saphir zdążyła tylko otworzyć usta i spojrzeć na nich ze zdumieniem. Zanim pojęła, co się stało, z jej czoła trysnęła krew.

- Prawdę mówiąc - rzucił Bajkarz - o czymś pani zapomniała. - Uśmiechnął się i dodał: - Pani też jest agentką Sekretu.

Zatoczyła się i upadła. Stevens, Bajkarz w siodle i ich ludzie stali jeszcze przez chwilę przy trzech trupach, przy przekłętej trójcy.

- Robiła się zbyt niebezpieczna... i zbyt wymagająca - stwierdził Stevens.

- Mogła nam dobrze służyć.

- Nie dość, jak na mój gust.

Stevens spojrział na współnika. Bajkarz wyglądał na zatroskanego.

- To przykre...

- Co takiego?

- Nie wybrałem dla niej bajki. - Podrapał się po podbródku. - Prawdę mówiąc... nie byłem pewien, czy ją zabiję.

Stevens popatrzył na niego bez słowa.

- *Nobody's perfect.*

Stevens w końcu odszedł.

Przedtem wskazał swoim ludziom trupy i rozkazał:

- Przeszukajcie całą trójkę i zakopcie ciała. - Z uśmiechem odwrócił się do współnika.

- Mój drogi, spotkamy się we dworze. Jutro wyjeżdżamy do Reims.

I zniknął.

Bajkarz odwrócił się w stronę lasu. Jeszcze raz spojrzął na Saphir, na jej otwarte usta i oczy, które zdawały się szukać ratunku w bezkłęskowym niebie. Próbował zinterpretować kształt, w jaki ułożyła się plama krwi na śniegu. Zastanawiał się, jak by wyglądało jej ciało po wypchaniu.

Ludzie Stevensa zabrali zwłoki.

Lodowaty wiatr owiał czoło Bajkarza. Oko łzawiło mu z zimna. I ty także, Stevens -

pomyślał - kiedy będzie po wszystkim... Będę musiał się ciebie pozbyć. Jesteś jeszcze bardziej szalony niż ja. Jedyne różnica między nami polega na tym, że ty o tym nie wiesz.

A potem zacisnął zęby i wykrzywił twarz w niewypowiedzianym gniewie.

Ściągnął cugle.

Męczennik z Saint-Médard

TAJNE ARCHIWA, PODZIEMIA SKRZYDŁA MINISTRÓW

PARAFIA, CMENTARZ W SAINT-MÉDARD, PARYŻ

SALON POKOJU, GALERIA LUSTRZANA, WERSAL

O nie, to niemożliwe.

Olśnienie przyszło w bezsenną noc.

*

Charles de Broglie był tak bliski chwały... Jego odwieczny wróg, książę d'Aiguillon, został odprawiony i teraz miał zająć się wyłącznie ukochaną nauką. Z Vergennes'em na czele Ministerstwa Spraw Zagranicznych Sekret miałby swego agenta w ścisłym kręgu władzy.

Broglie liczył na stanowisko i teraz paliła go zazdrość, miał jednak przynajmniej pewność, że zyska

poparcie osoby kierującej polityką zagraniczną. Także du Muy, minister wojny, był

jego starym przyjacielem. Podobnie jak Sartine. Większość agentów służb coś zyskała -

Breteuil dostał Wiedeń, Durand był ministrem pełnomocnym w Sankt-Petersburgu, Saint-Priest ambasadorem w Konstantynopolu, a tymczasem on, hrabia de Broglie, wciąż musiał się tylko tłumaczyć.

Mimo to, dla dobra pary królewskiej, nadal zachował milczenie w sprawie śledztwa, które podjął przeciwko Bajkarzowi i jego zabójczym epigramatom, zalecając Viravolcie, by także trzymał język za zębami. A wszystko dla dobra Korony! Jak daleko miał posunąć się w swym oddaniu? Mimo że zewsząd napływały tak dobre wiadomości o nominacjach, problemy służb nie zostały rozwiązane. Król w końcu przejął cenną korespondencję Sekretu. Uznał, że te listy są niebezpieczne. Dwukrotnie żądał od Brogliego przekazania szyfrów, ale bezskutecznie. Proponował mu wypłacenie czerwcowych pensji i rozwiązanie Czarnego Gabinetu. Wtedy wszystko by przepadło!

Ludwik XVI chciał pogrzebać Sekret.

*

Teraz wymagał zniszczenia wszystkich dokumentów mających coś wspólnego z działalnością służb, w zamian proponując Charles'owi przychyłność. Ale dla Brogliego zniszczenie Archiwów było niewyobrażalne. To one dowodziły, że działał z imprimatur samego Ludwika XV, więc dawały ochronę jemu i jego agentom. Poza tym zawierały cenne dla państwa informacje. Broglie zaproponował, aby Vergennes przejął dokumenty i poddał je ekspertyzie. Pragnął także osobiście powiadomić swoich agentów o zakończeniu służby i uregulować wszelkie należne im wypłaty.

Kody miałyby zostać przekazane Vergennes'owi i zniszczone.

W tym czasie Ludwik XVI zapoznał się z dokumentami potwierdzającymi wierność Brogliego wobec państwa. Dlatego stał się bardziej ugodowy. Powołał komisję, która miała badać Archiwa. W jej składzie znaleźli się przychylni Brogliemu Vergennes i du Muy. Problem wypłat należnych agentom nie mógł czekać, więc sporządzono w końcu listę ich nazwisk - przynajmniej tych wszystkich, którzy nadal byli czynni. Król podpisał tę listę dziesiątego września, aby zakończyć sprawę wypłat.

Mokronowski, polski patriota, miał otrzymywać rentę w wysokości dwudziestu tysięcy liwrów rocznie. Durand, La Rozière, Dubois-Martin - po sześć tysięcy. Saint-Priest, ojciec i syn Chrétienowie, Favier, Drouet i kilku innych także mogli liczyć na przyzwoite pieniądze.

Na szczególne względy zasłużył sobie Viravolta zwany Czarną Orchideą, któremu przyznano dziesięć tysięcy. Jeszcze lepiej wyposażono d'Eona, dając mu dwanaście tysięcy rocznie.

Mimo to stawał się nieobliczalny. Na dole listy znalazła się Saphir. Pozostał jeszcze Beaumarchais, ale on wyjechał do Londynu i...

W tym momencie Brogliemu przypomniało się coś niezwykle istotnego.

- Proszę przejrzeć stare akta - powiedział Viravolta, kiedy spotkali się w ogrodzie. -

Trzeba wznowić śledztwo w sprawie Saint-Médard.

Charles i tak to już zrobił. Ale Wenecjanin słusznie przy tym obstawał, bo może coś zostało przeoczone... Niejasne, stare wspomnienia z czasów, gdy Viravolta zażegnał

niebezpieczeństwo, rozprawiając się z pierwszym Bajkarzem, w dniu zaślubin z Marią Antoniną...

Charles otworzył oczy i usiadł na łóżku.

Potem szybko się ubrał i pojechał do Wersalu.

Przed świtem był już w Archiwach Domu Króla. Dostał się tam dzięki pomocy przyjaciela, Augustina Marienne'a.

Zdyszany i spocony Charles niemal wbiegł do jednej z sal Archiwów w podziemiach.

Zdjął szal i rozłożył kilka teczek z dokumentami, które właśnie zdobył. Wybrał jedną z nich, przekartkował i odsunął na bok. Potem tak samo postąpił z drugą i trzecią.

„Poczułem woń, co sprawiała,

Iż o kwiatach śniłem nieznanych,

Lecz w koszu twym znalazłem

Tylko nieśmiertelników bukiet.

Dla Marie”.

A gdyby tak...

Odnalazł go. W brązowej teczce spiętej skórzanym paskiem, wśród setek pożółkłych przez te lata kart. To był szczegół. Zdanie, które gwałtownie wyrwało go ze snu, jakby jego mózg nigdy nie przestał nad nim myśleć, ale już podświadomie. To zdanie zagubione w morzu papierów...

To jest to. Z pewnością.

Położył palec na fragmencie jednego z raportów.

Jak się wydaje, ojciec Jacques de Marsille, który przybrał przydomek Bajkarza, był związany z jansenistami z parafii Saint-Médard. Ludzie znali go jako oddanego opiekuna ubogich, sierot i prostytutek z okolicy, ale to zaangażowanie ściągnęło nań wszelkie podejrzenia, jakie mogą wynikać z obracania się w takich kręgach, choć żadne dowody nie potwierdzały kalumni, jakimi go obrzucano. Zapewne utrzymywał grzeszne relacje z niejaką Marie Desarneaux, prostytutką z Saint-Médard...

Charles z trudem przełknął ślinę. Uniósł rękę do ust. Z jego nieruchomych oczu wyzierało przerażenie dramatyzmem groźnej sytuacji, który dopiero teraz sobie uświadomił.

O mój Boże, mój Boże...

* * *

Wyruszył do parafii Saint-Médard, nie zważając na silną ulewę. Kazał jednemu ze swoich informatorów zaanonsować swą wizytę, szybko spotkał się z proboszczem i zidentyfikował osobę, która była adresatką wierszyka. Brodzie niemal w biegu wyskoczył z karety. Przeszedł pod dzwonnica, kryjąc się w cieniu małego kościoła. Dostrzegł zarysy gargulców, które rozwierały paszcze i wyciągały szpony, jakby lada chwila miały się na niego rzucić. Kruchta pełna apostołów i świętych ksiąg, zwieńczona ciągiem łuków, nasuwała skojarzenie z mrozącym krew w żyłach kręgiem czyścica.

Parafia, którą na krótko powierzono ojcu de Marsille, zyskała rozgłos w dość szczególnych okolicznościach. W pierwszym trzydziestoleciu wieku doszło tu do budzących grozę wydarzeń. Cudowne uzdrowienia i histeryczne przejawy nabożności, przejawiające się konwulsjami, wydarzyły się przy grobie pewnego diakona, na kościelnym cmentarzu. Ów człowiek, niejaki François de Pâris, zmarł w roku 1727. Umiłowany przez biedaków, miał

nieszczęście dołączyć do jansenistów i stać się aktywnym człowiekiem sekty. Od ogłoszenia bulli papieskiej *Unigenitus* janseniści byli uważani za heretyków wobec wiary katolickiej, głosili bowiem sprzeczne z nią poglądy na temat łaski i przeznaczenia. Spór wykroczył poza kręgi elity i poruszył prostych ludzi, którzy często podziwiali jansenistowskich duchownych za ich prawość i miłosierdzie. Za czasów regencji grupa biskupów, zakonników i księży, przy poparciu ludzi świeckich odwołała się do tekstu *Unigenitus* i dlatego stronnictwo to nazwano

„odwołującymi się”. W ciągu dziesięciu lat ich apele powtarzały się wielokrotnie, a odpowiedzią na nie były ekskomuniki. François de Pâris należał do stale apelujących. Przed śmiercią zapisał w testamencie cały swój majątek ubogim z parafii Saint-Médard.

Wkrótce przy grobie zaczęły się dziać zdumiewające rzeczy. Mówiono, że to cuda.

Cmentarz stał się miejscem spotkań chorych na skrofuły i paralityków, którzy ściągali tu, by kłaść się na grobie lub zebrać trochę ziemi na okłady. Arcybiskup Paryża potępił te zgromadzenia i zakazał czczenia relikwii Pârisa. W odpowiedzi otrzymał od dwudziestu trzech paryskich proboszczów petycję, poświadczającą cztery cuda, które ich zdaniem były wystarczająco udokumentowane. Kościół nie zareagował. Wtedy kult zmarłego zaczął się radykalizować. Królewska policja donosiła o powadze sytuacji. Krążyły opowieści o chorych opętanych przez tajemnicze moce. Uzdrowienia przybrały formę konwulsji, którym towarzyszyło nieludzkie wycie i trzaskanie kości. Dziewczęta oddawały się mężczyznom, którzy je wykorzystywali. Królewscy lekarze oskarżali ozdrowieńców o zniewagę. Władze nakazały zamknięcie cmentarza, jednak „ceremonie” nadal trwały, ale już potajemnie.

Spazmy nabrały charakteru tortur. Bóle powodowane przez konwulsje miały symbolizować Mękę

Pańską. Uczestnicy tych obrzędów zadeptywali, bili, rozrywali ofiary w imię łaski bożej. Żelazne pręty, szpady i noże służyły teraz to robienia nowych stygmatów. Wydarzenia przerosły nawet jansenistów, którzy odcinali się od tych potworności. Wkrótce pozostały tylko nieliczne tajne wspólnoty. Obojętność lub wręcz nienawiść, jaką okazał ruchowi kler i władze, skłoniła ich do najgorszego z szaleństw - utożsamienia z Chrystusem poprzez odtwarzanie Drogi Krzyżowej i Ukrzyżowania.

Teraz nikt już nie mówił o tamtych wydarzeniach, ale policja wiedziała, że po niemal pięćdziesięciu latach nie udało się zlikwidować wszystkich sekt. Ojciec de Marsille, następca François de Pârisa, zapewne należał do grona heretyków. Charles, który zebrał informacje, wiedział, że proboszcz Saint-Médard nazywał się dziś Jean Morois - ojciec Jean Morois.

Zapukał do zakrystii. Kapłan otworzył niemal natychmiast. Wysoki siedemdziesięciolatek, którego oczy niknęły pośród zmarszczek, pływał w czarnej szacie.

Charles pokazał mu królewską pieczęć, której używał od lat.

Morois zaprosił go do środka.

- Jest tu? - zapytał Charles, patrząc na niego.

- Czeka na pana.

Alby wisiały na wbitych w mur hakach. Biblia i rozrzucone papiery leżały na biurku, przy zapalonej świecy. Ojciec otworzył drzwi na tyłach zakrystii. Wiodły do budynku przylegającego do kościoła. Pod schodami, za zasłoną którą odchylił, znajdowały się jeszcze jedne drzwi i schody prowadzące w dół. Zeszli po nich i dotarli do piwnicy o łukowatych sklepieniach z kamienia. Te podziemia urządzono jak salon - była tu głęboka sofa, a także biblioteka pełna religijnych ksiąg i rozpraw mistyków. Biurko i liczne krzesła stały obok stołu, na którym czekały skromne nakrycia. I to wnętrze oświetlało kilka świec. Na stole postawiono dwie filiżanki i dzbanek jeszcze gorącej herbaty. Nieopodal siedziała, oczekując na ich przybycie, kobieta w trudnym do określenia wieku. Gdy weszli, podniosła głowę.

Charles od razu zauważył, że jest niewidoma.

- Ojciec Jean?

- To ja, Marie. Przyprowaździłem gościa.

Charles uważnie przyjrzał się kobiecie. Jej oczy zostały wypalone. Powieki wyglądały jak przyszyte do oczodołów i wciąż nosiły fioletowe blizny. Kobieta była równie wychudzona, jak zakonnik. Szal, który okrywał jej głowę i ramiona, upodabniał ją jeszcze bardziej do czarownicy rodem z bajki dla niegrzecznych dzieci. Ale jej czoło, na które opadało kilka kosmków siwych włosów, było czyste i piękne. Miała chyba bardzo długie ręce, bo bez wysiłku trzymała dłonie splecione pod łopatkami. Siedziała tu niczym Parka w swym sanktuarium.

- To wysłannik Wersalu, który prowadzi śledztwo w sprawie ojca de Marsille'a -

dodał Moroïs.

- Ojczy, przeczcz on nie żyje od wielu lat - szepnęła staruszka.

- Czy znała go pani? - zapytał Charles.

Staruszka wolno przesunęła dłonie. Wówczas Broglie zauważył, że były straszliwie okaleczone. W obu dłoniach widniały duże dziury. Stygmaty, przemknęło mu przez myśl.

Zwrócił się do ojca Moroïs.

- Przyjąłem Marie przed laty - wyznał duchowny. - Długo była prześladowana przez władze. Dziś, tak samo jak dawniej, cierpi. Nie żyje już nikt z jej rodziny. Zawsze pragnęła tylko odrobiny spokoju... Kiedyś wierzyła, że ukoï duszę pośród straszliwego zamętu. Była...

z nimi. Miewała konwulsje. Znała Jacques'a de Marsille'a, a także François de Pârisa.

Biła od niej aura niemal mistycznego cierpienia i śmierci, jakby już teraz należała do zaświatów. A zatem uczestniczyła w tych potajemnych obrzędach, w zadawaniu cierpień cielesnych w imię pełniejszego oddania się Chrystusowi i zbliżenia do niego poprzez mękę.

Doszła do końca tej drogi.

- Piękny portret - wtrąciła Marie Desarneaux, śmiejąc się cicho. - Ojczy Jeanie, nie zapominaj, że słuch mam dobry. A milczenie twego kompana jest wymowne... Zobaczyliście Boga czy Diabła? Pomyliliśmy się, przyjacielu. O tak, bardzo się pomyliliśmy. Ale widzi pan, to ubóstwienie bólu, ta wola cierpienia i śmierci tak się we mnie zapisała.

Rozłożyła ręce, pokazując mu przebite dłonie.

- Oto ślady naszego obłędu. My, opętańcy boży. Tak, byłem jedną z tych, które bito na śmierć, a one podnosiły się, targane drgawkami i konwulsjami. Byłam męczennicą z własnej woli. Zostałam ukrzyżowana.

I znowu się zaśmiała.

- Oczywiście, nie do końca.

I wciąż się śmiała. Charles z trudem powtórzył pytanie:

- Czy znała pani ojca de Marsille'a?

Przesunął krzesło i usiadł przed nią.

- O tak... A wcześniej diakona. Obaj byli świętymi mężczyznami. Spotkali się, chwileczkę... To było chyba około tysiąc siedemset trzydziestego. Czterdzieści lat temu!

Uniosła głowę.

- Marsille był wtedy w seminarium... On i diakon wspierali walczących. Jacques'owi było trudniej. Był młody... Chciał i mógł tak dużo działać w Kościele... Przychodził w tajemnicy, a od ogłoszenia *Unigenitus* sytuacja była ciężka... Nie mógł dać się wyrzucić czy też obłóżyć ekskomuniką rozumie pan... Ale on i François wyznawali te same podglądy. I obaj byli miłośnikami. Jacques nie mógł znieść niesprawiedliwości, odrzucała go. Tak, odrzucała. Fizycznie. Diakon zwykł wyznawać mu... sekrety.

- Sekrety? Ale jakie?

Spękane usta staruszki rozchyliły się. Była prawie bezzębna.

- Skądże mam wiedzieć? Tajemnica spowiedzi. Może chodziło o alchemię? Czy to chciał pan usłyszeć? Nie, przyjacielu, to nie była czarna magia ani ezoteryczne sabaty! Tylko prawdziwi boży ludzie, których Kościół chciał wyeliminować...

Charles pochylił się w jej stronę.

- Czy pani wie, że Jacques de Marsille chciał targnąć się na życie delfiny tuż po jej przyjeździe do Francji?

Machnęła ręką.

- Żalosne kłamstwo. Przyjacielu, to tamci chcieli, żeby tak myślano. Mówiono, że krytykował Marię Teresę, gdy przybyło polskie poselstwo. Ale w rzeczywistości on chciał

tylko rozmawiać. Rozmawiać z królem! Marzył! Pragnął audiencji. Chciał, aby go wysłuchano. A oni chcieli go zabić, bo znał prawdę.

- Jaką prawdę?

Wciąż wykrzywiała usta w uśmiechu. Ale tym razem się zawahała.

- Jaką prawdę? - powtórzył Broglie. - Pani i ojciec... czy... żyliście ze sobą?

Znowu dziwnie się zaśmiała, niemal zakrztusiła.

- Z Jacques'em? O nie... Nie z nim.

Stara zamilkła, zamykając się w sobie, jakby cofnęła się o całe lata. Po chwili podjęła, zamyślona:

- On nie uczestniczył w naszych ceremoniach. Jacques wziął udział w pewnym tajnym obrzędzie. Widział, jak wijemy się z bólu. Był jansenistą, owszem. Ale nie zgadzał się z nami.

To, co robiliśmy, ja i moi przyjaciele, budziło w nim odrazę i przerażenie. Odszedł pobladły i wstrząśnięty. Pamiętam jak dziś. Właściwie była to jedna z ostatnich rzeczy, które widziałam.

Tego wieczoru wypalono mi oczy.

Od początku spotkania Charles czuł się bardzo niezręcznie.

- Oczy... Ale dlaczego?

- Powiedziałam już panu, że czasem posuwaliśmy się za daleko. Po prostu dlatego, że nie byłam godna ujrzeć oblicza Wszechmogącego!

Powiedziała to z nutką żalu w głosie, ale i szczyptą dawnego szaleństwa. Charles otarł spocone czoło. Zrozumiał, a raczej - już wiedział, lecz chciał usłyszeć to z ust wariatki. Chciał dowodu.

- Dlaczego?

Jej usta drżały. Nadal się wahała.

- Ponieważ...

- Dlaczego, Marie, dlaczego nie była pani godna ujrzeć Boga?

- Ponieważ porzuciłam swoje dziecko!

Brogie milczał, czekając, aż zdecyduje się mówić dalej. A ona po chwili zaczęła wszystko z siebie wyrzucać. I tylko głos się jej łamał i rwał.

- Zmusili mnie do tego! Chcieli mi go odebrać albo zabić! Dlatego zabrałam go daleko... Oddałam do mamki! To była ciemna, prymitywna baba, ale wychowywała kilkoro dzieci i mieszkała pod Paryżem... Wiedziała, że się nad nim znęca. Tamte dzieciaki też go biły. Kpiła z niego, nazywała księżątkiem. I ze mnie też drwiła. Jacques nas uratował. To on go przygarnął i wychował. Mnie wciąż ścigali. Uciekłam...

- Czy pani wie, gdzie jest pani syn? Wie pani, co teraz robi?

Znów uniosła głowę. Jej twarz zastygła. Odpowiedziała dopiero po chwili.

- Czy on żyje?

Charles osłonił usta ręką.

O Boże, o Boże...

Strach chwycił go za gardło.

- Nie... nie, Marie... ale...

Pochylił się i delikatnie ujął jej dłonie.

- Proszę mi powiedzieć, Marie... co pani robiła przedtem? Zanim dołączyła pani do sekty?

- Co robiłam? Sprzedawałam się, panie! - niemal krzyknęła, zanim jej głos przeszedł w szloch.

Potem także się pochyliła i Broglie już myślał, że jej kości zaczną pękać. Dłonie Charles'a były ciepłe i wilgotne, dłonie kobiety - lodowate.

- Byłam ladacznicą! Mieszkałam z umierającą matką i dwiema siostrami... Pewien mężczyzna przychodził po mnie wiele razy. Wtedy byłam piękna i ponętna... Zabierał mnie...

- Dokąd? Dokąd panią zabierał?

- Do Parc-aux-Cerfs - powiedziała, znowu się śmiejąc, tym razem jak szalona. - Do Parc-aux-Cerfs!

Charles zbladł. Milczał. Słowa staruszki dźwięczały mu w uszach, rozsadzały głowę, a ona nie przestawała się śmiać.

Szef Sekretu wyjął wtedy pewien drobiazg, który tu przyniósł.

Wsunął do kościstej, przebitej dłoni staruszki etui.

- Co to jest? - zapytała.

- Pamiątka.

Otworzyła. Jej ręka zatrzymała się na puklu włosów i liściku, którego nie mogła już przeczytać. Na moment zmarszczki na jej czole pogłębiły się, uniosła brwi i głaskała papier, jakby szperając w pamięci.

A potem jej twarz się rozjaśniła, by błyskawicznie sposepnieć.

I zapłakała. Z martwych oczodołów nie popłynęła ani jedna łza.

Proboszcz zatrzymał Brogliego, który chciał się wymknąć równie szybko i niepostrzeżenie, jak tu dotarł.

Ojciec Jean patrzył na niego ze smutkiem.

- Powinien się pan pomodlić.

- Nie mam chwili do stracenia, ojcze.

Morois mocno chwycił go za rękę.

- O nie. Musi się pan pomodlić.

Charles zwrócił na niego zdziwione oczy.

- Ale gdzie?

Morois wskazał drżącym palcem sklepienie.

*

Charles stał na cmentarzu Saint-Médard.

Znów padał zimny deszcz.

Pomniki nagrobne rzucały posępne cienie na mokrą ziemię. Krzyże, przechylające się w lewo lub w prawo, zdawały się odmierzać czas w rytm życia zaświatów. Gdzieniedzie krata grobowca, zamknięta na kłódkę, żałośnie zgrzytała kołysana przez wiatr. Kamienne schody niknęły w głębokich mauzoleach, wiodąc może do paryskich katakumb. Wiatr wył

między nagrobkami. Brogie nie musiał nawet pobudzać wyobraźni, żeby ujrzeć pośród epitafiów średniowieczne korowody *danses macabre*, w których kroczyły zjawy, kościotrupy, wisielcy, duchy i żywcem odarci ze skóry.

To niesamowite - pomyślał. - Niesamowite.

Miał przed sobą grób ojca de Marsille'a, gdy bowiem zmarł, jego zwłoki oddano parafii. Został pochowany na tym cmentarzu, blisko miejsca, w którym spoczywał diakon François de Pâris, tu, gdzie zaczęły się cuda, uzdrowienia i napady drgawek. Charles popatrzył na niszczący pomnik.

TU SPOCZYWA

JACQUES DE MARSILLE

1715-1770

WDZIĘCZNI PARAFIANIE

Krople deszczu spływały mu po powiekach.

Dopiero teraz zauważył, że grób jest przystrojony kwiatami. Świeżymi kwiatami.

Między nimi siedział nieruchomy ptak.

Charles zmrużył oczy i pochylił się, ptak nawet nie drgnął. Był... wypchany.

Charles wziął go do ręki, dokładnie obejrzał, a potem odłożył na miejsce.

Ktoś położył go tu, jak składa się ofiarę...

On czasami tu przychodzi, pomyślał.

To on składa kwiaty na grobie.

* * *

W podziemiach Skrzydła Ministrów Augustin Marienne rozłożył na biurku plany znalezione przez Viravoltę po walce w Herblay.

Od wielu dni starał się rozwiązać tę łamigłówkę. Analizował równocześnie dwa rodzaje planów i próbował je zrozumieć. Czy miały ze sobą coś wspólnego, czy nie? I to zagadkowe sformułowanie - PARTY TIME - co mogło oznaczać? Hrabia de Broglie uważał, że to plan ataku na francuskie wybrzeże, swoista riposta na francuski projekt ataku Sekretu na Anglię. Jeżeli ten plan jeszcze gdzieś przetrwał, to nie było tu o nim wzmianki. Nie, to musiało być coś innego. Ale te naukowe formuły, odległości, kąty, obliczenia... co miały oznaczać? Na planach jednego typu Augustin gubił się jak mysz w labiryncie podłużnych i poprzecznych linii, wciąż natrafiając na zagadkowe kręgi i inne figury geometryczne, na tych drugich, na pół zamazanych przez zmoczony atrament, pozostały niepełne wzory chemiczne.

Augustin zdołał odtworzyć niektóre z nich. Doszukał się nawiązań do starożytnych prac Anaksagorasa z Kladzomen, a ponadto zwrócił się o pomoc do kilku członków Akademii Nauk, nie ujawniając, że czas nagli.

Liczył przede wszystkim na swego przyjaciela, chemika Antoine'a Lavoisiera, który pozostawał w służbie króla i doskonalił proch, ten sam, który przydał się już Viravolcie, agentom Sekretu, a także straży, choć oczywiście użytkownicy na ogół nie zdawali sobie sprawy z innowacji, jakie wprowadzał. Jednak prawdziwe zainteresowania chemika zbliżały go do zwierzchnika wynalazczości Domu Króla, czyli Augustina, który był doskonale poinformowany o wynikach wszystkich nowych badań. Wiedział, że Lavoisier zajmuje się zjawiskiem spalania i nie kryje sceptycyzmu wobec tradycyjnej teorii, zgodnie z którą materia, ulegając spalaniu, wydziela substancję zwaną flogistonem, czyli ciepłikiem.

Odważnie tworzył dziś teorię alternatywną.

*

Właśnie Lavoisier, opierając się na pewnych elementach zaczerpniętych przez Augustina z planów, naprowadził przyjaciela na ten trop.

- Tu i tu... Jeżeli uzupełnisz symbole... Chodzi z pewnością o siarkę - powiedział

niemal bez namysłu.

Jednak całość wciąż była tajemnicza.

Augustin zakreślił piórem element, który zrekonstruował.

Włożył binokle.

Siarka. A tu nafta.

Uniósł głowę i rozchylił usta, wyraźnie zaniepokojony.

A to... *Liber ignium ad comburendos hoste...*

Boże, o co tu chodzi?!

* * *

Gdy Augustin Marienne głowił się nad wzorami, Charles de Broglie wysyłał do Viravolty zaufanego człowieka z wiadomością o swym odkryciu. Broglie widział się z Marie, Pietro właśnie pożegnał królową i znów znalazł się w Salonie Pokoju.

On także został już powiadomiony o likwidacji Sekretu. Jakiś czas temu Charles przesłał mu zaszyfrowany list, przedstawiając najświeższe wydarzenia, jakby chciał w ten sposób podtrzymać atmosferę starych, dobrych czasów. „Nowy adwokat generalny - bo tak w korespondencji Sekretu nazywano świętej pamięci Ludwika XV - powiadomił mnie, że nie życzy sobie, by Sekret kontynuował swą działalność. Zgodnie z podjętymi decyzjami i stosownie do Pańskiego zaangażowania w naszą sprawę wysokość renty, którą będzie Pan otrzymywał, ustalono na dziesięć tysięcy liwrów rocznie”. Viravolta spodziewał się, że do tego dojdzie, ale podobnie jak inni, nie mógł zwyczajnie zapomnieć o tylu latach oddania.

Koniec z Sekretem? Zamykali sklepik? Czy miał teraz wrócić do Włoch? Raczej nie. Pietro potrafił czytać między wierszami. Może Sekret nie całkiem umrze. Przecież Francja nadal musiała chronić swoje interesy, przed szpiegostwem otwierała się nowa epoka... Charles dodał *post scriptum* następującej treści: „Wie Pan, że została nam do wypełnienia ostatnia misja dla dobra Francji. Nie powiadomiłem nowego adwokata generalnego o szczegółach sprawy, aby go nie niepokoić. Mimo to nie wolno nam zapominać o grożącym nam niebezpieczeństwie. Trzeba ratować Służby i naszych możliwych.

I proszę uznać, że to nasze ostatnie postępowanie”.

Wszystko było jasne.

*

Pietro odebrał od służącego drugą przesyłkę hrabiego de Broglie, gdy w Galerii Zwierciadlanej zaczynała się nowa ceremonia.

Po porannej toalecie, powitaniach i mszy para królewska miała zwyczaj przechodzić przez pełną

dworzan Wielką Galerię. Właśnie przy tej okazji każdy liczył na spojrzenie, uśmiech, a może nawet słowo, które dowodziłoby, że nie utracił przychylności władcy. Pietro stanął z tyłu, za drzwiami, przez które wyszli Ludwik XVI i jego małżonka. Z wdziękiem sunęli środkiem Galerii. Pietro poznał z daleka Jeana-Louisa Fargeona, który z uśmiechem pokłonił się Marii Antoninie.

Lokaj ze srebrną tacką przecisnął się przez tłum do Viravolty.

- Od gubernatora.

Pietro wziął od niego kopertę. Otworzył ją i poznał drobne, nerwowe pismo hrabiego de Broglie.

Przeczytał:

„Odwagi! Bajkarz jest synem adwokata generalnego”.

- Co?! - krzyknął Viravolta.

Jego głos zabrzmiał jak grzmot, donośny i twardy. Zanim jeszcze mózg przeanalizował znaczenie tej informacji.

Oniemiały Pietro zwrócił oczy na Ludwika XVI i Marię Antoninę. Patrzył na idącą pod żyrandolami parę królewską widoczną w ogromnych, złożonych lustrach, w tym miejscu tysiąca odbić i okien lśniących w słońcu.

Syn króla... Zagrożenie dla tronu...

I dopiero wtedy zrozumiał.

*

W Wersalu wszędzie widziało się słońce - emblemat wybrany przez Wielkiego Króla, wspaniałego i pełnego galanterii, ten znak, który służył władcy, bo przecież księżę musiał być światłem tego świata. Ów księżę ofiarował się Francji, aby przysporzyć jej chwały. Ludwik XVI zaczął myśleć o koronacji, gdy tylko objął tron. Już w maju ubiegłego roku zlecił

wykonanie kilku projektów ceremonii intendentowi odpowiedzialnemu za zabawy oraz pierwszym szlachcicom. Decyzję podjął w grudniu - koszt uroczystości miał wynieść siedemset sześćdziesiąt tysięcy liwrów. Koronacja, zgodnie z tradycją monarchii francuskiej, miała się odbyć w Reims. Ustalono, że będzie to jedenastego czerwca 1775 roku, tuż przed przesileniem letnim - najdłuższym dniem roku.

Pietro sięgnął po liścik adresowany do Marii Antoniny, w którym, poza Konikiem polnym i mrówką, była enigmatyczna przestroga Bajkarza.

„A kiedy słońce przed równonocą spotka się ze świtem,

Ty także tańczyć będziesz”.

Oczywiście.

Król jako dziecię Słońca. Równonoc. I kolejny świt.

Koronacja.

Blask.

Bajkarz zaatakuję właśnie wtedy.

* * *

Charles de Broglie nie mógł usiedzieć w miejscu. Musiał znów przejąć inicjatywę.

Zrobił wszystko, żeby zbadać nowe tropy. Zwołał szpicli i informatorów, wysłał ich w okolice Saint-Médard, kazał węszyć w kręgach dawnych sekciarzy i szalonych jansenistów.

Broglie i szef policji podjęli masowe aresztowania. Uliczki przedmieść, oberże i domy schadzek stały się terenem polowania na agitatorów i prostytutki. Pojmano także dwie markizy trucicielki, kucharza i odpowiedzialnego za wersalskie fontanny królewskiego sługę.

Viravolta uczestniczył w tej grze. Przychodził nieoczekiwanie, otoczony przez oficerów policji, których niezwłocznie oddelegował Sartine. Pojawiał się w kawiarniach i spelunkach, w starych hotelikach i piwnicach - wszędzie, gdzie bywali potencjalni wrogowie monarchii, a tych, niestety, nie brakowało. Wśród pospólstwa wylapywano informatorów i najpodlejsze paryskie kreatury, pośród wyżyn obserwowano brytyjskie siatki, Broglie wykorzystywał

wszystkie drogi, nakłaniał Vergennes'a do wezwania lorda Stormonta i uzyskania jego wyjaśnień. Hrabia koncentrował się na ściganiu Stevensa. Sprowadzono na przesłuchania poddanych Jerzego III, podejrzanych o działalność szpiegowską na terenie Francji, przetrząsano zbrojownie i sale gier, wznawiano śledztwa, szperano w kartotekach, chwymano zbiegów, analizowano kontakty zmarłego króla, w tym te z kochankami, rozmawiano nawet z przebywającą w klasztorze panią du Barry. Po alkowach i ogrodach Wersalu kręcili się szpiedzy, rozpuszczano plotki i pogłoski. Sekret, choć w stanie agonialnym, używał

wszystkich sił i środków, jakimi dysponował przez trzydzieści lat działalności, i być może robiono to po raz ostatni, jakby śmiertelnie zranione zwierzę rzuciło na szalę całą swą moc i autorytet.

Zbliżała się koronacja.

AKT IV

Party Time

Czytamy bajki dzieciom, dlaczego jednak nie przypominamy o ich istnieniu ministrom? Doskonale odnoszą się one do postawy państw, do zarządzania finansami publicznymi, do życia. Iluż czasem fatalnych błędów można by uniknąć, gdyby usłuchać zawartych w nich rad!... Podstępna walka lisa

i wilka, nie wspominając już o małpie i kocie, to powszechna praktyka w stosunkach między państwami - ich język, postępowanie, intrygi, argumenty cuchną dziś czasami Merowingów. Człowiek nie jest więc lepszy od zwierząt z bajek, jeśli nawet wart mniej niż one, ponieważ więcej mówi.

ANDRE SIEGFRIED,

La Fontaine, Machiavel français

W królewskiej karecie

DROGA DO REIMS

Pompa, z jaką w pierwszych dniach czerwca przygotowywano się do koronacji, aż zanadto przypominała biednemu Ludwikowi uroczystości ślubne i wzbudzała obawę, że będzie to czas męczących rygorów protokolarnych.

Kraj szykował się do tego wydarzenia od pół roku, toteż podczas całej podróży król był witany wybuchami radości. Ludwik XVI, zamknięty w swojej berlinie, nie potrafił

pokryć uśmiechami lęku, jaki wzbudzał w nim widok tłumów. Nerwowo zaciskał ręce. Dotąd rządził bez bożego namaszczenia, jednak wkrótce miał się dokonać nad nim cud. Bóg naznaczy go znakiem pomazańca, jak wszystkich jego poprzedników, począwszy od Chlodwiga. Miał przywdziać szaty władcy absolutnego, skupiać w sobie blask Niebios i duszę narodu, dzierżyć ster państwa! Ta transfiguracja powinna stanowić formę odrodzenia władcy. Tymczasem jednak przeżywał najtrudniejsze chwile w swej egzystencji. Rytm podróży nie pozwalał mu zagłębić się w siebie. Musiał przyjmować hołdy, delegacje pełnych zapału poddanych, podziwiać łuki triumfalne i stale pamiętać, by nie wyrwało mu się najcichsze westchnienie. Źle spał, zmęczone oczy krótkowidza coraz gorzej znosiły barwne widowiska i nie pozwalały cieszyć się przejawami serdeczności ludu.

- Jestem uszczęśliwiony - powtarzał tylko niezmordowanie.

Siedząca u jego boku Maria Antonina splotła ręce na kolanach i patrzyła przed siebie.

Od kilku miesięcy wielkie nadzieje nieco przybladły. Wiosną wybuchła wojna mączna i rany wciąż jeszcze były żywe. Turgot chciał doprowadzić do swobodnego handlu zbożem w całym kraju, uwalniając je od opłat pomiędzy prowincjami. Zaatakował ziarno, czyli chleb, który pochłaniał przeciętnie trzy czwarte rodzinnego budżetu. Ale tegoroczne zbiory były marne. Kontroler generalny postanowił użyć siły. Ceny pięły się w górę, zamieszki wybuchały w Dijon, w Metz, Reims, Tours, Montauban, Pontoise, Saint-Germain, a nawet w Wersalu. Król musiał wysłać przeciwko buntownikom gwardię. Dzień później do Paryża ściągnęli wieśniacy z koszami szparagów i warzyw, a buntownicy uzbrojeni w okute żelazem kije szturmowali na Porte Saint-Martin w Vaugirard. Targowisko zboża było zbyt dobrze strzeżone przez gwardię, szwajcarów i dragonów Domu Króla, toteż buntownicy ruszyli na inne targi i piekarnie. Nawet Pietro trwał w pogotowiu z regimentem dragonów i kompanią muszkietierów. Ludwik XVI, podejmując szybkie decyzje, chciał chronić rynek i młyny.

Trzeba przyznać, że wykazał się zimną krwią i iście królewskim darem dowodzenia. Rada powołała sądy doraźne, które karały najbardziej agresywnych, i wprowadziła sankcje obowiązujące do końca roku. To był już niemal stan wyjątkowy. Lenoir, który dowodził

policją i zajął miejsce Sartine'a, został zdymisjonowany. Ale większość sądzonych trudno było nazwać agitatorami. Dla prostych ludzi cena chleba była kwestią przetrwania, a tymczasem buntowników wieszano na placu de Grève! Żle się działo! Można by rzec, że jakaś siła rozsadzała kraj od środka. Ludwik XVI ubolewał, że w jego imieniu podejmowano tak drakońskie środki, występował w obronie tych, którzy zostali tylko wciągnięci w tę walkę.

Do końca popierał Turgota. Ale na pomniku Henryka IV czyjaś ręka przekreśliła słowo *Resurrexit*.

Gdy datę koronacji ustalono na jedenastego czerwca 1775 roku, zamieszki ledwie ustały. Trasy orszaku strzegło wojsko. Viravolta i Sartine czuwali. Jako kawaler Orderu Świętego Ducha, hrabia de Broglie został zaproszony na ceremonię. Miał iść w orszaku. Już na początku czerwca otrzymał piękne zaproszenie podpisane przez samego króla. Wszyscy mieli udać się do Reims. Na szczęście, pomimo tragicznych wydarzeń z początku roku, lud był nadal ze swoim królem i szykował się do świętowania wraz z nim namaszczenia, które miało dać państwu błogosławieństwo.

Rozważano także równoczesną koronację Marii Antoniny w katedrze, ale byłoby to niezgodne z tradycją Francji, więc zrezygnowano z łączenia ceremonii. Królowe nie były dopuszczane do władzy i teoretycznie nie musiały nawet uczestniczyć w ceremonii. Ludwik III, Ludwik XIV i Ludwik XV zostali koronowani przed zawarciem małżeństwa.

Maria Antonina miała obserwować uroczystość z trybuny.

Nadal krytykowano jej sposób życia. Od stycznia na dworze wciąż odbywały się bale.

Szykie strojów, próby, powtórki kontredansa w szatach z XVI wieku, domino, przebieranie się za Indian lub Tyrolczyków mnożyło wydatki i niezapłacone rachunki. Intendent Papillon de La Ferté rwał włosy z głowy. Ale Maria Antonina w sprawie rozrywek nikogo nie chciała słuchać. Coraz później chodziła spać, czasem nawet wcale się nie kładła i dopiero po porannej mszy padała z nóg. Zdarzało się, że zakłócała sen i tryb życia królewskiego małżonka, którego na domiar złego zdawała się jawnie zaniedbywać. Otoczyła się wąskim kręgiem przyjaciół. Należeli do niego baron de Besenval, hrabina de Brionne, hrabia d'Artois, państwo de Guéméné, księżna de Lamballe, a także hrabina de Polignac, nie wspominając o przystojnych paniczykach, jak Lauzun czy Esterhazy. Początkowo Maria Antonina tylko drwiła ze Starego Dworu, ale w końcu zebrała prawdziwą partię jego przeciwników. Starzy szybko zrozumieli, że Austriaczka, otoczona wesołą gromadką młodzieży, nie będzie im przychylna. Królowa śmiała się z etykiety, nie znosiła sztywnych kołnierzyków i starszych dam, których wdzięk przywiądzł. Bez troski śmiech jej czerwonych, ale przecież habsburskich ust, wróżył coś nieuchronnego.

Od kilku miesięcy mnożyły się paszkwile i plotki. W tej kakofonii zagrożenia niebezpieczeństwo, jakie stanowił Bajkarz, mogło się wydać błahe, bo czasem trudno odróżnić głupotę, która atakuje władzę, od rzeczywistego spisku mającego zdestabilizować kraj. Faktyczne znaczenie tych poczynań mogło zresztą ulegać zmianom. Toteż królowa stawiała czoło napaściom, starając się reagować na

nie z poczuciem humoru. Wciąż pomawiano ją o lesbijską miłość do księżnej de Lamballe i niezliczone romanse. Ale pojawiło się coś nowego, bo lesbijskim skłonnościom miała dawać upust także ze swą modystką Rose Bertin.

Mimo wszystko Maria Antonina promieniała. Pod wpływem kręgu najbliższych chciała wykorzystać koronację, by przekonać króla do ponownego powierzenia urzędu swemu faworytowi księciu de Choiseul. Pierwsza rozmowa z Ludwikiem nie przyniosła oczekiwanych wyników, być może jednak wzruszony ceremonią król będzie przychylniej usposobiony. Tymczasem królowa ostatecznie rozprawiła się z Aiguillonem, w ten sposób usuwając poważną przeszkodę w powrocie Choiseula. Trzydziestego maja, podczas przeglądu Domu Króla, nerwowo zasłoniła okno karocy, gdy Aiguillon zbliżył się, by ją powitać.

Zmuszając go do dymisji, po raz pierwszy dostała jego głowę. Potem dostała ją ponownie, doprowadzając do odprawienia księcia daleko do Agenais. Doznał kolejnego poniżenia, nie wolno mu było bowiem uczestniczyć w uroczystościach koronacyjnych. Maurepas sam oznajmił królowi, że na czas ceremonii woli wyjechać do spokojnego Pontchartrain. A zatem Aiguillon jechał na południe, Maurepas milczał, a Choiseul wracał do Reims!

Maria Antonina uwierzyła w swoje polityczne talenty, choć dawno już zawiodła nadzieje matki i swego opiekuna, ambasadora Austrii we Francji, Mercy-Argenteau, którzy liczyli, że zostanie wpływową doradczynią króla. Brakowało jej i zdolności, i zainteresowania politycznymi rozgrywkami, kierowała się wyłącznie dumą. Jednak wdała się w drobne intrygi i sądziła, że potrafi zręcznie manipulować ludźmi. Przerwała rozmyślenia i promiennie uśmiechnięta, skinęła ręką wiwatującym tłumom. Dzwony kościoła brzmiały przepięknie.

Dziś ludzie ją wielbili. Jutro też będzie odbierać hołdy, podobnie pojutrze i przez wiele kolejnych dni. Oto, czym była dla królowej koronacja - okazją by ją czczono i wielbiono.

Była szczęśliwa! Pozdrowiała wiwatujących, wciąż się uśmiechając.

Przed ceremonią zatrzymali się na dwa dni w Compiègne. Ósmego czerwca król i królowa mieli się rozstać - on musiał udać się do Fismes, jego małżonka, sama, wprost do arcybiskupstwa Reims. Maria Antonina wyruszyła w towarzystwie szwagrów i hrabiny Prowansji. Hrabina d'Artois, brzemienna od siedmiu miesięcy, nie uczestniczyła w uroczystości. Maria Antonina po przybyciu do Reims samotnie przyjmowała szlachtę w Szampanii, radosna i uroczą, świadoma mocy swego wdzięku na tle strojnych dam ze swojej świty.

O pierwszej wyszła na balkon rezydencji sąsiadującej z katedrą. W dali zapanowało poruszenie. Usłyszała narastający szmer, potem wiwaty, od strony przedmieść.

Król zbliżał się do miasta.

Przodem jechały powozy książąt krwi, on, tym razem już nie w berlince, ale we wspaniałej karocy, wozie Apolla zwieńczonym koroną i zaprzężonym w rumaki z Królewskiej Stajni. Miasto się przeobraziło. Łuki triumfalne z kolumnami korynckimi sięgały dwudziestu metrów wysokości. Monumentalne posągi Sprawiedliwości i Religii otwierały drogę do bramy zwieńczonej symbolami

Rolnictwa, Rzemiosł, Nawigacji i Kupiectwa.

Ościłnięto ściany hospicjum Miłosierdzia i szpitala Litości. W pobliżu ubogie dzieci ubrane na tę okazję w złote szaty rzucały kwiaty pod koła cudownej karocy. Król przejechał pod girlandami, pod kwiatowymi łukami, pomiędzy alegorycznymi posągami. Gdy znalazł się u stóp balkonu, pośród owacji powitał Marię Antoninę. Zobaczyła, jak wysiada, by ruszyć między drewnianymi i stiukowymi kolumnami, które zapewniały mu zadaszne przejście aż do arcybiskupstwa. Ludwik bez małżonki wysłuchał *Te Deum* w katedrze, a następnie w jej towarzystwie przyjmował delegacje poszczególnych prowincji w pałacu arcybiskupim.

Nazajutrz, w sobotę dziesiątego czerwca, udali się na nieszpory. Minał dzień, potem noc.

I nastał świt, łagodny świt dnia koronacji Ludwika XVI.

Zając i żółt

DZIEDZINIEC KATEDRY W REIMS

Bogowie, co on teraz zrobi?

Słońce stało wysoko nad horyzontem. Viravolta rozmawiał rano z Vergennes'em i Sartine'em, którzy nie mogli się otrząsnąć po tym, gdy poznali prawdę. Wczoraj wieczorem w Fismes jadący w ślad za królem Czarna Orchidea spotkał się z Charles'em de Broglie. Szef Sekretu był zaniepokojony - Saphir się nie zgłaszała, a najnowsze informacje o genealogii Bajkarza aż nazbyt wyraźnie podpowiadały, że jest to człowiek mocno zdeterminowany.

Paryskie polowania na niego i jego współników nic nie dały, a przymierze Bajkarza ze Stevenssem przemieniało czysto osobistą zemstę w spisek polityczny mogący zachwiać nie tylko równowagę we Francji, ale i całej Europie. Lord Stormont, angielski ambasador, który zawsze wolał dmuchać na zimne, postanowił ostro zareagować, bo zrozumiał, że pierwsi wysłani przez niego agenci nigdy nie wrócą. Teraz wszczął poszukiwania na szeroką skalę, ale jak dotąd - bezowocne. Sytuacja była na tyle wyjątkowa, że mówiło się nawet o współpracy wywiadów, co w ustach szefa Sekretu i szefa brytyjskiej dyplomacji we Francji brzmiało dość osobliwie.

A zatem Bajkarz był owocem grzesznej miłości Ludwika XV i jednej z wielu ladacznic, które sprowadzono dla niego do uroczego pałacyku w Parc-aux-Cerfs! Królewski bękart był gotów na wszystko! Jaką cenę przyjdzie zapłacić za lekkomyślność monarchy!

Zapewne stała się ona powodem hekatomby wśród agentów Sekretu i informatorów.

Lansquenet, Rosette i Crapaud mimowolnie i nieświadomie trafili na ten trop. Inni, jak Meteor czy Wdówka, uczestniczyli w śledztwie przeciwko Jacques'owi de Marsille'owi, pierwszemu Bajkarzowi. I teraz pojawiał się znowu, wyłaniał jako odrażające wspomnienie -

zakonnik, szalony jansenista, którego parafianie wytrwale bronili. Czy chciał tylko posłuchania u króla, jak twierdziła ta ladacznica z sekty, Marie Desarneaux? Nic dziwnego, że wiedząc, co się za tym kryje, Ludwik XV nie chciał doprowadzić śledztwa do końca...

Jedno było pewne - zagrożenie stało się tak poważne jak nigdy dotąd.

Jednak równocześnie hrabia de Broglie nie ustawał w staraniach o rehabilitację własną i Sekretu. Ludwik XVI postanowił powołać komisję, która miała zrobić bilans Czarnego Gabinetu. Wspomniano o sprawie polskiej i o „planie desantu w Anglii”, a potem analizowano misję Sekretu poza granicami kraju. Oczyszczony z wszelkich zarzutów, Charles z uporem żądał, żeby ujawnić spisek Aiguillona, który chciał doprowadzić do wtrącenia go do Bastylii. Ocierając się o zbrodnię obraży majestatu, domagał się również oficjalnej deklaracji komisarzy oraz listu podpisanego przez samego króla! Monarcha zaczynał mieć tego dość.

Charles za późno poprosił o najważniejsze - o faktyczne przywrócenie do łask i o tytuł diuka, należny mu od dawna. Musiał zadowolić się skromną rekompensatą - nie tytułem czy stanowiskiem w rządzie, lecz prawem dołączenia do brata, Victora-François, gubernatora Trois-Eveches w Metz, gdzie miał pełnić funkcję jego zastępcy i dowódcy wojsk.

Pięćdziesięcioletni Broglie powracał do kariery wojskowej, od której zaczynał. Mimo to nie składał broni - większość jego agentów, w tym Viravolta, pozostawała nadal do jego dyspozycji. Wszyscy darzyli go szacunkiem i wdzięcznością. W obecnej sytuacji nie mógł

jednym pociągnięciem pióra położyć kresu ich działaniom. Toteż Sekret w ten czy inny sposób wciąż działał. Tymczasem Broglie miał kroczyć nazajutrz w orszaku wraz z bratem i kawalerami Orderu Świętego Ducha.

Viravolta dokonywał przeglądu oddziałów, które oddano pod jego dowództwo.

Zwrócił już Augustinowi Marienne'owi broń przydzieloną w związku z misją. Nic nie dorównywało jego włoskiej szpadzie, sztyletowi i pistoletowi. Anna Santamaria dołączyła właśnie do orszaku królowej. Pietro wolałby, żeby pozostała w bezpiecznym miejscu, ale nie zdołał jej odwieść od udziału w ceremonii. Musiał zdać się na czujność Cosima.

- Nie pozwólcie odwrócić waszej uwagi od tego, co się dzieje! - krzyczał, przejeżdżając konno przed szeregiem. - Orszak będzie tu za dwie godziny. Macie być czujni przez cały czas - przed, w trakcie i po ceremonii, dopóki wszyscy nie opuszczą tego regionu!

Stacjonowali na wschód od katedry. Inne kompanie otoczyły ją - żołnierze stali w szeregach na dziedzińcu, byli rozproszeni po pobliskich domach. Ze względu na bogate dekoracje na tym niewielkim obszarze trudno było rozmieścić znaczne siły, należało bowiem umożliwić przejazd dużej ilości karoc i powozów, a także pamiętać, że ściągają tu tłumy ludzi.

Jednak wszyscy byli przygotowani na to, by na sygnał zewrzeć szeregi. Sartine wziął na siebie ochronę orszaku. Na trasie czuwały elitarne jednostki Domu Króla, gwardii i lekkiej jazdy w czerwonych mundurach, a także huzarów, strzelców kawaleryjskich i piechoty. Pietro dowodził dwoma regimentami dragonów cieszących się opinią świetnych strzelców, a także słynących z umiejętności szarży z bronią białą. Poza tym oddano pod jego rozkazy kompanię muszkieterów. Gdyby ze względu na swe misje nie musiał zachowywać się bardziej dyskretnie, byłby teraz w ich

szeregach. Dwie kompanie, które można było odróżnić po umaszczeniu koni, prowadziły dziś także inne działania i liczyły po dwustu pięćdziesięciu ludzi każda. Pietro dowodził setką białych i czarnych. Przejechał przed nimi, patrząc na ich niebieskie peleryny z białym krzyżem na czerwonych uniformach ze złotymi galonami.

Wszyscy mieli szpady i muszkiety.

Do diabła! Czy może być tu niebezpiecznie?

Mimo to był niespokojny.

- Bądźcie czujni, kierujcie ludźmi, kontrolujcie ruchy tłumu, bądźcie gotowi spełnić każdy rozkaz!

Rozważał kolejne etapy drogi orszaków oraz przebieg ceremonii, gdy podszedł do niego mały chłopczyk, zapewne z pobliskiego przytułku. Na głowie miał wianek, na szyi girlandę z kwiatów. Podsunął Wenecjaninowi tackę, a na niej zapieczętowany woskiem liścik.

Pietro natychmiast rozpoznał tę pieczęć.

B.

Dla Czarnej Orchidei.

- Kto ci to dał? - zapytał chłopca. - Jak się tu dostałeś?

- Jakiś pan w kapturze... Powiedział, że to dla pana i dla króla... Kapitan dragonów powiedział, żebym to panu zaniósł...

Pietro już nie słuchał. Złamał pieczęć i rzucił okiem na kartkę.

Oczywiście, była na niej bajka.

Królewski oficer, który przyjechał prosto z Wersalu, zatrzymał galopującego konia na dziedzińcu. Już wolniej, przy stukocie kopyt, wymachując kapeluszem z piórami, przejechał

między szeregami, wołając:

- Z drogi, posłaniec pana Marienne'a z Domu Króla do Czarnej Orchidei!

Pietro uniósł głowę, gdy posłaniec zsiadał z konia.

Wziął od niego pismo i szybko przeczytał. A potem znów spojrzał na bajkę i...

poblądł.

Stojący obok niego muszkieter zapytał:

- Co się dzieje?

Pietro podał mu pismo i nie tracąc czasu na odpowiedź, wskoczył na konia.

Zawracając, tak mocno ściągnął cugle, że rumak stanął dęba i zarżał. Viravolta zmarszczył brwi i spojrzał na otaczające miasto góry.

Wzgórza.

Idealne miejsce.

Biada!

I zaczął krzyczeć.

- Ruszać! Dwudziestu czarnych z Faquetetem na zachodnie wzgórza! Reszta za mną!

Pierwsza dragonów też, inni zostają na pozycjach! Umyślny do Sartine'a!

Znów zawrócił konia. Zdezorientowany muszkieter Faquetet spojrzał na niego i zapytał:

- Co się stało?

Potrząsnął trzymaną w rękę kartką. Ale Pietro galopował już, wznosząc za sobą obłok kurzu.

*

Słowa pisma Augustina Marienne'a dźwięczały mu w uszach, jakby stróż wynalazczości Domu Króla mówił je do niego niskim, dobitnym głosem: Udało mi się w końcu ustalić składniki chemiczne wypisane na planach, które mi pan przekazał. Znalazłem tam olej naftowy, saletrę i inne substancje, jak smoła szewska czy żywica, zmieszane z palonym wapnem, a także nitron, taki jak opisany przez Pliniusza jako wykwit na wilgotnych murach. Poza tym siarkę oraz węgiel.

Zapewne nie ma jednej jedynej receptury, ale połączenie tych wszystkich elementów przypomina wzór stosowany przez bizantyńskich pirotechników. Ukryte aluzje do Kallinikusa Syryjczyka i *Liber ignium ad Comburendos hostes* czy też *Księgi ognia* do palenia wrogów, autorstwa Marcusa Graecusa z 1230 roku ostatecznie mnie o tym przekonały.

Przyjacielu, tu chodzi o broń, i to nie byle jaką, ale o broń potężną, śmiertcionośną która niejako odradza się z popiołów! Przypomina mi to pewien wynalazek, na który, mówiąc dokładnie, wpadliśmy w Domu Króla w roku 1759.

Niejaki Dupré przypadkiem odkrył wówczas tę straszną plagę. Przekazał jej sekret naszemu ukochanemu Ludwikowi XV. Powiadomiłem go o tej makabrze osobiście. Jej działanie było tak okrutne, że nasz dobry król postanowił zachować całą sprawę w tajemnicy, skazać na zapomnienie i kupić milczenie Duprégo! Człowiek ten dostał

rentę w wysokości dwóch tysięcy liwrów. Poleciliśmy zaufanemu człowiekowi spalić całą

dokumentację. Nie odnalazłem jej. Ale nagle zadrżałem z przerażenia: a jeśli ktoś okradł archiwa? Albo jeśli ktoś ponownie opracował tę formułę? Któryś z naszych wrogów lub agentów naszych służb, zdrajca króla?

Rozumie Pan, o czym mówię? Ta broń to ogień z nieba, Przyjacielu, właśnie tak! Niszczycielski ogień, którego formuła popadła w zapomnienie po upadku Konstantynopola, w 1453...

To ogień grecki!

Faquetet trzymał kartkę w ręku. Przeczytał jedynie ostatnie słowa.

Niebezpieczeństwo zawisło nie tylko nad królem i królową ale nad całym dworem.

Muszkietier powiódł wzrokiem za Viravoltą który błyskawicznie się oddalał.

ŻÓŁW I ZAJĄC

Księga VI - Bajka 10

„Na nic bieg zda się, trzeba odejść po cichu.

Żółw i zając najlepszym przykładem”...

Resurrexit!

KATEDRA I WZGÓRZA REIMS

Ceremoniał nie uległ zmianie od siedmiuset lat.

O szóstej rano jedenastego czerwca Ludwik, blady jak zgaszona świeca, zbierał siły przed jednym z najdłuższych, najbardziej wyczerpujących dni w swoim życiu. Ubrany w szatę ze srebrnego płótna, miał na głowie aksamitny, czarny trójgraniasty toczek, zwieńczony białymi piórami czapli.

Powstrzymał kaszel, gdy zaanonsowano mu przybycie do arcybiskupstwa, w którym się zatrzymał, dostojników Kościoła z zapalonymi świecami.

Przed nimi szły dzieci z chóru. Kapłani kroczyli w dwóch rzędach. Już brzmiała muzyka na chórach katedry. Tuż po przebudzeniu najwyżsi dworscy dostojnicy w dziwacznych szatach otoczyli łożo króla. Ludwik leżał, a oni stali, gdy wielki kantor uderzył laską w drzwi komnaty.

Wewnątrz wielki szambelan, trzymając rękę na sercu, zrobił krok i zapytał:

- Do kogo przybywacie?

- Do króla!

- Król śpi.

Upłynęło kilka sekund, zanim wielki kantor ponownie zapukał do drzwi.

Rozmowa się powtórzyła, potem kantor po raz trzeci uderzył laską w drzwi.

- Do kogo przybywacie?

- Przybywamy do Ludwika XVI, którego Bóg dał nam za króla!

Dobrze... To do mnie, pomyślał Ludwik, przetykając ślinę.

Drzwi się otworzyły.

Duchowni podeszli do łoża i pomogli królowi wstać. Każdy gest miał symboliczny charakter: dopóki monarcha nie został namaszczoney świętymi olejami, niejako spał, a Kościół

przybywał, by go obudzić i poprowadzić do ołtarza. Na dziedzińcu arcybiskupstwa ustawił się orszak - szwajcarzy, oboje, bębny, trąby, flety i piszczałki, dalej szambelani i świta Domu Króla, strażę, halabardnicy i kawalerowie Orderu Świętego Ducha.

Wśród nich spokojny, ale czujnie unoszący brew, stanął hrabia de Broglie.

Ludwik, przymykając oczy, wyłonił się wreszcie z mrocznej bramy. Przechodząc pod arkadami arcybiskupstwa, wyprostował się, by wyglądać godnie, gdy dotrze do swego miejsca w środku orszaku. Dwóch odźwiernych szło za nim, a nieopodal konetabl, osiemdziesięciosześcioletni pan de Clermont-Tonnerre, pochylał się w stronę sąsiada, by zapytać starczym głosem, czy monarcha ma dość siły, by sprostać trudom tego dnia do końca.

Gdy król dotarł na miejsce, orszak wyraźnie się ożywił. Biskup de Laon, wywijając pastorałem, klócił się z biskupem Beauvais o to, który z nich powinien iść pierwszy, a który za nim. Ich sprzeczka była tak głośna, że zwróciła uwagę otoczenia i obserwatorów. Orszak minął bramę i ruszył szeroką aleją, gdzie nieprzebrane tłumy, w ciszy brzasku, klękały, tworząc szpaler i oddając cześć monarsze w cieniu starych drzew.

Tak witano władcę.

Maria Antonina była ubrana, zanim obudził się dzień. O wpół do szóstej ujrzała katedrę. Pierwsi goście zaczęli przybywać o czwartej. Królowa pojawiła się, by zająć miejsce na trybunie w towarzystwie dam dworu. Anna Santamaria, elegancka w swej krynolinie barwy ognia i naszyjniku z diamentów, dołączyła do nich. Towarzyszył jej Cosimo ze szpadą u boku.

W tym uroczystym dniu katedra zmieniła wygląd. Korynckie kolumny zasłaniały kolumny nawy, między którymi wybudowano łoża, tuż pod kasetonami plafonu. Wspaniałe draperie, fioletowa satyna, niebieski aksamit, zdobiony kwiatami lilii i przetykany złotem, zostały rozpięte wokół. Uroczystości miały trwać długo, więc za trybuną, na której zasiadła królowa, służby Domu Królowej urządziły prawdziwy apartament z wszelkimi koniecznymi wygodami, nawet z „odosobnionym kącikiem” z mahoniem, gdzie nie zabrakło bieżącej wody dla zapewnienia higieny. W tej sali nadmiar zdobień sprawiał, że chór wyglądał na bardzo mały, jak klejnocik rzucony na bogato zdobiony duży

mebel.

Wszystkie oczy zwróciły się na królową.

Maria Antonina spoglądała w stronę dziedzińca.

Czekała...

Przyszedł.

Wszyscy nisko mu się kłaniali, aż wreszcie stanął przed katedrą. Ze wzruszeniem popatrzył na posągi w kruchcie. Wziął głęboki oddech i wszedł do świątyni. Czuł szybkie bicie serca i pot, który zrosił mu czoło. Rozbolała go głowa.

Pojawił się w blasku światła, u progu, odziany w długą srebrzystą szatę. Podniosłe zagrały organy, a potem zawtórowały im instrumenty stu muzyków. Król drgnął. Maria Antonina położyła rękę na sercu.

Ludwik szedł w stronę ołtarza. Ciężkie drzwi zamknęły się za nim.

Prowadzili go dwaj biskupi.

Czyjeż oczy lepiej od królewskich mogły świadczyć o nerwowości i zamęcie czasu, który nastanie po tych chwilach? Ale czy te oczy naprawdę dostrzegły i pojęły coś z tego, co się działo tego dnia? Czy w duszy monarchy dokonywała się wówczas rewolucja? Pięć godzin... Przez pięć godzin Ludwik miał być bardziej marionetką niż człowiekiem, a jednak właśnie ten ceremoniał wynosił go nad zwykłych śmiertelników. Już zaczęto go rozbierać, potem ubierać i ponownie zmieniać szaty. Czyjeś ręce go dotykały, ciągnęły, popychały do przodu, obracały, trącały, przesuwwały. Ludwik starał się wypaść jak najlepiej, ale kołysał się zamiast elegancko sunąć po posadzce. Bał się potknąć. Lekcje, które za namową Marii Antoniny pobierał u Gardela z Opery, nie wystarczyły, by zyskał dostateczną wprawę. Poza tym konał z gorąca. Jednak ze wszystkich sił starał się skupić i odpędzić przykre myśli, by, o ile to możliwe, cieszyć się koronacją.

Przyniesiono święty flakonik z krzyżmem. Król położył się krzyżem, wstał, potem długo klęczał na dużym kwadracie fioletowego weluru w asyście arcybiskupa Reims. Ten dźwignął się przy trzasku stawów, a Ludwik nadal klęczał. Arcybiskup usiadł naprzeciwko niego.

Nadszedł czas konsekracji.

Rozpięto ubranie władcy, by namaścić go świętymi olejami.

I otrzymał namaszczenie.

Na czole. „Tyś królem Francji, wysłańcem Boga!”

Na brzuchu. „Tyś królem czyniącym cuda!” Plecy i ramiona. „Tyś dzieckiem Chrystusa!”
Przedramiona. Dłonie. I dokonało się przeistoczenie. Ręka Pańska była nad nim.

Arcybiskup Reims zapytał króla, czy ten przyrzeka bronić Kościoła i utrzymywać jego przywileje. Biskup Laon i Beauvais podnieśli go, by złożył przysięgę. Zgodnie z tradycją zwrócili się do zgromadzonych, pytając, czy przyjmują Ludwika XVI jako króla.

Kościół odpowiedział głęboką ciszą.

Ta cisza oznaczała „tak”.

Żarliwie wypowiedział słowa przysięgi.

*

Greckie ognie.

Pietro naturalnie o nich słyszał. Mówiono, że zostały wynalezione około roku 670.

Tajna receptura tego środka miała zostać stworzona przez Kallinikusa z Heliopolis w Syrii, a według Cedrenusa, w Egipcie. Na pewno Syryjczyk część informacji zdobył dzięki handlowym kontaktom z Chinami. Ta niezwykle łatwopalna substancja miała niesamowitą właściwość - paliła się nawet w zetknięciu z wodą. „Płynny ogień” umożliwił Niceforowi Fokasowi rozprawić się z saraceńskimi piratami z Krety w roku 960. Użył do tego ponad dwa tysiące okrętów. Bizantyńczycy oparli się Omajadom podczas oblężenia Konstantynopola, Konstantyn IV odparł wojska kalifa Jezida. Bizantyńczycy przekazywali sobie swój sekret z pokolenia na pokolenie, dbając o dokładność i zachowanie tajemnicy. Ogień z nieba, jak mówiono, rozprzestrzeniał się we wszystkich kierunkach, a trawił nawet kamień! Kroniki starożytnych wojen pełne były nieprawdopodobnych opisów. Setki bizantyńskich okrętów ruszały, by walczyć burta w burtę z flotą saraceńską w morzu ognia, płonących kul, które pochłaniały żagle i pokłady, przy huku wybuchów, w obłokach gryzącego dymu i duszących oparów. Joinville opowiadał, jak rycerze Świętego Ludwika podczas wypraw krzyżowych padali na ziemię i modlili się na widok płonących komet. W roku 1204, gdy wojska krzyżowców oblegały Konstantynopol, Arabowie znali już właściwości saletry i czarnego prochu. Używali go nie tylko na morzu, ale podczas bitew lądowych. Greckie ognie były stosowane aż do XIV wieku. Receptura tej straszliwej broni zaginęła po upadku Konstantynopola w roku 1453. Aż do czasu, gdy mości Dupré, o którym mówił Augustin Marianne, nie odnalazł jej w chaosie dziejów i nie złożył w roku 1759 memorandum na ręce króla...

I oto odradzał się płynny ogień!

Jego płomienie zdawały się gorzeć w oczach Pietra.

Galopował na czele dragonów i muszkietierów, okrążając katedrę i miasto od wschodu.

Ruszyli w drogę wiodącą na pobliskie wzgórza, przez cienisty las nad zboczem, na którym uprawiano winorośl. Konie ciężko dyszały, spod ich kopyt podrywały się grudki ziemi. Pietro rozejrzał się, by ustalić swe położenie wobec miasta. Znaleźli się nad katedrą, w odległości paru kilometrów. Wspinali się i wspinali, aż wreszcie Pietro upewnił się, że się nie myli. Nikt nie mógł ich zobaczyć - ani z dziedzińca, ani z miasta. A jednak tu byli. Około stu ludzi rozproszonych po wzgórzu.

Viravoltcie trudno było w to wszystko uwierzyć, nie miał zresztą czasu, by dokładniej przyglądać się przerażającemu systemowi, który rozmieszczono na szczycie ponad drogą. Znajdowały się tu jakieś dziwne urządzenia, a Wenecjanin domyślił

się, że są podobne do tych, jakie przed wiekami umieszczano na bizantyjskich okrętach.

Ołowiane lub mosiężne tuleje prowadziły piekielną materię do lwiej paszczy lub pyska morskiego potwora, który tylko czekał, by plunąć na wroga ogniem jak dawniej - na dziób statku. Drugi koniec każdej tulei zanurzał się w głębokim kotle pełnym substancji, którą systematycznie przygotowywano i uzupełniano. Na wzgórzu rozmieszczono dziesięć takich machin. Za każdą stało czterech ubranych na czarno ludzi gotowych wystrzelić tę płonąca lawę na katedrę i całe miasto!

Oczy Pietra zaokrągliły się z przerażenia. Te tuleje mogły się obracać, kierować tam, gdzie toczyła się walka, zależnie od woli obsługującego. Komuś zależało na dokładnej ocenie odległości, ponieważ obok ustawiono armaty, co przypominało też, że po piekielnym ogniu przyjdzie inny - moc czarnego prochu.

- Na mój rozkaz, do ataku! - krzyknął Pietro, nie tracąc więcej czasu.

Viravolta wpadł w środek wrogiej hordy jak kula między kręgle. Konie pędziły w panice, rżąc i stając dęba. I nagle Pietro zobaczył Bajkarza, w kapturze, na czarnym jak diabeł

rumaku. U jego boku, na skraju wzgórza, stał lord Stevens. Wenecjanin zeskoczył z konia, dobył szpady, drugą ręką sięgając po pistolet. Muszkieterowie szli w ślad za nim. Element zaskoczenia powiódł się, przez kilka sekund nikt nie wiedział, co robić. Ludzie Bajkarza patrzyli na siebie pytająco, wzgórze drgało jak podczas uderzenia potężnej fali. Potem, w odległości kilkuset metrów od katedry, tego sanktuarium, w którym zebrała się najświetniejsza francuska arystokracja, obrócono tuleje, wycelowano działa, dobyto szpad i ładowano proch. Także Bajkarz spiął konia i chwycił za broń.

- Do ataku! - rozkazał Pietro.

*

Król z pokorą poddawał się ceremonii, a jego wielkość i godność zdawały się wzrastać z każdym narzuconym mu gestem uniżenia wobec Boga. Znów odziano go w tunikę, dalmatykę i płaszcz. Potem nadeszła z nadzieją oczekiwana przez wszystkich chwila. Kapłan zbliżył się do klęczącego przed ołtarzem Ludwika i pełnym namaszczenia ruchem uniósł

koronę. Był to diadem Karola Wielkiego i monarchów Francji. Zgodnie z istniejącą od czasów Filipa Augusta tradycją dwunastu parów stanęło wokół, by jej dotknąć, zanim zostanie założona władcy. W tej długiej jak wieczność chwili, wpisanej na zawsze w łańcuch dziejów, Ludwik XVI, przetykając ślinę, przyjął koronę, której ciężaru nie potrafił ocenić, i nagle się skrzywił...

- Ona... mnie uciska!

Słowo padło i pozostało.

Zaraz potem tę ciężką koronę zastąpiono inną inkrustowaną diamentami, błyszczącą wykonaną specjalnie na tę okazję.

A potem pojawił się Radosny, Joyeuse, miecz Karola Wielkiego, złożony na aksamitnej poduszce.

Radosny!

Chwycił za rękojeść i uniósł miecz, zwracając ostrze ku niebu.

A teraz wstanę!

Przy butach miał złote ostrogi.

Na palcu pierścień władcy.

W drugiej ręce berło.

Wyszywany złotem gronostajowy płaszcz opadał z jego ramion na ziemię.

Rozglądał się. Przy ołtarzu było gorąco jak w piekle. Wszedł po czterdziestu schodach prowadzących do tronu, który na niego czekał. Nie miał oparcia ani podłokietników, ponieważ władca nie potrzebował już wsparcia. Oddał się, powierzył siebie Bogu i swemu ludowi! U szczytu schodów odwrócił się, by wreszcie - wreszcie - usiąść!

Szmer początkowo jakby dobiegał z bardzo daleka. Potem stał się bardziej miarowy, połączył z głosem dzwonów. I nagle wszystko zalał. Fanfary wybuchły - jedna, druga, trzecia, potężniejsze od oklasków tysięcy rąk. Symfonia zawładnęła przestrzenią huknęła salwa armatnia, rozzwoniły się wielkie dzwony. Szeroko otwarto drzwi katedry przed ludem, który płynął niczym strumień, niczym radosna rzeka, by złożyć hołd królowi. W tej samej chwili otwarto złoczone klatki - setki ptaków wyfrunęły ze świątyni, przelatywały między kolumnami, wzbijały się przed witraże niczym spłoszone anioły. Zachwycony tłum wydawał

okrzyki. Król błyszczał w niebieskim płaszczu podbitym gronostajami i haftowanym w złote lilie. Siedział na tronie z berłem, a w całej Francji, najstarszej córce Kościoła, lud zdierał

sobie gardło, wiwatując na jego cześć.

Teraz nie był już w stanie powstrzymać emocji. Z głębi świątyni dobiegł go krzyk, krzyk Marii Antoniny, królowej, tak, królowej! Na swej trybunie wybuchnęła płaczem, gdy zewsząd słyhać było brawa. Ludwik patrzył na nią z tronu i on, który przez całą ceremonię szukał w niej oparcia, uśmiechając się do niej jak człowiek szczęśliwy, ale przerażony, tym razem spojrzął na nią czule i porozumiewawczo. Odpłaciła mu uśmiechem przez łzy. Pan de Clermont-Tonnerre, konetabl, który przyszedł po miecz Karola Wielkiego, oddalał się teraz znużonym krokiem. Anna Santamaria nie zdołała powstrzymać śmiechu. Mrugnęła okiem do stojącego na drugim końcu trybuny Cosima. Arcybiskup Reims odetchnął z ulgą a w jego oczach zabłyśły łzy. Młody hrabia d'Artois upuścił swoją koronę i zaklął: „Do diabła!”, czekając, aż ktoś ją podniesie. Wysłannik Trypolisu padł na

kolana, szlochając. Wystrzały artyleryjskie pluły prochem w niebo, muszkietierowie oddawali salwy, biły dzwony kościołów, opactw, klasztorów.

Francja ponownie się narodziła.

W świątyni formował się orszak.

*

Pobliskie wzgórze, na które Viravolta wdarł się z dragonami i muszkietierami, przeistoczyło się w pole zacieklej bitwy.

Sięgając po zapomniany przez wieki wynalazek, oddziały Stevensa i Bajkarza -

podobnie jak dawno temu Saracenowie i Bizantyńczycy - chciały wykorzystać go na różne sposoby, toteż były wyposażone w niewyobrażalną broń. Niektórzy trzymali w rękach

„ręczne działka”. Ich wystrzały powodowały grzmot, w powietrzu rozpalał się strumień ognia, który przebijał bok przerażonego konia, pierś muszkietera lub królewskiego dragona.

Niektórzy rzucali bomby. Palny materiał przy uderzeniu o ziemię powodował potworne eksplozje. Pojawiły się też małe ręczne kulki ze szkła lub gliny, jakie kiedyś można było zobaczyć na straganach z różnościami w Damaszku, Bejrucie czy Smyrnie. Podpalony lont prowadził do wnętrza naczynia w kształcie szyszki, która - rzucona - rozpryskiwała się na setki odłamków.

- Ja chyba śnię - mruknął Pietro, potrząsając głową.

Jego szpada przecięła powietrze i uniesiona ku niebu rozbłysła w słońcu. Znowu rzucił się do walki.

- Do ataku!

Bił się jak szalony. Stevens i Bajkarz chcieli zatopić katedrę z ludźmi w morzu ognia.

Teraz przerwali przygotowania, a obsługa próbowała obrócić wyrzutnie w stronę napastników. Dragoni i muszkietierowie walczyli, by zapobiec wystrzałom. Grecką mieszaninę wprowadzano do tulei, a jej wyrzut ustępował dzięki mechanizmowi podobnemu do stosowanego w pompach tłoczących. Zapalała się u wylotu, do którego przytykano nasączone łatwopalną substancją pakuły. Nieco dalej spiskowcy przygotowywali smołę, by wystrzelić ją na katedrę i w ten sposób podpalić budowlę. Płonęły zanurzone w ogniu halabardy, włócznie i strzały. Chmury dymu wzbijały się w górę, nadając potyczce wymiar bitwy kierowanej przez demony podziemia. Pośród oparów siarki, saletry i prochu wybuch wyrzucał ciała walczących w powietrze. Pociski roztrzaskiwały się jak przejrzałe owoce.

Pietro, który padł pod kopyta własnego konia, odepchnął pocisk nogą.

Wtedy zobaczył, że nieco dalej artylerzyści szykują się, by strawić ogniem świątynię.

Ogarnięty szalem Bajkarz rozkazał głuchym głosem:

- Ognia! Słyszycie! Ognia!

Trzy szybkie strzały wystarczyły, żeby wyeliminować artylerzystów. Ale Pietro widział już innych, którzy zbliżali się, by ich zastąpić. Nie zdążyłby im przeszkodzić, więc z całych sił kopnął najbliższą tubę o szerokiej paszczy. Zepchnięta z łożyska, na moment wzniosła się niemal pionowo, plując ogniem nad głowami walczących.

Viravolta i inni zamarli.

- Nieee! Nie!

Wzięli nogi za pas, pędząc przed siebie na oślep.

Płynny ogień opadał jak deszcz na miejsce, które opuścili, ogarniając kocioł ze smołą.

Substancja rozlała się czarnymi i czerwonymi ozorami po zboczu. Spływała po trawie, wiała się po ziemi jak lepka magma wulkaniczna. Wystarczyłaby jedna iskra, żeby podpalić te miejsca, których jeszcze nie ogarnął ogień. Gdy Pietro stanął twarzą w twarz z Bajkarzem, ziemia nagle zaczęła parzyć jak po erupcji. Wokół buchały płomienie, migoczące i szybkie, wijące się po strumieniach lawy. Niemal w jednej chwili ogarnęły dziesięciu ludzi z obu obozów. Ci przerwali walkę i wyjąc, turlali się po ziemi. Inni na próżno usiłowali spieszyć im z pomocą. Spłoszone konie beładnie uciekały, rżąc, tocząc pełnymi przerażenia oczyma.

Czarni i szarzy muszkietierowie walczyli. Pietro z jadowitym uśmiechem uniósł szpadę. Za zakapturzoną postacią zauważył Stevensa, który zawracał konia, by pod osłoną drzew dotrzeć na skraj lasu.

Uciekał!

- Doprawdy... Nie odwagi mu brak, ale wytrwałości! - rzucił Pietro.

Bajkarz na chwilę odwrócił głowę, a potem znów spojrział na Viravoltę.

Nie odsłaniał twarzy i patrzył na niego w milczeniu. Nad nimi przeleciała jak meteor struga płonącej lawy. Po chwili runęła na drzewo, zamieniając je w pochodnię. Kilka rozpalonych kropli spadło tuż obok Wenecjanina. Pietro pochylił się, by uniknąć strzału z broni ręcznej. Potem zanurzył ostrze szpady w kotle z palną mieszaniną. Bajkarz natychmiast uczynił to samo. Obaj podpalili ostrza od buchających obok płomieni. Ich szpady zajęły się.

Żar był nie do zniesienia, dym dławił i palił gardła. Muszkietierowie płonęli żywcem, nie wypuszczając broni z ręki. Inni biegli, krzycząc - makabryczne żywe pochodnie. W tym piekle Viravolta toczył walkę z Bajkarzem. Ostrza krzyżowały się, sypały się iskry, w ślad za szpadą kreśląc łuki i ogniste arabeski w powietrzu.

- Szybko się uczysz - rzucił Bajkarz.

Za nimi stała już ściana ognia.

- Wiemy, kim jesteś! - krzyknął Wenecjanin. - Nie musisz się zasłaniać!

Przez krótką chwilę ich twarze były tuż obok siebie i wtedy Pietro zobaczył

mężczyznę w dojrzałym wieku, o czarnych lokach opadających na czoło i oczach pałających nienawiścią. Zdażył szepnąć:

- Wiemy, kto jest twoim ojcem.

Odniosł wrażenie, że Bajkarz się zawahał. Wciąż milczał, tylko skłonił głowę pod kapturem.

*

On i Stevens mieli za mało ludzi. Dragonom udało się unieszkodliwić armaty i wyrzutnie, zanim choćby jeden ładunek poleciał w stronę katedry. Tuleje zostały zniszczone.

Muszkietierowie oczyścili miejsce. Widząc, że zamach nie dojdzie do skutku, Bajkarz odwrócił się, szeleszcząc peleryną. Oddalał się błyskawicznie, a ścigającemu go Pietrowi odcięły drogę przeniesione przez wiatr płomienie. Bajkarz skierował się na drugą stronę wzgórza, gdzie czekał przywiązany do drzewa koń. Zwierzę stanęło dęba. Pietro zerknął na leżącego obok trupa i wyjął mu z dłoni ręczną wyrzutnię, chyba jeszcze sprawną. Podpałił

pakuły i strzelił. Ognista kula wzbiła się jak kometa w stronę uciekiniera.

Chybił.

Liście drzewa zajęły się niczym słomiany dach.

Wtedy Pietro, nabierając tchu, rozejrzał się wokół.

Można by pomyśleć, że to noc świętojańska...

Przed katedrą, daleko w dole, ruszała procesja. Na dziedzińcu ludzie obserwowali te niesamowite ognie nad wzgórzami, potem pożary i słupy dymu. Mała dziewczynka jako pierwsza wskazała palcem płomienie i kolorowe rozbłyski. Krzyknęła radośnie i tysiące oczu zwróciły się w kierunku wzgórz. Pośród tego tłumu i wylatujących ze świątyni gołębi król spojrział na Marię Antoninę i wyraził zdumienie tym, co dla niego przygotowano. Nie przypominał sobie, by planowano coś takiego, ale był zachwycony tym widokiem. Nigdy nie widział tak niezwykłych fajerwerków, zwłaszcza w biały dzień.

- Coś takiego! - szepnął. - Ale jak oni to zrobili?

I król zaczął bić brawo. Tłum podchwycił te oklaski, najpierw na dziedzińcu, potem coraz dalej.

Pietro puścił kołnierza ostatniego przeciwnika, którego pokonał. Dobił go i zostawił, a potem otarł

krzew ze szpady.

Resurrexit.

W Lesie Miłości

LAS POD REIMS

DZIEDZINIEC KATEDRY I OBERŻA POD ŻŁOTYM LWEM

CMENTARZ SAINT-MÉDARD

Tak, pamiętał swój ślub, ale ta ceremonia była najpiękniejsza, a może najgorsza -

królewski festyn, kiedy marzył tylko, żeby usiąść i porządnie się najeść, a potem iść spać, a nie mógł zjeść ani kęsa. Przy dźwiękach muzyki wnoszono coraz to nowe dania, lecz nieprzerwane hołdy nie pozostawiały mu czasu, by choć spojrzeć na talerz. A potem czekał

go jeszcze konny przejazd przez miasto, spotkanie z kawalerami Orderu Świętego Ducha i złożenie dłoni na ponad dwóch tysiącach chorych na skrofuły. Pośród tego zamętu usłyszał z ust szambelana, który dowiedział się od kapitana gwardii, poinformowanego przez jednego z żołnierzy, a temu z kolei powiedział szlachcic przydzielony do ochrony królowej, że dziś udało się zażegnać poważne zagrożenie dzięki dawnemu agentowi Sekretu i jednemu z funkcjonariuszy Domu Króla.

Ludwik XVI, oszołomiony wszystkim, co się wokół niego działo, zrozumiał z tego ledwie połowę.

Ponoć udało się zapobiec jakiemuś niebezpieczeństwu.

Uśmiechnął się tylko i rzucił od niechcienia kilka słów:

- O, to bardzo dobrze, tak, doskonale.

I po raz pierwszy poczuł się naprawdę królem.

*

Nad Lasem Miłości zapadała noc.

Ludwik XVI nie udał się jeszcze na spoczynek, ale dzień już dobiegał końca.

Wreszcie zdjął ceremonialny płaszcz. Teraz przechadzał się pod rękę z królową po ulubionym lesie mieszkańców Reims.

Było tu jak na wsi i podczas przechadzki rozmyślał z uśmiechem o rozległych lasach wokół Wersalu, w których już niedługo będzie mógł znowu polować. Jednak teraz nie mieli tu z Marią Antoniną chwili dla siebie. Tłum wciąż się gromadził i ich otaczał. Ale przynajmniej najtrudniejsza część uroczystości była już za nimi - to, co uciążliwe, i to, co niezwykle, przeszło do historii. Maria

uśmiechała się, odpowiadała lekkim skinieniem głowy na ukłony, czasem unosiła rękę w przyjaznym geście. Chciano być jak najbliżej nich - przede wszystkim jej, bo była tak piękna, tak promienna. Chętnie przystawała, by zamienić z kimś słowo, rozmawiała ze szlachtą a także z mieszkańcami Reims i wieśniakami. Na każdym kroku, za każde dobre słowo dziękowano brawami.

Szli razem i wreszcie, na zakręcie alejki, zaznali chwili wytchnienia.

Król poprosił, by zostawiono ich na trochę samych.

Popatrzyli na siebie. Podał jej rękę, a ona mocno ją ścisnęła. W tym momencie wydawało im się, że być może to wszystko ma sens. Że przecież się kochają, że będą mieli dzieci jak każde małżeństwo i że los wreszcie się do nich uśmiecha.

Szli, trzymając się za ręce pośród różanych krzewów, które spowijała ciemność.

Nad Lasem Miłości zapadała noc.

* * *

Po omówieniu z Sartine'em szczegółów potyczki na wzgórzu Pietro spotkał się z Charles'em de Broglie nieopodal katedry. Minister o mało nie zemdlał, ale Wenecjanin zapewnił go, że niebezpieczeństwo, przynajmniej chwilowo, zostało zażegnane. Choć nie bez trudu, udało im się ugasić w porę pożar, który spowodował grecki ogień. Czy substancja ta naprawdę paliła się w wodzie, i to jeszcze gwałtowniej niż na lądzie? Tak czy inaczej do gaszenia nie użyto wody, lecz jak dawno temu, pod murami Konstantynopola, piasku i ziemi, a także odcinając dopływ powietrza za pomocą wilgotnych okryć. Na górze, za winnicami, wzgórze jeszcze dymiło. W roku 1775 wino z Szampanii będzie miało posmak dymu, co uczyni z niego szczególny rocznik.

Ale Bajkarz i lord Stevens znowu zdołali uciec.

*

Anna Santamaria i Cosimo podeszli do Pietra, a on uśmiechnął się i pocałował żonę, a potem uściskał syna.

- I co, nic strasznego się nie stało! - rzucił Cosimo.

- Podejrzewam, że twój ojciec znowu zabawiał się w parku - dodała Anna, patrząc na poplamione ubranie męża.

Na czole i policzkach wciąż jeszcze miał ślady siarki i popiołu. Z prawej skroni sączyła mu się krew. Wenecjanin znów zwrócił się do hrabiego de Broglie wystrojonego w nieskazitelnie czysty mundur kawalera Orderu Świętego Ducha. Odszedł z szefem Sekretu na bok. Cosimo obserwował ich, zaintrygowany i trochę podejrzliwy.

- Co ze Stormontem?

- Vergennes i ja nie dajemy mu chwili spokoju. W rzeczywistości już dawno stracił

kontrolę nad Stevenssem. Ale dotąd nic nie wskórał i zamiast go poskromić, stracił tylko innych agentów.

- Podobnie jak my - powiedział Pietro, uśmiechając się gorzko. - A Bajkarz? Trudno uwierzyć, że dotąd nie wiemy dokładnie, jak się nazywa!

Spojrzał hrabiemu prosto w oczy.

- Porozmawiajmy szczerze! Jacques de Marsille... Pierwszy Bajkarz, człowiek, którego zabiłem w noc zaślubin Marii Antoniny... Wiedział pan, prawda?

- Co pan ma na myśli, Viravolta?

- Nigdy nie chciał dokonać zamachu. Chciał tylko uzyskać audiencję.

Charles de Broglie zwilżył usta czubkiem języka. Pietro mówił dalej:

- Musiał pan o tym wiedzieć. Przecież to z panem król musiał podzielić się tą wiedzą.

Już wtedy kierował pan Sekretem... Z kim innym miałby o tym rozmawiać? Marsille był

pobudzony, ale nie szalony... Dlaczego miałby próbować zamachu, który był z góry skazany na klęskę?

Broglie pozwolił mu mówić.

- Domagał się sprawiedliwości dla królewskiego bękarta! Wykorzystał weselny wieczór, żeby dostać się do Wersalu.

Miał nadzieję, że los się do niego uśmiechnie tam, gdzie zamknięto przed nim wszystkie drzwi... i że znajdzie sposób, żeby walczyć o swoją sprawę. Pan wiedział, że on przyjdzie! Przebrał się z konieczności, wiedząc, jak zostanie potraktowany!

Pietro zmarszczył brwi.

- A pan pozwolił, żebym go zabił.

Podjął po chwili milczenia:

- Trzymał nas pan w pogotowiu... sfabrykował dowody jego winy. I to dla złej sprawy. Krył pan króla. Prawda?

Broglie zmarszczył brwi. Był zdenerwowany.

- To on pisał epigramaty. Ja tylko dodałem kilka od siebie.

Pietro podjął:

- Potem nie było już problemu z przygotowaniem raportu ze śledztwa. Wystarczyło zrobić z niego ekstremistę, który nie godzi się na przymierze z Austrią a do tego groźnego satanistę czy przynajmniej mistyka na skraju herezji zadającego się z opętańcami z Saint-Médard! Zawsze mi się wydawało, że w tej sprawie jest jakaś niespójność. Można było załatwić to w trzy dni. Co ja mówię - w jedną noc. I jeszcze następna sprawa!

Pietro zmrużył oczy. Hrabia postanowił się bronić.

- Viravolta, nie miałem pojęcia o dziecku. Król rzeczywiście dał mi do zrozumienia, że była jakaś kobieta... która utrzymywała, że z nią obcował... Mówił, że ta kobieta posługuje się pewnym kapłanem, żeby siać bezpodstawne plotki. Nie powiedział mi całej prawdy, Viravolta, rozumie pan? Nie wiedziałem o dziecku! A gdyby nawet! Co by pan zrobił na moim miejscu? Miałem obowiązek chronić króla...

Uśmiechnął się cynicznie.

- Król miał sekrety, które zachował tylko dla siebie. Mógł rozpowszechnić inne epigramaty. Popęłnił błąd, mówiąc prawdę. Przyznaję, że niektórzy pisaliśmy sami, żeby uwiarygodnić naszą tezę. Nie muszę dodawać, że to wszystko... tajemnica.

Popatrzyli na siebie w milczeniu.

Pietro pokręcił głową.

- I rzeczywiście, Aiguillon nie znał sprawy, kiedy powierzał mi śledztwo. Ale pan?

Kiedy znów pojawiły się bajki i ten pseudonim?

- Nie miałem pewności. A poza tym Sekret był zagrożony. Musiałem walczyć równocześnie na kilku frontach. Potrzebowałem czasu, żeby to zrozumieć, a potem znaleźć dowody, czyli Marie Desarneaux! Jej nazwisko widniało w raportach, ale sugerowały one, że współżyła z zakonnikiem. Nie z królem! I nawet nie podano jego imienia. To była tylko jedna z wielu kobiet. Uliczna dziwka! Zapomniał o niej. Król pragnął jedynie zamknąć usta temu zakonnikowi. Marsille przybrał taką postać, by się do nas zbliżyć. Przez całe lata wychowywał bękarta jak własnego syna i chronił matkę... ale to tłumaczyło tylko po części spisek. Nie przewidzieliśmy Anglików. Viravolta, to pan uświadomił mi, co się szykuje. I dopiero niedawno zdołałem powiązać fakty.

Pietro pokręcił głową.

- Czy pan rozumie, co się stało?

Hrabia położył mu rękę na ramieniu.

- Poza tym to było zagrożenie dla państwa. Gdyby Francja dowiedziała się o bękarcie w dniu wesela! Ludwik August żenił się z Marią Antoniną Francja wiązała się z Austrią!

Mówiliśmy o równowadze na świecie, Viravolta. Racja stanu. Polityka!

Pietro gorzko się uśmiechnął.

- Wiem. Ale czy naprawdę pan wierzy, żeby bękart bez niczyjego wsparcia mógł zachwiać tronem Francji?

- Królewska krew wciąż płynie w jego żyłach, przyjacielu. Rządy obalano z bardziej błahych powodów.

Pietro i Broglie zamilkli.

Właśnie wtedy na dziedziniec wpadł galopem królewski posłaniec, który przybył prosto z Wersalu.

- Z drogi! Z drogi! Posłaniec pana Marienne'a z Domu Króla do Czarnej Orchidei!

Pietro chwycił kolejne pismo od Augustina Marienne'a.

Pamięta Pan, Viravolta, drugi rodzaj planów... Tę dziwną sieć, której nie mogłem pojąć... W końcu zgłębiłem ich sekret! To tu, w Wersalu. Pomówimy o tym po Pańskim powrocie. Musi Pan zachować w tej sprawie ścisłą tajemnicę. Proszę do mnie przyjść tuż po powrocie. I niech się Pan spieszy! Bajkarz ma jeszcze jednego asa w rękawie.

Viravolta już zrozumiał. Spojrzał na Charles'a de Broglie.

Powstrzymał się od krzyku. Anna szła w ich stronę. Uśmiechała się.

- Jakaś nowa gra?

Pietro także się uśmiechnął. Jeżeli Bajkarz nie zrezygnuje z realizacji planu...

PIES i CIEN JEGO W WODZIE - d'Eon, Saphir, Beaumarchais

MIŁOŚĆ i SZALEŃSTWO - Anna

MAŁPA KROLEM - Ludwik XVI

KONIK POLNY I MRÓWKA - Maria Antonina

ŻÓŁW I ZAJĄC - Dwór

LEW W STAROŚCI

Ta partia jeszcze nie jest do końca rozegrana.

*

W Reims Anna, Pietro i Cosimo pozostawali blisko gwardii i monarszej pary.

Mieszkali w oberży na wprost katedry. Późną nocą miasto wreszcie się uspokoiło, wyciszyło, a Anna i Pietro słyszeli już tylko swoje dwa oddechy.

Księżyc stał wysoko na niebie. Anna i Pietro kochali się. On rozkoszował się widokiem jej piersi, rozpalonymi policzkami i rozchylonymi ustami, które raz wzdychały, raz układały się w uśmiech. Anna Santamaria. Czarna Wdowa z Wenecji. Boże, jak on ją kochał... Zawsze ją kochał i zawsze tak będzie. I choć miał wiele kochanek w czasach burzliwej młodości, ona była największą miłością jego życia.

Uśmiechnęła się do niego.

W kilka chwil potem leżeli wtuleni w siebie. Anna się uniosła, spojrzała mu głęboko w oczy i pogładziła po policzku.

Milczeli.

Nareszcie chwila ciszy.

A potem odkaszlnęła i łagodnym głosem, w którym pobrzmiwało lekkie niedowierzanie, szepnęła.

- Pietro, najdroższy... Za czym tak pędzisz?

Nie odpowiadał, a ona nie ustępowała:

- Powiedz, za czym tak się uganiasz?

Pietro wciąż milczał.

Bo nie znał odpowiedzi na to celne pytanie.

* * *

Bajkarz splótł ręce, wystawiając je na deszcz.

Krople lśniły na jego kapturze i czarnej pelerynie.

Księżyc wędrował po niebie.

Bajkarz stał przed grobem, patrząc na napis, który widział setki razy.

TU SPOCZYWA

JACQUES DE MARSILLE

WDZIĘCZNI PARAFIANIE

Przyszedł, by złożyć na grobie kwiaty. Malinowe dalie wdzięczności. Lilie czystości.

Lawenda jako wyraz pełnej szacunku czułości. Wrzos osamotnionej miłości. Liście absyntu jako symbol nieobecności. Wymienił także wypchanego ptaka, którego złożył w ofierze przy pomniku.

Wzburzony tańcem zwierząt i demonów pośród krzyży i grobów, kipiał gniewem.

Odkąd zaczął przygotowywać zemstę, nie widział się z Marie, swoją matką. A ona już od dawna była przekonana, że syn nie żyje. Tak było lepiej. On także musiał zniknąć. W ten sposób ją chronił. I chronił siebie. Obawiał się, by nowy opat, Jean Morois, nie domyślił się jego obecności. Morois na pewno się zastanawiał, kto składa kwiaty na grobie. Ale był

dobrym człowiekiem i opiekował się jego matką.

Nie mogąc dłużej hamować wściekłości, wydał okrzyk.

Starał się trzymać planu, dokonując zarówno zabójstw z premedytacją jak i tych, do których zmuszała go sytuacja. Nieustannie próbował okiełznać swój gniew, działając metodycznie i racjonalnie. Szaleństwo mieszało się z chłodnym rozumowaniem, talent kameleona ze zmysłem organizacji. Cóż jednak stało się ze wspianiałym planem? Oczywiście, zmierzył się z najlepszymi agentami króla. Tu nie chodziło już o byle informatorów.

Viravolta nie zginął w paszczy lwa. Jego nieoczekiwane ocalenie po raz kolejny zburzyło jego plan. D'Eon i Beaumarchais żyli! A Wenecjanin pojawił się w Herblay, potem w Reims jak pies myśliwski.

On, ciągle on!

Teraz był zdesperowany.

Znowu krzyczał, niemal wył pośród burzy.

Jak udało mu się odgadnąć, że jest obserwowany? Niepostrzeżenie uniósł oczy pod kapturem. Wyprężył mięśnie. Na cmentarzu zauważył trzy cienie, które wolno przesuwały się w jego stronę. Jeden zbliżał się od południowo-wschodniego rogu, prawie za jego plecami.

Dwaj inni - z obu stron.

Ludzie Brogliego.

Odgadli. Kazał pilnować cmentarza.

Czekał jeszcze chwilę w pozycji człowieka skupionego.

Potem sięgnął po dwa sztylety, które miał u boku. Ostrza błysnęły w ciemnościach.

Kiedy wszedł do pracowni, nie pamiętał dokładnie, co się wydarzyło.

Znowu były krzyki i krew.

Cmentarz przyjął tej nocy trzech nowych zmarłych.

Zwierzęta z bajek i wspomnienie rycin z książki, którą niania, ta okrutna baba, czytała tamtym dzieciakom, znów ożyły i go nękały. To było, kiedy pozostawał pod opieką gruboskórnej, chciwej kobiety, która traktowała go jak nędznego wyrzutka. Dzieciaki się z niego śmiały, tarzały go w błocie przed chlewem. Już wtedy czuł się pół zwierzęciem, pół

człowiekiem. Jak garbaty Etienne. Bękart. Po nastaniu nocy, kiedy nie siedział zamknięty w komórce albo w stodole, kiedy inni spali i już się nad nim nie znęcali, zakradał się po książkę, bo wtedy mógł opowiadać sobie te historie. Marzył, patrząc na ryciny. Później, kiedy umiał

już czytać, opat, który uratował go i zabrał z tego straszego miejsca, wyjaśnił mu sens bajek.

Bajek, które - jak te z Labiryntu w ogrodach Wersalu - miały uczyć delfina.

Syna króla! Bóg nad tobą czuwa, synu.

*

Jak trafił do tego piekła? Co takiego zrobił? Teraz Stevens, ten szalony Stevens, uciekinier, nie był mu już do niczego potrzebny. Angielski renegat przegrał. Nie zdołał

zrealizować planu „Party Time”. Bajkarz musi teraz wykonać własny. Musi to zrobić samotnie. Tak chce los.

Wrzaski Rosette brzmiały mu w uszach, słyszał Baptiste’a, widział, jak krew bucha z gardła Crapauda i innych zamęczonych, którzy umarli przez niego.

Syn króla.

De profundis clamavi ad te, domine.

Łzy gniewu stanęły mu w oczach. Nie podda się bez walki. Nie, nie wszystko stracone! Nie ulegnie! A jeśli będzie trzeba, położy temu kres, rzuci wszystko na jedną szalę, wystrzeli swą salwę honorową żeby wszyscy znów zadrżeli! Ostatni festiwal!

Gdyby przyszło mu ze sobą skończyć, chce wiedzieć, że pomścił śmierć opata, jedynego człowieka, który był mu bliski. I oby nie odszedł, nie zabierając ze sobą na tamten świat jego zabójcy!

Wersal i Viravolta.

Hałaśliwe wiwaty! Syn króla w przepaści!

Wrócił do pracy, ale tym razem nie zajmował się preparowaniem zwierząt.

Teraz absorbowała go chemia.

Popatrzył na starą, pożółkłą księgę, którą ustawił na podpórcie niczym Biblię.

Liber ignium ad comburendos hoste.

I zagłębił się w lekturze.

Śladem mięsa

PODZIEMIA SKRZYDŁA MINISTRÓW, WERSAL

Viravolta nie mógł udać się do Wersalu przed zakończeniem ceremonii i powrotem pary królewskiej do pałacu. Kiedy tylko tam dotarł i przekazał troskę o bezpieczeństwo Sartine'owi, pobiegł do sutereny Skrzydła Ministrów, gdzie pracował Augustin Marianne.

Minął białe drzwi alkowy, zszedł po schodach i zapukał do drzwi w suterenie.

Nikt nie odpowiadał, a drzwi były uchylone.

Zaskrzypiały, kiedy je pchnął.

Znów poczuł to, co podczas pierwszej wizyty w tym niezwykłym miejscu. Izba była pogrążona w półmroku. Bałagan właściwie nie zaskoczył Pietra, bo był tu stanem normalnym, jednak tym razem wzbudził lekkie zaniepokojenie.

Szkice, rysunki i plany poniewierały się po podłodze. Projekt *perpetuum mobile* był

zniszczony, a koła zębate leżały w różnych punktach pokoju. Sterty teczek z dokumentami mieszały się z luźnymi karteczkami. Żyrandol był potłuczony, świece wypadły. W każdej chwili mógł wybuchnąć pożar. Ale najbardziej niepokoił Pietra ten zapach, który wyczuwał

wśród wielu, wielu innych.

Krew.

Usłyszał dobiegający z głębi izby jęk.

Pobiegł w tym kierunku, przewracając szkolną ławkę, która stała mu na drodze. Błada dłoń wydawała się wystawać z grobu. Unosiła się błagalnie, palce kurczyły się i prostowały.

Nieszczęsny Augustin Marianne został pogrzebany pod własnymi dokumentami. Z ust spływała mu strużka krwi. Ściekała na zapisane kartki, dowody a to genialnych, a to dziwacznych wynalazków,

którymi próbowano go udusić. Widać tam było szkice warte góry złota, istne cuda intelektu ludzkiego, a obok absurdalne pomysły i niedokończone dzieła.

Posiniaczoną obrzmiałą twarz Augustina trudno było rozpoznać. Został brutalnie pobity.

Obok leżały potłuczone binokle.

- Augustynie! - krzyknął Viravolta, pochylając się nad nim.

Gdy wyciągnął kartkę z ust Augustina, ten splunął krwią, krztusząc się.

„Biedny Augustin

Już stary dziś! Czas, by skonał,

Jak to królestwo, Mości Viravolto!

A może zechcesz ostatnią Bajkę

Wraz ze mną przeczytać?”

LEW W STAROŚCI

Księga III - Bajka 14

Lew, postrach puszczy,

Postarzał, do młodości chwil z płaczem się zwracał.

Wreszcie się potyradłem stał poddanych tłuszczy,

Którzy sił nabierali, go on je utracił.

Koń, idąc mimo, trąca go kopytem,

Wilk zawadzi on zębem, wół ubodnie rogiem.

Biedak smutny, marniejąc w udręczeniu srogim,

Ledwie ryk wyda gardłem, przez starość zużytym.

Czeka końca bez skargi, snadź nic już nie strada.

A wtem widzi, że osioł jest ku niemu w drodze.

Ach rzecze, to za wiele, raz umrzeć się godzę,

Lecz to jest śmierć podwójna, gdy osioł cię zada 8.

B.

- Augustynie, co się stało?

Augustin zwrócił na niego szkliste oczy. Chwycił go za ramię jak tonący.

- Nie wiem, jak się nazywa... Dotarł tu... przez Saphir... Chciał... plany...

- Plany? Jakie plany?

Marienne znowu splunął krwią i wywrócił oczy. Jego twarz wyrażała potworne cierpienie, mimo to starał się zebrać resztki sił.

- Skład greckiego ognia... Bajkarz dostał recepturę od Saphir... Skopiował ją...

Viravolta, to moja wina... Wybaczcie mi! To ja im je dałem! Receptura Duprégo... Próbowali zmusić mnie do mówienia... Zniszczyłem ją... Ale on... Wciąż ją ma! Ma ostatnią kopię, Viravolta!

- A inne plany? - zapytał Pietro. - Co zawierały?

Augustin wyciągnął drżący palec, wskazując porzucony niedaleko od niego rulon.

8 Przełożył Stanisław Komar.

- Tam... Oni zrobili... Viravolta... Idź... śladem mięsa... Calixte...

- Co mówisz? Śladem mięsa? Calixte?

- Ogień szerzy się nawet na wodzie... Zrobi z niego broń... Dziś wieczorem!

- Co powiedziałaś? Augustynie, nic z tego nie rozumiem! Dłoń urzędnika Domu Króla zacisnęła się nieco mocniej na ramieniu Viravolty. Augustin kiwał głową, wpatrując się w oczy Pietra. Można by pomyśleć, że próbował się podnieść. Potem wydał przeciągły jęk i jego ciało nagle zaciążyło podtrzymującemu je Wenecjaninowi. Pietro wstał i potarł czoło.

Spojrzał na wskazany przez Augustina rulon, ten z siatką krzyżujących się linii, pomiędzy którymi biegły krótsze, ukośne, urywane, układające się w figury rozrzucone bez ładu i składu.

Czarna Orchidea zaklął.

Idź śladem mięsa?

Relacja z uczyty w Wersalu

KRÓLEWSKIE KUCHNIE

I SKALNY OGRÓD

DOMEK PRZY FONTANNIE APOLLA

Tego wieczoru, zanim jeszcze zrobiło się ciemno, ogień huczał we wszystkich kuchniach. Trzysta osób kręciło się po oficynach. Wszyscy szykowali królewską kolację jak za czasów Króla Słońca. W jednym z pomieszczeń przygotowywano zastawę, chleb i obrusy, w sąsiednim podczaszy zgromadził trunki i wodę oraz kieliszki, w kuchni czekały dania zimne, obok owoce, świece, kandelabry, lampy, a w komórce zapas drewna i węgla. Część potraw ustawiano na już nakrytych stołach. Pietro natknął się na pierwszego majordomusa, który udzielał szybkich wskazówek swemu pomocnikowi. Ten klaskał w dłonie, żeby nadać rytm pracy pozostałych lokajów, podczas gdy kontroler generalny jadła nadzorował liczenie ostatnich zapasów. Wszystko to było zorganizowane jak w wojsku. Viravolta, w obawie przed atakiem Bajkarza, kierował się ostatnimi słowami Augustina Marianne'a - kazał

pilnować „mięsa króla”, co oznaczało w rzeczywistości wszystkie dania przewidziane na ten wieczór. Kiedy Pietro przyszedł, pojawiły się niezliczone mięsne dania w sosach przygotowanych na parterze Wielkiej Kuchni. Pod nadzorem pierwszego majordomusa wniosło je uroczyście trzydziestu sześciu szlachciców poprzedzanych przez dwunastu lokajów ze srebrnymi laskami.

Zwykle mięso opuszczało kuchnię, by przejść przez ulicę i dotrzeć do pałacu drzwiami na wprost Wielkiej Kuchni, potem wędrowało po schodach i zapuszczało się w korytarze Wersalu, by trafić na królewski stół. Dziś cała ta procesja szła do ogrodów, defilując do miejsca, gdzie miała się odbyć kolacja. Inną godną uwagi różnicą wobec codziennych obyczajów było to, że tuż przy wyjściu z Wielkiej Kuchni Pietro polecił ustawić szpaler próbujących. Ta mała armia pomocnicza stała jak podczas parady - wszyscy w niebiesko-czerwonych liberjach z białymi pasami. Każdy z tych janczarów zanurzał palec, chleb lub łyżkę w przesuwających się przed nim potrawach, aby się upewnić, że ręka żadnego złoczyńcy nie dosypała zabójczej trucizny. Pietro poprosił także Sartine'a i całą pałacową straż o wzmożenie czujności, dopóki Bajkarz pozostaje na wolności.

Wenecjanin podszedł do pierwszego majordomusa.

- Coś nowego?

Tamten, zmęczony, potargany, zdjął fartuch, w który przed chwilą wytarł ręce, i spojrzał niechętnie na Pietra.

- Owszem, przyjacielu. Przygotowaliśmy około czterdziestu trzech dań, które trzeba jeszcze przenieść na stoły w prowizorycznej jadalni Jego Królewskiej Wysokości! Czy to za mało?

Pietro wolał nie zadawać więcej pytań.

Ruszył za batalionem półmisków, kociołków i waz, talerzy płaskich i głębokich niesionych przez armię służących i majordomusów. Przodem szły dania główne - zupa z kapłonów i kuropatwy z kapustą potem dania drugie, w tym bulion z sześciu gołąbków z woliery i rosół z kogutów, dalej

przystawki. Po zapachach wkraczały główne dania zimne -

pieczeń z cielęciny, sześć opiekanych kurcząt i pasztety z kuropatwy. Za nimi pojawiały się przystawki - trzy kuropatwy w sosie własnym, dwa pieczone indyki, sześć turkawek z rusztu i trzy pulardy z truflami. Dalej szło pieczone wołowisko, dwa kapłony, dziewięć kurcząt, dwa gołąbki, sześć kuropatw i cztery turkawki. Owoce, desery, kompoty i konfitury w porcelanowych salaterkach i sosjerkach musiały jeszcze trochę poczekać. Rzecz jasna, to pantagrueliczne menu było przeznaczone wyłącznie dla pary królewskiej. Dania przygotowane dla dworzan stały już na stołach. Dwór zasiadał do kolacji tuż przy Fontannie Apolla zaraz po przedstawieniu, które Maria Antonina zaplanowała w plenerze, w Skalnym Ogrodzie. Cóż to było za widowisko! Służący z półmiskami maszerowali niczym żołnierzyki po tarasach, schodzili ku Zwierciadłom i Fontannie Latony, potem kroczyli Aleją Królewską.

Pietro szedł w ślad za nimi, a potrawy tańczyły mu przed oczyma.

„Idź śladem mięsa”.

*

Przed przedstawieniem, około szesnastej, podano podwieczorek w Labiryncie, w Bezimiennym Lasku, zielonym gabinecie, gdzie ożyło skrywane, już coraz odleglejsze, wspomnienie Landretta powieszono pod nieobecność dworu w Wersalu. Z fontanny zainstalowanej pośrodku tego zakątka zdawały się tryskać liczne, pastelowe źródła. Na stole czekały melony i likiery w kryształowych karafkach. W pałacyku wykonanym z masy migdałowej kryły się kufarki ze słodkiego pieczywa, które można było jeść z karmelem lub kandyzowanymi owocami. Radością dla oczu były tu drzewka pomarańczowe, wiśnie i dwa krzewy holenderskich porzeczek.

Po posiłku Ludwik XVI i Maria Antonina zajęli miejsca w odkrytym powozie i cały dwór ruszył lipową aleją nad Wielki Kanał.

Tu wszyscy wsiedli do łodzi i gondoli, by pływać po spokojnej wodzie, która tylko chwilami marszczyła się od podmuchu lekkiego wiatru. Tego dnia brzegi Kanału ozdobiono pięknymi, przezroczystymi figurami, które mogli podziwiać. Były tam też porcelanowe pawiloniki przystrojone białym tiulem, który powiewał na wietrze. Potem dotarli na wysokość Fontanny Apolla, gdzie wzięli udział w małej improwizacji. Modele galer strzelały do siebie prawdziwym prochem. Tu oczywiście francuska flota musiała pokonać angielską co

- prawdę mówiąc - było dość dziwne. Ale w Wersalu inne myślenie byłoby wręcz niestosowne. Toteż żagle angielskich galer płonęły, a na Kanale lilia triumfowała nad różą.

*

Potem dwór doszedł do posągu Enkeladosa, by wrócić do Kolumnady i Sali Balowej lub do Skalnego Ogrodu, gdzie tego dnia był teatr. Po skałach spływała krystaliczna woda, poruszająca młyńskim kołem. Obok, wśród roślin, rozrzucono złoczone kamyki i muszle wyłowione u wybrzeży Afryki. Przedstawienie miało odbyć się w amfiteatrze, na wyspie, do której szło się po mostkach.

Orkiestra czekała na publiczność. Zaczęła grać, gdy pojawiła się monarsza para. Dworzanie usiedli po obu stronach wodospadu, na stopniach pośród klombów, król i królowa zajęli miejsca pod specjalnie przygotowanym baldachimem.

Rozdano programy, z których wynikało, że zaprezentowana zostanie improwizacja, którą przygotowano w pośpiechu, więc aktorzy proszą o wyrozumiałość dla niedoszlifowanej sztuki. Wkrótce rozległ się gong, kurtyna poszła w górę. Pojawiły się dwie kolumny, a nad nimi posąg Afrodyty w kostiumie pasterki. Na scenę wyszedł pasterz Cloris, który zabiegał o względy pasterki Climene i błagał boginię o pomoc. Climene uciekała przed nim po całej scenie, krzycząc i grając na lirze. Z boku krył się drugi aktor przebrany za fauna. Chciał

uprowadzić Climene. Zmanierowany dialog łączył wiersz i prozę, aktorzy to śpiewali, to deklamowali. Król i królowa dobrze się bawili, dworzanie bili brawo. Gdy Pietro był w kuchni, gwardziści dyskretnie przechadzali się wokół amfiteatru, bacznie się rozglądając.

Potem wszyscy udali się do Fontanny Apolla, by zasiąść do kolacji i cieszyć się wspaniałym pejzażem i tą szeroką perspektywą od tarasów po odległe lasy i Wielką Gwiazdę za krzyżem Kanału.

To tu miało dotrzeć mięso dla króla, wyrzucane z ciemnej paszczy Wielkiej Kuchni.

I za tym mięsem podążał Pietro, obserwując lokajów i majordomów.

* * *

Jesteśmy na miejscu, powiedział sobie Pietro, idąc w stronę przygotowanego na tę okazję wspaniałego oświetlonego pawilonu przykrytego liśćmi. Z rozstawionych wokół waz spływała woda, tworząc niejako kryształowy klosz. Za tą wodną zasłoną którą rozrywało tylko wąskie, osłonięte wejście, zdawało się czekać na biesiadników tysiąc światełek. Klosz lśnił od środka. Na umajonych cokołach, przy wejściu dwa fauny grały na fujarkach. Kopułę zdobiły płaskorzeźby ukazujące cztery pory roku i cztery pory dnia. Pietro wszedł przez portyk z białego płótna, przepuściwszy obsługujących. Wewnątrz pawilon prezentował się jeszcze piękniej. Panował tam półmrok, rozświetlany tylko kandelabrami. Plafon otwierał się na niebo. Najlepsi rzemieślnicy Francji ozdobili jego ściany pasem rzeźbionych w drewnie liści, po których wił się tiul przeplatany kwiatami. W głębi roześmiany bożek Pan pluł wodą.

Po kamieniach sztucznego wodospadu sunęła wzburzona woda, by niżej popłynąć strumykami. Pośród dyskretnie podświetlonych skał mieszkwały, być może, elfy. Płomyki igrały z kroplami, odbijały się w wodzie, rzucały cienie na ściany i plafon. Ten efekt kalejdoskopu wzmagaly liczne kryształowe kule ułożone na srebrnych podstawach. To one rozszczepiały światło tak, że nad całą przestrzenią zdawała się unosić tęcza.

Nie po raz pierwszy organizatorzy dworskich rozrywek przeszli samych siebie. Przed srebrzącymi się skałami położono siedemdziesiąt nakryć. Stoły ustawiono w czterech miejscach, pod wspaniałymi namiotami. Z każdego widać było znajdujący się pośrodku stół

królewski. Każdy z gości miał wrażenie, że biesiaduje z władcą a najbliższe otoczenie Ludwika XVI

nie czuło się skrzępowane. Rzeźbione krzesła wyobrażały pory roku, muzy.

Opadające z sufitu delikatne tkaniny kołysały się na wietrze. Kryształowe żyrandole dopełniały wystroju wnętrza. Poza daniami przygotowanymi dla króla i królowej na bufecie ustawiono najrozmaitsze potrawy dla innych gości. Wszyscy mogli zatem wybierać z tego samego, bogatego menu. Do bufetu dochodziło się po trzech schodkach. Na podwyższeniu służący obsługiwali biesiadników. Osiemnaście mis, salatery i zdobione liśćmi naczynia odtwarzały scenerię otaczającą pawilon. Przyniesiono także „kłodki króla” - stary, srebrny kuferek, w którym dla bezpieczeństwa przechowywano noże, łyżki i przyprawy do osobistego użytku monarchy. Zachodnia część przeznaczona była dla dam, wschodnia dla panów.

Dwór brawami nagroził misternie przygotowane miejsca uczy. Król gratulował

Marii Antoninie tego arcydzieła stworzonego we współpracy z osobami odpowiedzialnymi za dworskie rozrywki. Przez dłuższy czas wszyscy się rozglądali i komentowali wystrój wnętrza.

Potem goście zaczęli zajmować miejsca. Królowa wpadła na pomysł, by zburzyć zwykły ład hierarchiczny, lekceważąc, przynajmniej w pewnej mierze, zasady protokołu. Nazwiska wypisano na białych kartonikach, które wsunęto w ułożone z artyzmem serwetki.

Na jednym z nich napisano: „Anna Santamaria z Wenecji”.

Panie usiadły jako pierwsze.

Gdy Pietro dotarł na miejsce, ucza już się zaczynała. Na jego widok pierwszy majordomus dał Pietrowi dyskretnie znak, by się do niego zbliżył. Królowa zauważyła obecność Viravolty i powitała przyjaznym uśmiechem. Siedzący obok niej Ludwik XVI z apetytem zajadał pularde. Nieco dalej, pod jednym z namiotów, Anna konwersowała z panią de Guéméné i hrabią de Polignakiem. Nie zauważyła Pietra.

Z oczu majordomusa wyzierało niedowierzanie i oburzenie.

- Czy to ma być żart? Proszę zobaczyć, co księżna de Lamballe znalazła zamiast zaproszenia! Ktoś to podrzucił, wykorzystując naszą nieuwagę. Królowa już to widziała i poleciła mi przekazać panu. Czy pan wie, o co tu chodzi?

Na białym kartoniku widniało tylko „B”. Wystarczyło to jednak Pietrowi, by zrozumieć, że Bajkarz zamierzał się wprosić na królewską ucztę. Wenecjanin uniósł głowę, żeby szybkim, czujnym spojrzeniem ogarnąć zebranych. Czy on naprawdę tu był, wśród nich, czy tylko kontynuował tę wojnę nerwów?

- Czy zna pan niejakiego... Calixte'a? - zapytał majordomusa.

Jego rozmówca wyduł usta i uniósł brew tak, że czerwone znamię pod okiem stało się bardziej widoczne.

- Kogo takiego?

- Calixte'a...

Majordomus westchnął i ruchem głowy wskazał piętnastoletniego chłopca. Ów Calixte był jednym z pomocników, którzy usługiwali przy bufecie. Pietro podziękował i szybkim krokiem podszedł do chłopaka w liberii. Z białą serwetką przełożoną przez przedramię służący mieszał potężną łyżką zupę. Gdy Pietro go zagadnął, poprosił innego służącego, by go zastąpił, i oddalił się z Viravoltą od bufetu.

- Jestem nie tylko tym, za kogo mnie pan bierze... - szepnął. - Widzi pan, czasami świadczę pewne usługi hrabiemu de Broglie i panu Sartine'owi.

Mrugnął do niego okiem, a potem podjął z miną konspiratora:

- Pan Marienne uprzedził mnie, że być może pan do mnie przyjdzie. Ale powiedział też, że będzie to świadczyło o powadze sytuacji... Miał rację?

Pietro skinął głową.

- Gorzej być nie mogło. Augustin nie żyje.

Chłopak zbladł. Zaczął drżeć i nie zachowywał się już jak ważny szpieg króla.

- Co takiego?!

- Jego zwłoki leżą nadal w pokoju na dole. Zamknąłem drzwi na cztery spusty.

- O mój Boże!... Często nosiłem mu posiłki... Rzadko wychodził z sutereny. I wtedy rozmawialiśmy... rozumie pan... Jezu! To straszne!

- Weź się w garść, chłopcze. Obyśmy nie zobaczyli wkrótce więcej ofiar. Przed śmiercią Augustin wyszeptał twoje imię jako wskazówkę. Domyślasz się dlaczego?

Informator zmarszczył brwi.

- Powiedział mi tylko, że coś znalazł i że jeśli przyjdzie pan do mnie i o to zapyta, to dlatego, że on sam nie będzie już mógł udzielić odpowiedzi. Boże, dopiero teraz zaczynam rozumieć, co miał wtedy na myśli! W takim przypadku miałem pana odesłać do człowieka, którego znajdzie pan przy Grocie Niespodzianek obok Kolumnady.

- Kim jest ten człowiek?

- To królewski studniarz. Powiedział mi, że pan też to zrozumie.

Pietro zmrużył oczy, pokiwał głową i odchodząc w pośpiechu, rzucił:

- Dziękuję!

*

Opuścił pawilon i skierowali się do Groty Niespodzianek.

Tu znalazł królewskiego studniarza, następcę Denis-Jolly'ego. Mężczyzna siedział w towarzystwie czeladników hydraulików, ośmiu pomocników i murarza. Niegdyś jego zadanie polegało na tym, by odpowiednio zawiadując dopływem wody, tworzyć wrażenie, iż fontanny funkcjonują bez przerwy. Podobnie jak Francine'owie, rodzina Denis-Jolly była w swej domenie równie znamienita, jak Le Normandowie w znawstwie kwiatów i ogrodnictwie.

Rzemieślnicy ci stosowali bardzo ścisły protokół, dostosowany do królewskich spacerów.

Gdy Jego Wysokość pojawiał się w polu widzenia, włączano dopływ wody i krystaliczne strugi tryskały z pyska żab Latony czy podchmielonego Bachusa. Kiedy król się oddalał, odcinano wodę. Jednak podczas dzisiejszej uczyty pomocnicy studniarza mieli chwilę wytchnienia. Pietro szybko podszedł do studniarza, który dowcipkował z kompanami.

Rozłożył przed nim plany Bajkarza zabrane z sutereny Augustina Marianne'a.

- Czy to coś panu przypomina?

Mężczyzna spojrział na niego, ale milczał. Potem skinął na jednego z pomocników.

Czeladnik przyniósł zwój papieru tak cienkiego, że w świetle wydawał się niemal przezroczysty. Majster rozwinął plany Pietra pod nogami, a następnie rozłożył na nich własne dokumenty. Padało na nie zachodzące słońce.

Linie idealnie się pokrywały.

Sieć linii pionowych i poziomych, ta gęstwina punktów przecięcia, liczby i figury geometryczne, obliczenia odległości oparte na π i złotej liczbie - były identyczne.

Tysiąc rur biegło przez wersalskie ogrody pod ich stopami.

Water Music and Royal Fireworks

GROTA NIESPODZIANEK

ZBIORNIKI WODNE

I FONTANNY KRÓLEWSKIE

W WERSALU

Przerażony Pietro chwycił się za głowę.

Często słyszał, że pod tym pałacem, który wszyscy znają, istnieje niewidoczny Wersal

- rury, kanalizacja, niesłychane połączenie wiedzy i techniki, plantowania i hydrauliki, fizyki, geometrii, geologii. I oto niespodziewanie stanął przed planami tego drugiego ogrodu i pałacu

- podziemnych, tajemniczych. Zbiorniki były ogromne jak katedry, pierwsze elementy ołowianej kanalizacji zastąpiono za panowania Ludwika XIV żeliwnymi, które można było łączyć. Miały tak dużą wytrzymałość, że nadal zachowały się w wielu miejscach. Na każdym łączeniu oznakowane były królewskimi liliami umieszczonymi niczym pieczęcie w miejscu ich zetknięcia. Ludwik XIV nie zadowolili się fontannami, które tryskały prosto w niebo albo siusiały. On zapragnął „rzeźbić wodę” - musiała być modulowana, wypracowana, tworzyć różnorodne efekty. Łącząc strumienie, formując wyloty fontann jako wąskie, spłaszczone, ozorowate, szczelinowe, ich konstruktorzy stworzyli niespotykaną dotąd akwagrafię, którą dodatkowo można było modelować, zmieniając ciśnienie, wysokość, kształt pióropusza wody, przybierającego setki postaci, zależnie od przepustowości rur i szybkości przepływu -

od wachlarza, wypukłej piramidy, wklęsłej lilii po strumień prosty i płaski, krótki i pulsujący, wysoki słup albo pieniące się źródło...

O nie... Obym się mylił... pomyślał Pietro.

Rury rozgałęziały się ku fantastycznym muszłom, pulchnym cherubinom, trytonom i smokom z plującymi paszczami. Zasilały stawy i baseny tysiącem żył, krążyły jak krew, ożywiając cały pałac, pozwalając mu tętnić życiem... Wersal oddychał, sycił się i żywił dzięki tym arteriom niczym ciało olbrzyma.

Pałac był krwią ciałem królewskim!

Wszystkie te obliczenia... Ciśnienie, przepływ, ilość zaworów! To wszystko było na planach!

*

Pietro oddalił się kilka kroków od studniarza. Przed sobą miał jedną z rekonstrukcji

„grot niespodzianek”, przypominającą Grotę Orfeusza w Saint-Germain i starą Grotę Tetydy.

Była wyłożona muszlami. Wewnątrz ustawiono boga muzyki, który, gdy trąciło się struny liry, ukazywał wszelkie cnoty. Otwierały się jamy, z których wychodziły lwy, tygrysy, wilki i jakieś fantastyczne stwory. Drzewa kołysały się jak na wietrze. Było tam pełno ptaków, których trele - w rzeczywistości odgłosy przepływu wody, świszczającej w rurach - tworzyły magiczny efekt. Wystarczyło zamknąć oczy, by uwierzyć, że naprawdę jest się w lesie.

Nagle Viravolta wytrzeszczył oczy. Jedna z grot przed nim się otworzyła. Do środka wsadzono mały manekin z drewna i materiału. Jego wygląd nie pozostawiał cienia wątpliwości - to był zakapturzony Bajkarz. Jego uśmiech ukazano jako zwykłą kreskę pod kapturem. Dwa czerwone kamienie miały wyobrażać oczy. Ta sardoniczna lalka zdawała się z niego szydzić. Niosła przerzucony przez ramię topór. Nagle, na powitanie, z groty trysnął

silny, dokładnie wycelowany strumień wody. Zwykle bawiło to spacerujących, ale Pietro nawet się

nie uśmiechnął. Woda mocno go zmoczyła, a mały Bajkarz kpił z niego.

Wenecjanin stał tak przez chwilę, ociekając wodą.

Zaklął.

Szybkim krokiem wrócił do studniarza i jego kompanów.

- Trzeba odciąć dopływ wody! Całkowicie... Rozumiecie? Zawory, pompy, krany.

Wszystko ma być odcięte!

I odszedł.

*

W promieniach zachodzącego słońca wiele osób wciąż snuło się po ogrodach.

Pietro torował sobie drogę wśród spacerowiczów i gapiów. Niektórzy z nich z zachwytem wskazywali palcem dziwną górę w pobliżu Kolumnady i ustawioną na niej małą złocistą maszynę - wózek, do którego można było wsiąść, żeby pędem zjechać po stromym zboczu i zatrzymać się u jego stóp, narażając się tylko na ryzyko dotkliwego dla uszu śmiechu.

Viravolcie znów przypomniały się słowa Augustina Marienne'a.

Ogień... ogień...

Pietro zmrużył oczy, rozpychając łokciami przechodniów.

Szedł coraz szybciej.

Zbiorniki... Północne zbiorniki!

Teraz już biegł, spychając wszystkich z drogi.

Woda. Wszędzie jest woda.

Ogień... Szerzy się nawet po wodzie... Zrobił z niego broń... Dziś wieczorem!

Pietro pędził po tarasach pełnych ludzi, biegł po starej szachownicy wśród drzew, potem między szpalerami kasztanowców i wciąż towarzyszyło mu irytujące przeświadczenie, że wszystko to już przeżył, już widział. Przypominał mu się wieczór zaślubin Marii Antoniny, gdy ruszył w pościg za pierwszym Bajkarzem. Zewsząd tryskały pióropusze wody - zza klombów, marmurów i przyciętych tui. Przy Stawie Szwajcarów, przed Trianon i Oranżerią grano w krokieta, kule przetaczały się po murawie. Daleko, na końcu alei, wokół parku, sarny i jelenie wysuwały łby z lasu, jakby i one chciały poznać powody tego poruszenia. Spłoszone ptaki wzbijały się w powietrze. Z dołu widać było pałac w pełnej krasie zachodu słońca -

złocące się dachy, gazony, rozległe lasy i posągi rozrzucone po całym terenie.

Pietro zatrzymał się przy zbiornikach wodnych.

Bajkarz! Nareszcie!

Pod jego nogami przebiegały rury kanalizacyjne i warczały stare maszyny. Zbiorniki tworzyły jezioro i dominowały nad Wersalem. Wydawało się, że zatrzymują całe rzeki.

Otoczone balustradami, przechodziły jeden w drugi aż do małej wieży, w której znajdowała się skomplikowana maszyneria. Niegdyś dwa pokolenia robotników - w sumie niemal czterdzieści tysięcy osób - kopały, wyrównywały, przerzucały tony ziemi i kamieni, żeby zmusić naturę do podporządkowania się woli Króla Słońce. Ale woda była nieokiełznana.

Mimo doskonałej mechaniki trzeba było zrezygnować z używania „maszyny rzeki Sekwany”, zainstalowanej w Marly i mającej zasilać wersalskie cuda. Ludwik XIV zlecił budowę nowych zbiorników i młynów. Wykopano trzy stawy, próbowano pobierać wodę z Bièvre, zbudowano akwedukt, zrobiono sztuczne jezioro, ale to nie wystarczało. Vauban i La Hire przystąpili do budowy kanału łączącego wersalski system z Eure. Koszty prac, ofiary śmiertelne i wojna zmusiły króla do rezygnacji z tego przedsięwzięcia na miarę gigantów.

Pozostało kilka zbiorników Skrzydła Północnego, które opróżniały się podczas prezentacji fontann.

Jak dziś.

Pietro nie zdziwił się na widok dwóch trupów. Ktoś poderznął gardła pomocnikom studniarza.

Leżeli w kałuży krwi.

- Czekałem na ciebie, Viravolta.

Stał na balustradzie otulony czarną peleryną z kapturem, na piersi miał różę, a w rękach zapaloną pochodnię.

Pietro stanął jak wryty.

- Zadałeś nam dotkliwy cios - powiedział swym osobliwym głosem Bajkarz. - Wiemy już, że Stevens nigdy nie osiągnie zamierzonego celu. Był szalony, ja też dopuściłem się szaleństwa, sprzymierzając się z nim. Ale musiałem się z tobą zmierzyć. Mniejsza o króla, królową i całą Francję. Ale ty... przecież już wiesz. Znasz prawdę. Jakiemu panu służyłeś, Viravolta? Jakiej broniłeś sprawiedliwości? Zawsze cię podziwiałem. Ale zabiłeś jedyne go człowieka, który mi pomógł, ocalił i uwierzył we mnie. Ojca! On także wszystko zrozumiał!

A jego winą było wyłącznie to, że chciał, by go wysłuchano, chciał dla mnie sprawiedliwości!

A ty... ty służyłeś zepsutemu państwu! Jak mogłeś!

Zaśmiał się cicho, gorzko i ten pobrzmiwający szaleństwem śmiech zmroził Pietrowi krew w żyłach.

- Możesz mi nie wierzyć, ale rozumiem, ile wycierpiałeś! - wykrzyknął Wenecjanin. -

I ja także byłem kiedyś prześladowany przez władze! Są jednak inne metody walki o sprawiedliwość... Postępując w ten sposób, skazujesz się na śmierć!

- Ale ty nie jesteś KRÓLEWSKIM BĘKARTEM! - krzyknął Bajkarz tonem nieznoszącym sprzeciwu.

A potem znowu się zaśmiał.

- Nie mieszaj wszystkiego, Viravolta. Gdyby panowała sprawiedliwość, mnie byś służył. Byłbyś moim wasalem. Jednak cieszę się, że zobaczysz mój ostatni spektakl. Dzieło Bajkarza!

- Zrezygnuj z tego, wycofaj się, póki czas! Obiecuję, że się za tobą wstawię!

- Już za późno, Viravolta. Czy Augustin cię uprzedzał? On też was zdradził! Podał

nam formułę Duprégo. Ogień, który płonie nawet na wodzie! Udoskonaliliśmy wynalazek...

Teraz rozprzestrzenia się dzięki wodzie... Zgadnij, jaka to magiczna alchemia pozwoliła nam dokonać rzeczy niewyobrażalnej?!

Jednym ruchem nadgarstka rozwinął papiery.

- Ogień i woda! I w końcu zwiędnie nasza orchidea!

I znów zaśmiał się cichym, spowolnionym śmiechem, a potem przytknął papier do ognia. Dokument płonął w jego ręce, dopóki nie upuścił jego szczątków.

- Ale nie martw się... To ostatni egzemplarz z formułą Duprégo. Ścisła tajemnica, wygrzebana spod popiołów historii. Nie darowałbym sobie, gdyby za moją sprawą potomność poznała tak straszliwy sekret. Ja także mogę się przyczynić do wypełnienia wielkiej misji cywilizacji. Chyba że...

Tym razem jego śmiech zabrzmiał jak parsknięcie. Palcem dotknął czoła.

- Chyba że nie ja jeden dokładnie zapamiętałem, jak się to robi. Wszystko jest zapisane tu, w mojej głowie, i mogę na przykład sprzedać recepturę temu, kto najwięcej zapłaci!

Pietro podszedł bliżej.

- Nie ruszaj się, Viravolta. Przez całą noc rozmieszczałem substancję w różnych miejscach. Jeszcze krok, a ujrzysz, jak fontanny króla zapłoną niczym pochodnie.

- To przecież... niemożliwe!

Bajkarz patrzył na niego w milczeniu, a potem opuścił pochodnię.

- Ile wielkich umysłów przyczyniło się do powstania tego pałacu, Viravolta? Znamy nazwiska Le Nôtre i Mansart, iluż jednak wspierało ich myślicieli? Tu trzeba było filozofii i matematyki, od Kartezjusza i d'Alemberta przez Bernoulliego po Boyle'a, Hooke'a, Pascala, Newtona, Huygensa, który odkrył Tytana i pierścienie Saturna! Tytani! Tak, wszyscy! Tytani władający ruchem planet! Tylu wielkich ludzi, aby wznieść pałac!... - Głos drżał mu z gniewu. - ...a jeden, by go zburzyć!

Wsunął pochodnię do pierwszego zbiornika, a potem rzucił ją do drugiego.

I znowu zaczął się śmiać.

- A teraz powróćmy do naszej gry, by ją zakończyć!

Bajkarz odwrócił się, szeleszcząc peleryną, i przeskoczył balustradę.

Oniemiały, bezradny Pietro patrzył, jak dzieje się coś niewyobrażalnego.

To było tak, jakby czas stanął w miejscu. Nagle na powierzchni wody pojawiły się pęcherzyki.

Zachodziła reakcja łańcuchowa, toczyła się w rurach w zetknięciu z mieszaniną cierpliwie przygotowaną przez Bajkarza.

I oto fontanny króla - Latony, Piramidy, Alei Wodnej i Obelisku, a także te przy Zwierciadłach i Fontanna Apolla, fontanny przed Kolumnadą i w Labiryncie - wszystkie aż po Wielki Kanał wreszcie zaświeciły, płonąc jak pochodnie. W pierwszej chwili wyglądało to jak celowo wywołany efekt, nowe widowisko, nieznane dotąd fajerwerki, jak wtedy na wzgórzach wokół Reims. Bo słońca Fontanny Apolla grzały jak o zachodzie. Po całej tafli Wielkiego Kanału zaczęły sunąć smugi ognia, który unosił się na falach. Potem powierzchnia Kanału przemieniła się w ognisko, a oczy przejrzystych posągów pałały piekielnym blaskiem.

Z twarzy tych zamarłych lalek wyzierało zdumienie, ogień rozświetlał porcelanowe pawilony.

Galery i łodzie flotyli płonęły. Wybuchwały resztki prochu, w niebo wzbijały się pióropusze iskier. Enkelados, złocisty gigant pokonany już przez Jupitera, musiał patrzeć, jak jego skałę liżą ozory ognia, a strumień, który tryskał z jego ust, przemienił się w ogień wycelowany w Olimp. Na stopniach Skalnego Ogrodu pojawiły się pomiędzy kamieniami i ołowiem migotliwe punkciki. Na wyspie palił się teatr. Od Kanału po Gwiazdę, na tle zapadającej nocy, szerzył się ogień, a Smok w jednej z fontann po raz pierwszy pluł prawdziwym ogniem.

Także pod królewskim pawilonem woda mieszała się z ogniem. Opadała płonącymi kaskadami po muszlach. Rozświetlały się spływające z dzwonu strumienie wody. Zaczynały się palić pnącza bram i płótno. Bożek Pan krzywił twarz na swojej skale, plując ogniem.

Zapanowała panika. Goście podrywali się z miejsc, pozostawiając półmiski, sztuce, kieliszki i wazy. Straż skupiła się wokół króla i królowej. Otaczające Latonę gady wzajemnie ciskały w siebie ogniem. W Grocie Niespodzianek zamilkła nagle lira Amora. Cnoty moralne płonęły nad

monogramem króla. Za kukłą Bajkarza strumień zamienił się w słup ognia. Woda, która miała naśladować szelest liści i śpiew ptaków, szerzyła pożar wśród bajkowych zwierząt. Te żywe, z Menażerii, miały się bezradnie. Egipskie kury biegały, zdezorientowane, puma miauczała jak zwykły kociak, żyrafa prężyła szyję, stary słoń z Czandranagar trąbił, a ptaki rozbijały się o kraty.

*

Wieczne niebo, ziemia i woda zalały się ogniem. Podpalone przez pomyłkę lonty sztucznych ogni skwierczały, zanim w górę wystrzeliły snopy iskier, inne padały na ziemię i toczyły się po brzegach, niekiedy wpadając w tłum. Jak w bezwietrzny dzień, zewsząd wylaniały się zmienne figury, lecz nie z wody, a z płomieni. Fontanna Apolla wzbijała się w apoteozie, jakiej nigdy jeszcze nie osiągnęła, rysując ogromne, ogniste lilie, które świeciły na niebie.

„Party Time”.

Bajkarz podpalił Wersal.

Bajka Niespodzianka

FONTANNY KRÓLA

WIELKIE APARTAMENTY KRÓLA

SALON DIANY I GALERIA ZWIERCIADLANA

Przez kolejną godzinę panował nieopisany zamęt. Wkroczenie Pietra pokrzyżowało plany Bajkarza, który chciał poczekać z zamachem do rozpoczęcia balu. Jego posunięcie było desperackim gestem. Denis-Jolly i jego ludzie zdołali szybko opanować sytuację, jednak wiele osób doznało oparzeń. Muszkieterowie i lekka jazda sprowadzali medyków i ewakuowali ważne osobistości oraz rannych. Pietro pobiegł po studniarza, hydraulików i ich pomocników i nakazał im interweniować w różnych punktach ogrodu. Kiedy odcięto dopływ wody i ta przestała krążyć, ogień zaczął słabnąć. Zatrzymano maszyny, zakręcono zawory i krany. Dzięki wskazówkom Wenecjanina, za pomocą piasku i zwilżonych tkanin, dławiono płomienie. W rurach kanalizacyjnych, gdy dobiegła końca reakcja łańcuchowa, magma samoistnie wygasła. Mieszanina dolana przez Bajkarza na powierzchni wody w Wielkim Kanale nie mogła starczyć na długo. Gdy świadkowie całego zdarzenia otrząsnęli się z szoku i uwolnili od nieokiełznanego strachu, zaczęli się zastanawiać, czy ten nowy pokaz nie jest po prostu jedną z przewidzianych rozrywek dnia, choć o mało nie doprowadził do tragedii. Po zakończeniu akcji ratunkowej Pietro udał się do pałacu.

„Powróćmy do gry i zakończmy ją na dobre, przyjacielu!”.

Udał się do Skrzydła Północnego i poszedł do Wielkich Apartamentów Króla, czyli szeregu salonów, które w „wieczory apartamentu” - poniedziałki, środy i czwartki - stawały się miejscem rozrywek najwyższych dworskich kręgów. We wszystkich salonach ustawiano stoliki do gry, a na nich szachy, kości, karty. Viravolta minął Salon Herkulesa, potem Obfitości, który za Ludwika XVI stał się Salonem Gier. Zwykle to tu dworzanie rozgrywali karciane partyjki, gawędzili, przystawali na

chwilę, aby posłuchać markizy grającej na klawesynie jakąś melodyjkę albo popatrzeć na liryczne scenki prezentowane przez aktorów.

Stawiali tyle żetonów, że to miejsce chwilami przypominało szulernię. Tego wieczoru lokaje serwowali tu napoje, toteż część dworzan przyszła, by uspokoić się i zapomnieć o ostatnich wydarzeniach.

Salon Wenus. Pietro przyspieszył kroku. A zatem Bajkarz zdołał w końcu wykorzystać pomoc przymuszonego, zastraszonego Augustina Marienne'a. Królewski urzędnik zbyt późno zdecydował się uprzedzić Viravoltę o zagrożeniu. Augustin był starym lwem, który miał zwieńczyć dzieło Bajkarza, gdyby wszystko przebiegało zgodnie z planem.

Augustin Marienne, ostatni świadek do zgładzenia, ostatnia bajka... Chyba że... Bajkarz chciał

rozpoznać głównych współpracowników Sekretu, żeby usunąć przeszkody, a potem nie dopuścić do koronacji Ludwika XVI, wyzyskując słabość państwa w tym niespokojnym czasie... Mało brakowało, a zdołałby odmienić bieg dziejów. Dopóki ten człowiek żył, państwo było zagrożone. Ale Pietro, wbrew sobie, w pewnej mierze rozumiał cierpienia tej udręczonej duszy. Dramatyczne pytanie, które stawiał, wykraczało daleko poza jego osobiste problemy. I tu, za sprawą dziwnego zbiegu okoliczności, narzędziem działającym w imię racji stanu, miał się stać Pietro Viravolta.

PIES i CIEN JEGO W WODZIE - D'Eon, Saphir, Beaumarchais

MIŁOŚĆ i SZALEŃSTWO - Anna

MAŁPA KRÓLEM - Ludwik XVI

KONIK POLNY I MRÓWKA - Maria Antonina

ŻÓŁW I ZAJĄC - Dwór

LEW W STAROSCI - Augustin Marienne

Salon Diany. Jak za czasów Ludwika XIV pośrodku ustawiono stół bilardowy, bo w tej grze Król Słońce osiągnął mistrzowski poziom. Zazwyczaj stół przykrywano kremowym aksamitem ze złotymi frędzlami. Damy obserwowały grę, siedząc na ławkach, na podwyższeniu, co pozwalało im dokładnie widzieć jej przebieg i oklaskiwać uczestników.

Pietro poznał także czarną pelerynę, rzuconą pod plafonem Blancharda dokładnie przed *Ofiarowaniem Ifigenii*...

Zamarł.

Nieopodal zobaczył mężczyznę z kwiatem w butonierce. Tym razem nie była to angielska róża, ale nieśmiertelnik - symbol ofiary i wiecznego żalu.

Bajkarz spokojnie grał w bilard.

Zapewne dobiegał czterdziestki. Kilka zmarszczek świadczyło o wieku i przeżyciach minionych lat, pośród których wiele było złych. Patrząc mu uważnie w oczy, można było dostrzec iskry szaleństwa, dowód wiecznych zmagania z nękającymi go demonami. Ta walka zapisała się na jego twarzy także gniewną kreską ust i właśnie to nie pozwalało wierzyć we wrodzoną dobroć tego człowieka. Żył pomiędzy dwoma światami - między piekłem i niebem.

A Pietro wyczuwał w jego zachowaniu także osobliwe, budzące lęk dostojeństwo.

A zatem tak wyglądasz.

Bajkarz patrzył na niego z uśmiechem.

- Może zagramy, Orchideo?

Pietro podszedł.

- Dlaczegoż by nie, Bajkarzu... Nie znam dotąd twojego prawdziwego nazwiska.

Przez chwilę bawił się trzymanym w rękach kijem, który kilkakrotnie ze świstem przeciął powietrze.

Znowu się uśmiechnął.

- I nigdy go nie poznasz. Możesz nazywać mnie Jeanem z Francji albo Delfinem Znikąd, jak wolisz. Jean to imię, które nadała mi matka. Resztę dodałem.

Pietro podszedł do stołu. Bajkarz zaczął grę, uderzając czerwoną kulą dwie czarne.

- Zrobiłeś na mnie duże wrażenie, Viravolta! Zwłaszcza gdy udało ci się wydostać z klatki lwa. Nadal nie wiem, jak to zrobiłeś.

- Powiedzmy, że... i ja mam czasem kilka asów w rękawie.

Bajkarz znów pochylił się nad stołem i dopiero po chwili powiedział:

- To było zadziwiające. Nie spodziewaliśmy się, że pojawisz się u „Procope’a”. A, prawda, przecież ty o niczym nie wiesz! Mówiąc my, myślę o Saphir. Bo widzisz... ona pracowała dla nas.

- Saphir? I... co się z nią stało?

- Cóż... - mruknął, skupiony na grze. - Na twoim miejscu... raczej bym już jej nie szukał.

Pietro zagryzł usta. Bajkarz pokręcił głową - to uderzenie było niecelne.

- Rozumiem - powiedział Pietro, uderzając w kulę. - Dzięki niej i temu garbusowi zdobyłeś potrzebne informacje. Przede wszystkim poznałeś naszą tożsamość!

Uderzenie było mocne i precyzyjne. Kula potoczyła się po suknie.

- Tak, przyjacielu... Saphir, dawna agentka z Wenecji i Londynu! Świetnie się bawiłem!

Pietro zmrużył oko, patrząc na popiersie Króla Słońce dłuta Bernina, gdy Bajkarz przymierzał się do uderzenia. Po chwili rozległ się odgłos kul, które odbijały się od siebie i toczyły po suknie.

- Ale dlaczego? - zapytał Pietro. - Po co ten upór? Przecież wiedział pan, że to samobójstwo. Chyba nie liczył pan, że zdoła w pojedynkę zniszczyć państwo...

- Z pomocą Anglików wszystko byłoby możliwe... Viravolta, powiedz, czy miałem wybór? Jestem tylko owocem tego zgniłego królestwa, wykwittem gangreny, którą wciąż ukrywacie pod pudrem i perukami w Wersalu... Ty też należysz do innych czasów! Czarna Orchidea... Legenda, humanista-awanturk, zbuntowany idealista, godło epoki, która przywiedła i kona!

Bajkarz pochylił się, wpatrzył w kulę i przymierzył się do uderzenia.

- To nie może trwać. Świat się zmienia, mój drogi. Już nas nie chce... Jesteśmy żywymi relikdami...

- Dlaczego nie próbowałaś pomówić z Charles'em de Broglie?

Bajkarz wyprostował się i unióśł brwi.

- Ojciec tego spróbował, a ja doskonale pamiętam, czym to się skończyło... Tysiąc razy prosił o posłuchanie u króla! I wcale nie chciał go obalić, Viravolta! Nie zamierzał nawet walczyć o moje prawa... Chciał sprawiedliwości, tylko sprawiedliwości! Tylko tego, by Jego Wysokość nie porzucił na łaskę losu części samego siebie! Żeby mnie uznał! A ty ze mnie drwisz? Czego miałem oczekiwać - sam ze swoją prawdą przeciwko całemu królestwu?

Królestwu, które w innych czasach, w innej sytuacji, mogłoby mi przypaść? Zabiłbyś mnie tak, jak zabiłeś mojego przybranego ojca. Jedyne go człowieka, poza moją matką i prawdziwym ojcem, który znał całą prawdę. Ten kapłan mnie kochał. Wszystkiego mnie nauczył. I pokazał mi światło, Viravolta. Światło Sprawiedliwości. A ja walczyłem z gwiazdami. Z moją gwiazdą, która przez was stała się przeklęta.

- Sprawiedliwość? - syknął Pietro. - Ta, która skazała Rosette na śmierć w pułapce na wilki?

Bajkarz zacisnął zęby.

- Nie baw się w nauczyciela moralności! Wydaje ci się, że wiesz, czym jest zło... A czy wiesz, Viravolta, co znaczy spędzić dzieciństwo, tuląc się do książki z wierszami i modląc w ciasnej komórcie, by wyrwać się z tego piekła? Czy wiesz, jak to jest być na co dzień ofiarą podłości głupich, brutalnych dzieciaków? Nie, ty tego nie wiesz!

Jego usta drżały.

- Czy wiesz, co znaczy odkryć u progu młodości prawdę o sobie i swoim pochodzeniu? Znasz radość oswobodzenia, spokój, jaki dają zrozumienie i miłość, i palący ogień zemsty, który niszczy wszystko na swojej drodze? Nie, bo nigdy tego nie zaznałeś!

- To niczego nie usprawiedliwia. Stałeś się potworem.

- Potworem? Tak, Viravolta, jestem mrocznym poetą, ale się nim nie stałem! Zawsze nim byłem, bo od urodzenia byłem skazany na taki los! Od urodzenia byłem tylko krzykiem i goryczą! Wy wszyscy ukradliście mi moje życie! Wy powiedzieliście, że jestem potworem, odbiciem waszego zepsucia i hańby! Istotą którą odrzucacie, której zamykacie usta. Ale potwór wrócił, Viravolta, i domaga się tego, co mu się należy! Owszem, jestem waszą hańbą!

Hańbą niegodnej władzy!

- Mogłeś wybrać inne życie!

Bajkarz rzucił mu spojrzenie, w którym cynizm łączył się z głębokim smutkiem.

- Nie, Viravolta, i w tym cały problem. Nie mogłem...

Jego oczy błyszczały, pierś się unosiła. Jakby brakowało mu tchu... i nagle się uspokoił. Odzyskał panowanie nad sobą. Już odprężony, uśmiechnął się.

- W dniu śmierci ojca wszystko stało się jasne. Dzięki Saphir, wtedy przebywającej w Londynie, poznałem Stevensa. Dla agentów Sekretu, którzy spiskowali przeciwko mnie, zaplanowałem wyjątkowy koniec. Oczywiście, pan - mistrz nad mistrzami - znalazł się na czele tej listy. To panu dałem książkę z bajkami. „Dla Pietra Viravolty de Lansalt”. Dla człowieka, który przeszedł przez dziewięć kręgów Piekła! Klucz, książka dla godnego mnie przeciwnika... Dziesięć ostatnich. *Last but not least...* Czy te bajki się panu podobały?

Zachichotał.

- A czymże jest to królestwo, jeśli nie grą pozorów? Komedią pyszałkowatych zwierząt?

- Komedie stu różnych aktów...

- Trochę miłości, trochę nienawiści?

- Róża kontra orchidea!

Bajkarz uśmiechnął się. Zderzyły się dwie kule.

- A teraz?

Wyprostował się.

Stali twarzą w twarz, po dwóch stronach stołu.

- Wiesz, że wszystko przepadło.

Pietro miał wrażenie, że usta Bajkarza drżały, gdy odparł:

- Dla mnie już dawno wszystko przepadło.

- A może załatwimy to ostatecznie, tylko my dwaj?

- Uczciwie?

- Uczciwie.

Złożyli kije bilardowe na stole. Pietro wskazał Bajkarzowi wyjście.

Minęli Salon Marsa, potem Merkurego. Tu, pod plafonem, po którym Apollo przemierzał niebo swym wozem, stał tron Ludwika XV na szczególnie ważne ceremonie, jak niegdyś srebrny tron Ludwika XIV. Bajkarz przełknął ślinę, zatrzymując na nim wzrok, a potem wszedł do Salonu Wojny. Pietro polecił strażom, by nie interweniowały, cokolwiek się stanie.

I wreszcie dotarli do Galerii Zwierciadlanej.

Pietro stanął na środku sali. Bajkarz na wprost niego.

Pietro zawahał się.

A potem ukłonili się sobie.

W pałacu życie wracało do normy - właśnie zaczynał się bal.

Bal kostiumowy.

*

Stanęli naprzeciw siebie w tym wnętrzu o doskonałych proporcjach. Wenecjanin zrzucił płaszcz. Żyrandole rozświetlały salę od Salonu Wojny po Salon Pokoju. Cała galeria mieniła się i migotała. Tam, gdzie szykowały się do walki dwie siły, drzewka pomarańczowe jakże myląc łagodziły scenerię. Pietro i Bajkarz zbliżyli się do środka galerii, której okna przysłaniały adamaszkowe zasłony. Ta chwila była niepowtarzalna, niepowtarzalna jak gest Wenecjanina, którego zręczna ręka wyciągnęła się ku podłodze, zarazem witając i wypowiadając walkę, i jak ruch jego przeciwnika, który uniósł rękę za plecami. I jak dobrze zamortyzowane ugięcie kolan czy cisza oznaczająca: „Jestem gotów. Chcę z tym skończyć”.

Ale... co tu się dzieje? Bo właśnie za ich plecami, w drzwiach sąsiednich salonów, zaczynał

gromadzić się tłum. Zdumieni dworzanie obserwowali pojedynkujących się. Wkrótce ściągnęli tu niemal wszyscy. Tego wieczoru noszono maski zwierząt. Byki, kruki, lisy, lwy, osły, woły, gepardy i inne stworzenia były niczym chór z nocnych rojeń. W dali pobrzmiwała muzyka, której przejmujące tony podkreślały irrealistyczny charakter tego widowiska. Tłum zdawał się reagować na melodię. Była łagodna niczym fala w pogodny dzień albo kołysanie gałęzi na lekkim wietrze. Można by pomyśleć, że odbywa się tu zgromadzenie wróżek, a może członków tajnego bractwa, którzy przybyli, żeby dopełnić rytuału. Anna Santamaria w masce wilczycy precyzyjnie przycisnęła się do przodu. Cosimo jako

gepard dołączył do niej i położył dłoń na rękojeści szpady, gotów do walki.

Matka powstrzymała go spokojnym gestem.

Zamknięte w ramach, krystalicznie czyste zwierciadła tworzyły jedyny w swoim rodzaju kalejdoskop, odbijając wiele, wiele razy sylwetki zbrojnych tancerzy. Widziały już tyle przemocy i tyle znakomitości! Czterdzieści pięć lat w zgiełku, jaki towarzyszył

wznoszeniu rusztowań, drabin uderzających o ściany, kosztownego rzeźbienia i tworzenia malowideł, układania kamieni, przesuwania, przetaczania i pyłu. A wszystko po to, by wydobyć piękno z kamienia. Lustra w swych krystalicznych źrenicach zachowały pamięć tych dni. Pamiętały Króla Słońce jako zakochanego młodzieńca i jako mężczyznę w sile wieku, otoczonego absurdalną aureolą chwały przytłaczającą świat czymś, co go przerastało, gdy starość przygięła go do ziemi. Wciąż rozbrzmiewało tu echo kroków Racine'a, który szedł z rękopisem *Estery* pod pachą, by spotkać się z panią de Maintenon. Obok snuł się subtelny, nieco sztuczny cień pani de Pompadour, który rozpływał się i znikał w wieczór prezentacji wystraszonej pani du Barry, zwierciadła opiewały różaną cerę jasnowłosej, szesnastoletniej Marii Antoniny, poszukującej własnej drogi, nieosiągalnej, bo wiodącej po już przywiedłych płatkach młodości, którą jej ukradziono.

Szermierze tańczyli przed nimi, rzucając wyzwanie historii.

Wersal!

*

Zaczęli pojedynek.

Najpierw Pietro ruszył, unosząc rękę ponad bark, chowając kciuk i wyprężając ramię.

Potem Bajkarz wyciągnął rękę do przodu, obracając wierzch dłoni ku górze. Raz, dwa, trzy, jak Calvacabo, jak Giganti i Dancie, mistrzowie szermierki dyktowali rytm tej walki, ale rządził nią również taniec. Pojedynek był zgodny z wszelkimi regułami. Wenecjanin przybrał

pozycję *terza*, uginając ramię i trzymając rękę na wysokości prawego biodra, z palcami zwróconymi ku dołowi. Potem była *quarta* Bajkarza, który przesunął rękę w lewo i unosząc dłoń, ustawił ostrze horyzontalnie. Pietro zaatakował, a potem odskoczył, by znaleźć się poza zasięgiem przeciwnika. Bajkarz ripostował, cofał się i zaatakował. Tempo walki rosło. Jeden przesunął nogę, drugi rękę, jeden wyciągnął ramię, drugi zadawał cios. Cięli, parowali, osłaniali się, odkrywali i cofali, wykonywali zwroty i wolty, drobne ruchy nadgarstka, chroniąc się i powstrzymując ataki. Padały ciosy, broń uderzała o siebie, zataczała łuki, cięła powietrze! Pietro znowu przechodził do ofensywy. Jego szpada uderzyła o ostrze wroga, przez moment jakby się mocowali, a czas zamarł. Potem odsuwali się od siebie. Pietro wykonał obrót, unikając następnego ciosu, Bajkarz zrobił dwa kroki w tył. Dworzanie obserwowali każdy ich ruch. Słychać było okrzyki. Szczęk broni wypełnił wnętrze. Ostrza kreśliły arabeski w powietrzu. Umiejętności, wirtuozeria tych dwóch mistrzów były lekcją dla widzów. Walce wtórował szelest ubrań i krótkie okrzyki szermierzy. Wielu dworzan z zapartym tchem powtarzało ich gesty. Pochyl się! Teraz w górę!

W pewnym momencie Viravolta popełnił fatalny błąd. Zadał cios, ale Bajkarz, cofając ramię na sposób włoskiego *scanso*, znakomicie go uniknął. A potem podjął kontratak i jego szpada rozcięła rękę Wenecjanina. Viravolta cofnął się, krzyząc z bólu.

Ich oddechy się spotkały. Zwierzęta z bajek otoczyły ich ciasniejszym kręgiem.

„Komedia w stu aktach...

Posłużyć się zwierzętami, żeby uczyć ludzi...

Ukazywać ułomności i zło społeczności ludzkiej...

A jakimi zwierzętami jesteśmy my?”

Poląła się krew. Pietro odparował cios przeciwnika. Teraz Bajkarz popełnił błąd, bo zrobił wypad i pozostał z wyciągniętą szpadą i ugiętym kolanem. Pietro wykorzystał fakt, że przeciwnik się odsłonił, i błyskawicznie ripostował. Wytrącił Bajkarzowi broń i już uznał się za zwycięzcę. Pomylił się, bo gdy chciał rzucić się na wroga, ten wyciągnął dwa sztylety zza pasa.

Przez moment ostrza śmigwały w jego rękach. Pietro przez ułamek sekundy widział

siebie z podciętym gardłem i zmasakrowaną twarzą. Zawirował, unikając ciosu i odskakując w tył. Przy tym jednak stracił równowagę, pośliznął się i upadł na idealnie wyfroterowany parkiet, zostawiając na nim smugę krwi.

Bajkarz zaśmiał się, odrzucił sztylety i podniósł szpadę.

Pietro był w tej chwili bezbronny. Ostry ból przeszywał mu ramię.

- To już koniec, Viravolta!

Bajkarz ruszył na niego.

- Pietro!

Głos Anny Santamarii był dźwięczny i donośny. Nie zważając na krynolinę, uklękła i wyciągnęła wsunięty za podwiązkę sztylet.

Zręcznym ruchem ręki pchnęła go po parkiecie w kierunku Viravolty.

Wszystko potoczyło się błyskawicznie.

Pietro chwycił sztylet. Gdy Bajkarz rzucał się na niego, przeturlał się po podłodze, krzyząc z bólu. Ostrze szpady Bajkarza wbiło się w podłogę pośród drzazg drewna. Pietro zebrał siły i zamachnął się, celując w nogę wroga. Ten zawył i przyklęknął, tracąc równowagę. On także wypuścił broń z ręki.

Pietro wykorzystał okazję - chwycił szpadę Bajkarza i, zanim tamten zdążył

cokolwiek zrobić, przebił go ciosem tak potężnym, jakby nabijał go na ruszt.

Zakrwawione ostrze pojawiło się na plecach mężczyzny. Bajkarz zaczął się krztusić.

Wokół nich cała ta zamaskowana gromada - byki, żaby, jaszczurki, kruki, lisy, lwy, osły, woły, gepardy i różne baśniowe stwory - zaczęła bić brawo. Tak odbył się i zakończył

najwspanialszy, najbardziej tajemniczy pojedynek w Wersalu i tak przesądziły się losy królestwa Francji - pośród śmiechu i groteski. Widzowie śmiali się, bo znowu sądzili, że to komedia. I było tak, dopóki pałacowe straże nie zdecydowały się wkroczyć do akcji.

- Ależ... To zakazane! - krzyknął szwajcar, który nadbiegł pierwszy.

Pietro zbliżył się do konającego Bajkarza, jak niegdyś na dachu do jego przybranego ojca.

Uniósł jego głowę i szepnął:

- Chyba to już koniec naszej walki i bajkowej historii. Jaki jest morał? Proponuję tę o rybaku. Pamiętasz, jak się kończyła?

Bajkarz zebrał siły i uśmiechnął się.

- Jednego możesz być pewien, dwóch już nie - odparł, plując krwią.

Jego dłoń drżała w ręce Viravolty.

To właśnie tu w niespokojną noc Bajkarz porzucił udręczone ciało Rosette i swą ukochaną książkę z bajkami. Na tej podłodze jego krew mieszała się z krwią ofiary.

Pietro wstał. Anna zbliżyła się do niego. Zwierzęta wciąż klaskały.

Wtedy jeden z gości w masce kota zrobił coś absurdalnego, rzucając drobną monetę:

- Za występ.

Anna Santamaria spojrzała na niego zza maski wilczycy i gniewnie złożyła wachlarz.

Pietro głęboko westchnął.

Wyszedł wreszcie z tego Labiryntu i zwyciężył.

Last but not least, październik 1775

Wszystko odeszło; wielkości zagasł blask;

Dziś sen i samotność.

Bogowie dawniej tu obcy i sztuka, i wiedza

Tworzą twój nowy dwór.

ANDRÉ CHÉNIER, *Wersal*

Dwa tysiące osób zebrało się w królewskiej kaplicy. Pietro klęczał przed Ludwikiem XVI. Coypel zapowiadał nadejście Mesjasza, La Fosse oddawał cześć Chrystusowi zmartwychwstałemu, a Duch Święty z fresku Jouveneta zstępował na Maryję Pannę i Apostołów - i sceny te podnosiły znaczenie tej ceremonii.

Ustanowiony trzydziestego pierwszego grudnia 1578 przez Henryka III, w targanej wojnami religijnymi Francji, Order Świętego Ducha był symbolem jednego z najznakomitszych zakonów rycerskich monarchii francuskiej i jednym z najwyżej cenionych w Europie. Zadaniem rycerzy było chronienie króla Francji jako osoby świętej. Order otrzymywali zwykle najwyżsi dygnitarze państwowi. Kawalerów Orderu, a łącznie było ich stu, wybierano spośród najznakomitszej arystokracji, spośród ludzi, którzy byli w stanie dowieść trzeciego stopnia szlachectwa. Oczywiście najliczniej reprezentowane były rody książęce. Jako kawalerów Świętego Michała najczęściej wybierano ich członków, a nazywano ich Rycerzami Króla.

Pietro wstał. Władca wręczył mu order. Zawieszony na szerokiej, błękitnej wstędze, przypominał Krzyż Maltański z ośmioma ostrymi krańcami czterech ramion. Pomiędzy ramionami znajdowały się lilie, pośrodku rozpostarł skrzydła gołąb. Ludwik XVI uśmiechnął

się. Pietro patrzył na tę twarz o głęboko osadzonych oczach, wydatnym nosie i pełnych ustach. Tusza przydawała mu, o dziwo, charyzmy. Emanował od niego spokój i nowa władczość, zapewne dlatego, że po koronacji w Reims zaczął rzetelnie wypełniać swe obowiązki.

Król pochylił się i powiedział do Czarnej Orchidei:

- Hrabia de Broglie poinformował mnie o pańskich dokonaniach. Zabiegał dla pana o order, którego sam jest kawalerem. Wiem, jak wiele panu zawdzięczamy. Mówiąc my, mam na myśli siebie i moją małżonkę, a także Francję. - Uśmiechnął się i dodał z satysfakcją: - Ale przecież to prawie to samo...

Pietro nie ośmieliłby się uświadomić Jego Wysokości, że wie mniej, niż sądzi.

Królowi nawet nie przyszło na myśl, że Bajkarz mógłby być jego stryjem, bo był przecież bękartem jego dziadka, a zatem - pretendentem do tronu. W rzeczywistości król odznaczył

Pietra, nie wiedząc dokładnie za co, choć oczywiście nie było wątpliwości, że Viravolta ocalił

królestwo i dobrze mu służył. Broglie całą prawdę zachował dla siebie. Tylko Maurepas, za sprawą Vergennes'a, został poinformowany o szczegółach sprawy.

Ludwik XVI zniżył głos:

- Jest pan pewien, że nie wolałby pan zostać muszkietierem?

Słyszając to, Pietro pozwolił sobie na uśmiech.

- Dziękuję, Wasza Wysokość, ale najlepsze miejsca są już zajęte.

Król pokiwał głową.

- W pewnym sensie to lepiej. Nawet pan sobie nie wyobraża, jak drogo oni nas kosztują. Zastanawiam się, czy ich nie zlikwidować. Ale niech to zostanie między nami...

wiem, że potrafi pan dochować tajemnicy.

Spojrzeni na siebie porozumiewawczo, a potem król rozłożył ręce i oświadczył:

- Przyjaciele... Możecie polegać na nowym kawalerze!

Czarna Orchidea odwrócił się. W kaplicy rozległy się gromkie brawa, Anna Santamaria i Cosimo klaskali najmocniej. Charles de Broglie, który stał nieopodal wyprężony jak struna, lekko skłonił głowę.

Wkrótce, tuż po ceremonii, Anna podeszła do Pietra.

Szepnął lekko ironicznym tonem:

- Aniele, widziałaś, dostałem medal...

Ucałowała go, a Cosimo dodał, uśmiechając się kącikiem ust:

- Wystarczyłby kwiat, jak kiedyś.

*

Dworzanie rozstąpili się przed królową.

Promienna, ubrana w srebrzystą suknię w róże, Maria Antonina z typową dla siebie gracją szła przez kaplicę.

Wydawało się, że dawne obietnice z wiedeńskich lat dzieciństwa zaczęły się spełniać: jej uroda kwitła - a może królowa tak umiejętnie ją podkreślała. Jej Wysokość wciąż miała smukłą sylwetkę, choć taki znawca jak Pietro zauważył, że nabrała pełniejszych kształtów. Jej szaroniebieskie, szeroko rozstawione oczy były żywe i bardzo wyraziste. Mimo że mocno się pudrowała, widać było, że jej włosy straciły kolor z lat dzieciństwa i stały się kasztanowe.

Królowa dbała, by osłaniać zbyt wysokie czoło i dlatego jej fryzury były bardzo wyszukane.

Dziś wpięła we włosy diamentową spinkę, a w loki wplotła perły i wstążki. Nie mogła tylko ukryć orlego nosa i wargi Habsburgów. Teraz, zamiast szala, narzuciła na suknię aksamitną pelerynę w haftowane lilie, obramowaną gronostajami i wiązaną brzoskwiniową szarfą. Maria Antonina zawsze

potrafiła skomponować wdzięczną całość, choć czasem tego wdzięku brakowało w szczegółach i może dlatego porównywano ją z mitologicznymi najadami. Pietro uśmiechnął się, wspominając, co niegdyś powiedział o niej Horace Walpole: promieniała jak gwiazda, a kiedy pojawiła się na balu i nie tańczyła w rytm, „to z pewnością rytm mylił

kroki”.

- Nasz wenecki szlachcic! - powitała go. - Od dziś jest pan także francuskim szlachcicem... Pamięta pan ten dzień, kiedy został mi przedstawiony i to, co wówczas powiedziałam? Miałam rację, Orchideo. Wiedziałam, że zawsze mnie pan ochroni...

- Wasza Wysokość jest bardziej królewska niż kiedykolwiek - odparł Pietro w zamyśleniu.

Uklonił się i pocałował ją w rękę, jak dawniej.

Królową rozbawił jego komplement. Otoczona przez kawalerów, zwróciła się do Anny:

- Czuwaj nad swoją Orchideą markizo de Lansalt - powiedziała z uśmiechem i wciągnęła rękawiczkę. - Dobrze wiem, że płatki tego kwiatu wciąż są... takie świeże.

Po pożegnaniu Anna i Pietro odprowadzili ją wzrokiem.

- Mam nadzieję, że wciąż masz jedną królową? - szepnęła Anna.

Pietro w odpowiedzi uśmiechnął się i objął ją w talii.

*

Teraz, u boku króla, Maria Antonina opuszczała kaplicę. Za nimi szli kawalerowie i dworzanie. Po koronacji wszyscy wrócili do Wersalu w radosnej atmosferze. Para królewska z nadzieją patrzyła w przyszłość. Po namaszczeniu Ludwik XVI jakby zyskał na dostojęństwie. Zmęczona uroczystościami, ale uradowana przychylnością poddanych, królowa znowu organizowała bale i przyjęcia, choć poczynania Bajkarza wywołały lekką panikę wśród dworzan. Król i królowa mieli po dwadzieścia lat, a Francja leżała u ich stóp.

Choć ciągle czekali na następcą tronu, darzyli się czułością. Dwór odzyskał dawny blask. Co prawda, królowej nie udało się doprowadzić do powrotu Choiseula, ale to był drobiazg. Maria Antonina szczerze wierzyła, że da swemu ludowi cuda, których oczekuje.

*

W Galerii Zwierciadlanej Pietro spotkał się z Charles'em de Broglie. Szef Sekretu podszedł do niego. Gluck, sławny kompozytor, który stał nieopodal i prezentował się wspaniale w aksamitnej czarnej pelerynie i koronkowym żabocie, pokłonił się Marii Antoninie. Nieco dalej pani Vigée-Lebrun także witała monarchinię. Ta malarka miała wkrótce wykonać najbardziej znane portrety królowej. Pietro zamierzał nawiązać rozmowę ze swym starym mentorem z Sekretu, gdy przemknęła przed nim jak kometa, jak lalka na resorach, Rose Bertin.

Przystanęła i mrugnęła do Pietra.

- Och, pan de Lansalt! Pańskie przygody stały się dla mnie inspiracją!

Zaprojektowałam dość szczególny kapelusz, który ozdobię między innymi szpadą i kwiatem...

Zaśmiała się wesoło i podreptała dalej w czółenkach w stylu królowej - na obcasach, dziś bardzo wysokich.

- Nazwę go... kapeluszem z orchideą!

Pietro uśmiechnął się i skłonił głowę.

- Nie wyobraża sobie pani, jak mi to schlebia.

- Ponoć mam wyjątkową wyobraźnię, panie de Lansalt, niech pan zatem uważa na słowa!

Roześmiała się i odeszła.

Pietro pokręcił głową i wrócił do Charles'a. Brogie położył mu rękę na ramieniu.

- Viravolta, pomówmy chwilę o kuchni. Podążyliśmy tropem wypchanych zwierząt Bajkarza, dzięki ptakowi znalezionemu na grobie. Trzech moich ludzi przypłaciło to życiem.

Nie licząc... jednej kobiety, biednej Saphir! Zdradziła nas? Boże, w przyszłości będziemy musieli być jeszcze bardziej czujni!

Charles pokiwał głową a potem dodał:

- Znaleźliśmy pracownię Bajkarza. To niedaleko stąd, przy drodze do Saint-Cyr.

Gdyby pan wiedział, co tam znaleźliśmy... Mnóstwo wypchanych zwierząt, inne już spreparowane albo przynajmniej wypatroszone. I książki. Głównie chemia. Kazałem to wszystko poddać ekspertyzie. Powiedział mi pan jednak, że ta receptura greckiego ognia znów popadła w zapomnienie?

- Myślę, że zginęła na dobre, razem z Bajkarzem. Widziałem, jak płonie coś i, jeśli wierzyć jego słowom, był to już ostatni dokument podający jej skład. Ponoć nauczył się go na pamięć. I, jeśli można to tak ująć, zerwał kontakty z lordem Stevenssem.

- Oby. Proszę sobie tylko wyobrazić, co by się stało, gdyby ową recepturę przechwyciło wrogie mocarstwo. A jeśli chodzi o tego biedaka... Na szczęście nikt się nie dowie, co nam groziło. Teraz igraszki króla w Parc-aux-Cerfs są już przeszłością.

- To nie ulega wątpliwości! - rzekł Pietro, unosząc brew i patrząc w stronę Ludwika XVI. - Ale co ze Stevenssem?

- Stormont jest bliski zamknięcia tej sprawy. Siatki wspierające Stevensa we Francji i Anglii zostały rozbite. In formacje o knowaniach lorda dotarły do króla Jerzego. To już tylko kwestia czasu. Zaufajmy Anglikom, potrafią wykazać się siłą. Mają duże doświadczenie w dziedzinie służb specjalnych.

- Och, nie wątpię, że te będą się jeszcze rozwijały - dodał Pietro.

Przez chwilę kłaniali się przechodzącym obok ludziom. Potem uśmiech zniknął z twarzy Pietra.

- Charles... I pan, i ja wiemy, co się wydarzyło. Ochroniliśmy tym razem młodą parę królewską, ale doprawdy, męczą mnie ciągle ukrywanie błędów naszych poprzedników.

Rozumie pan, co mam na myśli. Nasze tak zwane wyczyny nie zasłużyły na te żalosne odznaczenia. Gdyby pan nie nalegał, obszedłbym się bez tego.

Brogie spojrział mu prosto w oczy.

- Proszę mi wierzyć, że doskonale pana rozumiem. Ale władzy potrzebne są takie chwile. Chronić królestwo, Viravolta. Na tym polega moja misja. I pańska. Czy chodziło o pseudodelfina, czy o jakiegokolwiek błędy i grzeszki króla, Bajkarz był groźnym szaleńcem i obłąkanym mordercą. Ktoś musiał ubrudzić sobie ręce. To polityka, przyjacielu. Co do reszty... Historia jej dokona, z naszym udziałem lub bez.

Poklepał go po ramieniu.

- Teraz wyraził pan istotę naszego fachu.

Przez chwilę milczeli. Potem odezwał się Charles:

- Jednak musimy się zająć kolejnymi sprawami.

*

Jeszcze raz szef Sekretu starał się znaleźć wyjście z trudnej sytuacji osobistej.

Odesłany do Metz, gdzie powrócił do kariery wojskowej, od której zaczynał, uporał się z goryczą porażki. Koniec Sekretu był wprawdzie faktem, ale tylko na pozór, bo agenci i cała siatka wciąż byli do jego dyspozycji. Nic się nie skończyło. Ledwie uporał się ze sprawą Bajkarza, a już inna, wcale niebanalna, zaczęła go nękać. Teraz stała się głównym celem.

Skinął na młodego człowieka, który wydawał się nieco zagubiony w Galerii Zwierciadlanej.

Stał, rozglądając się z zaciekawieniem. Brogie uśmiechnął się do Viravolty, gdy chłopak szedł w ich stronę.

- Cóż, panu mogę wyznać, że Metz jest śmiertelnie nudny. Manewry są pozbawione sensu, tracimy tylko czas, od piętnastu lat nie było wojny. To żalosne. Ale przynajmniej jestem na świeżym

powietrzu. A od czasu do czasu zawieram ciekawe znajomości, na przykład z tym młodzieńcem!

Przedstawił Viravolcie chłopaka wyglądającego na siedemnaście lat. W pierwszej chwili młody znajomy Brogliego wydawał się raczej nieśmiały. Ukrywał, jak mógł, gęstwą rudych włosów pod peruką. Opierając dłoń na rękojęści, powitał Viravoltę. Zapewne należał

do grona chłopców, których Charles de Broglie, dla zabicia czasu, poddawał testom z myślą o przyszłym werbunku. Nosił galony kapitana i Pietro już po chwili dowiedział się, że dowodzi kompanią dragonów pod rozkazami księcia de Poix. Broglie protekcjonalnie położył mu rękę na ramieniu.

- Gilbert de la Fayette - przedstawił się chłopak z wymuszonym uśmiechem.

Pietro także się przedstawił, a Broglie podjął:

- Nasz przyjaciel gościł na kolacji, którą niedawno wydałem. Niech pan sobie wyobrazi, Viravolta, że zaprosiłem także Jego Królewską Wysokość księcia Gloucester z małżonką. Księżę przebywa na mniej lub bardziej przymusowym wygnaniu. Jego brat, król Jerzy III, nie może mu wybaczyć, że zlekceważył jego zdanie i pojął za żonę śliczną księżniczkę, owoc grzesznej miłości Edwarda Walpole z bieliźnianą. Mieli córkę. Wybuchł

skandal... Spotkanie na kolacji było wielce pouczające. Gloucester otwarcie krytykował

politykę, jaką jego brat prowadzi w Ameryce. Bez wahania mówił prawdę o deptaniu praw i wolności osadników! Potępia Stamp Act i ostatnie decyzje. Jego zdaniem król zapomina o zasadach, dzięki którym monarchia angielska stała się potęgą. O czym mówi? O walce zbuntowanych osadników o wolność, Viravolta! Księżę twierdzi, że jesteśmy o krok od wojny. Dziękuję, Gilbercie.

Chłopak natychmiast odszedł, a Broglie zbliżył się do Pietra.

- Tak, wiem, co pan teraz myśli. Rzeczywiście, jest jeszcze trochę zielony. Ale sądzę, że szybko się wyrobi. Teraz marzy, by podjąć walkę, wspierając buntowników. To nasze nowe granice! A pan... Co zamierza pan robić?

Pietro uśmiechnął się.

- Jeszcze nie wiem. Mam ochotę wrócić do Wenecji. A może pozostanę na służbie tu, w Wersalu, przy królowej.

- Albo dołączyć do nas - rzucił Charles, także się uśmiechając.

Położył rękę na ramieniu Viravolty. Tym razem w jego geście nie było protekcjonalizmu.

- A może powinienem powiedzieć: zostanie pan z nami?

Patrzyli na siebie w milczeniu. Potem Charles podjął szeptem:

- Wie pan, że zawsze będę potrzebował Czarnej Orchidei do rozwiązywania poważnych problemów. Niech pan pomyśli o Ameryce... Walka o wolność!

- Pomyślę! - obiecał Pietro ze śmiechem. - Ale skoro już o tym mowa... Proszę mi powiedzieć, jak miewają się nasi przyjaciele... Kawaler d'Eon i pan de Beaumarchais?

- A, ci... Niech pan o nich nawet nie wspomina! Beaumarchais wrócił do Anglii, żeby zapobiec pojawieniu się pamfletu na królową i króla... Zarekwirował go i po setce perypetii, z których połowę wymyślił, poszedł złożyć niecne dziełko u stóp Marii Teresy. Uznała go za szaleńca. Teraz biedak nie wie, jak wrócić do łask. Widział pan jego *Cyrulika sewilskiego*?

Odniósł ogromny sukces. I znowu ledwie się wywinął! Ten człowiek ma niezwykły dar: zawsze potrafi się wykręcić. Trzeba stale mieć go na oku. Teraz planuje wplątać się w sprawy amerykańskie. Zabiega o spotkanie z tajnym przedstawicielem buntowników, Arthurem Lee.

Co do d'Eona... Boże drogi...

Hrabia ciężko westchnął, pocierając powieki.

- On także wrócił do Londynu, ale uznał, że pensja, przyznana mu po rozwiązaniu Sekretu, jest żałośnie niska... Krzyczy, chce oficjalnej rehabilitacji. Wciąż jest w posiadaniu pewnych istotnych informacji i dokumentów i grozi ich ujawnieniem! Próbowaliśmy go od tego odwieść, bo być może jeszcze się na coś przyda. Wysłałem do niego Beaumarchais'go, ale przerobił go na swoje kopyto! Proszę sobie wyobrazić, że Beaumarchais ciągle uważa go za kobietę. W Londynie d'Eon zachęcał go, żeby to sprawdził własnymi rękami! Wystarczy kawałek sznurka, ale nasz przyjaciel jest taki zaślepiony! Zna pan d'Eona. Trochę pozmyślał, potem grał zadurzoną panienkę, pozwolił się nazywać „dragonieczką”... I Beaumarchais wrócił przekonany, że podbił niewieście serce! W Paryżu mówiło się o ich ślubie. Och, cóż to by było za wesele, no i noc poślubna! I dla jakiego Figara! Nadal negocjujemy. D'Eon okopał

się na Brewer Street jak w fortecy, ale mam nadzieję, że wkrótce uda mi się znaleźć wyjście z tej sytuacji. Tymczasem w Londynie będą obstawiali zakłady o jego płeć, a Beaumarchais nie przestanie trwonić pieniędzy. Nawet pan sobie nie wyobraża, jak oni mnie męczą...

Przyjacielu, daję słowo - gra wciąż się toczy.

Charles miał rację - los znowu rzucał im wyzwanie. Sprawy, z którymi walczył

Sekret, nie przestawały istnieć tylko dlatego, że struktura została rozwiązana. Należało się spodziewać nowych wrogów, nowych paszkwili, absurdalnych planów, manewrów politycznych i ryzykownych misji, w które trzeba będzie angażować łotrów i transwestytów.

To była kuchnia polityki. Racje stanu. Pietro pokiwał głową, uśmiechając się jak człowiek, który nie ma już złudzeń. Potem odsunął te myśli i postanowił się nacieszyć tym dniem.

Niedługo opuścił Galerię Zwierciadlaną i wyszedł na tarasy.

*

Spoglądał na ogrody. Fontanna Wojny i Pokoju. Klomb Latony. Fontanna Apolla, daleko na prawo, a po lewej Oranżeria.

I Labirynt. Lasek już zniknął, był tylko wspomnieniem, bo z rozkazu króla rozpoczęto gruntowne prace mające odmienić park. Maria Antonina z marzeń starego Perraulta i Le Nôtre'a tworzyła ogród bliższy jej upodobaniom. Wkrótce zamiast Labiryntu pojawi się ogród w stylu angielskim, pełen drzew z odległych wysp i zostanie nazwany Laskiem Królowej. Zwierzęta pójdą w zapomnienie. Nie będzie już śladu po bajkach. Planowano inne pejzaże, nowe formy i kształty, ale i rewitalizację pierwotnych grup zieleni. Zamierzano sadzić nowe drzewka, wrócić do ogrodzeń i bramek w gabineciech, wyczyścić wszystkie posągi. Hubert Robert pracował nad planami stawów, jezior i sztucznych strumieni. Brał przy tym pod uwagę kształt parku przed i po pracach.

Wersal miał się zmienić na zawsze. *Tempus fugit*, a jednak połączenie ulotności z niezmiennością było bardzo wzruszające.

*

Pietro stał na tarasach, obserwując zachód słońca. Jego serce drżało pod wpływem niezrozumiałych emocji. Patrzył na klomby i fontanny.

Fontanny króla... Droga mądrości...

Pomyślał, że życie tętniące w jego żyłach przypominało te stawy, te krystaliczne strumienie.

- Przepraszam - mruknął do siebie - nie potrafię nad sobą panować. Wiem, że za bardzo się przejmuję, ale to silniejsze ode mnie...

Pęd życia. Fala. Fontanna. Źródło. Życie. Wyścig z dziełem stworzenia. Wyścig ze śmiercią. I znowu wrócił myślami do La Fontaine'a i jego *Amora i Psyche*.

Moja Muza na próżno się sili, by opisać ten potop,

Choćbym twardym głosem dosięgnął niebios,

Nie zdołam ich piękna wyrazić.

Właściwie ja także jestem Bajkarzem. I po co to wszystko? Po co opowiadać te bajki, baśnie, te zmyślane historyjki? Po co snuć marzenia o potędze, o boskiej mocy, o dawaniu i kochaniu, a przede wszystkim o tym, że ktoś nas darzy miłością? Po co ta gorączka życia?

Dla rozkoszy odczuwania, współodczuwania, marzenia i wprawiania w rozmarzenie, wiary w coś i dawania wiary, zdrady, kłamstwa, miłości, bycia sobą albo innym, sprawiania, że ktoś jest sobą - to wszystko, żeby być! I tak jest z każdym!

Przypomniał sobie także liścik Bajkarza, który doprowadził go do serca tego ogrodu.

Do teatru zieleni.

„Mam nad tobą nieograniczoną władzę i bez granic wyobraźnię, Snuję bajki i zmyślam, tworzę, łączę i rozcinam,

Niczym zjawia tkam sieć i wątek snuję,

Jestem Autorem, Viravolta!

Zgubię cię, zamęcę w głowie, odnajdę i z drogi sprowadzę,

Pchnę w gęstą mgłę i wyprowadzę,

By dłużej cię zwodzić.

Jestem Bajkarzem i stróżem,

A ty jesteś mój”.

A kim ja jestem?... zastanawiał się Pietro.

Anna Santamaria wyszła z pałacu wkrótce po nim. Wyglądała olśniewająco. Bawiła się umbrelką którą trzymała w okrytej rękawiczką dłoni. Kapelusz zakrywał częściowo jej ułożone na wenecką modłę włosy. Uśmiechnęła się, stając obok męża. Miała cudowny styl, bliski wzorom pani de Pompadour. Jej twarz opromieniała elegancja, szyk, wdzięk, głęboka kultura. Była ideałem uwodzicielki swego wieku. Promienna i zwycięska. Miłym uchu głosem mówiła mu o jakichś głupstwach. Stali tak, rozkoszując się widokiem na ogrody. Tu i ówdzie pojawiały się przed ich oczyma grupki spacerujących dworzan, którzy swym szeptem wtórowali szmerowi fontann. Tu umbrelka, tam koronkowa chusteczka, laska albo peruka...

W promieniach zachodzącego słońca pojawił się także Cosimo. W białych spodniach, białej kamizelce i koszuli, i w brązowym surducie, śmiał się i bawił urodziwą pannę o zarumienionych policzkach i talii jak u osy. Spacerowali po słonecznych alejkach.

Pietro uniósł brew. Anna zerknęła na niego spod kapelusza i uśmiechnęła się porozumiewawczo. Pietro doznał tego niepowtarzalnego uczucia - widział, jak wypełnia się jego przeznaczenie, jak młodość ucieka już na zawsze, ale miał jeszcze nadzieję, że ją zatrzyma, że ma przed sobą życie i miłość - jedyne, co miało jakąkolwiek wartość, miłość aż po grób!

No dobrze! Wiem, kim jestem.

Włożył kapelusz.

Legendą. Cieniem. Mitem. Bajką.

Potarł dłonią rękojęść weneckiej szpady i uśmiechnął się.

Jestem Czarną Orchideą.

Za pałacem, na otwartej przestrzeni, zachodziła złota gwiazda dnia. Wkrótce na niebie rozbłyszczą te nocne. Tam, za Fontanną Apolla, ogień rozpalał niebo jakby na cześć dawnego Wersalu i jego dawnego pana Króla Słońce.

Pietro głęboko pokłonił się fontanom.

* * *

Kołysząc się na dziobie statku, który sunął po ciemnym morzu, lord Stevens przeżywał gorycz klęski. Mocno zaciskał pięści, a jego rozwiane przez wiatr włosy wyglądały niczym węże antycznej Gorgony. Na kilka tygodni zaszył się w Normandii, czekając, aż świat o nim zapomni. Teraz w tajemnicy wsiadł na statek w porcie Granville. Odpływał. Po tym, co się stało, nie mógł wrócić do Anglii, więc uciekał tam, gdzie mógł czuć się bezpiecznie - do Ameryki. Statek, który zmagął się ze wzburzonym morzem, zostawił właśnie za sobą wyspy Chausey, omijając szlaki handlowe, i kierował się na południowy zachód, aby wpłynąć na Atlantyk. Zapowiadał się trudny i męczący rejs. Stevens miał mdłości. Róża na jego piersi zwiędła. Czarne chmury wciąż gromadziły się na niebie. Błyskawice rozświetlały firmament to po tej, to po tamtej stronie, wydawało się jednak, że coś je powstrzymuje, a naładowane elektrycznością chmury jakby się kuliły. Ulewny deszcz chłostał pokład. Mimo to Stevens stał tu, nie chcąc schronić się w kajucie. Przegonił kopniakiem marynarza, pewnego Normandczyka, który wychylił szklaneczkę calvadosu i oznajmił zaczepnie, że w Normandii zawsze jest ładnie. Żagle łopotały, a w świetle błyskawic przez krótkie chwile statek wyglądał

jak jeden z tych zwanych widmami, a może jak jednostka korsarzy albo piratów, którzy dawno temu zaginęli na morzu, albo jak legendarny *Latający Holender*. Statek wznosił się i opadał na falach czarnego kanału La Manche, zalewany przez wody morskie i te lejące się z nieba, a Stevens, choć żołądek podchodził mu do gardła, trzymał fason, opierając się dłońmi w nabijanych żelazem rękawiczkach o burtę.

A zatem nie powiodło się ani jemu, ani Bajkarzowi.

Chciał zadać ostateczny cios monarchii francuskiej w dniu koronacji, a gdy te nadzieje się rozwiały, próbował podpalić pałac Króla Słońce, wykorzystując możliwości tego szaleńca, który nazywał siebie Jeanem z Francji, Delfinem Znikąd. Stevens nie poznał ani nie zrozumiał prawdziwych powodów, dla których Bajkarz przybrał takie przydomki, nie wiedział też, skąd wzięło się w nim tyle nienawiści. Dlaczego? Bogowie, dlaczego?

Stevensowi chciało się śmiać i płakać zarazem, kiedy myślał o absurdalnych marzeniach, którym uległ on, szef i renegat angielskiego kontrwywiadu. Zapragnął raz na zawsze zburzyć równowagę na kontynencie, wyeliminować odwiecznego wroga, współdziałać z Austrią Hiszpanią i Prusami, zjednoczyć dwie korony - różę i lilię! A przy okazji wygrać w Ameryce!

Jednak teraz, kiedy był zmuszony do ucieczki, on, banita, który zawsze pragnął służyć ojczyźnie, czuł się zagrożony. Pozbawiono go funkcji i tytułów. Lord Stormont wciąż go poszukiwał. Działał bez przyzwolenia własnego rządu. Gdyby mu się powiodło, z pewnością wróciłby do Anglii jako

zwycięzca i bohater, a Jerzy III przyjąłby z jego rąk dar - trupa Francji. Wtedy opowiedziałby królowi o przygotowaniach Sekretu Charles'a de Broglie do inwazji na Anglię, mówiłby o sytuacji w Ameryce, o słabości królestwa, o zdradzie księcia Gloucester, żeby nakłonić Jerzego III do powołania armii, którą on, Stevens, poprowadziłby, żeby zrealizować własny plan i zaatakować Francję!

Jednak stało się inaczej i teraz świat runął mu na głowę! A ten Bajkarz, symbol epoki, która już przemijała... Chimera, wymysł, szaleństwo odchodzących czasów. Jak mógł zaufać takiemu indywiduum? Jak mogłem... Może porażka Bajkarza i jego własna, być może bunt Ameryki i osłabienie Francji i Anglii były zwiastunami zbliżającego się końca? Końca o znacznie większym wymiarze? Przypomniało mu się, co Bajkarz mówił o zepsuciu królestwa.

I nagle doznał wizji. Ujrzał świat przygotowujący się do nieodwracalnej przemiany, świat, w którym narody nie będą już szanowały Korony ani władcy, ani słusznego porządku rzeczy.

Przestaną wierzyć w szlachectwo, rasę i krew. Bajkarz często powtarzał, że czeka na tę chwilę, kiedy królestwo Francji runie, kiedy pęknie jak pusta muszla, zgniłe jabłko, obalone przez naród i filozofów. Stevens gniewnie warknął, ale sztorm zagłuszył jego głos i tylko kolejne strugi wody wtórowały jego rozzaleniu.

Stał na dziobie, zaciskając pięści, a jego mokra twarz była posępna.

- Zanim przeminą te czasy... Zanim poleje się królewska krew... Na zawsze... -

powtarzał sobie.

Stał tam całą wieczność, aż wreszcie rankiem morze się uspokoiło. Statek został

zatrzymany przez zwykłą fregatę Royal Navy. Dwaj ludzie weszli na pokład. U boku mieli szable, na ramionach złote epolety, a do tego trójgromne kapelusze i królewskie mundury.

Zamienili kilka słów z kapitanem, a potem bez wahania podeszli do niego.

- Lord Stevens? - zapytał jeden z nich, podsuwając Stevensowi pod nos rozkaz.

Stevens pobladł, a mężczyzna mówił dalej:

- *Ian Mc Pherson, British government. Would you please follow us?*

* * *

Kiedy Marie Desarneaux odebrała ciało syna, była jak podczas tortur, przed laty.

O niczym by się nie dowiedziała, gdyby ojciec Morois po spotkaniu z hrabią de Broglie nie zainteresował się, jak umarł Bajkarz, i nie postanowił o wszystkim jej powiedzieć.

Była to dla niego trudna decyzja, bo w ten sposób rozbudził w sercu staruszki wspomnienie o

porzuconym synu. Uznał jednak, że jego obowiązkiem jest przekazać jej okrutną prawdę, którą i tak mogłaby poznać, być może w jeszcze dotkliwszy sposób. Tak oto, podczas rozmowy z duchownym, z przerażeniem wysłuchiwała relacji o tym, jak jej syn przeżył te długie lata, jak pragnął zemsty, ale nigdy nie odważył się odwiedzić matki. Cierpiała i z tym większym bólem przyjęła wiadomość o jego śmierci. Los w tej samej chwili oddał jej dziecko i odebrał je poprzez ponowną śmierć, tym razem prawdziwą! Dla nieszczęsnej Marie było już za późno. Całkiem oszalała. Najpierw miała żal do duchownego, ale po chwili jej gniew zwrócił się przeciwko tym, którzy byli odpowiedzialni za jej tragedię. Zwłoki syna rzucono do zbiorowej mogiły, gdzie mogłyby pozostać i połączyć się ze szczątkami jego przybranego ojca, Jacques'a de Marsille'a, także zapomnianego przez wszystkich. Ojciec de Morois odebrał je. Marie owinęła ciało syna całunem. Najpierw zamierzała pochować go na cmentarzu Saint-Médard, przy członkach jej sekty i diakonie François de Pâris. Potem jednak uznała, że dusza jej biednego dziecka już za życia doznała zbyt wielu rozterek i zła, i -

ogarnięta smutkiem - odrzuciła myśl o tym, by skazać go na męki także w zaświatach.

Postanowiła spalić ciało.

*

Nie widziała, jak płomienie ogarniają płótno, ale w tej samej chwili ten ogień pochłonął także jej zatwardziałe serce. Tym razem nawet nie zaszlochała. Modliła się, by przeżył w jakiejś części, by pewnego dnia odrodził się niczym feniks z popiołów.

Tego samego wieczoru w zakrystii, przy blasku świecy, ogarnięta szałem, który potęgował jej okrucieństwo i wyostrzał inteligencję, podyktowała ojcu Morois list.

I powtórzyła zniekształconym przez nienawiść, ostrym głosem:

- I chcę, żeby umarł. Chcę, żeby Viravolta umarł!

* * *

Podczas Salonu w roku 1783 zaprezentowano portret Marii Antoniny pędzla Elisabeth Louise Vigée-Lebrun. Królowa jest na nim piękna, choć jest to uroda innego czasu - olśniewa świeżością i młodością. Ten portret nazywa się czasami „portretem z różą”, bo królowa trzyma w ręku kwiat, który współgra z jej wdziękiem i cerą. Być może jednak, gdybyśmy zdołali odkryć poprawkę zamaskowaną przez malarzkę, pod warstwą farby ujrzelibyśmy inny kwiat - zamiast róży orchideę.

*

Blask luster i złożonych kandelabrow, lśniący, jasny parkiet, wysokie okna otwarte na ogród, którego fontanny zachowały jeszcze ślady niedawnych wydarzeń, podkreślały piękno Galerii Zwierciadlanej. Teraz, późną nocą, panowała tu ciemność. Gdzieś pozostawiono otwarte drzwi salonu, bo czuło się chłodne podmuchy wiatru w tym niezwykłym grobowcu.

Bóg jeden wie, dlaczego królowa nie mogła dziś zasnąć i dlaczego, gdy strażę chrapały pod drzwiami jej apartamentu, przywędrowała sama i bosa aż do Galerii, w której wydała setki przyjęć.

Amfilada wyłożona marmurami i siedemnaście okien - przed władczynią otwierała się długa, mroczna paszcza. Ani żywego ducha i głęboka niezmacona cisza przerywana jedynie tykaniem starego zegara, który odmierzał czas. I tylko ten pomruk w ciemności, głuchy jak odległa pogródka, a jednak coraz bliższy.

*

Tego ranka królowej dostarczono niezwykłą komodę od Rose Bertin. Królowa, ku swemu zaskoczeniu, znalazła w jednej z szuflad białą kopertę.

Widniała na niej pieczęć z jedną literą: „B”.

Wewnątrz znajdował się liścik.

LIS I POPIERSIE

Księga IV - Bajka 14

*Wielcy ludzie przeważnie sceniczne to maski,
Którym tłum bałwochwalczy czci kłamliwe blaski.
Osioł z wyglądu tylko sądzić o nich umie,
Lecz lis od pierwszej chwili zgłębiać je zaczyna,
Ze wszech stron je oglądając, a gdy raz zrozumie,
Że piękna powierzchowność to ich treść jedyna,
Wraz przylepia im słówko, którym go natchnęło
Bohatera popiersie, kamieniarskie dzieło.
Popiersie puste było i nadnaturalnej miary.
Lis rzecze, chwając kunszt rzeźbiarza walny:
„Piękna głowa, lecz mózgu nie ma w mózgownicy”.
W tym sensie są rzeźbami liczni dostojnicy!9*

Królowa nie bardzo rozumiała ten wierszyk, lecz pozostało jej po nim przykre 9 Przełożył Feliks Konopka.

wrażenie.

To było coś okrutnego. I niesprawiedliwego. Chciało jej się płakać.

Ta wielka bajka, wielka komedia, wciąż trwała.

*

Maria Antonina uśmiechnęła się, ale jej uśmiech stawał się poważniejszy, jakby posmutniał, a w końcu zamarł. Spochmurniała. Ogarnął ją niepokój, który narastał.

Przymknęła oczy. Dreszcz przebiegł jej ramiona, szyję, kręgosłup. Rozmasowała ramiona.

Białe firanki i jej koszula nocna lekko poruszały się od chłodnego podmuchu.

Królowa Francji, blada jak lilia, drżała.

Tak - pomyślała. - To jak pogróżka. Jak zjawa... i nagle ujrzała pod balkonem tysiące pochodni.

Miała dwadzieścia lat.

*

Zrywał się wiatr.

Źródła i podziękowania

Dziękuję wszystkim wymienionym poniżej, a także tym, którzy zechcieli podzielić się ze mną swymi uwagami i wiedzą, a których miałem okazję spotkać podczas podróży po Francji i podróży zagranicznych.

Serdecznie dziękuję Gilles'owi Perrault za jego znakomity dokument, *Le Secret du Roi* (Fayard, 1992), a zwłaszcza za początek 3 tomu, *La Revanche américaine*. Warto sięgnąć do tej pozycji, by dowiedzieć się więcej o agentach Sekretu, o powstaniu służby podczas wojny amerykańskiej, o d'Eonie, Beaumarchais, Brogliem, Vergennie, i przekonać się, że prawda przerasta nawet fikcję! Zaczerpnąłem z tej książki wiele informacji, które pomogły mi opisać przygody Viravolty.

Wątek poświęcony perfumerii Fargeona inspirowany był doskonałą książką Elisabeth de Feydeau, *Jean-Louis Fargeon, parfumeur de Marie-Antoinette* (2004). Z prawdziwą przyjemnością przeczytałem tę pracę.

Nie mogłem oczywiście pominąć trzech biografii Marii Antoniny, sławnej *Marie-Antoinette* Antonii Frazer (Flammarion, 2006), na której podstawie powstał film Sofi Coppoli, i dwóch książek Evelyne Lever, *C'était Marie-Antoinette* (Fayard, 2006) i *Les Dernières Noces de la monarchie. Louis XVI, Marie-Antoinette* (Fayard, 2005). I rzecz jasna, *Marii Antoniny* Stefana Zweiga.

Wielokrotnie sięgałem do wydanej przez wydawnictwo Grasset książki *Versailles au temps des rois* autorstwa Gosselin Lenotre, pełnej fantastycznych anegdot, które przyczyniły się do powstania tej powieści. Nie wiem, jak dziękować memu przyjacielowi i wydawcy Christophe'owi Bataille, który wskazał mi tę lekturę, a także towarzyszył w wędrówce podjętej przed piętnastu laty.

*

Poza tym sięgałem do:

- drobiazgowego opracowania Michela Antoine'a, *Louis XV* (Fayard, 1989) i *Louis XV François Bluche'a* (Perrin, 2003), zwłaszcza fragmentów dotyczących śmierci króla.

- Claire Constans, *Versailles, château de la France et orgueil des rois* (Gallimard 1989).

Symbolika kwiatów i ogrodów Wersalu opisana została w pasjonującej *Symbolique de Versailles à la lumière des jardins* Vincenta Beurthereta z fotografiami Alexis Riboud (Ed. du Huitième Jour, 2002) i *Les Plantes et leurs symboles* Anne Dumas (Le Chêne, 2004).

O pałacu i spacerach:

Manière de montrer les jardins de Versailles pióra Ludwika XIV (Mercure de France, 1999).

La Promenade de Versailles Madeleine de Scudéry (Mercure de France, 1999).

Relation de la fête de Versailles Andre Félibiena (Mercure de France, 1999).

Le Château de Versailles, doskonałe dzieło Pierre'a Verleta (Fayard, 1985).

„Les chantiers du couchant” Martina Astona [w:] *Versailles, le Château*, „Le Figaro”, a także przewodniki: *Versailles* (Gallimard); Beatrix Saule, naczelną konserwator, oraz Daniel Meyer, *Versailles* (2006); Simone Hoog, *Votre visite à Versailles* (2006).

Pomocna okazała się także gra wideo, *Versailles, Complot à la cour du Roi-Soleil*, Cryo Interactive.

I książka Sébastiena Merciera *Le Tableau de Pâ ris*.

Muzeum miasta Herblay.

Fragmenty dzieła Gilberta Forgeta, *Herblay* (1974) (Biblioteka municypalna).

Strona internetowa DGSE - historia wywiadu francuskiego.

Wikipedia.

Muszę także uśmiechnąć się do wspaniałej *Conversation de Bolzano* Sándora Márai (Albin Michel, 1991).

I wreszcie dziękuję Philomène, która dobrze wie za co.